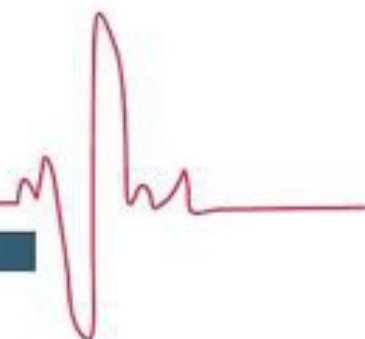


MICHAEL PALMER

DANIEL PALMER

TRAUMA



**MICHAEL
PALMER
DANIEL PALMER
TRAUMA**

Przełożył
Norbert Radomski



DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań

*Dedykuję Traumę doktorowi Davidowi Grassowi,
z McLean w Wirginii.*

*Nie byłoby tej książki bez jego oddania sztuce lekarskiej, jego umiejętności
i doświadczenia zawodowego, ale także jego wyobraźni i służenia pomocą w tym
projekcie od początku do końca.*

Powiedzieć, że nie byłbym tu, gdzie jestem, bez niego – to nic nie powiedzieć

D. P.

Rozdział 1

Zaczęło się zupełnie niewinnie, od upadku.

Beth Stillwell, drobna trzydziestopięcioletnia matka trójki dzieci, o życzliwych oczach i zaraźliwym śmiechu, robiła w towarzystwie swych pociech zakupy w Thrifty Dollar Store. Rozglądała się właśnie wśród przyborów szkolnych i artykułów gospodarstwa domowego, kiedy straciła równowagę i upadła na zabłocone linoleum. Przykra była już sama konieczność kupowania w tanim sklepie, coś nowego od czasu separacji z mężem kobieciarzem, z którym przeżyła piętnaście lat. Leżeć tam na podłodze, z nogą ugiętą pod bolesnym kątem, było prawdziwym upokorzeniem.

Nic jej się nie stało, ale kiedy wstawała z pomocą sześciolatniej córki Emily, lewa noga sprawiała wrażenie słabej, jak z gumy. Opierając się o regał z tanim mydłem, Beth zrobiła niepewny krok, a noga niemal ugięła się pod nią. Udało jej się utrzymać równowagę i po kolejnym niezdatnym kroku uznała, że da radę iść.

Siła w lewej nodze niemal powróciła, ale lekka sztywność i irytująca niepewność chodu utrzymywały się tygodniami. Siostra poradziła jej, by poszła do lekarza. Beth obiecała, że to zrobi, były to jednak puste słowa. Prowadząc licencjonowany żłobek koło swego domu w Jamaica Plain, Beth miała pod opieką oprócz własnych siódemkę dzieci, a każdy przestój poważnie nadwierał jej ograniczone fundusze. Rzadko miewała czas nawet na rozmowę przez telefon. Noga jednak sprawiała jej kłopot, niepokoiło ją, że słabość nie mija. Niekiedy utykała, ale ostatnią kroplą goryczy była utrata kontroli nad oddawaniem moczu, gdy zajmowała się berbeciami, które potrafiły panować nad pęcherzem lepiej niż ona. To skłoniło ją do wizyty u lekarza.

Badanie MRI wykazało w płaszczyźnie przystrzałkowej guz wywodzący się z opon mózgowych, z wszelkimi charakterystycznymi objawami typowego oponiaka. Guz nowotworowy był już na tyle duży, że uciskał tkankę mózgową, zakłócając prawidłową, skomplikowaną komunikację między neuronami, i powodował niewielki obrzęk wywołany naciskiem na naczynia krwionośne mózgu.

Konieczna była operacja.

Doktor Carrie Bryant stała przed ekranem, oglądając skany mózgu Beth Stillwell.

Jako neurochirurg na czwartym roku rezydentury w Boston Community Hospital (BCH) miała asystować szefowi rezydentów, doktorowi Fredowi Michelsonowi, przy operacji Beth. Guz uciskał wierzchołek mózgu po prawej stronie. Carrie widziała dokładnie, dlaczego Beth ma niedowład lewej nogi i dlaczego straciła kontrolę nad mikcją. Guz nie był szczególnie duży, mniej więcej wielkości orzecha włoskiego, ale nader niefortunnie zlokalizowany. Gdyby pozwolić mu urosnąć, niedowład spastyczny lewej nogi pogłębiałby się i z czasem Beth kompletnie straciłaby panowanie nad pęcherzem.

Przeglądając skany MRI, Carrie rozcierała w roztargnieniu obolałe mięśnie ud. We wczorajszym triathlonie sprinterskim ustanowiła nowy osobisty rekord, przekraczając wreszcie w części biegowej nieosiągalne tempo mili na dziesięć minut, i ciało dawało jej znać, że zmusiła je do zbyt wielkiego wysiłku. Jej wyniki w pływaniu i kolarstwie były kiepskie jak zawsze, co prawie zapewniło jej finisz w dolnym kwartyle dla jej grupy wiekowej – ale przynajmniej była tam i walczyła, starając się doprowadzić swoją kondycję do dawnego poziomu.

Decyzja Carrie, by ni stąd, ni zowąd zająć się triathlonem, być może nie była najmądrzejsza, ale ona nigdy nie robiła niczego połowicznie. Cieszyło ją stawianie sobie coraz to nowych wyzwań. Wykorzystała też zawody, by zebrać ponad tysiąc dolarów na rzecz BCH: drobna kropla w morzu potrzeb, ale dobre i to.

BCH obsługiwał ubogich i nieubezpieczonych. Carrie była dumna, że uczestniczy w tej misji, ale brak funduszy przyprawiał ją o ciągłą frustrację. Jej zdaniem wszechwładny komitet finansowy, łatając dziurę w budżecie, zanadto polegał na taniej sile roboczej, przez co szpital prowadzili w zasadzie rezydenci czwartego i piątego roku, ilekroć wypadała ich tura w BCH. Lekarze prowadzący, ci, którzy ukończyli rezydenturę, powinni byli zapewniać nadzór, ale mieli zbyt dużo zajęć i zbyt mało środków, by wywiązać się z tego zadania.

Jeśli ciągłe braki budżetowe miały jakąś dobrą stronę, to można było podsumować ją jednym słowem: doświadczenie. Każda tura w BCH oznaczała długie dyżury i wyczerpującą pracę, ale Carrie nigdy się nie skarżyła ani nie protestowała. Dostawała wspaniałą szansę doskonalenia swych umiejętności.

Na szczęście Chambers University sumiennie wspierał finansowo legendarną placówkę medyczną, która wyszkoliła paru najsłynniejszych lekarzy Bostonu, takich jak budzący lęk i szacunek doktor Saul Metcalf, etatowy neurochirurg ze słynnego White Memorial Hospital. Na razie drzwi BCH były otwarte, światła zapalone, a ludzie tacy jak Beth Stillwell mogli uzyskać wysokiej klasy opiekę lekarską nawet bez niebotycznego ubezpieczenia.

Jak dotąd Beth była wzorową pacjentką. Przebywała w szpitalu od dwóch dni i w tym czasie Carrie miała przyjemność poznać zarówno jej siostrę, jak i dzieci.

Przygotowując Beth do zabiegu, lekarka zastanawiała się, kiedy w jej własnym zaginionym życiu znajdzie się miejsce na rodzinę. Jako dwudziestodwuletnia sądziła, że mogłoby się to udać z Ianem, chłopakiem, z którym chodziła od dwóch lat, ale najwyraźniej jej oddanie pracy nie zgadzało się z jego wizją ich związku. Powinna była zorientować się, że nadchodzą problemy, kiedy Ian zaczął określać swoje mieszkanie jako jej „dyżurkę”.

O wpół do dwunastej Carrie kierowała się do umywalni, kiedy doktor Michelson zatrzymał ją na korytarzu.

– Właśnie przywieziono dwa przypadki ostrego zatrucia ołowiem – oświadczył.

Carrie skwitowała słabym uśmiechem ten przejaw czarnego humoru: dwie ofiary strzelaniny wymagały natychmiastowej operacji.

– Możemy zrobić panią Stillwell o piątej – powiedział Michelson. To nie była prośba. Praca w jednym z najbardziej ruchliwych centrów urazowych Nowej Anglii oznaczała częste zmiany w grafiku ze względu na nagłą konieczność i doktor Michelson oczekiwał, że rezydentka dostosuje się do niego.

Carrie i tak nie miałyby nic przeciwko jego życzeniu. Od zerwania z Ianem jej kalendarz towarzyski stanowił długi ciąg pustych rubryk. W trakcie ich burzliwego związku jawnie zaniedbywała swoje mieszkanie oraz przyjaciół i miało minąć trochę czasu, nim wszystko wróci do dawnego poziomu. Carrie zgodziła się przesunąć operację Beth, choć tak naprawdę nie miała w tej kwestii nic do powiedzenia.

Dzięki tej zmianie mogła spokojnie dokończyć obchód na oddziale neurochirurgii. Zajrzała do kilku innych pacjentów, na koniec zaś odwiedziła Leona Dixona, którego doktor Metcalf przyjął tego ranka jako prywatnego pacjenta. Następnego dnia miała asystować Metcalfowi przy jego operacji.

Carrie zapukała i weszła do pokoju Leona. W regulowanym łóżku pólleżał przystojny czarnoskóry mężczyzna i pił wodę przez słomkę. Leon oglądał „Antiques Roadshow” wraz z żoną, która siedziała na krześle przysuniętym do łóżka. Trzymali się za ręce. Leon był pięćdziesięcioletnim o sympatycznej, choć zniszczonej twarzy.

– Witam, panie Leonie, jestem doktor Carrie Bryant. Będę asystować przy pańskiej jutrzejszej operacji. Jak się pan dziś czuje?

– Pa-a-e-e-e.

– Jestem Phyllis, żona Leona. On chce powiedzieć, że czuje się parszywie.

Carrie uściśniła dłoń atrakcyjnej kobiety, która w parę tygodni przeistoczyła się z żony w pielęgniarkę. Mocny makijaż wokół zmęczonych oczu Phyllis zdradzał, jak trudne były te tygodnie. Carrie nie widziała jeszcze skanów mózgu Leona, ale nie była zaskoczona jego problemami z mówieniem; karta informowała, że ma

objawy afazji. Wątpiła, czy jąkał się wcześniej, nie zamierzała go jednak zawstydzać, pytając o to.

– Czy mógłby pan zamknąć oczy i otworzyć usta? – poprosiła.

Leon zamknął oczy, ale jego usta również pozostały zamknięte. Carrie wysłała SMS-a do doktora Nugenta z radiologii. Chciała jak najszybciej obejrzeć jego skany.

– Ma kłopoty z wypełnianiem poleceń – powiedziała Phyllis, ocierając łzy z oczu. – Problemy z pamięcią i nastrojem też.

Coś się dzieje w jego lewym płacie skroniowym, pomyślała Carrie. Prawdopodobnie guz.

Zauważyła także inne objawy. Prawy kącik ust Leona opadał, a on sam nie mógł utrzymać wyciągniętej przed siebie prawej ręki, gdy zamknął oczy. Miał wzmożone odruchy w prawej ręce i nodze, a kiedy Carrie podrażniła trzonkiem młotka neurologicznego podeszwę jego prawej stopy, doszło do zgięcia grzbietowego palucha – był to objaw Babińskiego, świadczący o uszkodzeniu ośrodkowych dróg ruchowych lewej półkuli mózgowej.

Carrie ujęła zasuszoną, pokrytą odciskami dłoni Leona i spojrzała mu w oczy.

– Panie Leonie, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby poczuł się pan lepiej. Pójdę teraz rzucić okiem na skany pańskiego mózgu i zobaczymy się jutro na sali operacyjnej. – Zapisała na świstku papieru swój numer telefonu komórkowego. Wizytówki były tylko dla lekarzy po rezydenturze. – Gdyby państwo czegoś potrzebowali, proszę do mnie dzwonić – dodała.

Nie lubiła odbębniać badań po łebkach, ale Robert Nugent odpisał jej, że zaczeka na nią, jeśli przyjdzie od razu. I bez tego czuła presję czasu. Musiała pójść do Beth Stillwell na ostatnią przedoperacyjną konsultację.

Doktor Nugent, żonaty ojciec dwójki dzieci, ambitny triathlonista, w ostatnich zawodach, w których startował razem z Carrie, uzyskał czas znacznie lepszy niż ona. Przez lata nauczyła się, że ze względu na sytuacje takie jak obecna warto być w przyjacielskich stosunkach z radiologami, a nic nie zacieśniało więzi koleżeńskich tak mocno jak bieźnia.

Pracownia radiologiczna znajdowała się w trzewiach BCH, w pozbawionej okien części skrzydła Glantza, ale Nugent jakimś cudem zawsze wyglądał na opalonego, nawet po surowej nowoangielskiej zimie.

– Dzięki, że wykroiłeś dla mnie trochę czasu, Bob – powiedziała Carrie. – Leon pojawił się raptem w moim grafiku zabiegów, a nie mam jeszcze żadnych danych na jego temat od doktora Metcalfa.

Nugent wzruszył ramionami. Słyszał już o niespodziewanych pacjentach neurochirurga.

- Cóż, z tego, co wiem, lekarz Dixona jest bliskim przyjacielem Metcalfa.
- Niech zgadnę: Leon nie ma ubezpieczenia zdrowotnego.
- Bingo.
- Jakoś wcale mnie to nie dziwi. – Carrie parsknęła śmiechem.

Prywatni pacjenci byli w BCH rzadkością. Niemal wszyscy chorzy trafiali tu poprzez oddział ratunkowy i byli przydzielani tutejszym rezydentom. Znany z filantropii doktor Metcalf często przyjmował podczas dyżurów w BCH przypadki, którymi nie mógł się zająć w White Memorial z powodu problemów z ubezpieczeniem.

Wszyscy rezydenci marzyli o pracy z doktorem Metcalfem i koledzy Carrie niejednemu raz dawali wyraz zazdrości. Asystowanie mu było zaszczytem, najlepszym sprawdzianem umiejętności rezydenta, tym bardziej że przeprowadzanym pod skrajną presją. Metcalf uchodził za surowego i wymagającego, niekiedy nawet tyrana, ale jego podejście miało swoje plusy. Uczył techniki, nie przejmował całkowitej kontroli i miał anielską cierpliwość do mniej doświadczonych operatorów. Jak wielu światowej klasy chirurgów, bywał czasem porywczy i zawsze bezkompromisowy, ale Carrie była gotowa zaakceptować wszystko, jeśli miało to wspomóc jej karierę.

Nugent umieścił skany mózgu Leona na negatoskopie.

- To najprawdopodobniej gwiazdździak trzeciego stopnia – powiedział.

Nieregularny guz o wymiarach półtora na dwa centymetry zlokalizowany był głęboko w lewym płacie skroniowym i towarzyszył mu palczasty obrzęk. Niewątpliwie to on właśnie był przyczyną afazji i dezorientacji Leona.

- Więc doktor Metcalf ma jutro to usunąć – mruknął Nugent.
- Przynajmniej tyle, ile mu się uda.

Radiolog pokiwał głową.

Carrie miała właśnie zapytać go o coś, ale spojrzała na zegar. Jeszcze trochę, a spóźni się na ostatnią przedoperacyjną konsultację u Beth. *Cholera, doba zawsze okazuje się zbyt krótka.*

Wparowała do pokoju Beth o 16.30. Był już tam anestezjolog. Pod koniec konsultacji pacjentka wydawała się bliska łez.

– Wkrótce znów będzie pani razem z dziećmi, proszę mi wierzyć – zapewniła ją Carrie.

Nawet ze świeżo ogoloną głową Beth była uderzająco piękną kobietą, młodą i pełną życia. Mimo pocieszeń lekarki nie wyglądała na przekonaną.

– Niech pani tylko dopilnuje, żeby wszystko poszło dobrze, doktor Bryant – powiedziała. – Muszę widzieć, jak moje dzieci wyrastają na dorosłych ludzi.

Kwadrans później Beth została przewieziona z oddziału na salę operacyjną

numer 15. Carrie, ubrana już w maskę, fartuch i czepek, była w umywalni, w połowie ściśle ustalonej pięciominutowej procedury mycia rąk, kiedy pojawił się doktor Michelson.

– Co powiedziałaś na to, żeby zająć się Stillwell w pojedynkę? – zapytał. – Kierownik poszedł już do domu, a ja dostałem faceta z krwotokiem mózgowym, który będzie al dente, jeśli nie zlikwiduję źródła krwawienia i nie zmniejszę ciśnienia wewnątrzczaszkowego.

Carrie przewróciła oczami. Nie przepadała za niektórymi powszechnie używanymi wyrażeniami z medycznego slangu. Al dente, szczególnie bezduszne określenie, oznaczało zmarłego.

– Żaden problem. – Serce zabiło mocniej. Jeszcze nigdy nie przeprowadzała operacji bez nadzoru doświadczonego lekarza lub szefa rezydentów.

Lęk minął równie szybko, jak się pojawił. Była znakomitym chirurgiem, ufnym we własne umiejętności i, jeśli wierzyć szpitalnym plotkom, widziano w niej następnego szefa rezydentów. Samodzielny zabieg byłby cennym atutem, pomocnym w uzyskaniu po rezydenturze etatu w Cleveland Clinic.

– Niestety będę potrzebował piętnastki. Wszystkie inne sale są już zajęte – poinformował.

Carrie skinęła głową. W BCH była to normalka.

– Beth może poczekać – odparła.

– Sprawdziłem dla ciebie grafik. Szóstka lub dziewiątka powinny zwolnić się za parę godzin.

Carrie wykonała w myślach parę szybkich obliczeń, by się upewnić, czy da radę zoperować Stillwell, a potem wypocząć na tyle, by rano asystować Metcalfowi przy operacji Leona. *Trzy, góra cztery godziny, i Beth będzie już na sali wybudzeń.*

– Nie ma sprawy. Szykuj się i rób swoje.

– Dzięki, pani doktor. I naprawdę wybawiłaś mnie z opresji. Nie sądzę, bym odważył się powierzyć ten zabieg innemu czwartorocznemu.

– Twoja wiara we mnie jest budująca.

Carrie nie wspomniała o obietnicy, którą złożyła Beth podczas konsultacji przedoperacyjnej. Michelson nie pochwaliłby tego. Jeśli w chirurgii można być czegoś pewnym, to tylko tego, że nic, nawet w przypadkach z pozoru najbardziej rutynowych i prostych, nie jest pewne na sto procent.

Rozdział 2

Carrie ponownie spotkała się z Beth w pokoju przygotowawczym bloku operacyjnego, tym razem w towarzystwie Rosemary, dyplomowanej pielęgniarki anestezjologicznej. Choć Carrie nigdy wcześniej z nią nie pracowała, sposób, w jaki wkłuła wenflon, upewnił lekarkę co do jej kompetencji. Pielęgniarka podała Beth małą dawkę midazolamu, który zmniejsza lęk i sprowadza dobroczynną amnezję. Niektórych rzeczy lepiej nie pamiętać; operacja mózgu jest jedną z nich.

Gdy znalazły się już na sali operacyjnej, Rosemary podłączyła Beth do monitorów śledzących czynności życiowe. Podała propofol, by indukować znieczulenie ogólne, a potem dawkę suksametonium, powodującego przejściowe zwiotczenie mięśni. Od tego momentu Beth miała oddychać za pośrednictwem rurki dotchawiczej.

Przy operacji asystować miał doktor Salim Badami, wysoko notowany stażysta pochodzący z Bengaluru w Indiach. Był to właściwie solowy występ Carrie, tak więc jego rola sprowadzała się głównie do monitorowania stanu neurologicznego Beth podczas zabiegu.

Instrumentariuszka sumiennie przygotowała potrzebny sprzęt, w tym wiertarkę Midas Rex, za pomocą której Carrie miała przewiercić czaszkę i oddzielić płat kostny. Ostatnim członkiem zespołu była Haitanka Valerie. Ta długoletnia weteranka BCH uchodziła za jedną z najlepszych pielęgniarek operacyjnych wśród personelu. Jak zwykle roztaczała wokół siebie aurę kompetencji, przygotowując swoje stanowisko do operacji. To Valerie nauczyła Carrie, jak przyjemnie jest słuchać jazzu podczas zabiegów, i przez te kilka lat obie kobiety żyły się ze sobą.

Jeśli praca z Valerie miała jakiś minus, to było nim jej niezłomne postanowienie, że znajdzie przyjaciółce chłopaka. Strój chirurga skrywał gęste brązowe włosy do ramion, piwne oczy o migdałowym wykroju, budzące zazdrość wydatne kości policzkowe oraz ciało gibkie i muskularne od godzin treningów. Jeśli dodać do tego jej inteligencję i promienną osobowość, doktor Carrie Bryant mogła uchodzić za wymarzoną partię. Mimo jej wielokrotnych zapewnień, że jest szczęśliwa jako singielka, Valerie nieodmiennie pojawiała się na sali operacyjnej z listą kawalerów do wzięcia.

– Ma na imię James i jest ważną figurą w nowej firmie biotechnologicznej z Cambridge. Moja matka zna jego rodzinę.

– Dzięki za sugestię – odparła Carrie, sprawdzając sprzęt – ale dzisiaj jedyny mężczyzna, jakim jestem zainteresowana, to John Coltrane. Włącz muzykę, jeśli łaska.

Zaczekała, aż z głośnika popłyną pierwsze tony *Out of this World*, utworu otwierającego płytę *Coltrane (Deluxe Edition)*, nim sięgnęła po skalpel i przymierzyła się do pierwszego cięcia. Lekki ucisk w dołku, który czuła do tej pory, ustąpił. Każdy prędzej czy później musi odbyć swój pierwszy samodzielny lot, a dziś przyszła kolej na nią.

Umiesz to, pani doktor. Szkoliłaś się porządnie.

Wszystko, co nieistotne, odpłynęło. Błądzące po głowie myśli o byłym chłopaku, o biotechnologu, którego zachwalała jej Valerie, i o czekającej ją jutro operacji z Metcalfem stały się tylko cieniami w jej świadomości. Była całkowicie skupiona. Uwielbiała ten stan; silna koncentracja działała jak najlepszy środek pobudzający. Nim zaczęła operować, zajęła się różnymi drobiazgami, rutynowymi czynnościami, które nie wymagają myślenia ani decyzji. Zgodnie ze standardową procedurą za pomocą trzech kolców umocowała głowę Beth w ramie Mayfielda.

Wreszcie mogła rozpocząć zabieg.

Zagłębiła skalpel w skórze, wprawnie kreśląc nim wielkie półkole na ogolonej i unieruchomionej głowie Beth. Przyjrzała się swemu dziełu. Było to ładne cięcie i Carrie zadowalał efekt. Płat skóry miał właściwą wielkość.

Guz tkwił pod czaszką, utworzony z komórek pajęczynówki, jednej z trzech opon pokrywających mózg. Znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie zatoki strzałkowej górnej, dużego przewodu żylnego przebiegającego między półkulami mózgu. Z tego, co Carrie widziała na MRI, zatoka sprawiała wrażenie nieuciśniętej przez guz. To było jedno z jej głównych zmartwień. Gdyby guz przylegał do zatoki, mogłaby wykonać jedynie częściową resekcję, co oznaczałoby dla Beth konieczność dodatkowego leczenia, na przykład radioterapii.

Po co składałaś tę obietnicę?

Prawdopodobnie to widok dzieci Beth, zwłaszcza małej Emily z uroczym szczerbatym uśmiechem, odebrał Carrie rozum. Gdyby guz nie dotykał zatoki, Beth po zabiegu wymagałaby jedynie ścisłej obserwacji pod kątem nawrotów oraz być może leków przeciwdrgawkowych, aby zmniejszyć ryzyko wtórnych napadów padaczkowych.

Chirurdzy, zdaniem Carrie, nie są tacy jak zwykli ludzie. Przypominają raczej zawodników, którzy przejmują piłkę na trzy sekundy przed końcem meczu i wkładają ją do kosza, zmieniając wynik gry. Trudności zdają się wydobywać z nich to, co najlepsze. Oczywiście Carrie denerwowała się trochę na początku

zabiegu, ale to było normalne. Nawet dobre. Była młoda, niedoświadczona i rozsądek nakazywał ostrożność. W każdej chwili można było spodziewać się powikłań, ale Carrie nie zadręczała się tą myślą. Do czwartego roku rezydentury każdy chirurg, który wymiękał w decydującym momencie, poszedł już na odstrzał.

Carrie zabrała się do zakładania klipsów Raney na odwiniętych brzegach skóry. Małe niebieskie zaciski były atraumatyczne, zaprojektowane tak, by minimalizować uszkodzenie tkanek, a jednocześnie ograniczać krwawienie.

Trzydziesta minuta operacji.

Założenie wszystkich klipsów zajęło Carrie kolejny kwadrans. Teraz była kolej na wiercenie. Carrie pewnie ujęła w prawą dłoń szybkoobrotową końcówkę i wykonała cztery fachowo rozmieszczone otwory trepanacyjne po obu stronach zatoki strzałkowej.

– Zmiana wiertła, proszę – powiedziała.

Instrumentariuszka podała jej inną szybkoobrotową wiertarkę pneumatyczną, a ona użyła jej do przecięcia czaszki pomiędzy otworami. Nabrawszy powietrza w płuca, uniosła płat kostny, odsłaniając oponę twardą. Ostrożnie podała kość Valerie, by przechowała ją, dopóki nie przyjdzie pora na rekonstrukcję czaszki po usunięciu guza.

Valerie, jak to ona, uprzedziła prośbę Carrie o воск kostny do powstrzymania krwawienia z odsłoniętych krawędzi czaszki.

Masz wspaniały zespół.

Przerywając na chwilę pracę, Carrie przyjrzała się dokładnie oponie twardej – grubej błonie najbardziej zewnętrznej z trzech powłok otaczających mózg – szukając śladów uszkodzenia. Okrytymi rękawiczką palcami ostrożnie wymacała ukryty pod nią twardy, lity guz. Oceniała, że jego umiejscowienie jest idealne do resekcji, po czym małymi gazikami zabezpieczyła obrzeża odsłoniętej opony twardej.

Upychała je z wielką ostrożnością, ponieważ zbyt silny ucisk opony twardej mógł spowodować rozciągnięcie dużych żył na powierzchni mózgu, wywołując krwotok. Kiedy gaziki zostały odpowiednio umieszczone, była gotowa do następnego cięcia, pamiętając o tym, że będzie ono biegło centymetr od guza.

Jeden centymetr. Dokładnie. Precyzyjnie.

Gotowe. Po perfekcyjnym cięciu Carrie przezornie użyła koagulatora i gąbek żelatynowych, by kontrolować hemostazę i ograniczyć krwawienie. I oto zobaczyła go – guz usadowiony na szczycie mózgu, uciskający obszar kory, który zawiadywał nogą i pęcherzem Beth Stillwell. Nie był zbyt duży, ale naprawdę paskudny, i wyglądał na bardziej unaczyniony, niż się spodziewała na podstawie MRI. Na szczęście nie przylegał do zatoki! Carrie mogła wyciąć go całkowicie.

Jednak sieć zaopatrujących go naczyń krwionośnych była znacznie bardziej rozbudowana, niż przewidywała.

– James jest o wiele miłszy dla oka niż to szkaradzieństwo – powiedziała Valerie.

Carrie zaśmiała się lekko.

Była godzina 22.30.

Operacja trwała już dwie i pół godziny, nieco dłużej, niż wyliczyła sobie Carrie, ale nie nadzwyczajnie długo.

– Parametry życiowe? – zapytała.

– W porządku – odparła Rosemary.

Jeszcze godzina i będzie po wszystkim, oceniła Carrie.

Uważnie usunęła guz wraz z przylegającym fragmentem opony twardej, który zamierzała wysłać na badanie histopatologiczne. Na oko nie sprawiał wrażenia złośliwego. Chciała być pewna, że marginesy są czyste i że nie ma żadnego śladu złośliwości gdzie indziej. W tym momencie uznała, że da radę dotrzeć do dyżurki przed północą i przespać się jakieś pięć godzin, zanim o siódmej rano będzie musiała być znów na sali operacyjnej, by przeprowadzić zabieg z doktorem Metcalfem.

Ach, cudowne życie lekarza. Jej ojciec, internista w Mass General, uprzedzał Carrie o trudach rezydentury, ale jego opis bladł w porównaniu z rzeczywistością.

Przerwała pracę, by jeszcze raz przyjrzeć się swemu dziełu. Coś zaczęło ją niepokoić. Odniosła wrażenie, że z obrzeży kraniotomii krew sączy się, znacznie obficie niż zwykle.

– Więcej gąbek i gazików. – Jej głos brzmiał spokojnie, ale dało się w nim wyczuć napięcie.

Valerie błyskawicznie wykonała polecenie. Osuszając krew, Carrie cała się spociła pod chirurgicznym fartuchem.

– Parametry?

– Ciśnienie tętnicze stabilne sto na siedemdziesiąt, rytm zatokowy miarowy, tętno dziewięćdziesiąt.

Co się, u licha, dzieje?

Zrobiła wszystko, co mogła, by zatamować krwawienie, ale sączenie nie ustawało. Zaczynała się denerwować.

Dlaczego krew Beth nie krzepnie?

Przedoperacyjne badania laboratoryjne wykazały prawidłową krzepliwość. Nie powinno być z tym problemu podczas zabiegu. *O co chodzi? Skąd to krwawienie?*

Od początku rezydentury Carrie uczono szybkiego podejmowania decyzji, ale teraz nic nie przychodziło jej do głowy.

Myśl, do diabła! Myśl!

Nagle, jak gdyby doktor Metcalf szeptał jej do ucha, coś zaczęło jej świtać. Przypomniała sobie przypadek, z którym zetknęła się podczas stażu. U siedemdziesięcioletniej kobiety, poddanej kraniotomii z powodu oponiaka anaplastycznego, w trakcie zabiegu gwałtownie spadło ciśnienie krwi, a jednocześnie na skórze pojawiły się wyraźne wybroczyny.

Organizm w zwykłych warunkach broni się przed utratą krwi, tworząc skrzepy, by zamknąć przerwane naczynia krwionośne, a po ustaniu krwawienia rozpuszcza je, umożliwiając prawidłowy przepływ krwi. Niektóre schorzenia powodują jednak nadmierną aktywację procesów krzepnięcia, co prowadzi do zużycia czynników krzepnięcia, a w konsekwencji do obfitych krwotoków, jak w wypadku tej siedemdziesięcioletniej kobiety. Carrie ponuro przypomniała sobie, czym się to skończyło.

Czy to właśnie DIC – zespół rozsianego wykrzepiania wewnątrznaczyniowego – był przyczyną krwawienia u Beth? Czynniki tkankowy pochodzący z guza mógł wyzwolić kaskadę białek i enzymów, które odpowiadają za krzepnięcie krwi. To rzadkie powikłanie oponiaków, ale zdarza się, zwłaszcza jeśli guz jest obficie unaczyniony, tak jak u Beth.

– Parametry? – zapytała znowu.

– Stabilne, Carrie.

U ofiar DIC zakrzepy śródnaczyniowe pojawiają się często w różnych częściach ciała. Gdy czynniki krzepnięcia zostaną w całości zużyte, pacjenci zaczynają krwawić na potęgę – ze skóry, przewodu pokarmowego, nerek, układu moczowego. DIC potrafi objawiać się nagle i z katastrofalnym skutkiem.

– Potrzebuję wyniki INR, APTT, morfologii z liczbą płytek krwi i stężenia D-dimerów – zadysponowała Carrie. – Proszę przetoczyć sól fizjologiczną. Rosemary, uzupełnij płyny.

W idealnym świecie Carrie natychmiast wezwałaby na konsultację hematologa, ale o tak późnej porze żadnego nie było już w szpitalu. Valerie wprowadziła zamówienie na wyniki badań laboratoryjnych do komputera na sali operacyjnej.

– Ciśnienie skurczowe sto – ostrzegła Rosemary.

Carrie wróciła do tamowania krwawienia z okolic guza. Poza tym mogła jedynie czekać. Nikt się nie odzywał. Poprosiła Valerie, by wyłączyła muzykę, i odtąd jedynymi dźwiękami w sali operacyjnej były odgłosy urządzeń pomiarowych i rytmiczny szum respiratora.

Piętnaście minut później nadeszły wyniki Beth. Carrie osuszała gąbkami sączącą się nieprzerwanie krew, kiedy Valerie odczytywała dane z komputera.

– INR i APTT znacznie podwyższone – poinformowała pielęgniarka. – Liczba

płytek krwi spadła do pięciu tysięcy. Hematokryt dwadzieścia dwa procent, około połowy normy. D-dimer dodatni.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, to jest DIC. Przed operacją ustalono grupę krwi Beth. Zamówiła świeżo mrożone osocze oraz koncentrat krwinek czerwonych.

– Carrie – odezwał się Salim, głosem nabrzmiałym troską – widzę wybroczyny na rękach Beth.

Carrie odłożyła gąbki, by przyjrzeć się kończynom pacjentki. Faktycznie, krew gromadziła się pod skórą, tworząc brzydkie wylewy podskórne upstrzone nierównymi wypukłościami, które wyglądały jak zwęglone ślady oparzeń. Przygryzła wargę, ocierając wierzchem dłoni krople potu z czoła.

Teoretycznie nie popełniła żadnego błędu. Nie mogła w żaden sposób przewidzieć tego rzadkiego powikłania śródoperacyjnego. Wszystkiemu winne były czynniki tkankowe uwolnione w trakcie zabiegu ze ścian naczyń krwionośnych, które uruchomiły kaskadę krzepnięcia. Organizm dysponuje precyzyjnymi mechanizmami tworzenia skrzepów i rozpuszczania ich dla utrzymania przepływu krwi. Jedno drobne zaburzenie może wystarczyć, by wtrącić cały ten sprawnie działający system w kompletny chaos. Obniżony hematokryt oznaczał, że u Beth wystąpiły także krwotoki wewnętrzne – w obrębie układu pokarmowego i moczowego, być może też w innych narządach. Oczywiście worek cewnika Foleya wypełnił się zabarwionym krwią moczem.

– Dajcie mi dwa litry zwykłego roztworu fizjologicznego.

W tym momencie osocze i koncentrat krwinek były gotowe do transfuzji.

– Ciśnienie spadło, dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt. Tętno sto dwadzieścia – oznajmiła Rosemary.

Carrie przyjęła te dane do wiadomości, ale zachowała spokój.

Nie pozwolę ci umrzeć.

Teraz, o pierwszej nad ranem, musiała podjąć jeszcze jedną decyzję. Czy powinna podać Beth również heparynę? Lek ten mógł drastycznie nasilić krwawienie, ponieważ działa przeciwzakrzepowo, z drugiej strony jednak Carrie pamiętała z praktyki na oddziale ratunkowym, że heparyna może pomóc, hamując proces tworzenia się skrzepin, który prowadzi do zużycia czynników krzepnięcia. W niektórych przypadkach DIC lek przeciwzakrzepowy może paradoksalnie wspomóc krzepnięcie krwi. Była to loteria. Konwencjonalne środki, jakie zastosowała u Beth, były właściwe, ale stan pacjentki znów zaczął się pogarszać, i to w szybkim tempie.

– Poproszę wlew heparyny, natychmiast.

Słowa wydobyły się z jej ust, zanim uświadomiła sobie, że je wypowiedziała. Choć cały zespół był w maskach, bez problemu dostrzegła zaskoczone miny na ich

twarzach. Saleem zawahał się, ale ostrym tonem powtórzyła polecenie i tym razem wykonał je bez zwłoki. Wszyscy jak jeden mąż wstrzymali oddech podczas wprowadzania leku do żyły. Carrie uważnie obserwowała ranę i nadal tamowała gąbkami napływającą krew. Odniosła wrażenie, że krwotok się zmniejsza.

Jeszcze nie wyszliśmy na prostą. Daleko do tego.

Jedynie, co Carrie i jej zespół mogli teraz zrobić, to powstrzymać krwawienie, uzupełniać płyny ustrojowe i modlić się, by decyzja o zaaplikowaniu heparyny okazała się słuszna.

O 4.00 stan Beth, jak się zdawało, ustabilizował się wreszcie. Ciśnienie krwi wzrosło do 110/65. Do tego czasu wszyscy w sali operacyjnej byli kompletnie wyczerpani, a najbardziej Carrie. To była jej pacjentka – jej podopieczna! Stopy Carrie obrzękły, a plecy zeszywniały od spędzonych na stojąco w napięciu ośmiu godzin.

Zleciła kolejne badanie laboratoryjne. Tym razem, choć stężenie D-dimerów było wciąż podwyższone, wyniki INR i APTT wyglądały zdecydowanie lepiej. Krwawienie też wydawało się już mniej obfite.

Valerie sprawiała wrażenie oszołomionej, podobnie jak Salim.

– Carrie, co, na Boga, natchnęło cię, żeby podać tej biedaczce heparynę? – zapytała.

Lekarka dyszała ciężko, jak gdyby dopiero co ukończyła triathlon sprinterski.

– Po prostu szczęśliwa myśl, jak sądzę.

O 5.45 Beth Stillwell opuściła blok operacyjny i została przekazana w ręce lekarzy i hematologów z oddziału intensywnej opieki medycznej. Objawy DIC wciąż się utrzymywały i ustabilizowanie jej stanu wymagało jeszcze mnóstwa starań, ale poważniejsze krwawienie zdawało się opanowane. Piętnaście minut później w damskiej przebieralni Valerie i Carrie zrzuciły z siebie zakrwawione chirurgiczne fartuchy.

– Ona wyjdzie z tego dzięki tobie, dzięki temu, co zrobiłaś tam, na sali – powiedziała pielęgniarka, ocierając łzy z oczu.

Carrie nigdy wcześniej nie widziała Valerie płaczącej i na ten widok ścisnęło ją w gardle.

– Ale jakie będzie teraz jej życie? – Westchnęła. – Straciła sporo krwi.

– Carrie Bryant, nie bądź dla siebie tak surowa. Żaden inny chirurg nie zaordynowałby heparyny i ta rozmowa wyglądałaby zupełnie inaczej.

– Być może.

– Nie drażnij się ze mną, doktor Bryant! – zaperzyła się Valerie. – Rozpoznałaś DIC błyskawicznie, i do tego trafnie. A podanie heparyny? Dziewczyno, moim skromnym zdaniem jesteś tu bohaterką. Najprawdziwszą na świecie. Chodź, niech

cię uściskam.

Valerie otworzyła ramiona i Carrie przypadła do jej piersi. Ledwo to zrobiła, z oczu trysnęły jej łzy i płynęły niepowstrzymanie. To była taka długa noc. *Obiecałam...*

Uwolniła się z objęć Valerie, ale nie mogła wyrzucić z myśli twarzy małych córeczek Beth. Potrzebowała chwili, by odzyskać panowanie nad sobą. Wreszcie sprawdziła godzinę na wyświetlaczu telefonu. Była 6.15. Za czterdzieści pięć minut miała być z powrotem na sali operacyjnej, by asystować doktorowi Metcalfowi przy usuwaniu gwiazdki.

– Muszę zawiadomić siostrę Beth – powiedziała z sercem ściśniętym smutkiem.

Rozmowa miała być krótsza, niż wypadło, ale Carrie zamierzała skontaktować się z Michelsonem i upewnić, że będzie dostępny na wypadek dalszych pytań. Potem wystarczy jej już czasu tylko na szybki prysznic i połknięcie kanapki z dżemem popitej czarną kawą pod salą operacyjną.

Zdawało się, że jest skazana na życie w pośpiechu.

Rozdział 3

Carrie zjawiała się w umywalni z piętnastominutowym spóźnieniem, spodziewając się, że zastanie doktora Stanleya Metcalfa już w fartuchu, patrzącego na nią gniewnym wzrokiem. Niepunktualność, zaraz po lekarskiej niekompetencji, była przedmiotem jego największej pogardy. Z zaskoczeniem i niemalą ulgą odkryła, że nie przyszedł jeszcze na operację Leona Dixona.

Poza upewnieniem się, że instrumentariuszka i pielęgniarka anestezyjologiczna są na swoich stanowiskach, gotowe do akcji, obowiązkiem Carrie było przygotowanie pacjenta do zabiegu, ułożenie go w odpowiedniej pozycji i okrycie serwetami. Jedyna część procedur przedoperacyjnych, której Carrie nie nadzorowała, należała do doktora Lucasa Fellowsa – anestezyjolog miał zadbać o znieczulenie i intubację pacjenta. Chirurdzy i anestezyjolodzy nie zawsze bawili się zgodnie w jednej piaskownicy – każdy z nich bronił zaciekle swego terytorium.

Kiedy jednak nadchodził czas na przyłożenie skalpela do skóry, dowodzenie przejmował doktor Metcalf. Jak większość chirurgów o jego reputacji miał wybujałe ego. Bywał nadęty, często arogancki, zawsze drobiazgowy i stawiał swym asystentom tak wielkie wymagania, że podwładni drżeli przed nim ze strachu.

Pomijając lęk, jaki wzbudzał, korzyści pracy z Metcalfem przewyższały wszelkie możliwe minusy. Jak nikt inny zapewniał on okazję do nauki i rozwoju i choćby tylko z tego powodu Carrie cieszyła się, że może wykonywać przy nim czarną robotę. Jednak zakosztowawszy już kiedyś jego gniewu, była wdzięczna losowi za kilka dodatkowych minut na doprowadzenie sali operacyjnej do porządku.

Mimo wszystko wskazany był pośpiech.

Kończyła myć ręce w przygnębieniu. Przekazywanie złych wieści było mniej przyjemną częścią jej pracy, ale ta świadomość ani trochę nie ułatwiała zadania. Siostra Beth, Amanda, słyszała, że operacja nie będzie trwała dłużej niż trzy godziny, wiedziała więc, że stało się coś niedobrego, zanim jeszcze lekarka przestąpiła próg poczekalni.

– Niestety mam złą wiadomość. – Carrie nauczono używać tej formułki, ale niewiele było słów znienawidzonych przez lekarzy bardziej niż te.

Niestety...

Valerie poszła razem z nią do sali konferencyjnej, dokąd zaprowadziła Amandę, by porozmawiać z nią na osobności. Pielęgniarka zaproponowała, żeby wyręczył ją w tym doktor Michelson, przecież czekała ją niedługo kolejna operacja, Carrie jednak uważała, że ceną za przywilej leczenia chorych jest towarzyszący temu obowiązek bycia posłańcem.

– Czy będzie żyła? – zapytała na koniec Amanda.

Była to kobieta o słodkiej twarzy, pięć lat młodsza od Beth, i na widok bólu w jej życzliwych oczach lekarka poczuła ucisk w gardle.

– Robimy wszystko, co możliwe, żeby tak było – odparła.

Amanda przygryzła dolną wargę, ale nie zdołała powstrzymać wzbierających pod powiekami łez. Carrie sięgnęła przez stół i uścisnęła drżącą dłoń młodej kobiety.

– Tak mi przykro, Amando. Robimy wszystko, co w naszej mocy. Proszę mi wierzyć. Jest mi niezmiernie przykro z powodu tego, co się stało.

Skinieniem głowy posłała Valerie po szklankę wody dla Amandy. Cierpliwie odpowiadała na jej liczne pytania, choć podejrzewała, że młoda kobieta niewiele z tego zapamięta. Mówiła szczerze, ale ze współczuciem, i obiecała, że kiedy tylko będzie mogła, skontaktuje się z zespołem hematologicznym, który przejął opiekę nad Beth.

Teraz, na bloku operacyjnym, przygotowując się do kolejnego zabiegu, Carrie starała się zapomnieć o łzach Amandy, trójce dzieci Beth i operacji z powikłaniami. Na sali operacyjnej czekał na nią człowiek z poważnym guzem mózgu, który zasługiwał na jej niepodzielną uwagę.

Dla Margaret, pielęgniarki operacyjnej, był to pierwszy dzień pracy w BCH, była więc onieśmielona i milcząca, gdy pomagała Carrie nałożyć fartuch i rękawiczki. I bardzo dobrze. Przytłoczona poczuciem winy i wyczerpana Carrie nie była w nastroju do kurtuazyjnych rozmów.

Zdezynfekowana i przebrana weszła do sali operacyjnej i skierowała się prosto do negatoskopu. Klisz tam nie było. Rozejrzawszy się dookoła, zobaczyła, że pracownia radiologiczna dostarczyła je, ale Margaret nie wyłożyła ich, prawdopodobnie dlatego że była nowa i zdenerwowana.

Choć zadanie to należało do pielęgniarki, łatwiej było Carrie zrobić to samej. Zrzędnąc pod nosem, wyjęła skany MRI z koperty.

Niech to szlag!

W chwili gdy jej okryta rękawiczką dłoń weszła w kontakt z kliszą, Carrie uświadomiła sobie swój błąd. Naruszyła aseptyczność przez dotknięcie niesterylnego przedmiotu odkażoną ręką. Będzie musiała jeszcze raz odbyć całą procedurę mycia i dezynfekcji. To oznaczało, że będzie kończyć przygotowania do

zabiegu w jeszcze większym pośpiechu. Doktor Metcalf mógł zjawić się w każdej chwili i jeśli nie zostanie wszystkiego w idealnym porządku, gotowego do trepanacji, rozpęta się piekło.

Na razie wróciła do klisz Leona.

Poprzednio oglądała je tylko pobieżnie, pamiętała jednak, że Leon miał zaburzenia zachowania i osobowości, afazję, niedowład kończyn oraz zaburzenia pamięci.

Rzuciła kliszę na negatoskop. Było to zdjęcie, które widziała wcześniej tylko raz, krótko, w gabinecie doktora Nugenta. Wydawało się to wieki temu. Sądząc z wyglądu, guz był prawdopodobnie gwiaździakiem, najczęściej występującym typem nowotworu mózgu, ale musiało to potwierdzić badanie histopatologiczne. W stopniu, w jakim Carrie mogła to ocenić, guz nie wyglądał jak ognisko przerzutowe innego nowotworu. Dobra wiadomość dla Leona. Zmiana nie przypominała też ropnia, który dałoby się wyleczyć przy zastosowaniu operacji i antybiotykoterapii. Doktor Nugent stwierdził coś podobnego podczas swej krótkiej konsultacji.

Tak czy owak, nie było sensu bawić się w zgadywanie. Pobiorą fragmenty tkanki do badania histopatologicznego i na podstawie wyników tego badania podejmą odpowiednie kroki.

Carrie widziała, że masa jest zlokalizowana głęboko w płacie skroniowym. Wyglądała groźnie, ze sporym obrzękiem. Leon będzie najprawdopodobniej potrzebował kolejnej operacji w celu częściowego usunięcia guza, a następnie radio- i chemoterapii. Mógł w ten sposób zyskać kilka dodatkowych lat dobrej jakości życia, zanim guz wróci i zabierze wszystko.

Oczy piekły Carrie z braku snu. Dobrze chociaż, że ten przypadek nie będzie trudny dla doktora Metcalfa, który przypuszczalnie wykonał już tysiące takich zabiegów. Powinna być w domu gdzieś koło południa i parę minut później będzie smacznie spała. Jeśli Metcalf w ogóle dotrze na salę operacyjną. Carrie nigdy wcześniej nie spotkała się z sytuacją, w której byłby aż tak spóźniony, i zastanawiała się, czy doktor nie ma błędnej daty w swoim grafiku. W takim administracyjnym kolosie jak BCH zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

Wróciwszy do umywalni, powtórzyła pełną procedurę chirurgicznego mycia rąk, po czym z pomocą Margaret ponownie ubrała się w fartuch i rękawiczki. Stracone cenne minuty.

Instrumentariusz, Sam Talbot, zatroszczył się o to, by sala operacyjna była czysta i gotowa do zabiegu. Przygotował instrumenty i sprzęt, a gdy Carrie wróciła do sali, kontrolował dla pewności swoje dzieło. Carrie cieszyła się z jego fachowej postawy, bo dzięki temu mogła skupić całą uwagę na pacjencie.

Leon leżał na stole operacyjnym, już znieczulony i zaintubowany. Doktor Lucas Fellows monitorował czynności życiowe i kontrolował dawki leków utrzymujących go w stanie błogiej nieświadomości.

Z pomocą Margaret Carrie uniosła głowę Leona i obróciła go na lewy bok. Zdezynfekowała ogoloną czaszkę betadyną, która zabarwiła jego ciemną skórę na pomarańczowo. Kończyła właśnie, kiedy drzwi sali otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł energicznym krokiem doktor Metcalf, przebrany już w strój chirurgiczny. Zaskoczona Margaret skuliła się lekko w jego obecności. Metcalf, o posturze niedźwiedzia, z bujną brodą, szerokimi barami i kłatą jak beczka, prezentował się imponująco w sali operacyjnej – jak zresztą wszędzie. Wyciągnął ręce, by Margaret nałożyła mu fartuch i rękawiczki.

– Przepraszam za spóźnienie – rzekł na powitanie głębokim, dźwięcznym barytonem. – Na I-95 była wywrotka i korek ciągnął się kilometrami. Już myślałem, że trzeba będzie przełożyć zabieg, ale jeden z gliniarzy był tak uprzejmy, że eskortował mnie na pasie awaryjnym. Nie zliczyłbym wściekłych spojrzeń, jakie mi rzucono.

Parsknął cichym śmiechem i Carrie poczuła się swobodniej. Najwyraźniej zdążył już przyjrzeć się ciężkiej pracy, jaką włożono w przygotowania do zabiegu, i oględziny te wypadły pomyślnie. Podszedł do Leona i spojrzał spoza maski na Carrie, stojącą po drugiej stronie stołu operacyjnego. Zmrużył brązowe oczy.

– O rany, wyglądasz okropnie – stwierdził. – Dobrze się czujesz?

Carrie skinęła głową.

– Miałam w nocy trudną operację – odparła. – Nic mi nie jest.

Uporczywy pulsujący ból w skroniach przeczył jej słowom, ale знаła swoje możliwości. Zdoła się zająć jeszcze jednym pacjentem.

To tylko kilka godzin... dasz radę.

Metcalf rozejrzał się po sali operacyjnej, po czym znów parsknął śmiechem.

– Na chwilę zapomniałem, że nie jestem w White Memorial. Szukałem NeuroStation.

Carrie uśmiechnęła się pod maską. NeuroStation był najnowocześniejszym urządzeniem do lokalizowania guzów mózgu przy użyciu bezramowego systemu neuronawigacji, które nie tylko dawało chirurgom nieosiągalny dotąd wgląd w pole operacyjne, ale także rzutowało położenie narzędzi na zdjęcia z przedoperacyjnych badań obrazowych. Kosztowało dobrze ponad milion dolarów, jeśli uwzględnić całe wyposażenie dodatkowe. Kolesie z White Memorial mogli sobie pozwolić na takie luksusy, ale BCH nie miało dość funduszy na tak drogie zabawki.

– Bez obawy – uspokoił ją Metcalf. – Pamiętam czasy, kiedy wykonywaliśmy te operacje bez wiertarki Midas Rex. Do diabła, wiertarki i frezy, jakich używaliśmy,

kiedy ja byłem rezydentem, wyglądały jak złom, który można kupić w Searsie.
Wszyscy roześmiali się uprzejmie.
– No dobrze, doktor Bryant – powiedział. – Uwiniemy się z tym raz-dwa.

Rozdział 4

Doktor Metcalf wykonał półkoliste cięcie do kraniotomii skroniowo-ciemieniowej. Był tak wprawny, miał tak wiele lat praktyki, że prawdopodobnie dałby sobie z tym radę z zawiązanymi oczami. W jego zręczności nie było nic niezwykłego poza tym, że Carrie nie mogła przypomnieć sobie, żeby to robił. Musiał to robić, co do tego nie było wątpliwości. Płat skóry był już odwinięty i Metcalf zabezpieczał właśnie brzegi rany klipsami Raney, ale z jakiegoś powodu Carrie zupełnie nie pamiętała samego momentu cięcia. Przypominało to hipnozę autostradową, tyle że na sali operacyjnej.

Całe ciało piekło ją z wyczerpania, ale to nie tłumaczyło jej braku koncentracji. Często spędzała w szpitalu długie godziny bez uszczerbku dla jakości swej pracy. Z drugiej strony, nigdy wcześniej nie przeprowadzała samodzielnie operacji, w trakcie której pojawił się poważny problem.

Zacisnęła zęby pod maską, by odeprzeć napływające wspomnienia – uparcie sącząca się krew, wybroczyny i wylewy podskórne. Operacja Beth od paru godzin należała już do przeszłości. Nie miała prawa wpływać na jej obecne funkcjonowanie. Samopoczucie Carrie nie poprawiało i to, że ze zmęczenia łupało ją w krzyżu. Mięśnie łydek miała napięte jak cięciwy łuku i co chwilę musiała walczyć z odruchem potarcia zapuchniętych oczu.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła zbliżyć się do poziomu wewnętrznej dyscypliny i skupienia doktora Metcalfa. Jak to możliwe, że ten człowiek nigdy nie zdradzał oznak znużenia, bez względu na to, jak trudna była operacja? Jedno wiedziała na pewno: aby osiągnąć wszystkie swe zawodowe cele, będzie musiała jak on opanować do mistrzostwa tę sztukę.

– Mogę prosić o gąbki homeostatyczne? – odezwał się Metcalf.

Polecenie wyrwało Carrie z otępienia. Zabrała się do pracy przy rejonie cięcia, tamując krwawienie tamponem z Avitene i gąbkami.

– Wiertło.

Sam Talbot włożył w nadstawioną dłoń Metcalfa stalową końcówkę pneumatycznej wiertarki Midas Rex. To specjalistyczne narzędzie wyłączało się automatycznie natychmiast po przewierceniu czaszki, chroniąc mózg przed uszkodzeniem. Z godnym zazdrości opanowaniem i precyzją, pogwizdując cicho jakąś nieokreśloną melodię, doktor Metcalf wykonał otwory trepanacyjne, każdy

idealnie umiejscowiony, jeden za przednim końcem kresy skroniowej górnej, pozostałe w tylnej części kości skroniowej.

– Parametry życiowe? – zapytał.

Anestezjolog przebiegł wzrokiem monitory.

– Wszystkie w normie – odparł.

Metcalf wymienił wiertło na kraniotom ze stopką ochronną i zaczynając od otworu skroniowego, poprowadził go po linii krzywej, dopóki całkowicie nie oddzielił fragmentu kości. Carrie pomagała mu, tamując irytujące krwawienia z drobnych naczyń, które pojawiały się od czasu do czasu. Wszystko zdawało się przebiegać zgodnie z planem. Ponieważ guz Leona nie wyrastał z opon mózgowych, ale tkwił głęboko w mózgu, konieczne było rozcięcie opony twardej, co doktor Metcalf wykonał z największą ostrożnością.

Wreszcie przyszła pora na zlokalizowanie faktycznego źródła kłopotów Leona. Z braku NeuroStation Metcalf spojrział na kliszę z badania MRI na negatoskopie, by się zorientować, gdzie wprowadzić sondy igłowe. Igły nie były tak naprawdę konieczne i Carrie wiedziała, że Metcalf używa ich w celach edukacyjnych.

Wiele razy wykonywała tę procedurę sama, jednak zawsze pod czujnym nadzorem. Ponieważ Metcalf nie mógł widzieć guza, posługiwał się sondą, by wyczuć subtelne różnice struktury wskazujące, że dotyka patologicznie zmienionej tkanki. Pomagał sobie przy tym, zerkając od czasu do czasu na obraz MRI. Carrie pamiętała z oględzin kliszy, że guz znajduje się mniej więcej trzy i pół centymetra pod powierzchnią płata czołowego, a Metcalf zagłębiał igłę dokładnie w to miejsce.

Carrie śledziła wzrokiem każdy jego ruch, podziwiając jego pewną rękę, spokojne skupienie, gdy przed oczyma znów stanęła jej Beth. Widok osoby niewiele starszej od niej w tak ciężkim stanie brutalnie uzmysłowił jej, jaką jest szczęściarą. Aż wstyd, że trzeba było incydentu na sali operacyjnej, by doceniła pozytywne aspekty swego życia: karierę medyczną, mentorów takich jak doktor Metcalf, swoją rodzinę – i nawet Iana za to, że zerwał z nią i dał jej sposobność dowiedzenia się czegoś więcej o sobie samej.

Metcalf zagłębił sondę jeszcze odrobinę, po czym znieruchomiał. Po chwili spojrział na Carrie dziwnym wzrokiem – nie karcąco, ale jak gdyby z konsternacją. Pomanewrował jeszcze trochę igłą, tym razem nie zerkając już na Carrie. Krwawienie było typowe dla takiego zabiegu. Nie było też nic niepokojącego w czynnościach życiowych pacjenta.

Musiało chodzić o jakiś drobiazg, gdyż Metcalf wyciągnął sondy i zaczął przygotowywać do pracy koagulator bipolarny oraz ssak. Nadszedł czas, by usunąć guz Leona, przynajmniej na ile się da.

Operator wyregulował częstotliwość koagulatora, wyposażonego w dwie

elektrody instrumentu służącego do przyżegania i cięcia tkanek. Miękką tkankę mózgu wymagała prądu o niższej częstotliwości niż te o bardziej włóknistym charakterze. Jednorazowa pęseta z dwiema małymi elektrodami powodowała znikome uszkodzenia tkanki, niewymagające zakładania szwów, i skutecznie zapobiegała krwotokom.

Doktor Metcalf ostrożnie wprowadził koagulator przez zakręt skroniowy dolny, posługując się aspiratorem chirurgicznym, potocznie zwanym ssakiem, do odsysania krwi i płynów ustrojowych z możliwie najmniejszą szkodą dla zdrowej tkanki mózgowej.

Powinien łała moment być przy guzie, pomyślała Carrie.

Odgłosy maszynerii dudniły jej w uszach, kiedy czekała w napięciu na tę chwilę. Metcalf przeniósł wzrok z pacjenta na kliszę. Przez jego twarz przemknął cień, a jego zmarszczone brwi przeraziły ją. Skupiony ponownie na polu operacyjnym zagłębił koagulator jeszcze centymetr dalej, po czym się zatrzymał. Carrie próbowała odczytać jego minę. Był wyraźnie zaniepokojony. Czyżby kolejne powikłanie? Na Boga, nie miała dość siły, by stawić czoło jeszcze jednej chirurgicznej katastrofie.

Metcalf wyłączył elektrokoagulację. Nagła cisza wypełniła pomieszczenie.

Chirurg uniósł wzrok, a jego oczy zwęziły się w sposób, który sprawił, że Carrie skuliła się w duchu.

– Carrie, nie wyczuwam tu żadnej nieprawidłowej tkanki, a jestem w miejscu guza.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

Nie... nie... wszystko w porządku... nie pora na panikę... jeszcze nie...

– Przyjrzyjmy się dokładniej zdjęciu – powiedział Metcalf.

Carrie podeszła razem z nim do negatoskopu i zobaczyła z bliska to, co wcześniej oglądała z daleka. Masa była wyraźnie widoczna w środkowej części prawego płata skroniowego. Nie ulegało wątpliwości, że Metcalf widzi to samo.

– O co tu chodzi? – mruknął, kierując to pytanie głównie do siebie. – Jezu, a może to nie ten pacjent?

Oboje jednocześnie spojrzeli na nazwisko na kliszy. Gdy tylko Carrie spostrzegła litery, wzdrygnęła się z przerażenia, które zaparło jej dech. Nazwisko było właściwe, ale w lustrzanym odbiciu!

O Boże. O mój Boże, nie. Proszę, nie!

Metcalf, z ponurą miną, opuścił bezwładnie ręce, z niedowierzaniem wpatrując się w napis.

– Carrie, widzisz to? Klisza jest założona na odwrot.

Carrie zachwiała się na nogach, gdy sala zawirowała wokół niej. Pomyliła

strony kliszy. Kierując się odwróconym obrazem, ułożyła pacjenta do zabiegu na niewłaściwym boku.

Wróciła myślami do krótkiego spotkania z Leonem i prawda uderzyła ją jak grom. Nie tylko opadający kącik ust, ale także zwiększone odruchy w prawej ręce i nodze wskazywały na uszkodzenie lewej półkuli. Najbardziej znamieną jednak była jego mowa. Miał problem z wypowiedzeniem prostych słów i nie mógł wykonać jednego z jej poleceń; to były objawy uszkodzenia lewej półkuli. Gdyby o tym pamiętała, dostrzegłaby swój błąd i założyłaby kliszę jak należy.

To niemożliwe... To się nie dzieje naprawdę...

Szok malujący się w oczach Metcalfa rozdarł jej serce.

Leon, któremu guz uszkodził już lewy płat czołowy, teraz dorobił się uszkodzenia również po prawej stronie mózgu, gdzie chirurg wprowadził sondę i usunął zupełnie zdrową tkankę mózgową. A wszystko to z jej winy.

Metcalf spojrział wściekłym wzrokiem na nową pielęgniarkę, Margaret.

– Co tu się stało? Co się, do diabła, stało? Nie umie pani czytać?

Jego nabrzmiały gniewem głos sprawił, że kobieta czmychnęła do kąta.

Fellows i Talbot patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Carrie próbowała zaczerpnąć oddech, ale nie mogła wciągnąć powietrza do płuc. Czowała, że twarz płonie jej ogniem, a chwilę później całe ciało zlało się potem, gdy od stóp do głów przebiegła ją fala mdłości. Otworzyła usta, żeby się odezwać, ale początkowo nie wydobył się z nich żaden dźwięk. W końcu zebrała się na odwagę.

– To ja założyłam kliszę na negatoskop, nie Margaret – powiedziała. – To był mój błąd.

Po tych słowach spuściła głowę i ruszyła wolno w stronę drzwi.

Rozdział 5

Kiedy Steve Abington wreszcie się zdecydował, kwietniowe słońce stało już wysoko na niebie. Steve nienawidził Filadelfii, odkąd przybył tutaj niemal rok temu. Tak naprawdę nie była wcale gorsza niż Bridgeport albo Manhattan, albo East Brunswick czy którekolwiek z innych miast, w których mieszkał. Być może wkurzały go po prostu tutejsze schroniska dla bezdomnych, a może samo życie.

Tak czy owak, filadelfijskie schroniska to był syf. Steve nienawidził kiszzenia się w dusznej sali z setką innych wykołajeńców. Stęchłego odoru dymu papierosowego wydobywającego się ze złachanych, brudnych ubrań. Rzędów metalowych łóżek jak na okręcie podwodnym, z cienkimi materacami, które często były siedliskiem robactwa, a czasem nawet myszy. Zardzewiałe sitka prysznicowe na pokrytych pleśnią kafelkowych ścianach budziły w nim wstręt.

To panujący tam chaos, nieustanny gwar drażnił uszy Steve'a, nie pozwalając mu się odprężyć, choćby na moment. Pewnie, schronisko to nie Holiday Inn, ale umieszczona za taflami zbrojonego szkła recepcja upodabniała je do prowincjonalnego więzienia z osobnymi strefami dla aresztowanych i skazanych. Najgorsi byli pijacy. Hałaśliwi, bojowi i wiecznie robiący sobie krzywdę, albo potykając się o byle co, albo spadając z łóżka i rozbijając sobie głowy o betonową podłogę. Dawano tam przynajmniej jeść – śniadania i obiady. Ale serwowane niemal dzień w dzień kanapki z tuńczykiem potrafiły odebrać człowiekowi chęć do jedzenia.

Steve wolał ulice.

Przynajmniej dopóki go nie obrabowano.

Napadli go w środku nocy, czterech nastolatków, kiedy spał u wylotu ciepłego powietrza, owinięty w wyświechtany niebieski koc, który wygrzebał ze śmietnika. Mieli rury, stalowe pręty i pałkę. Nieźle zdemolowali mu facjatę i przetręcili nogę, ale były to ciosy, które miały zastraszyć, nie zabić. Zabrali mu oszczędności całego życia – kilkaset dolarów uskładanych z drobniazków, które wrzucano mu do puszek, i paru pomiętych banknotów. Następnego ranka siniak na policzku wciąż piekł, noga była sztywna i obolała, a wzrok w oku, które jeden z nich zaprawił mu zdrowo prawym sierpowym, był zamglony. Mogło być gorzej; zaskoczył ich tym, że się bronili. Pewne umiejętności zostają wpojone tak głęboko, że stają się odruchem.

Aż dziwne, że jeszcze kilka lat wcześniej Steve nosił szpanerski mundur z rzędami baretek. Miał cel w życiu. Teraz miał ulice i niemal nic więcej. Dobrze chociaż, że te małe gnojki nie zabrały jego SIG-sauera, trofeum, które przemycił z Afganistanu i które spoczywało ukryte na dnie zatłuszczonego plecaka.

Ten gnat miał dla niego ogromną wartość. Był jak wehikuł czasu. Kiedy ujmował w dłoń chłodną stalową rękojeść, przenosił się z powrotem do swojej KJM – Kontenerowej Jednostki Mieszkalnej – w Wysuniętej Bazie Operacyjnej Orzeł. Pod wieloma względami KJM była kopia filadelfijskiej noclegowni. Załoczona, hałaśliwa dziura cuchnęła potem jak sala sportowa, ale była domem, wtedy gdy on był sierżantem Abingtonem. Czuł się dobrze wewnątrz tego chaotycznego łona, wśród przyjaciół, towarzyszy broni, żołnierzy, za których oddałby życie. Tam, na froncie, zależeli od siebie nawzajem. Było to proste, czyste i na swój sposób piękne. Kiedy wrócił do kraju, świat stracił sens.

Ale teraz podjął decyzję. Miał nowy plan, drobny przebłysk natchnienia. Dość miał już ulic, schronisk, zimna i bicia. Kiedyś był kimś – sierżantem w Siłach Lądowych Stanów Zjednoczonych, mężem Janine, ojcem Olivii. Teraz to były widma. Nie winił Janine za to, że wykreśliła go ze swego życia. Zmusił ją do tego. Obawiała się o bezpieczeństwo ich córki. Groził im, bywał czasem brutalny, rzadko trzeźwy, a ludzka wytrzymałość ma swoje granice. Nie, winił o to ranę w swojej duszy. Nie przelał w walce ani kropli krwi, a mimo to był złamany. Okaleczony. Nawiedzony.

Jedyne, o czym potrafił myśleć, to przetrwanie, a jego potrzeby były bezpośrednie i proste: Jedzenie. Schronienie. Pieniądze. Miał plan, jak zdobyć to wszystko.

Rozdział 6

Sala konferencyjna Boston Community Hospital była niemal pełna. O 7.45 wszyscy poza Knoxem Singerem, siwowłosym dyrektorem BCH, byli już na miejscu. Carrie siedziała wciśnięta między Julie Stafford, pielęgniarkę oddziałową z 4C, oddziału neurochirurgii, gdzie Leon Dixon leżał przed operacją, a Emily Forrester, radczynię prawną White Memorial Hospital. W ramach swej oficjalnej rezydentury w White Memorial Carrie przeszła przez rozmaite szpitale filialne, w tym BCH. Jej błąd lekarski wciągnął w to prawne bagno zespoły neurochirurgiczne obydwu placówek.

Naprzeciw niej siedzieli doktor Stanley Metcalf i Brandon Olyfson, dyrektor White Memorial. Olyfson był chudy jak patyk, o pociągłej twarzy i sokolich oczach, pod których spojrzeniem Carrie kulila się w sobie. Podano oczywiście kawę, nie było jednak – zapewne przez wzgląd na powagę sytuacji – tradycyjnych ciastek i pączków. Nikt nie rozmawiał; ciszę zakłócały jedynie sporadyczne, posępne siorbnięcia kawy.

Olyfson i Metcalf wymienili szeptem parę słów. Carrie była głęboko zaniepokojona napięciem na ich twarzach. Swoim czynem nie tylko wyrządziła krzywdę pacjentowi, ale naraziła też na szwank wiarygodność szpitala, w którym pracowała, oraz człowieka, którego kunszt i pewność siebie tak usilnie starała się naśladować. Jej wina była ogromna. Niewyobrażalna. Wkrótce usłyszy, jak zwierzchnicy BCH i White Memorial roztrzásają ją ze wszystkimi groteskowymi szczegółami.

Jeszcze kilka godzin temu Carrie miała na sobie ten sam strój chirurgiczny, który nosiła podczas operacji Leona Dixona. Teraz była ubrana w swój najbardziej profesjonalnie wyglądający zestaw: ciemny żakiet, spodnie i niebieską bluzkę. Wróciwszy do pustego mieszkania na Brooklynie, nakarmiła Limbika – złotą rybkę nazwaną tak od układu limbicznego, prymitywnego ośrodka pamięciowego w mózgu, po czym padła na futon i przespała niespokojnie parę godzin. Obudziła się pełna złości do siebie i niedowierzania, a ból przeszywający jej serce potwierdził, że to zdarzyło się naprawdę.

Zrobiła, co się dało, żeby wziąć się w garść. Przyjrząwszy się w lustrze w łazience widmowej istocie, jaką się stała – twarz miała trupio bladą, z ciemnymi kręgami pod oczyma, a zmierzwiona czupryna sterczała na wszystkie strony –

zebrała włosy w koński ogon i uznała, że przynajmniej będzie widać, że cierpi.

Dwie minuty po ósmej drzwi sali konferencyjnej otworzyły się gwałtownie. Do środka wkroczył Knox Singer w towarzystwie Carli Mason, szefowej działu prawnego BCH. Singer był typowym samcem alfa, wysokim i barczystym, ze starannie ufryzowaną grzywą siwych włosów, smagłą cerą i urodą gościa zarabiającego na życie występami w reklamach Cialisu. Mason była w porównaniu z nim mikruską, ale równo obcięta grzywka, plecy proste jak kij i świetnie skrojony kostium dodawały jej parę cali wzrostu.

Emily Forrester chwyciła krzesło spod ściany i przysunęła je dla Mason, podczas gdy Singer zajął miejsce u szczytu stołu konferencyjnego.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział dudniącym, niskim głosem. Jego ton wskazywał, że uważa to za najgorszy możliwy sposób rozpoczęcia dnia. – Chciałbym powiedzieć na początek, że to zebranie jest uprzywilejowane. Żadnego protokołu. Reputacja Community jest ważniejsza niż rażące zaniedbanie ze strony któregośkolwiek członka jego personelu. A teraz powiedz mi, Stan, co tam się wydarzyło.

Mason udało się ściągnąć na siebie jego wzrok. Rzuciła mu spojrzenie, które zrozumiał.

– Zaczekaj – powiedział, uprzedzając odpowiedź Metcalfa. – Chcesz adwokata, Stan? Możesz go mieć. Tylko daj znać.

Metcalf siedział z kamienną twarzą i nie odezwał się słowem. Nie było potrzeby. Wszyscy wiedzieli, co to oznacza: nie było obrony. Jako lekarz prowadzący, doktor Metcalf był odpowiedzialny za wszystko, co działo się w sali operacyjnej, włącznie z niedbalstwem swej głównej asystentki.

Carrie, siedząca sztywno na krześle, miała wrażenie, że klatkę piersiową ścisną jej ciasna taśma. Gardło miała wyschnięte jak Sahara, ale nie była w stanie upić choćby łyka ze stojącej przed nią szklanki wody z lodem. Dyrektor zwracał się do Metcalfa, ale to zebranie dotyczyło jej. Utkwiła wzrok w swoich dłoniach, które trzymała splecione na kolanach. Nie mogła się rozkleić.

– Rozumiem – powiedział Singer. – Więc pytam jeszcze raz i przepraszam za wyrażenie, ale co się tam, do kurwy nędzy, stało?

Carrie podniosła głowę i jakimś cudem znalazła odwagę, by spojrzeć mu w oczy.

– To był mój błąd – powiedziała. Jej głos był cichy jak szept, musiała więc powtórzyć to jeszcze raz. Głośniej. – To moja wina. – Zaciśnęła wargi, żeby powstrzymać szloch. Z oczu pociekły jej łzy.

Julie Stafford, wiedzona pielęgniarским instynktem, kojącym gestem objęła jej wstrząsane spazmami ramiona. Delikatnie przysunęła jej szklankę wody,

zachęcając ją, by wypła. Carrie nie mogła; mdliło ją z rozpaczy.

Knox przyjrzał się jej z uwagą. Na jego twarzy malowało się współczucie, podobnie jak u mniej więcej połowy obecnych, z rzucającym się w oczy wyjątkiem doktora Metcalfa.

– Jak to się stało, doktor Bryant? – zapytał łagodniejszym tonem.

Carrie wolno pokręciła głową, wciąż nie mogąc wyjść z szoku. Kiedy zdarzało jej się zerkać w czasie jazdy samochodem na telefon komórkowy, aby oduczyć się tego nawyku, próbowała wyobrazić sobie, jakie to uczucie być sprawcą śmiertelnego wypadku drogowego. Ale teraz wiedziała już. Wiedziała dokładnie, co się wtedy czuje. Było to przyprawiające o mdłości, potworne uczucie, jakiego nie życzyłaby nikomu.

– Położyłam kliszę do góry nogami – odparła łamiącym się głosem. – Powinnam była się zorientować... wiem o tym... pan Dixon miał afazję, prawa strona jego ciała była słabsza, miał odruch Babińskiego po prawej stronie. Wszystko to powinno uzmysłować mi, że problem tkwi w lewej półkuli, ale jakoś wyszło mi to z głowy. Myślę, że byłam zmęczona po poprzednim zabiegu, ale wiem, że to nie jest żadne usprawiedliwienie. Bardzo przepraszam wszystkich zainteresowanych.

Odważyła się przeciągnąć wzrokiem po twarzach obecnych, rozpaczliwie chcąc przekonać ich o swej szczerości. Metcalf ze skupieniem wpatrywał się w swój notes, jak gdyby unikanie jej spojrzenia pozwalało mu w jakiś sposób odciąć się od niej i od jej błędu.

– Czy widziałas wcześniej tę kliszę? – zapytał Sam Stern, sześćdziesięcioletni szef oddziału neurochirurgii w BCH. Było oczywiste, że próbuje zrzucić winę na inny dział, a radiolodzy byli celem równie dobrym jak każdy inny.

Carrie przełknęła ślinę.

– Oglądałam skany z doktorem Nugentem dzień przed operacją – odparła. – Widziałam klisze, Sam. Nie mam żadnej wymówki.

Po tych słowach zapadła cisza, która trwała kilka sekund, dopóki nie przerwał jej Singer.

– Julie, jaki jest stan pana Dixona? – zapytał.

Julie Stafford kierowała zespołem pielęgniarek na oddziale neurochirurgii od piętnastu lat, a wcześniej pracowała w BCH drugie tyle jako zwykła pielęgniarka. To w zasadzie ona rządziła tym miejscem. Opowiadano dowcipy o jej nadprzyrodzonej wiedzy o wszystkim, co działo się na jej oddziale, nawet zanim jeszcze się to wydarzyło. Było powszechnie znanym faktem, że siostra Stafford jest w stanie paroma celnymi słowami wspomóc lub zniszczyć karierę każdego rezydenta odbywającego turę w 4C. Dla Carrie jednak zawsze była

uprzejma; łączyła je ta sama etyka zawodowa i oddanie pracy.

– Stan pacjenta jest stabilny, ale nie mówi i nie reaguje na żadne polecenia – referowała Julie. – W tej chwili są przy nim jego żona i brat. Wiedzą, co się stało. Swoją drogą doktor Metcalf do niego nie zajrzał.

Chirurg spiorunował ją wzrokiem.

Carla Mason, która w milczeniu robiła notatki, spojrzała sponad okularów.

– Powiedziałam mu, żeby tego nie robił – wyjaśniła.

– Chciałabym, jeśli można, dodać parę słów – poprosiła Julie.

Knox skinął głową na znak zgody i pielęgniarka zaczęła mówić.

– Pracowałam z Carrie Bryant od początku jej rezydentury, kiedy jej obowiązki sprowadzały się do wypełniania najbardziej niewdzięcznych zadań przez cały boży dzień. Carrie, jak nikt inny, poświęcała dodatkowy czas na to, by poznać swoich pacjentów i ich rodziny. Z tego, co wiem, była na nogach przez całą noc, operując skomplikowany przypadek. Rozmawiałam osobiście z siostrą Beth Stillwell, Amandą, która chwaliła życzliwość i współczucie Carrie. Widziałam na własne oczy, jak doktor Metcalf pastwi się nad rezydentami za opóźnienia, które burzyły mu grafik, więc mogę przysiąc, że przyczyniło się to w pewnej mierze do pośpiechu, z jakim Carrie szykowała salę operacyjną. Carrie popełniła straszliwy błąd. To fakt, któremu nie można zaprzeczyć, ale wina nie leży wyłącznie po jej stronie.

Metcalf miał w oczach mordercze błyski.

– Nie dam się zastraszyć żadnemu lekarzowi, bez względu na jego pozycję – ciągnęła Julie. – Mam dość etatowych lekarzy traktujących szpital jak swój prywatny folwark, ilekroć jakiś kolega po fachu potrzebuje przysługi. Naprawdę doceniam nasze bliskie powiązania z White Memorial i tamtejszymi znakomitymi lekarzami, którzy w przeciwnym razie nie mogliby zajmować się gorzej sytuowanymi mieszkańcami naszego miasta. Ale być może gdyby doktor Metcalf raczył pofatygować się do 4C, by zobaczyć swojego pacjenta przed operacją, albo choćby spojrzeć wcześniej na klisze z MRI, nie doszłoby do tego, co się stało.

Zapadło ciężkie milczenie. Carrie poczuła się nieco zrehabilitowana. Potrzebne były lepsze procedury kontrolne i wierzyła, że skutkiem jej błędu będzie zmiana metod działania.

– Proszę państwa, tak naprawdę nie ma tu żadnego problemu – wtrąciła Carla Mason.

Jako radca prawny BCH Carla była bezpośrednio odpowiedzialna za tego rodzaju sprawy o błąd w sztuce. Niestety wydawało się, że zdarzają się one coraz częściej. Większość tych pozwów była bezpodstawna, ale szpital wciąż tracił miliony na honoraria dla adwokatów, nie mówiąc już o niezliczonych godzinach

zeczności przed sądem, ustalania faktów i kopiowania dokumentów. Wpływ tego wszystkiego na wydajność pracy stał się po prostu jednym z kosztów działalności. Dla wszystkich zaangażowanych ceną przeciągającego się procesu było coś więcej niż tylko pieniądze; były to wieloletnie prawnicze batalie w kategoriach czasu, reputacji i stanu psychicznego. Carla starała się w miarę możliwości, nawet w wypadku najbardziej bezpodstawnych roszczeń, załatwić rzecz poza salą sądową, a Knox Singer w pełni aprobował tę strategię.

– Rodzina złoży pozew, a szpital wypłaci odszkodowanie – powiedziała Carla. –

I im szybciej to nastąpi, tym lepiej. Ostatnią rzeczą, jakiej BCH i Chambers University potrzebują, jest, żeby coś takiego przedostało się do mediów i do publicznej wiadomości.

– Carla i ja umówiliśmy się z Dixonami na jedenastą – odezwała się Emily Forrester, prawniczka z White Memorial. – Poradzimy im, żeby niezwłocznie poszukali adwokata. Knox, rozumiem, że nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy poinformowały rodzinę, że szpital i uniwersytet zaoferują pokaźne odszkodowanie i zapewnią Dixonom teraz i na przyszłość wszelką opiekę medyczną, jakiej mogą potrzebować. Omówiłam to już z Brandonem i on się zgadza.

Brandon Olyfson potwierdził skinieniem głowy. Jako dyrektor White Memorial Hospital chciał zakończyć to zebranie, i to jak najszybciej. Uważał BCH za zwykłe szambo. Trzy czwarte pacjentów stanowili pijacy lub narkomani. Żaden nie miał ubezpieczenia. Guzik go obchodził Leon Dixon, domyślała się Carrie. Ważne było dla niego jedynie to, że doktor Metcalf, w którym widział przyszłego szefa oddziału neurochirurgii, był teraz potencjalną plamą na reputacji White Memorial Hospital.

– A skoro mowa o Dixonie: on prawdopodobnie miałby problemy bez względu na przebieg operacji, czyż nie? – zapytał Olyfson.

– Brandon, pan Dixon ma guz w lewym płacie czołowym, najprawdopodobniej gwiazdziaka – odrzekł z oburzeniem Metcalf. – Ale, rzecz jasna, w tej chwili nie wiemy tego na pewno. Jego guz może być agresywny, a jeśli tak, prognozy nie byłyby zbyt dobre. Może kilka lat przy radio- i chemoterapii. Jednak niewykluczone, że to tylko ropień, który dałby się wyleczyć. Badanie rezonansu magnetycznego nie jest rozstrzygające. Nie pozwala odróżnić ropnia od guza. Ale nie możemy operować po drugiej stronie, dopóki się nie dowiemy, jakie uszkodzenia spowodowaliśmy przez ten błąd.

– Więc pan Dixon tak czy inaczej doznałby uszczerbku na zdrowiu? – dopytywał się Olyfson.

– Guz mógłby się okazać mniej agresywny i bardziej podatny na terapię uzupełniającą, niż to zwykle bywa – odparł Metcalf. – Tego nigdy nie da się

przewidzieć. Pan Dixon tracił kontrolę nad mową. Teraz jedynie pomnożyliśmy jego upośledzenia. Być może już nigdy nie wypowie słowa. Być może straci wszystkie funkcje poznawcze. Prawdopodobnie bardzo zmieni się jego zachowanie. Do diabła, o ile wiemy, może stracić kontrolę nad zwieraczami. Istotne jest to, że będzie teraz wymagać stałej opieki przez resztę życia, bez względu na to, jak długie ono będzie. Znacząco krótsze, jak podejrzewam. Możemy później wykonać zwykłą biopsję jego guza, ale z powodu uszkodzeń, jakie spowodowaliśmy, agresywna terapia nie przyniesie żadnej korzyści.

Carla Mason i Emily Forrester robiły obszernie notatki, ale Carrie patrzyła tylko na swe splecione na kolanach dłonie. Była skończona. Siedziała w milczeniu, panując nad sobą jedynie dzięki trwaniu możliwie bez ruchu. Nie mogła jednak powstrzymać łez, które płynęły jej ciurkiem po policzkach, kapiąc na podolek. Julie ponownie objęła ją ramieniem, by dodać jej otuchy.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie – szepnęła. – Wyjdziemy z tego. Obiecuję.
- Carrie, czy chciałaby pani dodać coś jeszcze? – zapytał Knox.
- Tylko to, że składam rezygnację – odparła Carrie. – Od zaraz.

Rozdział 7

Filadelfijski oddział First National Bank zajmował parter pięciokondygnacyjnego ceglanego budynku na rogu Ósmej Alei i Sutcliff. Abington wybrał go, ponieważ stał w pobliżu, kiedy doznał natchnienia.

Jak się spodziewał, już od progu przyciągnął podejrzliwe spojrzenia. W zestawieniu z jego zmierzwionymi włosami koloru słomy, wynędzniałą twarzą, workami pod oczyma i brodą jak u trapera policyjna fotka Nicka Nolte wyglądałaby jak zdjęcie z licealnej księgi pamiątkowej.

Kiedy wszedł, w banku było czterech klientów, z których żaden nie nawiązał z nim bezpośredniego kontaktu wzrokowego, gdy kroczył po marmurowej posadzce w stronę okienek kasowych. Choć nie było tłumów, musiał jednak czekać w kolejce, co wprawilo go w zdenerwowanie. Szczególnie czujny był wobec człowieka po prawej, wypełniającego druczek wpłaty. Facet zdawał się zupełnie go nie zauważać, co było niezwykle. Czy jego obojętność nie była udawana? Instykt mówił Abingtonowi, że to gliniarz – albo tajniak, albo po służbie.

Brunetka z okienka numer pięć skinęła na niego, by podszedł. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyjść. Bez kapelusza czy okularów słonecznych czuł się nagi, a kamery nadzorujące zdążyły już zarejestrować dokładnie jego twarz. *Och, no i co z tego.* Był tutaj. Kobieta nie zorientuje się, że spluwa w tylnej kieszeni jego spodni nie jest nabita. Da mu pieniądze.

Kiedy ruszył w jej stronę, brunetka wzdrygnęła się lekko. Zmarszczyła czoło, a kąciki jej ust opadły w dół. Zachowała aurę profesjonalizmu, ale jej nastawienie stało się surowe i nieprzychylnie.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała tonem, który wcale nie wyrażał chęci pomocy. Obojętne, czy poprosiłby o datek, jedzenie, wódkę, ani myślała mu pomagać.

– Potrzebuję pieniędzy. – Abington był zaskoczony drzeniem swego głosu. Zamierzał nadać mu groźne brzmienie, a tymczasem z jego ust wydobył się jedynie ochrypły szept.

Kasjerka przewróciła oczami. Abington zerknął szybko przez ramię na faceta wypełniającego blankiet. *Ile czeków kasuje ten gość?* To musiał być gliniarz.

Daj spokój... daj sobie spokój i wyjdź...

Już miał się odwrócić i odejść, kiedy przed oczyma stanęły mu twarze tych

sukinsynów okładających go pałkami i stalowymi prętami. Przypomniawszy sobie kratę, na której spał zeszłej nocy. Pomyślał o licznych schroniskach, które nazywał domem, i poczuł skręcający mu kiszki głód. Ogarnęła go fala agresji, gdy pomyślał o VA, Departamencie Spraw Weteranów, który go zawiódł. Wyciągnął broń.

Kasjerka zbladła. Nim zdążyła krzyknąć, Abington położył palec na ustach, zasłaniając pistolet swoim ciałem.

– Nie rób żadnych głupstw – powiedział zadowolony, że tym razem słyszy w swoim głosie pewną władczość. – Dawaj forszę. – Wydobył spod brudnej koszuli również brudną papierową torbę i podał ją kobiecie.

Ręce kasjerki drżały, gdy ładowała do torby grube, owinięte banderolą pliki banknotów, jednak dwa razy uniosła wzrok, by zerknąć ponad ramieniem Abingtona na mężczyznę za jego plecami.

Kiedy kobieta napełniała torbę, Abington liczył w głowie sekundy. *Pięć... dziesięć...*

Ile forsy już tam włożyła? Może parę tysięcy. Może trochę więcej. Nieważne. Nie będzie przecież teraz tego sprawdzał. Musiał stąd zwiewać.

Kasjerka sięgała właśnie do kolejnej szuflady, kiedy Abington uświadomił sobie, że ona gra na zwłokę. Ręce nie trzęsły się jej już tak bardzo i zdawała się mniej zdenerwowana. Być może włączyła cichy alarm.

Przechylając się nad kontuarem, Abington wyrwał kobiecie torbę, zostawiając jej w ręce skrawek szarego papieru. Z pistoletem w jednej dłoni i forszą w drugiej obrócił się na pięcie i spostrzegł, że gość od kwitów ukradkiem zaszedł go od tyłu.

Czterdziestoparoletni, krótko ostrzyżony, z kwadratową głową facet wymierzył swoją broń – glocka – w jego pierś.

– Stać! Policja! – krzyknął.

Abington się nie zawahał. SIG-sauer mógł być bezużyteczny bez kul, ale on przeszedł szkolenie w SEAL i Delta Force. Nawet bez kondycji i wprawy był sam w sobie skuteczną bronią. Upuścił spluwę oraz torbę z pieniędzmi i zaczął podnosić rękę.

W porządku. Poddaję się.

Policjant odprężył się, sądząc, że już po wszystkim. Płynnym ruchem Abington chwycił lufę glocka prawą dłonią, jednocześnie zaciskając lewą na lewym nadgarstku gliniarza. Nie zatrzymując się, pociągnął jego nadgarstek do siebie, a lufę popchnął w przeciwną stronę. Gliniarz stracił równowagę, zachwiał się i ułamek sekundy później glock przeszedł w ręce Abingtona, który zamachnął się szerokim łukiem, uderzając mężczyznę kolbą w lewą skroń. Dały się słyszeć dwa głuchoe stuknięcia: jedno po ciosie, a drugie, gdy gliniarz runął bezwładnie na podłogę.

Abington podniósł z ziemi torbę z pieniędzmi i swoją bezcenną spluwę. Momentalnie wyprostował się, wymachując naładowanym pistoletem gliniarza, by odpędzić przerażonych klientów pod ścianę.

– Zostawcie mnie w spokoju, a nikomu nie stanie się krzywda! – krzyknął.

Na zewnątrz jaskrawy blask słońca uderzył go boleśnie po oczach. Zamrugął, aby odzyskać wzrok, ale w głowie huczało mu i czuł się oszołomiony. *Co ja zrobiłem?* Jezu, nie ułożył żadnego planu. Nie obmyślił sposobu ucieczki.

Z oddali dobiegło go ciągłe wycie syren. Jechali po niego. *Głupek... głupek!* Miał dwie możliwości: uciekać i zostać schwytanym albo stać przed bankiem i zostać schwytanym. Spojrzał na spluwę gliniarza.

Uznał, że jest jeszcze trzecie wyjście. Przyłożył sobie broń do skroni, zamknął oczy i przywołał w myślach piękną twarz Janine. Miewali szczęśliwe chwile; próbował skupić się na nich.

– Przepraszam, dziecinko – szepnął, myśląc o swej córce Olivii. – Zawiodłem cię, skarbie. Straszliwie cię zawiodłem.

Z całej siły przycisnął lufę glocka do skóry i leciutko nacisnął spust. Co za ironia: przy wszystkich kulach, jakie latały dookoła niego w Afganistanie, ta będzie jedyną, która go dosięgła. Wciągnął powietrze do płuc. Wycie syren zdawało się dochodzić ze wszystkich stron.

Czy uda im się mnie zidentyfikować? Czy powiadomią mamę, że nie żyję?

Pisk opon tuż przed nim sprawił, że otworzył oczy. Do krawężnika podjechała furgonetka bez okien i zanim jeszcze zatrzymała się zupełnie, z drzwi po stronie pasażera wyskoczył gładko ogolony mężczyzna o krótko ściętych włosach, ubrany w dopasowany niebieski garnitur, i ruszył pospiesznie w jego stronę. Dźwięk syren był coraz głośniejszy.

– Nie musisz tego robić, Steve – powiedział. – Dokonałeś kiepskiego wyboru, ale możemy ci pomóc. Wejdź tylko do samochodu.

Jak gdyby na dany sygnał tylne drzwi furgonetki otworzyły się na oścież, zapraszając go do środka. Abington zawahał się.

– Kim pan jest? – zapytał.

– Sekundę, Steve. Obserwowaliśmy cię i pomożemy ci, ale musisz się zwijać, żołnierzu. Migiem!

Szkolenie Abingtona dało znać o sobie, nie pozwalając mu zignorować rozkazu. Rzucił się biegiem na tył furgonetki, gdzie z ciemności wyciągnęło się dwoje rąk i wciągnęło go do środka. W tym samym momencie wóz ruszył z miejsca z kolejnym piskiem opon i zawrócił gwałtownie. Tylne drzwi zatrzasnęły się, zostawiając jedynie smugi nikłego światła. Steve nie widział wyraźnie wnętrza ani osoby, która pomogła mu wsiąść.

Furgonetka wyrównała tor i odjechała spod banku w niespiesznym, niebudzącym podejrzeń tempie. Wciąż słychać było syreny, ale ich dźwięk się oddalał. W środku zapaliły się lampki, jednak Abington nie mógł zrozumieć, co widzi.

Tył furgonetki załadowany był sprzętem medycznym: noszami ze stojakiem, na którym wisiały worki z płynami do kroplówki, niczym w karetce. Człowiek, który pomógł mu wsiąść, miał na twarzy maseczkę chirurgiczną i czepek. Jego szare oczy były pozbawione wyrazu.

– Witaj, Steve – odezwał się spoza maski. – Nie mogliśmy się ciebie doczekać.

Steve spojrział w dół na jego dłonie w niebieskich lateksowych rękawiczkach i dostrzegł strzykawkę z igłą. Szybki jak uderzenie kobry mężczyzna zatopił dwucalową igłę głęboko w jego szyi i wcisnął tłoczek.

Steve poczuł rozchodzące się po całym ciele ciepło. Zakręciło mu się w głowie, czuł się lekko oziębiały, ale także spokojny. Nareszcie spokojny.

Rozdział 8

Miasteczko Hopkinton w stanie Massachusetts znane było – jeśli w ogóle – jako oficjalne miejsce startu Maratonu Bostońskiego, ale dla Carrie było po prostu domem. Wiktorianański domek o czterech sypialniach, w którym dorastała, z mnóstwem okien krytych spadzistymi daszkami, obiegającą go dookoła werandą i bujnym ogrodem, był wciąż utrzymywany w idealnym stanie przez rodziców Carrie, Howarda i Irene, którzy, choć przekroczyli już sześćdziesiątkę, bynajmniej nie zamierzali zwolnić tempa. Howard Bryant nadal pracował w Mass General Hospital, Irene zaś wróciła do szkoły, by zostać logopedą, po czym zatrudniła się w pobliskim domu opieki.

Wizyty Carrie ograniczały się w zasadzie do wakacji, sporadycznych przyjęć urodzinowych i oczywiście maratonowego weekendu, który stał się terminem swego rodzaju zjazdu koleżeńskiego dla wielu jej przyjaciół z dzieciństwa. Nie licząc Facebooka, Carrie nie widywała się z nimi regularnie, choć kiedy już doszło do spotkania, wieczór nieodmiennie kończył się obietnicą, że będą robić to częściej.

Carrie skierowała swoje zdezelowane subaru na długi podjazd, który jej ojciec odśnieżał dmuchawą, kiedy mógł sobie pozwolić na skorzystanie z usługi. Za kilka tygodni wzejdą lilie tygrysie i reszta ogrodu matki zbudzi się do życia, ale w tej chwili opustoszały pejzaż był brązowy i martwy, jak gdyby odzwierciedlając jej nastrój. Zaparkowała przed tablicą do koszykówki, obok volvo matki, na placyku na prawo od wolno stojącego garażu na dwa samochody, tak by nie zablokować wyjazdu ojcu.

Wysiadła na popołudniowy chłód. Oficjalnie może i była już wiosna, ale zima bynajmniej nie zamierzała zwolnić swego lodowatego uścisku. Drzwi po jednej stronie garażu były otwarte i z ciemności ryczało na cały regulator Led Zeppelin. Adam najwyraźniej był w środku, pracując, jak zawsze, nad swoim samochodem; muzyka płynęła prawdopodobnie z magnetofonu, który Carrie kupiła mu z okazji powrotu do domu.

Rodzina spodziewała się, że Adam, który zaliczył celująco zaawansowany kurs biologii i skłaniał się ku przedmiotom ścisłym, dołączy do szeregu doktorów Bryantów, wśród których było również dwoje dziadków Carrie, on jednak ku powszechnemu zaskoczeniu zaraz po szkole średniej zaciągnął się do wojska.

Czynną służbę zakończył przeszło trzy lata temu, ale w jego głowie wojna szalała dalej.

Ubrana w dzinsy i kurtkę z polaru narzuconą na kupiony w Macy's niebieski sweter z dekoltem w szpic, Carrie podeszła do drzwi garażu. Dziwnie się czuła, mając na sobie coś innego niż strój chirurgiczny lub dres. Jej brat pochylał się pod otwartą maską samochodu, który wyglądał, jakby go pożerał. Wycierał smar z rąk o już zabrudzone dzinsy, i dopiero kiedy Carrie chrząknęła, wychylił głowę, by spojrzeć w jej stronę. Jego twarz się rozpromieniła.

– Cześć, skarbie! – Podeszedł do niej z szeroko otwartymi ramionami. – Co cię tu sprowadza? – Zanim zdążył wziąć ją w objęcia, uświadomił sobie, że jest brudny, poprzestał więc na szybkim cmoknięciu w policzek. – Miło cię widzieć.

Carrie spojrzała na wymizerowaną twarz i zapadnięte policzki brata, starając się nie okazać troski. Dawny Adam był gdzieś tam w środku. Jeśli zamknęła oczy, wciąż mogła przywołać w pamięci przystojnego, bystrookiego chłopca, za którym rozglądała się w szkole. Wciąż miał ten sam cierpki uśmiech, ale błysk w jego oczach i tamta łobuzerska pewność siebie zniknęły.

Adam znów ściął krótko włosy, jak za żołnierskich czasów, i zapuścił rzadki wąsik, co również było nowością. Carrie nie podobało się to zbyt, ale Adam sporo eksperymentował, być może poszukując zewnętrznej przemiany, która uzdrowiłaby go wewnątrz. Poza tym wyglądał tak samo. Miał szczupłą, ale muskularną sylwetkę. Jego blada cera podkreślała ciemne, zapadnięte oczy. Carrie przywoziliśmy na myśl narkomanów, których zdarzało jej się operować w BCH.

Zdarzało się.

Jak to możliwe, że to już koniec? Myśl o tym, że już nigdy nie weźmie skalpela do ręki, zaciskała wokół jej piersi obręcz tak ciasną, że Carrie niemal traciła dech. Była zagubiona, kompletnie oszołomiona i jak nigdy dotąd rozumiała, co musi czuć Adam.

– Rodzice nie wspomnieli, że przyjeżdżasz – powiedział jej brat.

Garaż wyglądał tak, jak się spodziewała: opowieść o dwóch osobowościach. Strona taty, z jego ukochanym bmw 325i, była schludna i uporządkowana, tak jak sam Howard Bryant. Regały redukowały bałagan do minimum; ulubione narzędzia wisiały starannie uszeregowane na kilku metalowych tablicach z kołkami. Strona Adama przypominała pokój nastolatka. Narzędzia poniewierały się dookoła, a stół i półki zavalone były brudnymi szmatami, zatłuszczonymi papierami oraz bezładnymi stertami części samochodowych.

– Rodzice nie wiedzą, że przyjechałam – odparła Carrie.

Adam spojrzał na nią podejrzliwie.

– Wszystko w porządku?

Energicznie pokiwała głową i zacisnęła wargi.

– Tak, jak najbardziej. – *Zmień temat, zanim się rozplączesz.* – Hej, ten wóz wygląda naprawdę nieźle.

Adam w odpowiedzi wyprostował się dumnie. Kąciki jego ust powędrowały w górę, gdy odwrócił się w stronę camaro. Oparł ręce na biodrach i przystanął, by napawać się swoim dziełem.

– Ładnieje w oczach, nie?

Camaro pojawił się sześć tygodni po tym, jak Adam opuścił WTU, ośrodek rehabilitacyjny dla żołnierzy, bez wyraźnej poprawy. Wrócił do cywila bez celu w życiu, z pustymi, potrzebującymi zajęcia rękami. Odremontowanie samochodu, który przypominał mu o beztroskich szkolnych czasach, wydawało się dobrym pomysłem, choć ich rodzice nie byli tego tak pewni, kiedy zobaczyli przyholowaną do garażu stertę złomu. Teraz, po wyklepaniu karoserii i nałożeniu świeżej warstwy czerwonego lakieru, wóz prezentował się znakomicie. Gdyby tylko Adama dało się poskładać do kupy dzięki odrobinie trudu i starań...

WTU powstał jako jednostka wojskowa, ale napływ rannych żołnierzy z dwóch wojen wymusił szybki rozwój. Rekonwalescencja weteranów stała się głównym obciążeniem budżetu sił zbrojnych i obecnie niemal czterdzieści tych ośrodków, rozsianych po całym kraju, pomagało żołnierzom wrócić do zdrowia. A jednak nie udało im się zapewnić Adamowi skutecznej kuracji. Cztery lata i czterech terapeutów później Adam miał swojego camaro i niewiele więcej.

– Chcesz posłuchać, jak mrczy? – zapytał.

Carrie uniosła oba kciuki. Wszystko dla ukochanego brata. Adam usadowił się za kółkiem i pogładził kokpit, jak gdyby był to rumak, którego musiał uspokoić, nim go dosiądzie. Włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił go. Silnik zakaszłał, ale potem zaczął tylko cykać. Seria głośnych cyknięć jak odliczanie bomby.

Cyk-cyk-cyk...

Ponownie przekręcił kluczyk.

Cyk-cyk-cyk...

Adam zmarszczył gniewnie czoło. Ciemność emanowała z niego, gdy grzmotnął pięściami o kierownicę i ryknął „kurwa!” tak głośno, że Carrie aż podskoczyła. Jego wewnętrzna burza wybuchła z całą mocą i zaczął okładać samochód pięściami – fotel, kierownicę, deskę rozdzielczą. Pchnął gwałtownie drzwi wozu i wysiadł z obłędem w oczach. Twarz miał czerwoną z wściekłości.

Rozejrzał się po podłodze, po czym podniósł z ziemi wielki zardzewiały klucz francuski.

– Nie, Adam! Nie!

Nic nie mogło go powstrzymać. Zamachnął się kluczem na boczne lusterko,

odłamując je jednym uderzeniem i posyłając z brzękiem na betonową podłogę. Następnie zabrał się do okna od strony pasażera, rozbijając je w drobny mak, po czym opadł na kolana, dysząc ciężko, wyczerpany po tym wybuchu.

Carrie uklękła obok niego i otoczyła ramionami. Kołysała go, kiedy płakał, drżąc na całym ciele.

– Przepraszam, po prostu... poniosło mnie. Przepraszam, Carrie... tak się wściekłem. Po prostu puściły mi nerwy. Wybacz.

– Już dobrze. Już dobrze, Adam – zapewniła go. – Przykro mi. Tak mi przykro z powodu wszystkiego, przez co przechodzisz.

Tuliła szlochającego brata w objęciach. Nie widziała ani nie słyszała, jak ojciec wchodzi do garażu, ale kiedy się odwróciła, on tam był.

Jak na swój wiek Howard Bryant był niezwykle szczupły, niemal patykowaty, o długich rękach i nogach, które Carrie miała szczęście odziedziczyć. Ubrany był w spodnie khaki, nieodłączną kraciatą koszulę oraz włóczkowy bezrękawnik. Sam jego widok przyniósł Carrie ulgę.

– Cześć, kochanie – odezwał się od drzwi garażu. Jego głos brzmiał ochryple, wręcz starczo, miał w sobie jednak kojący ton, jakim tylko ojciec może mówić do córki.

Carrie wciąż trzymała Adama w uścisku; nie mogła go puścić, kiedy wciąż jej potrzebował. Howard wyglądał na zmartwionego, ale nie zaskoczonego.

– Chodź do domu, kiedy będziesz gotowa – powiedział. – Mama zrobiła zupę. Odgrzeję ci.

Rozdział 9

David Hoffman z zamkniętymi oczami przeciągnął się na futonie, strącając przy tym na podłogę leżący w nogach materaca plik papierów. Rudy pręgowany kot Bosra siedział spokojnie na piersi właściciela, nie zwracając uwagi na jego ruchy. David odczekał kilka sekund, rozkoszując się błogim nastrojem popołudniowej drzemki. Zanim ponownie odpłynął w sen, otworzył oczy i sprawdził godzinę na telefonie. Tego dnia mijał termin oddania tekstu, co oznaczało, że Anneke będzie dzwonić. Nie miał oporów przed spławieniem jej po raz enty, ale nie mógł robić tego zaspanym głosem.

Coś w materiale materaca, szczególnie kiedy był nagrany od słońca, działało jak końska dawka melatoniny. Dokument, który czytał, też robił swoje. Choć Amerykański Instytut Medyczny był szlachetną organizacją, jego raport na temat stresu pourazowego wśród żołnierzy roił się od żargonu i mędrkowania. Czterdzieści osiem doliców wyrzucone w błoto; Anneke nie będzie zadowolona. David zdołałby streścić w jednym akapicie to, na co Instytut potrzebował sześćdziesięciu stron. *Plus dla was, Departamencie Obrony i VA, że próbujecie coś zrobić z tą sprawą. Minus dla was, bo stres pourazowy w wojsku stanowi coraz większy problem, a do tego nie możecie śledzić rezultatów.*

Odwrócił głowę w stronę okna, nieprzesłoniętego jeszcze listowiem, które miało pojawić się wiosną. Mieszkanie, choć małe, wydawało się przestronne, a zasłaniająca widok gałąź była niewielkim mankamentem wobec niskiego czynszu przy Porter Square.

Bosra zamiauczał, na co David podrapał go delikatnie za uszami. Kot, znajda, otrzymał imię na pamiątkę starożytnych ruin w Syrii. Było to jedno z wielu malowniczych miejsc, jakie David odwiedził jako dziennikarz, i ten aspekt jego kariery, za którym tęsknił. Spędziwszy większość życia zawodowego na pogoni za konfliktami politycznymi, uzależnił się od adrenaliny. Nic nie mogło się równać z emocjami, jakie budziło obserwowanie gniewnych tłumów, dokumentowanie najbardziej instynktownego ludzkiego pragnienia wolności i bezpieczeństwa. Dla kogoś, kto palił marihuanę raptem kilka razy w życiu i komu szumiało w głowie już po jednej szkockiej, wstrząsy polityczne były swego rodzaju narkotykiem i Davidowi brakowało haju. Podczas gdy niektórzy jego koledzy ze studiów na Uniwersytecie Columbia wkręcali się do jednostek wojskowych po to tylko, by

zyskać wyższy status w gazecie lub sieci telewizyjnej, David naprawdę lubił niebezpieczne zlecenia, aczkolwiek wolał politykę niż wojnę.

Pukanie do drzwi zmusiło go w końcu do zwleczenia się z łóżka. Miaucząc na znak protestu, Bosra zeskoczył z jego piersi i wylądował bezgłośnie na drewnianej podłodze. David poczłapał do drzwi.

– Kto tam? – zapytał, dobrze znając odpowiedź.

– Davidzie, to ja, Emma.

David otworzył drzwi, uśmiechając się szeroko. Podejrzewał, że niesforne brązowe włosy sterczą mu na wszystkie strony jak siano, a do tego miał na sobie koszmarne szare spodnie od dresu i niebieski T-shirt, ale wobec Emmy nie czuł skrępowania. Wynajmował od niej mieszkanie; z czasem została jego przyjaciółką, a wreszcie na krótko kochanką, dopóki oboje nie stwierdzili zgodnie, że wolą poprzestać na przyjaźni. Teraz kochał ją w sposób, który byłby trudny, gdyby wciąż byli parą. Emma trzymała na rękach Gabby, uroczą czterolatkę. Gabby miała policzki, których mógłby pozazdrościć jej chomik, i dwoje żywych, wielkich brązowych oczu. Jej jasne, długie do ramion włosy związane były w kitki. Na widok Davida całe jej ciało zaczęło wić się radośnie.

– Cześć, wujku Davidzie!

Ilekczeń tak go nazywała, Davidowi topniało serce. Emma podała mu Gabby, a dziewczynka zaczęła piszczeć i wierzgać, gdy połaskotał ją pod brodą. Kiedy Gabby zanosila się swym słodkim, szczebiotliwym śmiechem, świat stawał w miejscu.

– Któż to tak urósł, odkąd widzieliśmy się ostatnim razem? – Nie mógł się powstrzymać, żeby nie mówić do niej cienkim głosem.

– David, dziś rano jadłeś z nami śniadanie.

– Teraz dzieci rozwijają się szybko.

– Mogę pobawić się zabawkami? – Gabby przebierała nóżkami, chcąc znaleźć się na ziemi.

– Wiesz, gdzie są – odparł David.

Gdy tylko postawił ją na podłodze, Gabby pobiegła do kąta, gdzie znajdowała się mata edukacyjna i sterta zabawek – klocki, parowóz Tomek i dość plastikowych zwierzątek, by odtworzyć Zoo w San Diego w miniaturze. Emma pozostała w brązowym tweedowym płaszczu i wełnianej czapce.

– Widać, że ona lubi tu przychodzić.

– A ja lubię ją tutaj gościć – odparł David.

W oczach Emmy pojawił się smutek, gdy przyglądała się, jak Gabby bawi się zabawkami.

– Nie obraż się – powiedziała cichym, niemal konspiracyjnym tonem – ale

byłoby miło, gdyby to swojego ojca odwiedziła od czasu do czasu.

– Nie obrażam się – odparł David. – I byłoby miło, gdyby jej ojciec nie wyjechał za pracą do Kalifornii. – Zrobił w powietrzu cudzysłów przy słowie „praca”, które było eufemizmem oznaczającym „kochankę”, prawdziwy powód, dla którego były mąż Emmy wyprowadził się z domu.

– Tak dla twojej wiadomości, rozmawia z Gabby przez Skype’a – powiedziała Emma. Czowała nieodpartą potrzebę obrony ojca swojego jedyne dziecko.

David uściskał jej dłoń.

– Jestem pewien, że on ją kocha – powiedział.

Emma i jej eks byli właścicielami żółtego dwurodzinnego domu o drewnianej elewacji w odległości spaceru od jednego z najlepszych miejsc na zakupy w Cambridge. Mieszkali na parterze, a David wynajął mieszkanie na górze. Eks wyprowadził się trzy miesiące później i Emma szukała pocieszenia u swojego nowego lokatora z piętra.

Z długimi jasnorudymi włosami, wydatnymi kośćmi policzkowymi i pełnymi, zmysłowymi ustami, Emma O’Donnell była wedle wszelkich standardów olśniewającą kobietą. Jednak David zwracał uwagę nie tylko na wygląd i już po miesiącu romansu oboje wiedzieli, że nie ma między nimi chemii.

– Mógłbyś popilnować jej przez godzinę, kiedy ja skoczę do sklepu?

– Nic na świecie nie sprawiłoby mi większej radości – odparł David.

Emma spojrzała na niego podejrzliwie.

– Naprawdę, nie będzie to dla ciebie kłopot?

David w odpowiedzi uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Twoje potrzeby są moimi potrzebami, kochanie. Kup mi tylko coś na obiad. Najlepiej coś, co nie przyprawi mnie o wzdęcie.

W wieku trzydziestu dwóch lat był wciąż wysoki i szczupły, ważył niemal tyle samo co za czasów licealnych i mógł jeść niemal wszystko, ku rozgoryczeniu wielu zazdrosnych przyjaciół.

– Fatalnie – stwierdziła Emma. – Mamy burritos.

David obrócił ją i żartobliwie wypchnął za drzwi.

– Pod twoją nieobecność popracujemy z Gabby nad geografią Bliskiego Wschodu. Przygotuj się na to, że po powrocie odbierzesz geniusza.

Gabby usłyszała swoje imię i podbiegła do nich.

– Możemy pooglądać zdjęcia, wujku Davidzie?

– Zobacz, ona już jest geniuszem – zauważyła Emma nie bez dumy. – Usłyszała słowo „geografia” i pomyślała o twoich zdjęciach.

David czytał gdzieś, że dzieci, zwłaszcza małe, uwielbiają powtórki. W świecie, w którym tak wiele rzeczy jest nowych i zmiennych, oglądanie wciąż tego samego

musi dodawać otuchy. Jego ściany ozdobione były oprawionymi w ramki zdjęciami, które kiedyś zrobił, i pokazywanie ich Gabby sprawiało przyjemność także jemu. Przyjemność powrotu do wspomnień. Tematy były jednak zdecydowanie dorosłe i trzeba było sporo trudu, by wyjaśnić je dziecku, nie przygotowując go o koszmarnie sny.

– Co jest na tym? – zapytała Gabby.

Fotografia, wykonana na miesiąc przed tym, jak były prezydent Mursi został pozbawiony urzędu, przedstawiała morze ludzi wymachujących egipskimi flagami i trzymających portrety kandydata Bractwa Muzułmańskiego. „The Guardian” zapłacił Davidowi dwa tysiące dolarów za relację, ale ukazała się ona ze zdjęciem z AP.

– To w Egipcie – powiedział. – W mieście, które nazywa się Kair. – Zaniósł Gabby do wiszącej na ścianie mapy świata i pokazał, gdzie leży ten kraj.

– Dlaczego machali flagami? – zapytała dziewczynka.

– Chcieli nowego przywódcy.

– Dostali go?

– Tak – odparł David. – Dostali, jak najbardziej.

Gabby z siłą pytona oplótła mu szyję rączkami i wskazała zdjęcie na ścianie za jego plecami. Zawsze przestrzegała tej samej kolejności, choć David zmieniał wyjaśnienia.

– A co jest na tym?

Było to jedno z jego ulubionych zdjęć – czarno-biała fotografia zamieszek w Trypolisie po zabiciu przez lojalistów Kaddafiego powstańczego przywódcy, Abd al-Fattaha Junusa. „New York Times” zapłacił pięć stów za zdjęcie i trzy tysiące za artykuł. To było udane popołudnie.

– To gromada ludzi, którzy zachowują się jak szaleni – powiedział.

– Czemu zachowują się jak szaleni? Ktoś im dał nowe zabawki?

Zachwycił go sposób, w jaki wymówiła słowo „zabawki”. Jej entuzjazm był zaraźliwy.

– Nie, nie chodziło o zabawki. Po prostu musieli sobie poskakać i pokrzyczeć głośno. Dorośli czasami robią takie rzeczy.

– A tutaj?

Zanim odpowiedział, wrócił z nią do mapy i pokazał Libię, skąd pochodziło tamto zdjęcie. Dotknęła tego samego miejsca co on, a potem zaczęła wodzić rączkami po całej Europie.

– Libia – powiedział.

– Libia – powtórzyła Gabby, po czym wskazała zdjęcie przedstawiające tysiące ubranych w czerwone koszule populistycznych zwolenników obalonego premiera

Tajlandii, Thaksina Shinawatry. – Czy oni zebrali się z tego samego powodu?

- Niezupełnie – odparł David.
- Dlaczego wszyscy mają koszule jednego koloru?
- Dlatego, że wierzą w te same rzeczy. Są grupą.
- Ty też jesteś w jakiejś grupie? – dociekała.
- Nie. Pracuję w pojedynkę – wyjaśniał cierpliwie.

David był niezależnym dziennikarzem. Wyrobił sobie markę jako wolny strzelec, rezygnując z regularnych zarobków w zamian za możliwość pisania o tym, co naprawdę go interesuje. Najczęściej owo zainteresowanie prowadziło go do miejsc, których Departament Stanu radził Amerykanom unikać. Syria. Irak. Afganistan. Jemen. Ten niespokojny duch zapewne dotąd znajdowałby się w jakimś niebezpiecznym kraju, gdyby nie został porwany.

Nie było to ciężkie przeżycie, ale też nie chciałby przechodzić przez to jeszcze raz. Syryjskie siły opozycyjne uznały go za członka reżimu Asada i uwięziły bez wyroku sądu. Spędził trzy tygodnie w pozbawionej okien, betonowej celi, bez kontaktu ze światem zewnętrznym. Ostatecznie zaprzyjaźnił się ze strażnikiem, który chciał się nauczyć angielskiego. Z jego pomocą udało mu się skontaktować z Departamentem Stanu. Naczelną „The Current”, jego formalny pracodawca, porozmawiał przez telefon satelitarny z opozycjonistami, którzy trzymali go jako zakładnika. Zdołał przekonać odpowiednie osoby, że David jest w Syrii z misją i że jego reportaże mogą wspomóc ich sprawę w USA. Kilka godzin później David był wolny, a następnego dnia leciał już samolotem do kraju. Krucjatę rebeliantów będzie musiał wspomagać ktoś inny.

Wieść o jego przygodzie rozeszła się szybko wśród wszystkich, którzy regularnie wynajmowali go jako reportera. W ciągu raptem paru tygodni jego główny atut – gotowość do narażania własnej skóry, by zdobyć ciekawy materiał – stał się jego największym mankamentem. Nikt nie miał ochoty wyciągać Kowboja Dave’a z kolejnego międzynarodowego kotła i nagle okazało się, że jedyną robotą, na jaką może liczyć, jest pisanie dla lokalnych gazet, takich jak „The Lowell Observer”.

Kolega po fachu skontaktował Davida z Anneke, cenioną redaktorką, która spowolniła tempo swej kariery dla ratowania resztek śluzówki żołądka. Chociaż był wdzięczny za tę pracę, optymistyczny artykuł o żołnierzu piechoty morskiej pokonującym zespół stresu pourazowego nie był zleceniem, o jakim marzył.

- Chcesz się przyłączyć do jakiejś grupy? – zapytała Gabby.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek jego telefonu komórkowego. *Anneke*.

– Hmm, być może zaraz zostanę wyrzucony z jednej grupy – powiedział, stawiając dziewczynkę na podłodze. – Pobaw się trochę. Muszę porozmawiać przez

telefon.

Gabby pobiegła do zabawek.

– Anneke – odezwał się radosnym głosem. – Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– Dlatego, że twój e-mail nie działa? Żaden problem. Mam pióro. Możesz mi dyktować.

– Cha, cha, świetny żart.

– Jestem w szampańskim humorze. Gdzie jest artykuł, David?

Po tonie jej głosu mógł wyobrazić sobie jej wściekłą minę. Miała pięćdziesiąt parę lat, blond włosy do ramion, sylwetkę szczupłą i wysportowaną od biegania i ćwiczeń pilates. Biedna Anneke miała pecha; gdziekolwiek spojrzęła, sypały się terminy. A David jedynie dokładał jej zmartwień.

Wynagrodzi jej to. Butelka chianti i ten drobny poślizg pójdzie w zapomnienie. Tak czy inaczej powinna mu odpuścić. Pierwszym artykułem, jaki dla niej pisał, miał być pochwalny tekst o wychowującym się w rodzinie zastępczej bystrym dzieciaku z Lowell, który wygrał jakiś konkurs literacki. Tysiąc pięćset słów, o które prosiła, zmieniło się we wstrząsającą opowieść, która ciągnęła się przez kilka dni i demaskowała potężny skandal, w który zamieszany był Departament do spraw Dzieci i Rodzin. David zawsze potrafił wyczuć, gdzie tkwi prawdziwa sensacja, i wiedział, że ten konkretny tekst nie może mówić o jednym triumfującym żołnierzu piechoty morskiej.

– Jestem w trakcie pisania – odparł.

– Przeprowadziłeś już wywiad z sierżantem Thompsonem?

Sierżant Jesse Thompson był mieszkańcem Billeriki. Stracił rękę w wybuchu improwizowanej miny, a teraz z pewnym sukcesem pomagał innym weteranom pokonać objawy stresu pourazowego.

– Prawie.

– Jak można prawie przeprowadzić wywiad?

– Myślałem o tym, żeby do niego zadzwonić, ale chwilowo pracuję nad tematem od innej strony.

Jego uwagę przyciągnęła oszałamiająca liczba weteranów z zespołem stresu pourazowego, PTSD, jak nazywano to w skrócie. Problem osiągał poziom epidemii: jeden na czterech żołnierzy płci obojga wracał ze strefy walk znacząco *odmieniony*.

– To nie jest „New York Times” – zauważyła Anneke. – Jesteśmy lokalną gazetą. Nigdy nie zdobyliśmy Pulitzera i nie sądzę, żeby mojemu szefowi naprawdę na tym zależało.

– Nigdy nie mów nigdy – odparł David.

Redaktorka westchnęła.

– Ile jeszcze czasu potrzebujesz?

Mogli pracować dla małej lokalnej gazety, ale oboje ulepiani byli z tej samej gliny. Chcieli wykonać dobrą dziennikarską robotę. Jeśli krył się tu ważny materiał, Anneke była zainteresowana tym, żeby David do niego dotarł.

– Daj mi parę tygodni. Sierżant Thompson nigdzie nie ucieknie. Możemy machnąć o nim fajny artykuł w każdej chwili. Ale chcę trochę bardziej zgłębić temat.

– Myślisz o serii.

Zacisnął usta.

– Nikt nie dzwoni, żeby wysłać mnie z powrotem do Syrii.

– Jaki masz plan?

– Porozmawiam z paroma weteranami. Ludźmi, którym nie dało się pomóc.

– Rzuć jakieś nazwiska. – Sprawdziła, czy David naprawdę pracuje.

Na szczęście miał pod ręką swoje zapiski.

– Trzy ci wystarczą? – odparł. – William Bird, Max Soucey i Adam Bryant.

Klik. Anneke rozłączyła się bez pożegnania. Był to dla niego sygnał, że ma się zabrać do roboty.

Rozdział 10

Dom nie zmienił się bardzo od czasu, kiedy Carrie wyjechała na studia. Wykładzinę podłogową dawno temu zastąpiły parkiety, a w jej dawnej sypialni urządzono pokój gościnny, ale były to drobne przeróbki. Wszystko tutaj, aż po okrągły dębowy stół w kuchni, wyglądało znajomo.

Oprawione fotografie na ścianach ukazywały bardzo zżyłą rodzinę. Zwykle napełniały ją nostalgią, ale dzisiaj sprawiły, że pomyślała o Leonie Dixonie. Jak wiele wspomnień wymazała przez swoją pomyłkę?

Oderwała się od tych bolesnych, paraliżujących myśli, by spojrzeć na zdjęcia przedstawiające ją i Adama na różnych etapach życia. Szczególnie uwielbiała te z wakacji. Niektóre uwieczniały narciarskie wypady w góry New Hampshire i Maine, inne ukazywały ich europejskie przygody, kilka zrobiono na Karaibach, a jedno przedstawiało Howarda i Adama jadących obok siebie na słoniach podczas safari w Afryce. Chyba równie dużo jak zdjęć dzieciaków było tam fotek Puckelsa, kudłatego, kochanego przez całą rodzinę psa, który zdechł przed kilku laty. Carrie namawiała ojca, żeby wybrał się do schroniska po nowego zwierzaka, ale Howard zacytował komika Louisa C.K., który nazwał szczeniaki „odliczaniem do smutku”.

Carrie zauważyła, że brakuje wojskowych portretów Adama. Zamiast nich jej mama powiesiła kilka własnoręcznie namalowanych pejzaży. Carrie była pod wrażeniem utajonych artystycznych zdolności matki, choć Irene twierdziła, że jej szybkie postępy są wyłącznie zasługą jej nauczyciela.

Gdy Carrie weszła do kuchni, Howard podgrzewał zupę. Jej tato miał bujną, choć już rzednącą, czuprynę, bardziej siwą teraz niż brązową. Matka Carrie kupiła mu kiedyś farbę do włosów, ale nawet nie rozpakował pudełka. „Próżność jest dla młodych”, mawiał. Para znad dwóch kubków gorącej zielonej herbaty zamglila okulary na jego okrągłej twarzy, powiększając dwoje najzyczliwszych oczu, jakie Carrie widziała w życiu.

– Mama wróci niedługo, ale możemy zacząć sami.

Kiedy zupa była gotowa, Howard usiadł przy stole. Carrie dołączyła do niego. Herbata miała idealną temperaturę, a zupa pachniała smakowicie. Carrie żyła na stołówkowym wikcie od tak dawna, że niemal zapomniała, jak smakuje domowe jedzenie. Upiła łyk herbaty.

– Trzęsą ci się ręce – zauważył ojciec. – Wiem, że ciężko ci oglądać brata

w takim stanie.

Carrie odstawiła kubek.

– Nie chodzi tylko o Adama, tato.

Tato.

To słowo było jak siatka asekuracyjna. Pozwalało jej wyrzucić z siebie wszystko. Mocno zacisnęła powieki. Z jej piersi wyrwał się szloch i łzy popłynęły ciurkiem po zaczerwienionych policzkach.

Howard przysunął się z krzesłem i objął ją ramionami.

– Co się dzieje, kochanie?

Carrie wzięła kilka urywanych oddechów.

– Stało się coś naprawdę strasznego...

Nie było łatwo opowiedzieć tę historię. Przez większość czasu Carrie z trudem wydobywała z siebie głos. Z początku dużo płakała, oddychając ciężko, nie mogąc złapać tchu, ale w końcu uspokoiła się i zdołała przedstawić ją do końca.

Howard, wydawało się, był pod wrażeniem, kiedy Carrie relacjonowała operację Beth i epizod zespołu rozsianego wykrzepiania wewnątrznaczyniowego. Szczegóły operacji Leona były bardziej mgliste, być może dlatego, że Carrie wyparła je, pamiętała jednak zaniepokojoną minę doktora Metcalfa, gdy próbował zlokalizować guz.

Howard nie drgnął nawet, kiedy córka wyznała swoją pomyłkę. W jego oczach nie pojawił się choćby ślad osądu. Był pełen współczucia, kiedy powiedziała mu o późniejszym zebraniu i o swej rezygnacji.

Carrie nie mogłaby wymarzyć sobie lepszego powiernika. Jej ojciec latami wyrabiał w sobie umiejętność słuchania. Od dawna uważał, że to, co pacjent mówi oraz jak to mówi, dostarcza czasem więcej informacji niż badanie. Była to umiejętność, którą przekazał córce, i przydawała się bardzo. Ale nawet jemu, który na pozór zawsze wiedział, co należy powiedzieć, zabrakło słów. W przedłużającej się ciszy, jaka zapadła po opowieści Carrie, dolał im obojgu herbaty.

– Zawiodłam wszystkich – powiedziała, czując znowu znajomy ucisk w klatce piersiowej.

– Kochanie, w tej chwili nie jest pora na rady czy pouczenia. Wiedz po prostu, że jestem z tobą. I mama też. I, na swój sposób, również Adam. Kochamy cię i będziemy cię wspierać do końca.

Carrie ponownie objęła ojca, a Howard pocałował ją w czubek głowy.

– Powiedz mi, czego potrzebujesz. Cokolwiek by to było.

Carrie zaśmiała się, bo sama nie mogła uwierzyć, o co za chwilę poprosi.

– Przy moich studenckich kredytach i braku dochodów po prostu nie mam pieniędzy, żeby opłacić mieszkanie. Nie bez pracy.

Howard skinął głową.

– Mogę pożyczyć ci, ile potrzebujesz. Możemy z mamą przez jakiś czas opłacać twój czynsz.

Carrie odrzuciła ten pomysł.

– Ładna ze mnie lekarka. Mam dwadzieścia dziewięć lat i rodzice muszą płacić za mnie czynsz. Nie, dziękuję.

– Nie kieruj się dumą. Potraktuj to jako pożyczkę.

Carrie uniosła rękę.

– To nie duma. To zdrowy rozsądek. Jak mam ją spłacić? – zapytała. – Nie wiem, co będę robić. Jestem kompletnie zagubiona.

– W takim razie nie spłacaj jej.

Carrie znów pokręciła głową.

– Nie mogę się na to zgodzić. Dopóki nie mam jakiegoś planu. Nie czułabym się z tym dobrze. Nie jestem nawet pewna, czy będę chciała zostać w mieście. Może powinnam poszukać jakiejś pracy badawczej, czegoś na uczelni. Nie wiem.

– W takim razie co masz zamiar robić tymczasem?

Carrie wyczuła, że ojciec już wie. Znów pomyślała o Adamie. Obrali dwie różne drogi, a jednak wylądowali w tym samym miejscu. Ojciec musi być zawiedziony, że tak bardzo starał się wychować samodzielne dzieci, a one okazały się niezdolne do funkcjonowania w świecie.

– Rozmawiałam z właścicielem mieszkania – powiedziała. – Pozwoli mi rozwiązać umowę i zwróci kaucję.

– To świetnie, ale dokąd pójdziesz? – zapytał Howard.

Carrie wzruszyła ramionami i usiłowała nie wyglądać na załamana.

– Chciałabym znów wprowadzić się tutaj na jakiś czas, jeśli tobie i mamie by to nie przeszkadzało. Przynajmniej dopóki nie wymyślę, co robić dalej.

Howard położył dłoń na jej dłoni.

– To jest twój dom, skarbie – odparł. – To zawsze będzie twój dom.

Rozdział 11

Carrie spojrzała przez boczne okno na zaparkowany na podjeździe nieznajomy samochód z wypożyczalni ZipCar. Bryantowie nie mieli wielu gości w ciągu dwóch tygodni, odkąd zamieszkała w domu. Nie było słyhać dzwonka do drzwi, więc to musiał być ktoś do Adama.

No i dobrze. Carrie była wciąż w piżamie i nie miała ochoty na towarzyskie rozmowy. Odkąd wróciła do domu, nie robiła prawie nic poza oglądaniem starych filmów z tatą. Miała wrażenie, że nie jest dowcipna, ani choćby odrobinę sympatyczna, w dodatku nawaliła – niezbyt gotowa na kontakt ze światem.

Biorąc pod uwagę cały niedawny zamęt, powrót do domu odbył się gładko. Adam pomógł w przeprowadzce, jeżeli zasługiwało to na tak szumną nazwę. Wynajęta ciężarówka okazała się o wiele za duża na jej skromny dobytek. Wszystko, co posiadała – futon, dwa regały, trzy pudła książek (głównie teksty medyczne i trochę beletrystyki), stolik z pchlego targu, mały kolorowy telewizor i obdrapana szafka RTV, trochę ubrań, kilka oprawionych w ramki zdjęć oraz komoda – zmieściło się w kącie piwnicy rodziców. Świadomość, że dorobek jej życia dał się upchnąć na tak małej przestrzeni, działała deprymująco. Przez długi czas jej zainteresowania skupiały się wyłącznie na medycynie. Teraz zastanawiała się, co mogłoby zająć jej miejsce.

Carrie ulokowała się w swojej dawnej sypialni, ale nie było jej tam ani przytulnie, ani miło. Limbik pływał spokojnie w wielkiej kuli, stojącej na tej samej niebieskiej komodzie, której używała jako dziecko. Był to wciąż jej dziecienny pokój, mimo że wszystkie jej stare skarby zostały zapakowane w pudła, a podwójne łóżko przykryte było szmaragdowozieloną tybetańską narzutą, którą kupiła podczas podróży po Dalekim Wschodzie. Powrót tutaj był przygnębiający, choć wolała to, niż mieszkać w Bostonie, gdy rodzice płaciliby za nią czynsz.

Stres wywołał bezsenność, która spowodowała z kolei uzależnienie od leków nasennych. Skutkiem było nieustające zmęczenie. Jej biegi, jeśli można było to nazwać biegami, były niemrawe i niebezpiecznie zbliżały się do szybkiego marszu. Miała prawdopodobnie kliniczną depresję, ale nie zamierzała szukać pomocy. Nie zasługiwała na lepsze samopoczucie. Swoim działaniem znacznie pogorszyła jakość życia Leona. Nie było jasne, czy jego stan poprawi się z czasem. Zasługiwała na to, żeby czuć się podle.

Jej matka, Irene, drobna sześćdziesięcioletnia kobieta, weszła do holu przez jadalnię, wcierając krem w dłonie. Miała na sobie niebieską dzinsową koszulę i spodnie khaki – mundurek zapalanej ogrodniczki.

– Kto to jest? – zapytała Carrie.

– Jakiś reporter z „Lowell Observera” – odparła Irene. – Przyszedł, żeby przeprowadzić z Adamem wywiad do artykułu.

Carrie zmrużyła oczy.

– Z Adamem? – Odkąd jej brat opuścił WTU, wolał samotność. Przyjaciele odwiedzali go rzadko. Ten gość był dla niej zaskoczeniem.

– Zadzwoił Everett Barnes, szef działu pomocy weteranom z programu Home Base, i prosił, żebym zapytała, czy Adam zechciałby opowiedzieć swoją historię. Przekazałam mu to i chyba się zgodził – wyjaśniła Irene.

Teraz Carrie zrozumiała.

Program Home Base został uruchomiony przez Fundację Red Sox, aby zapewnić opiekę lekarską i wsparcie weteranom walk w Iraku i Afganistanie oraz ich rodzinom z całej Nowej Anglii. Koncentrował się zwłaszcza na rodzinach żołnierzy i weteranach zmagających się ze skutkami stresu lub pourazowych zmian w mózgu, których nabawili się w trakcie służby lub w walce. Niestety rozwój organizacji był zbyt wolny w stosunku do potrzeb.

– Zobaczę, jak im idzie – powiedziała Irene, odgarniając grzywkę z czoła i zatykając za ucho pasmo ciemnych, długich do ramion włosów. – Ach, a ojciec jest w kuchni. Chce z tobą porozmawiać.

Carrie zastała tatę siedzącego przy kuchennym stole, sączącego małymi łykami parującą kawę z kubka. Pił kawę czarną i gorzką, jak cała rodzina. Było to wyuczone czy naturalne?

Carrie nalała sobie filiżankę.

– Chciałeś ze mną rozmawiać?

Twarz Howarda stężała.

Carrie zignorowała ukłucie niepokoju i usiadła, przygotowując się na najgorsze.

– Myślałem o tym i owym – zaczął Howard, starannie dobierając słowa. – I uważam, że zasłaś za daleko, żeby teraz wszystko rzucić.

Carrie splótła ręce na piersi i odwróciła wzrok. Włączył się jej instynkt samozachowawczy. To sprawiało wrażenie zasadzki. Powiedziała najzupełniej jasno, że zmiana decyzji nie wchodzi w grę. Bycie wielkim chirurgiem wymaga wielkiej pewności siebie, byłaby więc zagrożeniem na sali operacyjnej.

A jednak to był jej tato, a przy tym uosobienie życzliwości. Zasługiwał na to, żeby spokojnie go wysłuchała.

– Jesteś zdolnym neurochirurgiem – ciągnął Howard – i został ci już tylko rok

do końca rezydentury. Wiem, że nastawiłaś się na ten etat w Cleveland Clinic, a potem kto wie? Nie chcę prawić ci banałów w rodzaju „każdy popełnia błędy”, ale naprawdę nie przychodzi mi na myśl ani jedna ciesząca się uznaniem osoba, zwłaszcza wśród lekarzy, która nie przeszłaby przez jakieś prywatne piekło. Bezsenne noce. Kryzys zaufania. Ani jedna. – Sięgnął znów po kubek z kawą i upił długi łyk.

Głos uwiązał Carrie w gardle, a kiedy już się wydobył, drżał lekko. Przeciwwstawianie się ojcu nigdy nie przychodziło jej łatwo.

– Tato, nie masz pojęcia, jak wielką krzywdę zrobiłam Leonowi. Szczerze mówiąc, sama myśl o operowaniu budzi we mnie niepokój. Nigdy wcześniej tak nie było.

Howard skinął głową. Jego oczy były pełne empatii.

– Wiem – przyznał. – Nieraz to mówiłaś. Ale jest coś, o czym nigdy ci nie wspominałem, a sądzę, że powinnaś to usłyszeć. – Poruszył się na krześle. – Kiedy byłem stażystą, przypadkowo przedawkowałem lek młodemu człowiekowi, który miał atak padaczki.

Carrie nie powiedziała nic. W ciszy, jaka zapadła, to wyznanie zawisło w powietrzu jak krępująca obecność.

– Podaliśmy mu za dużo fenobarbitalu. Nigdy tego nie zapomnę. Przestał oddychać, a ciśnienie krwi spadło na łeb, na szyję. Musieliśmy ogłosić alarm i biedak omal nie umarł. Z mojego powodu. Z powodu mojego błędu. Przez cały następny tydzień odwiedzałem go codziennie na OIOM-ie i za każdym razem dręczyło mnie straszliwe, koszarne poczucie winy. Nawet dziś zawsze dwa razy sprawdzam sam siebie, kiedy podaję leki. Zwłaszcza ten lek.

Carrie rozumiała ojca. Z tego, co wiedziała, Beth Stillwell wyzdrowiała i wróciła do pracy, ale Leon został przeniesiony do domu opieki. Nie wszystkie jego deficyty wynikały z jej błędu, ale i tak całą winę przypisywała sobie.

– W odróżnieniu od Leona mój pacjent był na dobrej drodze do zdrowia, zanim sprawiłem, że mu się pogorszyło – ciągnął jej ojciec. – Tygodniami nie mogłem spać. Kompletnie straciłem apetyt. Na szczęście wyszedł z tego, ale myślę, że rozumiesz, o co mi chodzi. Mój błąd niemal kosztował go życie. Ale to jest część tej pracy. Oczekuje się od nas doskonałości, tylko że żaden człowiek nie jest nieomylny. Ani ty. Ani ja. Ani doktor Metcalf. Błędy się zdarzają. To sposób, w jaki radzimy sobie z przeciwnościami, określa nasz charakter. Możesz pogodzić się z tym, co się stało, i ruszyć dalej. Ja tak zrobiłem. A teraz mam dla ciebie sugestię.

Carrie domyślała się już, do czego to wszystko zmierza, ale... to było za wcześnie. Za wcześnie. Nie mogła ponownie wziąć do ręki skalpela. Nie teraz

i mimo tego, co mówił, być może nigdy.

– Jesteś dorosła i ostateczna decyzja należy do ciebie. Ale żyję już trochę na tym świecie i mam pewną perspektywę, więc proszę tylko, żebyś mnie wysłuchała. Parę tygodni temu byłem na połączonym z kolacją zebraniu poświęconym chorobie Parkinsona, sponsorowanym przez pewną firmę farmaceutyczną. Siedziałem obok pacjenta, który przyjmował ich lek. Jak się okazało, farmakoterapię uzupełniono u niego głęboką stymulacją mózgu i teraz, dzięki połączeniu DBS i leków, ma się lepiej. Może uczestniczyć w tego rodzaju spotkaniach.

Carrie wiedziała wszystko o DBS, chirurgicznej metodzie leczenia polegającej na wszczepieniu mikroelektrod do określonych części mózgu, aby sterować pracą neuronów. Stosowano ją w przypadku zaburzeń ruchowych, takich jak choroba Parkinsona, ale badacze i klinicyści testowali możliwości wykorzystania jej na innym polu, na przykład w leczeniu zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, ciężkiej depresji i przewlekłego bólu.

– Ten człowiek był bardzo zadowolony z efektu – kontynuował Howard. – Dużo mówił na temat swojej terapii w VA pod kierunkiem doktora Alistaira Finleya, którego znam jeszcze z czasów stażu. Nie widziałem go od tamtej pory, ale może poszłabyś z nim porozmawiać? Jest teraz w mieście. Powołaj się na mnie. Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, ale na pewno będzie mnie pamiętał.

– Dzięki, tato. Pomyślę o tym. – Carrie obróciła w dłoniach kubek z kawą. – Nie pasjonuję się jakoś szczególnie chorobą Parkinsona. To znaczy to nie jest coś, czym naprawdę zajmujemy się na neurochirurgii.

Howard pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Rozumiem, że to może wydawać się mniej ambitne. Ale może, biorąc pod uwagę twój... twoje opory przed powrotem do pracy, to właśnie byłaby najlepsza recepta.

Carrie uśmiechnęła się. Miała już rzucić jakąś kąśliwą uwagę na temat recepty ojca lekarza, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Howard wstał, żeby sprawdzić, kto to. Chwilę później Carrie usłyszała jego okrzyk: „O Boże!”.

Wrócił do kuchni z wysokim, szczupłym mężczyzną, któremu krew lała się z nosa. Zatłuszczona szmata, którą tamował krwotok, zostawiała mu na twarzy smugi smaru silnikowego.

– Wygląda na to, że Adamowi coś się nie spodobało – zauważył bez emocji Howard. Dawno już zdał sobie sprawę, że nie ma sensu oburzać się na nowy, wybuchowy temperament syna. – Mogłabyś przynieść panu trochę lodu? Pójdę zobaczyć, gdzie jest mama i chłopak.

Carrie wzięła nieznanego pod rękę i zaprowadziła go do krzesła przy

kuchennym stole.

– Proszę pochylić głowę – powiedziała, kiedy usiadł.

Wyglądał jak bokser gotów uznać się za pokonanego bez walki.

– Mam na imię David. Jestem z „Lowell Observera”. – Jego głos, za sprawą szmaty i rozbitego nosa, brzmiał wyjątkowo wysoko i głucho.

Carrie wyjęła ze spizarki czysty papierowy ręcznik, po czym napełniła plastikowy worek lodem z zamrażarki. Przyłożony na grzbiet nosa zmniejszył opuchliznę i obkurczył naczynia krwionośne. Po paru minutach krwawienie ustało.

– Co się właściwie stało?

David uśmiechnął się z zakłopotaniem i pokręcił głową.

– To była moja wina – odparł. – Naprawdę. To ja jestem temu winny, nie Adam.

Carrie podała mu świeży kawałek ręcznika i wymieniła lód w worku. Przyjrzała się swemu pacjentowi. Był chyba mniej więcej w jej wieku, miał uroczko rozwichrzone włosy i życzliwą twarz. Podejrzewała, że jest typem czarusia.

– Niech pan opowie – powiedziała. – Jestem bardzo ciekawa.

– Przyszedłem tu, żeby przeprowadzić z Adamem wywiad do artykułu na temat PTSD, który piszę, ale pojawiła się wasza matka i Adam się rozmyślił. Nie chciał już rozmawiać.

Carrie się skrzywiła.

– A pan nie przyjął tego do wiadomości. Zgadłam?

David roześmiał się, a Carrie uznała, że jego śmiech brzmi ciepło i zachęcająco. Był wyraźnie zażenowany, ale miał dość pokory, by dostrzec w tym zabawną stronę.

– Godzenie się z odmową nie jest w moim stylu – przyznał. – Nie miałem wrażenia, że jestem natrętny, ale nie rezygnuję tak łatwo.

Carrie wróciła myślami do swojej rozmowy z tatą. *Ja też nie*, uświadomiła sobie.

Rozdział 12

Kiedy Steve Abington otworzył oczy, nie mógł zrozumieć, na co patrzy. Znał to miejsce jak własną kieszeń, ale nie miał zielonego pojęcia, jak tutaj wrócił. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, było... co właściwie? W głowie miał pustkę. Czuł się tak, jak gdyby aż do tego momentu przebywał w kompletnych ciemnościach, w najczarniejszej otchłani, dopóki światło nie zalało oczu i nie zobaczył znów leżącego odłogiem pola, na którym wszystko się zaczęło.

Spróbował wstać, ale miał wrażenie, że przytłacza go jakiś ciężar. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że ma na ramionach plecak ILBE, tak wyładowany, że musiał pochylić się do przodu, kiedy dźwigał się na nogi.

Trzymał też broń, karabinek M4 z celownikiem M68 Close Combat Optics. Skąd go wzięł? I co jeszcze miał przy sobie? Ostrożnie uniósł rękę i namacał metal hełmu ACH. Spostrzegł też, że ubrany jest w mundur w kamuflażu MultiCam. Jak to możliwe? Co robił w tym miejscu? Zdawało mu się, że skończył już z tym wszystkim.

– Steve, Steve, słyszysz mnie?

Abington obrócił się po ciasnym okręgu, ale nikogo nie dostrzegł. Głos, którego nie rozpoznawał, dobiegał znikąd. Obrócił się w koło jeszcze raz i tym razem zauważył kilka okopów strzeleckich. W pobliżu stała prowizoryczna konstrukcja, przypominająca ambonę myśliwską, tyle że na ziemi. Nakryta była zieloną siatką maskującą i zdawało mu się, że pamięta jej montaż. Było to Centrum Dowodzenia Operacyjnego, co oznaczało, że to miejsce musi być posterunkiem ochronnym Wysuniętej Bazy Operacyjnej Darwin. Tak, oczywiście, że tak. Sto metrów dalej widział znajomą linię drzew. Za tymi drzewami ośnieżone szczyty Hindukuszu wycinały poszarpaną wstęgę na bezkresnym błękitnym horyzoncie. Był pewny, że gdyby poszedł jakieś dwa kilometry na zachód, trafiłby na odludną drogę, którą patrolował jego oddział. Talibowie rozmieszczali prowizoryczne miny wzdłuż MSR – głównej trasy zaopatrzeniowej – a jego jednostka używała tej drogi do szybkiej ewakuacji.

– Steve!

Znów ten głos. Bezcielesny. Wszędzie i nigdzie. Skąd on dobiegał?

Błyskawice rozbłysły mu za oczami, wywołując w jego głowie pulsujący ból. Ruszył biegiem do najbliższego okopu. Okulary słoneczne zabarwiały świat, ale

osłaniały oczy przed niesionym przez nieustający wiatr piaskiem i drobinkami ziemi. W chmurach pyłu miliony roztoczy i pcheł piaskowych szybowwały w poszukiwaniu miękkich celów.

– Steve.

Głos. Czy słyszał go w głowie? Czyżby oszalał? Czy nigdy tak naprawdę nie opuścił tego zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca?

– Halo! – krzyknął. Jego głos był chropawy jak papier ścierny, a gardło zdawało się wyschnięte jak ziemia. *Tak suche. Tak spragnione wody.* – Czy ktoś tu jest?

Wiatr pochłonął jego słowa. Abington przykucnął i wbił dłonie w twardą ziemię. Sprawiała wrażenie realnej. Końcami palców udało mu się zagrabić mały kopczyk pyłu. Tak właśnie opisywał ten kraj każdemu, kto o to pytał: pył, góry pyłu, pył wszędzie, gdzie okiem sięgnąć. Pyły i niesione z nimi drobnoustroje zanieczyszczały rany, wymuszając amputację kończyn, które w przeciwnym razie można by uratować. Jakim cudem znalazł się znów w tym piekle? Znów strzegł bazy Delta?

Pamiętał. Pamiętał dokładnie życie tutaj, włącznie z ludźmi ze oddziału. Ale gdzie się wszyscy podzieli?

Spojrzał znów w dół, na spękaną ziemię, i dostrzegł skorpiona pełznącego obok jego stóp. Z miłym dla ucha chrzęstem zmiażdżył go obcasem znoszonego wojskowego buta. Ale tym, co naprawdę chciał zmiażdżyć, byli talibowie. Znajoma zapiekła nienawiść zawrzała na nowo, rozgrzewając go niczym najlepszy burbon z Kentucky. Nic nie sprawiało mu takiej radości jak przesyłanie współrzędnych przez łącze satelitarne i przyglądanie się, jak ziemia wyparowuje w miejscu, gdzie spadły pociski.

To był zacofany kraj: żadnej infrastruktury z prawdziwego zdarzenia. Żadnych porządnych dróg. Nic, tylko pył, jaskinie i talibowie. Jediną rzeczą, jaką talibowie szanowali, była walka. Uczyli zabijania swoje małe dzieci, a w wolnych chwilach grali w polo truchłami zwierząt. Sama dzicz. Neandertalczyki z karabinami.

Abington omiół wzrokiem horyzont, wypatrując jakichkolwiek śladów życia. Był to rejon Tier One, zakazany dla cywilów. Każdy brodaty mężczyzna w luźnych szatach mógł zostać legalnie zaatakowany. Jednak okolica była martwa jak powierzchnia Marsa. Był sam. Zupełnie sam.

– Widzisz to, Steve? Widzisz, co się dzieje?

Abington odbezpieczył karabin i powiodł lufą dookoła. Przymrużył oczy i obnażył zęby jak kobra. Nie mógł dostrzec nic oprócz pyłu, drzew i odległych gór.

– On chyba to widzi – powiedział głos.

– Nie... nie widzę – z jego gardła wydobył się tylko szept.

– To tam jest, Steve. Widzisz to. Widzisz wszystko.

Abington zerknął w stronę okopów. W jednym z nich coś się poruszyło. Czy był to po prostu jego cień? Niemożliwe. Miał słońce przed sobą. Zdawało mu się tylko? Trzymając broń gotową do strzału, ruszył ostrożnie w tamtą stronę.

– Czy ktoś tam jest? – zawołał. – Halo!

Zrobił kolejny krok naprzód, potem jeszcze jeden. Mógł teraz rozróżnić jakiś kształt. Ludzką sylwetkę, ale rozedrganą jak miraż. Podszedł bliżej.

Nie wiedzieć skąd, nad głową przemknął mu pocisk smugowy. W tej samej chwili powietrze eksplodowało grzechotem wystrzałów padających ze wszystkich stron. Serie z rosyjskiego karabinu maszynowego PKM terkotały w uszach, aż szczękały mu zęby. Kule ryły ziemię, a odłamki skał fruwały dookoła. Usłyszał nad sobą świst, jak krzyk drapieżnego ptaka, a potem odgłos upadku gdzieś za plecami. Chwilę później rozległ się ogłuszający huk, od którego zatrzęsała się ziemia.

Abington odwrócił się i zobaczył nie więcej niż dwieście metrów od siebie dwie kłębiące się chmury pyłu. To właśnie był Afganistan. W jednej chwili panował zupełny spokój, w następnej istny chaos.

Z okopu ktoś krzyknął:

– Granaty! Granaty!

Abington zerwał się do biegu. Okop oznaczał bezpieczeństwo. Gdy się zbliżył, z innego dołu wypadła druga widmowa postać, a z lufy jej karabinu buchnęły błyski. Sekundę później w pobliżu spadło kilka pocisków z moździerzy i Abington usłyszał, jak szrapnele bębnią o grube pancerze kilku zaparkowanych pojazdów. Zaraz, czy te ciężarówki były tu wcześniej? Nie teraz. Pytania na potem.

Abington rzucił się głową naprzód do najbliższego okopu. Grzmotnął ciężko o ziemię, aż zaparło mu dech. Fale uderzeniowe eksplodujących pocisków moździerzowych rozdzierały powietrze i niosły się echem po ponurym krajobrazie. Okop był dwuosobowy i żołnierz, do którego dołączył, odpowiedział ogniem ze swego M16.

– Steve! Zaczynaj strzelać! Jeśli nie jesteś ranny, zrób użytek z tej broni, *hombre!*

Hombre. Tylko jeden człowiek tak go nazywał. Abington zmrużył oczy i wyteżył wzrok. Nie widział wyraźnie twarzy mężczyzny, ale szczupła sylwetka wyglądała znajomo, a ten piskliwy głos rozpoznałby wszędzie. Starszy szeregowy Rich Phillips – Karaluch – którego, jak tego robala, na pozór nic nie było w stanie zabić. W końcu udało mu się skupić wzrok i widmo z M16 faktycznie okazało się jego najlepszym kumplem. Tym samym, któremu wpychał z powrotem flaki do rozerwanego brzucha tuż po tym, jak do ich okopu wpadł granat przeciwpancerny.

– Steve? O co chodzi? Co widzisz? – Znowu ten bezcielesny głos.

– Popatrz na jego twarz – odezwał się inny głos. – On tam jest.

Rozdział 13

Carrie nie mogła się pozbyć uśmiechu z twarzy. Promyki słońca przebijające się od czasu do czasu przez grubą warstwę chmur wydawały się przeznaczone właśnie dla niej i podnosiły ją na duchu. Szła w stronę szpitalnego parkingu szybkim i pewnym krokiem.

Nie miała już poczucia, że dryfuje bez celu. Po dwóch godzinach spędzonych z doktorem Alistairem Finleyem potrafiła wyobrazić sobie jakąś przyszłość. Nie była to w pełni skryzalizowana wizja, jednak w otchłani rozpaczy zabłysła iskierka nadziei. Carrie mimo woli pomyślała o ostatnich słowach z *Casablanki*, którą oglądała z tatą poprzedniego wieczoru. „Louis, myślę, że to jest początek pięknej przyjaźni”.

Co zabawne, po części przyczynił się do tego krwawiący nos Davida Hoffmana. Jego oddanie pracy, którego nie zdołał zniszczyć nawet brutalny rozmówca, było podobne do jej poświęcenia.

Nie rezygnuję tak łatwo.

Nie była w nastroju do udzielania się towarzysko, ale kiedy już pomogła Davidowi doprowadzić się do porządku, łatwo przyszło jej przyjąć zaproszenie na kawę w późniejszym terminie. Nie miała złudzeń co do jego motywów: chciał uzyskać informacje na temat Adama i ich rodziny do swego artykułu. Ale udało mu się ją rozśmieszyć.

– Z reguły chodzę na kawę wyłącznie ze specjalistami od techniki raketowej – powiedział. – Chyba raz mogę zadowolić się chirurgiem od mózgu.

Adam nie wrócił, żeby przeprosić, tak więc obowiązek ten spadł na Howarda i Irene.

– Nic się nie stało – odparł David, zbywając rzecz machnięciem ręki. Rozbity nos się zagoi i tyle. – Jeśli Adam się zgodzi, może spróbujemy kiedyś jeszcze raz. Ludzie muszą się dowiedzieć, co się dzieje z naszymi żołnierzami. Muszą zobaczyć wojnę po wojnie.

Przez resztę wieczoru Carrie myślała jedynie o propozycji swego ojca i uporze Davida. Zaszła za daleko, żeby wszystko rzucić. Następnego ranka zadzwoniła do gabinetu doktora Finleya w VA.

Ku jej zaskoczeniu Finley sam odebrał telefon.

– Nazywam się Carrie Bryant – powiedziała. – Mój ojciec, Howard,

zasugerował mi, że powinnam do pana zadzwonić.

Jakoś nie czuła wobec niego skrępowania. Głos miał serdeczny, bez wyraźnego akcentu, i rozmawiał z nią jak z równą sobie. Pamiętał jej ojca i zainteresował się jej wykształceniem i doświadczeniem.

– Czy może pani wpaść do szpitala dziś po południu? – zapytał.

Tego się nie spodziewała. Tempo było ekspresowe, ale to dobrze. Nie będzie miała szansy stchórzyć w ostatniej chwili. Kilka godzin później siedziała w poczekalni jego gabinetu, kartkując magazyn „People”. Po pięciu minutach doktor Finley stanął przed nią we własnej osobie.

Na przekór wymuskanemu zdjęciu na stronie internetowej VA Finley wyglądał na typowego zaganianego profesora. Praca po godzinach dawała o sobie znać w siwiźnie, którą przetykana była jego falująca blond czupryna, oraz w bladych policzkach i zapadniętych oczach. Mógłby budzić grozę, gdyby nie jego pogodna mina i lekko rozmamłany wygląd.

Mocno uścisnął dłoń Carrie.

– Zapraszam do mojego pokoju. Centrum dowodzenia – powiedział z uśmiechem.

Gabinetów lekarskich w BCH żadną miarą nie dało się nazwać wygodnymi, wydawały się jednak luksusowe w porównaniu z wystrojem tego pomieszczenia. Naprzeciw biurka w kształcie litery L, które wyglądało jak kupione na wyprzedaży w Wal-Marcie, stały dwa składane metalowe krzesła. Świetlówka pod sufitem nieustannie brzęczała. Ściany były gołe, jeśli nie liczyć paru dyplomów oraz obowiązkowych zdjęć prezydenta i sekretarza do spraw weteranów. VA przesiąknięte było instytucjonalizmem jak zapachem potu. Jednak człowiek siedzący za biurkiem uśmiechał się życzliwie i zachęcająco.

Carrie wyjrzała przez wychodzące na parking kwadratowe okno. Jej uwagę przykuł przyległy niedokończony, wielopiętrowy budynek z cegły. Przesłaniały go zardzewiałe rusztowania i podarte niebieskie plandeki, ale pod nimi widać było nad głównym wejściem napis: SZPITAL VA – GMACH B. Większość okien Gmachu B była zabita deskami, jednak w niektórych zachowały się szyby.

Doktor Finley zauważył jej spojrzenie.

– To miał być nasz wspaniały nowy obiekt – wyjaśnił z nutą smutku w głosie. – Ale, przykro powiedzieć, wpadliśmy w drobne kłopoty finansowe. Prace zostały wstrzymane prawie dwa lata temu.

– I budynek przez cały ten czas stoi pusty?

– Niestety tak – odparł Finley. – Były ambitne plany rozbudowy szpitala, ale niemal wszystko stanęło w miejscu z powodu ograniczeń budżetowych. Być może któregoś dnia los się odwróci. Ale nie spotkaliśmy się po to, by dyskutować

o finansowych problemach VA.

– Nie, to prawda – przyznała Carrie, siadając na jednym z metalowych krzeseł. – Ojciec przesyła panu pozdrowienia.

– To dobry człowiek – powiedział Finley. – To były piękne czasy. Piękne. Staż był z pewnością najcięższym rokiem w moim życiu, ale myślę, że i najlepszym. Chcę, żeby pani wiedziała, że to nie ze względu na niego panią tu zaprosiłem. Zadzwoiła pani chyba w szczęśliwym momencie dla nas obojga i chciałbym dowiedzieć się o pani czegoś więcej.

Przez następną pół godziny Carrie opowiadała mu o swoich doświadczeniach, planach zawodowych, a w końcu i o incydencie, który wysadził ją z siodła. Finley słuchał z wielką uwagą. Jego życzliwe zainteresowanie pozwoliło jej bez skrępowania wyjaśnić wszystkie szczegóły.

– Tak więc zrezygnowałam – zakończyła. – Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym kontynuować rezydenturę na chirurgii. Ale teraz, mając kilka tygodni na przemyślenie sprawy, uświadomiłam sobie, że nie oznacza to, iż muszę zrywać z medycyną.

Finley dodał parę ostatnich uwag do zapisków, które robił podczas jej monologu.

– No dobrze, a teraz może powiem pani w skrócie, czym się tu zajmujemy.

Przez następną kilka minut opisywał ze szczegółami działalność czegoś, co zdaniem Carrie było typową kliniką neurologiczną. Szpital miał w pełni obsadzony oddział neurochirurgii z akredytowanym programem rezydentur. W połączeniu z neurologiczną praktyką doktora Finleya leczono tu wszystko, od guzów mózgu po migreny. Jednak spośród wszystkich prac wykonywanych na Oddziale Neurologii i Neurochirurgii VA Finley najbardziej podekscytowany był swoim programem głębokiej stymulacji mózgu.

Mówił długo i z wielkim entuzjazmem o tym, jak DBS wykorzystuje umieszczony w mózgu neurostymulator wysyłający impulsy elektryczne do określonych obszarów i o perspektywach leczenia tą metodą szerokiego zakresu schorzeń neurologicznych. Koncentrował się głównie na jej zastosowaniu w terapii zaburzeń ruchowych i wspominał kilkakrotnie o pacjencie, którego ojciec Carrie poznał podczas owej sponsorowanej kolacji dla lekarzy zajmujących się chorobą Parkinsona. Napomknął też o innych zastosowaniach DBS, ale, jak sądziła, celowo ograniczył się tu do ogólnikowych aluzji.

– Proszę posłuchać – powiedział po tym improwizowanym wykładzie na temat DBS. – Nie mogę zaoferować pani faktycznej rezydentury w VA. Wszystkie miejsca mamy już obsadzone, a poza tym jest środek roku.

Carrie starała się nie okazać po sobie zawodu. Podczas ich krótkiej rozmowy jej

nadzieje wzrosły od zera do niebotycznego poziomu.

– Myślę jednak, że byłbym w stanie pani pomóc – ciągnął Finley. – I przypuszczam, że to, co mam do zaoferowania, pomogłoby pani odzyskać pewność siebie.

– Jestem zainteresowana – odparła Carrie.

– Praca w VA zwiększyłaby, moim zdaniem, pani szanse powrotu do formalnej rezydentury neurochirurgicznej w przyszłym roku, a przy okazji zdobyłaby pani mnóstwo wiedzy na temat chorób mózgu, z jakimi normalnie nie ma się do czynienia na neurochirurgii.

Jeśli miejsca dla rezydentów były już zajęte, co mógł mieć na myśli?

– Mogłabym pewnie wykonać jakieś badania nad głęboką stymulacją mózgu w chorobie Parkinsona – stwierdziła Carrie, zgadując, że Finley chce zaproponować jej jakieś stanowisko badawcze, nic związanego z faktyczną opieką nad pacjentami. – To brzmi fascynująco.

Finley ponownie zerknął do swego notatnika.

– Coś pani powiem. Mam lepszy pomysł. W czwartek rano mam dyżur w przychodni i będzie tam paru pacjentów po tym zabiegu na wizycie kontrolnej. Mogłaby pani przyjść?

– Mam badać ich razem z panem?

– Jeśli ma pani ochotę.

– Jestem tylko ciekawa... Jeśli nie ma miejsc dla rezydentów, dlaczego stwierdził pan, że zadzwoniłam w momencie szczęśliwym dla nas obojga? Jak pan może mi pomóc?

– Proszę przyjść w czwartek do przychodni – odparł Finley. – Wtedy wszystko wyjaśnię.

Rozdział 14

Powrót do pracy wydawał się darem niebios. Carrie nuciała radośnie pod nosem. Kilka dni temu leżała apatycznie na kanapie, trollując na Facebooku i robiąc to, przed czym zawsze przestrzegała ją matka – porównując swój stan wewnętrzny z zewnętrznym obrazem innych. Ale dziś była znów w szpitalu, miała badać pacjentów i czuła, że wraca jej zarówno ciekawość, jak i pewność siebie.

Ubrała się profesjonalnie, w niebieską bluzkę i ciemne spodnie, ale czuła się jakby naga bez białego fartucha. Powtórzyła sobie, że jest tu po to, żeby obserwować, nic więcej. Na razie.

Cierpliwości... wszystko po kolei. Zobaczmy, o co chodzi w tej całej głębokiej stymulacji mózgu.

Przedstawiła się recepcjonistce. Kilka minut później jakaś pielęgniarka zaprowadziła ją do przychodni neurologicznej. Zapachy i dźwięki z miejsca wydały jej się znajome i poczuła się jak rozbitek widzący przed sobą suchy łąd.

W gabinecie numer 8 zastała doktora Finleya oraz dwoje ludzi, zapewne małżeństwo, na oko dobiegających siedemdziesiątki. Mężczyzna siedzący na kozetce był mocnej budowy, o ostrzyżonej po wojskowemu głowie, ogorzałej twarzy i obwisłej skórze na całym ciele. Kobieta, drobna i schludnie ubrana w sukienkę odpowiednią do kościoła, trzymała ręce splecione na podołku. Na jej twarzy wyraźnie malowała się troska o towarzysza.

Na widok Carrie Finley się rozpromienił.

– Doktor Bryant – przywitał ją. – Pozwoli pani, że panią przedstawię. Donaldzie i Nancy McCall, to jest doktor Carrie Bryant. Jest znakomitym neurochirurgiem i odwiedziła nas dzisiaj, żeby dowiedzieć się więcej na temat DBS.

Komplement znacząco podniósł jej morale. *Była* znakomitym neurochirurgiem. Rezygnacja z kariery w żaden sposób nie mogła odczynić krzywdy, jaką niechcący wyrządziła biednemu Leonowi. Każdego dnia będzie próbowała ją odpokutować. Chirurgia była i zawsze będzie jej prawdziwym powołaniem. Tak jak Howard Bryant dwukrotnie sprawdzał każdy zastrzyk fenobarbitalu, ona miała zwracać szczególną uwagę na przygotowania przedoperacyjne.

Finley zapoznał ją w skrócie z historią pacjenta. Donald McCall miał zaawansowaną chorobę Parkinsona i przed dwunastoma tygodniami przeszedł zabieg wszczepienia neurostymulatora. Carrie zauważyła równoległe blizny na jego

głowie, gdzie wykonano cięcia, by wprowadzić elektrody do mózgu. Kolejna, pozioma blizna biegła wzdłuż nasady szyi Donalda, a pionowa na klatce piersiowej wskazywała umiejscowienie generatora impulsów. Te dwie były trudniejsze do dostrzeżenia. Z czasem staną się niemal niewidoczne. Carrie była zdumiona, że taką ilość techniki dało się tak skutecznie ukryć. Nawet bystry obserwator by się nie domyślił, że Don McCall ma w głowie druty.

– To jest ósma wizyta pana McCalla u nas – wyjaśnił Finley. – Dostrajamy parametry impulsów. – Odwrócił się do Nancy. – Pani McCall, czy zechciałaby pani opowiedzieć doktor Bryant o zmianach, jakie pani zauważyła przed implantacją i po?

Nancy ożywiła się.

– Z początku sądziłam, że Don jest po prostu przygnębiony – zaczęła opowiadać. – Zrobił się małomówny, a kiedy się odzywał, jego głos brzmiał cicho i bez emocji. – Sama również ściszyła głos, jak gdyby ze współczucia. – Nie powiedziałabym, że sprawiał wrażenie smutnego, raczej nieobecnego. Poza tym zaczął się we mnie wpatrywać uporczywie, co było dziwne i wprawiało mnie w zakłopotanie. Wolniej się też poruszał. Początkowo te zmiany następowały stopniowo. Potem jednak zaczął się przewracać, a mój Don zawsze miał świetne wyczucie równowagi. Grał w hokeja na lodzie w lidze oldboyów, a teraz chodził przygarbiony. Później zaczęły mu się trząść ręce. Doktor dał mu jakiś lek antydepresyjny, ale to nic nie pomogło. Don miał tylko pięćdziesiąt pięć lat, ale zachowywał się jak osiemdziesięciolatek.

Carrie pokiwała głową. Słuchała Nancy z najgłębszą uwagą.

– Nie zaskoczyło mnie, kiedy stracił pracę w Home Depot – ciągnęła kobieta. – Od dawna czułam, że do tego dojdzie. W końcu... ile? jakieś dziesięć lat temu zaczęliśmy chodzić do innego lekarza, a on rozpoznał chorobę Parkinsona, ot tak. –

Nancy pstryknęła palcami. – Zapisał Donowi lewodopę i wyraźnie mu się polepszyło. Ale pewnie wie pani, co było dalej. Znow przyszło pogorszenie, i to mimo zwiększania dawek leku. To było bardzo frustrujące. – Nancy wyciągnęła rękę i pogłaskała męża po ramieniu gestem, który przypominał Carrie jej rodziców. – Potem pojawiły się u niego te dziwne ruchy różnych części ciała: rąk, nóg, szyi, tułowia.

– Dystonia końca dawki – wtrącił Finley.

– Kiedy indziej – mówiła Nancy – wydawał się niemal skamieniały, a przy tym nie można było przewidzieć, kiedy jeden stan przejdzie w drugi. To było jak przełącznik.

– Fluktuacje ruchowe – wyjaśnił lekarz.

– Byliśmy u wielu neurologów, ale żaden nie mógł zaproponować nic nowego

albo innego. Potem doktor Sawyer dowiedział się o programie doktora Finleya, a ponieważ Don jest weteranem... dwie tury w Wietnamie... pomyślał, że mógłby być dobrym kandydatem do głębokiej stymulacji mózgu. – Nancy westchnęła przeciągle. – Miałam wrażenie, że jestem pielęgniarką Dona trzydzieści godzin na dobę.

Jej mąż siedział na kozetce z nieobecnym wyrazem twarzy.

– Don, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym, żeby doktor Bryant zbadała pana krótko – powiedział Finley, po czym wyjaśnił Carrie: – Stymulator Dona jest wyłączony i prosiliśmy go, żeby nie brał dziś rano leków.

Pacjent skinął głową. Jego spojrzenie pozostało puste. Obmacywało go już i szturchało tak wiele obcych osób. Ta kobieta będzie po prostu następną.

Carrie bez problemu weszła znów w rolę lekarki. To naprawdę przypominało ponowne wsiadanie na rower, nawet po paskudnym upadku.

Don ma podręcznikowy parkinsonizm, uznała. Spoczynkowe drżenie prawej ręki, ruchy palców przypominające kręcenie pigułek, spowolnienie ruchów, sztywność pozapiramidowa.

Don z obojętną miną patrzył nieruchomym wzrokiem w okno. Nietrudno było współczuć Nancy. Biedna kobieta musiała opiekować się cieniem swego męża. Carrie zadała Donowi kilka prostych pytań – jak się nazywa, kiedy się urodził, gdzie mieszka. Odpowiadał cicho, zacinając się, niemal niezrozumiale.

Carrie zbadała kończyny pacjenta i stwierdziła klasyczną sztywność typu koła zębatego, dodatni odruch glabellarnej oraz typowe przodopochylenie tułowia. Poprosiła, żeby Don przespacerował się po gabinecie. Parkinsonowski szurający chód małymi kroczkami objawił się w całej okazałości, kiedy próbował iść, i nie było żadnym zaskoczeniem, gdy zastygł nagle w trakcie obrotu w lewo.

Carrie zrelacjonowała wszystkie swoje spostrzeżenia. Doktor Finley wyglądał na zadowolonego.

– Wielu rezydentów neurochirurgów, którzy przechodzą przez mój program, nie ma zielonego pojęcia o zaburzeniach ruchowych ani nie potrafi przeprowadzić porządnego badania neurologicznego – stwierdził. – Jest pani już dwa kroki do przodu.

Podniósł leżące obok na blacie niewielkie urządzenie, mniej więcej wielkości talii kart. Miało plastikową obudowę, kilka przycisków i mały wyświetlacz.

– Ten programator pomoże nam dostroić parametry stymulacji Dona – powiedział. – Wykorzystuje łączność radiową do regulacji ustawień chirurgicznie wszczepionego elementu. Ostatnim razem ustawiliśmy częstotliwość na sto czterdzieści herców, a szerokość impulsu na osiemdziesiąt milisekund. Dzisiaj zwiększymy nieco amplitudę prądu, do dwóch i pół wolta.

Oderwał papierowe osłonki z przyklepców na spodniej powierzchni plastikowego portu i przymocował go nad blizną na klatce piersiowej Dona. Podłączył programator do portu, po czym chwilę sprawdzał, czy urządzenie działa prawidłowo. Kiedy już się upewnił, powiedział:

– Wrócę za chwilę, żeby znów się panu przyjrzeć, Don, i zobaczymy, jak pan sobie radzi, jak to mówią, podłączony. A potem podamy panu leki i przekonamy się, jak działa cały pakiet. Jak pani wie, Nancy, to trochę potrwa – dodał. – Pójdę na razie zająć się innymi. Może zrobi pani sobie kawę? – Odwrócił się do Carrie. –

Moją rolą jest dopilnowanie, by pacjenci otrzymali odpowiednią kombinację leków i stymulacji. Pani zadaniem będzie umieszczanie tych elektrod tam, gdzie powinny się znaleźć. I proszę mi wierzyć, doktor Bryant, nie jest to prosta sprawa.

Pani zadaniem... czy naprawdę miał to na myśli? Czy mogłabym tu pracować?

Bufet w VA, nawet w kwestii menu, wyglądał tak właśnie, jak Carrie się spodziewała. Instytucjonalizm był najwyraźniej nie tylko elementem wystroju, ale i przyprawą. Jak dotąd jednak cieszyła się każdą chwilą spędzoną z doktorem Finleyem. Zajrzeli do paru innych pacjentów i Finley zaproponował, żeby zrobili sobie przerwę na kawę, zanim wrócą do Dona McCalla.

– No i co pani o tym wszystkim myśli? – zapytał, kiedy usiedli.

– Cóż, terapia zaburzeń ruchowych jest znacznie bardziej złożona, niż sądziłam – odparła Carrie. – To interesująca i naprawdę potrzebna praca.

Doktor Finley wyglądał na zadowolonego.

– Pozwoli pani, że będę z panią zupełnie szczerzy, Carrie – powiedział. – Sprawdziłem pani referencje i dowiedziałem się też więcej o tym incydencie, o którym rozmawialiśmy u mnie. Proszę mi wierzyć, wszyscy w BCH i White Memorial są przygnębieni tym, co się stało. Naprawdę panią lubią i wiem, że poprzedniej nocy uratowała pani życie pacjentki. Muszę przyznać, że Metcalf jest wciąż wkurzony, ale on po prostu ma rozdmuchane ego.

Carrie skuliła się na dźwięk nazwiska chirurga.

– Mam nadzieję, że nie prosił go pan o referencje.

Finley roześmiał się.

– Nie sądzę, by kiedykolwiek wróciła pani do jego łask. Ale nie potrzebuję jego rekomendacji, żeby poznać się na czyimś talencie.

– Naprawdę miło mi to słyszeć, ale przyznam, że jestem trochę zbита z tropu – stwierdziła Carrie.

– A to dlaczego?

– Kiedy rozmawialiśmy w pańskim gabinecie, powiedział pan, że nie ma wolnych miejsc dla rezydentów, ale też, że zgłosiłam się w szczęśliwym

momencie. Czy może pan teraz to wyjaśnić?

Finley spoważniał. Przez chwilę mieszał łyżeczką w filiżance. Kiedy uniósł wzrok, w jego oczach znać było napięcie i więcej niż cień smutku.

– Kilka tygodni temu chirurg, który wykonywał u nas zabiegi DBS, Sam Rockwell, miał koszmarny wypadek samochodowy, kiedy wracał z letniego domu w Maine. Widziałem zdjęcia. Jego samochód był zgnieciony jak blaszana puszka. Jego stan jest zbyt niepewny, by można było przewieźć go samolotem do White Memorial, więc rodzina czuwa przy jego łóżku w szpitalu w Bangor. Jest w śpiączce farmakologicznej z obrażeniami wielonarządowymi i sepsą. Istnieje spore ryzyko, że z tego nie wyjdzie. To wielki cios dla naszego programu.

– To okropne – powiedziała współczująco Carrie.

– Sam i ja byliśmy sobie bardzo bliscy i jestem... po prostu zdruzgotany. Tak czy inaczej nie ma szans, żeby wrócił tu w najbliższym czasie, potrzebujemy więc kogoś, kto przejąłby jego obowiązki. Wiem, że pani znakomicie nadawałaby się do tej roli. Sprawa jest dosyć pilna. Obawiam się, że możemy stracić fundusze na pewien wyjątkowy projekt, jeśli natychmiast nie znajdziemy kogoś, kto go zastąpi, ale nie mogę wziąć byle kogo. A jak pani wie, większość wykwalifikowanych kandydatów gdzieś pracuje. Nie możemy czekać, aż będą wolni.

Carrie ponuro pokiwała głową.

– Teraz rozumiem, dlaczego stwierdził pan, że mój telefon był szczęśliwy. – Medycyna była darwinowskim światem. Niepowodzenie jednego lekarza otwierało życiową szansę przed innym. Mimo wszystko korzystanie na cudzej tragedii wydawało się podłe.

– Proszę posłuchać. Wiem, że może pani mieć opory, biorąc pod uwagę nieszczęście, jakie spotkało Sama. Jednak osoba z pani znacznymi umiejętnościami i talentem byłaby dla nas cennym nabytkiem. Mogłaby pani wejść w to z marszu. Mam fundusze i chociaż nie byłaby to oficjalna rezydentura, pozwoliłaby pani, że tak powiem, wrócić w dawne koleiny. Grafik zabiegów nie jest zbyt napięty, zupełnie nie jak to, do czego jest pani przyzwyczajona. Staramy się ograniczać do jednej, dwóch operacji tygodniowo. Po prostu nie mamy dość ludzi do opieki pooperacyjnej i należytej oceny stanu większej liczby pacjentów.

– To wspaniała oferta – zaczęła Carrie, ale Finley przerwał jej.

– Są jednak pewne warunki – powiedział. – To ja panią zatrudniam. Pracuje pani dla mnie, nie dla VA. Będę płacić pani z funduszy DARF-y, a to obejmuje również premie. Te fundusze dają mi olbrzymi wpływ na kierownictwo VA, włącznie z tymczasowym dyrektorem medycznym. Nie będzie pani należała do programu rezydentury, ale to żaden problem. Wiem, że jest pani dobrym chirurgiem, a pani reputacja wyprzedza panią. Wiem, co zrobiła pani dla Beth Stillwell, i moim

zdaniem było to niezwykle. Naprawdę uważam, że wspaniale uzupełniałaby pani nasz zespół.

– Jak mam potwierdzić swoje kwalifikacje? – zapytała. – Minie sporo czasu, zanim będę mogła zameldować się na pokładzie.

Finley nie przejął się tym w najmniejszym stopniu.

– Carrie, ma pani licencję lekarza. Dostała ją pani w momencie ukończenia studiów medycznych. Rezydentura jest częścią szkolenia, ale w świetle prawa, gdyby chciała pani w tej chwili rozpocząć praktykę, mogłaby pani to zrobić. Niektórzy ludzie potrzebują pięciu lat rezydentury, by dotrzeć tam, gdzie trzeba, niektórym wystarczą trzy, ale według mojego rozeznania pani osiągnęła to po roku albo dwóch. Ma pani dość talentu i dość wiedzy, żeby wykonywać tę pracę. Mimo że kieruję neurologiczną rezydenturą w VA, zatrudniam panią do tego programu w ramach prywatnych funduszy. To wielka okazja i będzie pani mogła uwzględnić to doświadczenie w życiorysie, gdyby chciała pani wrócić na oficjalną rezydenturę, choć mam nadzieję, że zostanie pani, żeby uczestniczyć w moim projekcie przez długie lata.

– A na czym konkretnie polega ów projekt?

Finley zrobił zagadkową minę, która przeistoczyła się w szeroki uśmiech.

– Proszę za mną – powiedział.

Carrie ruszyła wraz z nim z powrotem do pokoju Dona McCalla, gdzie Nancy McCall powitała ich promiennym uśmiechem.

– Już jest znacznie lepiej – powiedziała.

– Niech pani sprawdzi sama – zwrócił się doktor Finley do Carrie.

Od razu zauważyła, że drzenie spoczynkowe wyraźnie się zmniejszyło.

– Jak się pan czuje, Don? – zapytała, ponownie sprawdzając napięcie mięśni kończyn. Nie było tak idealnie, by mógł wrócić na łód, a jednak zakres ruchów sprawiał wrażenie, jakby to był zupełnie inny człowiek.

– O wiele lepiej, pani doktor – odparł Don.

Nie zaciął się już, a jego głos był silny i wyraźny.

Po zakończeniu krótkiego badania Carrie wyszła z Finleyem na korytarz.

– Imponujące, prawda? – powiedział lekarz.

– Tak, bardzo – przyznała. – Ale leczenie choroby Parkinsona głęboką stymulacją mózgu nie jest wcale nowością, przynajmniej z tego, co wiem. Tak więc wciąż jestem ciekawa tego projektu, o którym pan wspomniał.

– A gdybym powiedział pani, że można użyć DBS do leczenia zespołu stresu pourazowego... nie leczenia, ale kompletnego wyleczenia?

Carrie, zaskoczona, natychmiast pomyślała o Adamie. Czy to możliwe? Czy to może być prawda?

– Wtedy, doktorze Finley – odparła – powiedziałabym, że zdobył pan nowego chirurga do głębokiej stymulacji mózgu.

Rozdział 15

W środę po południu, tydzień po kawie z doktorem Finleyem, Carrie ruszyła za tłumem lekarzy do ciasnej auli Szpitala VA na comiesięczną konferencję, która była zwykle mile widzianym wytchnieniem od zwykłej harówki. Tym razem oczekiwano jej z tym większym podnieceniem, że doktor Finley miał ogłosić na niej ważny komunikat dotyczący programu głębokiej stymulacji mózgu. Salę wypełniali neurochirurdzy, neurologi i psychiatrzy, zarówno etatowi, jak i rezydenci, a także wiele innych osób zainteresowanych wysłuchaniem tego, co doktor Alistair Finley ma do powiedzenia na temat DBS. Finley, który pracował w tej placówce VA od wielu lat, uważany był za pioniera w stosowaniu tej techniki przy rozmaitych zaburzeniach mózgowych i psychicznych. Być może to właśnie był powód, dla którego to zebranie ściągnęło tak liczne audytorium.

A może chodziło o darmową pizzę.

Carrie usadowiła się na jednym z wyściełanych krzeseł w drugim rzędzie, skąd miała dobry widok na nieduży ekran, na którym wyświetlano slajdy z PowerPointa. Niemal wszyscy byli w strojach chirurgicznych i białych fartuchach, z wyjątkiem dwóch mężczyzn, których Carrie zauważyła w głębi sali. Jeden był łysy, z blisko osadzonymi oczami i okrągłą twarzą. Drugi miał kwadratową szczękę, szerokie barki i kark futbolisty. Jego twarde jak kamień spojrzenie było wesołe jak u grabarza i lekarkę przeszedł dreszcz, kiedy ich oczy spotkały się na krótką chwilę.

Przez miniony tydzień Carrie z zapalem studiowała oprogramowanie, które wykonywało większość czarnej roboty w sali operacyjnej. Jeśli chodziło o zabiegi DBS, umiejętnościami, jakich wymagano od operatora, były przede wszystkim precyzja, sztuka chirurgiczna i cierpliwość, a także umiejętność pracy w zespole. Były to żmudne, skomplikowane procedury; typowa operacja mogła trwać pięć do sześciu godzin. To wyjaśniało, dlaczego nie miał kto przejąć obowiązków Sama Rockwella.

Cały Oddział Neurologii i Neurochirurgii VA liczył raptem trzech pełnoetatowych lekarzy. Trzech! Był mikroskopijny nawet w porównaniu z BCH. Doktor Finley był głównym neurologiem, a zespół chirurgów tworzyli Sandra Goodwin i Evan Navarro. Doktor Goodwin, groźnie wyglądająca kobieta przed sześćdziesiątką, z szerokim czołem i orlim nosem, była szefową działu

neurochirurgii, w związku z czym non stop tkwiła po uszy w papierkowej robocie. W efekcie większość faktycznych chirurgicznych obowiązków spadała na jej koleżkę, doktora Navarra.

Ten szczupły mężczyzna o drobnej twarzy, ciemnych włosach i rozbieganych oczach, był także odpowiedzialny za rezydentów, którzy trafiali do VA ze szpitali filialnych na podobnej zasadzie jak Carrie w BCH. Ona i Navarro niezbyt przypadli sobie do gustu. Uznała go za zimnego i obojętnego – typowego egocentryka. Goodwin wydawała się bardziej sympatyczna, choć wiecznie zabiegana. Na szczęście kontakty Carrie z Navarrem miały być rzadkie. Aby program DBS mógł się rozwijać, Finley potrzebował na wyłączność usług jednego zaangażowanego, oddanego neurochirurga. Ta rola miała należeć do Carrie, stanowić jej jedyny obowiązek.

Pięć minut po wybiciu pełnej godziny doktor Finley podszedł do mównicy i nałożył półksiężycowate okulary do czytania. Jego włosy były zmierzwiłone jak zwykle, ale w wykrochmalonym długim białym fartuchu, świeżo wyprasowanej białej koszuli i klasycznym rypсовym krawacie emanował autorytetem. Obecni, w większości niewyspani rezydenci, zdobyli się na wysiłek, by przestać jeść i słuchać z uwagą.

– Proszę najpierw o film! – zawołał Finley.

Carrie zauważyła, że ledwo przygasły światła, rezydent na prawo od niej odruchowo zamknął oczy. Wymogi programu rezydentury były wszędzie jednakowo drakońskie, rozumiała więc jego zmęczenie. Miała nadzieję, że żaden z rezydentów VA nie będzie musiał nigdy przechodzić takiego koszmaru, jaki ona i, co ważniejsze, Leon Dixon przeszli z powodu jej wyczerpania.

– Ów dżentelmen, nazwijmy go pacjentem X...

Wraz z rozpoczęciem odczytu Finleya Carrie odsunęła na bok nieprzyjemne myśli i skupiła się na słowach swego nowego szefa.

– Pacjent X zaczął wykazywać objawy choroby Parkinsona przed pięćdziesiątką. Jako niepełna dwudziestoletni człowiek, podczas służby w Wietnamie, został wystawiony na działanie *Agent Orange*.

Film stanowił składankę rodzinnych nagrań wideo. Życie udane, ale, jak wkrótce stało się jasne, wcześniej zubożone przez postępy choroby. Objawy były wierną kopią dolegliwości Dona McCalla. Potem ukazano upośledzający charakter parkinsonizmu – spowolnienie ruchów, drżenie i sztywność kończyn. Finley przedstawił anatomie oraz wzajemne powiązania jąder podstawnych, położonych głęboko w mózgu struktur, które ulegały uszkodzeniu w chorobie Parkinsona. W końcu przeszedł do omówienia terapii DBS.

– Początkowo stymulowaliśmy prawe jądro brzuszne boczne wzgórze.

Zmniejszyło to drzenie lewej ręki, ale niewiele więcej. Ta elektroda została usunięta, a sześć miesięcy temu umieściliśmy elektrody obustronnie w części wewnętrznej gałki bladej. Następny film ukazuje obecny stan pacjenta.

Publiczność, wcześniej obojętna, wpadła w zachwyty nad swobodą ruchów pacjenta X. Gdyby Carrie na własne oczy nie widziała spektakularnej poprawy u Dona McCalla, trudno byłoby jej uwierzyć w to nagranie.

– Głęboka stymulacja mózgu jest formą neurochirurgii stereotaktycznej – ciągnął Finley. – Wykorzystując ramę stereotaktyczną oraz obrazowanie tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego, wprowadzamy elektrody głęboko do różnych struktur mózgu, które uczestniczą w złożonych wzorcach ruchowych. Proszę o światło.

Gdy zapaliły się światła, niektórzy z obecnych zaczęli przecierać oczy. Doktor Finley zdjął okulary.

– Wartość głębokiej stymulacji mózgu w chorobie Parkinsona została już dowiedziona. Jednak dla nas tu, w VA, szczególnie ekscytujące jest to, że badamy wykorzystanie DBS jako nowego rozdziału w psychochirurgii. Jesteśmy prawdopodobnie awangardą nadziei w leczeniu chorób, którym nie mogą sprostać najbardziej wszechstronne programy farmakoterapii i poradnictwa psychologicznego.

Finley uśmiechnął się. Wszyscy ci ludzie zebrali się tutaj, by posłuchać na temat planowanego rozszerzenia programu DBS. Sam Rockwell wykonał kilka zabiegów, ale program pilotażowy realizowany był w trybie tajnym.

– Jak wielu z państwa doskonale wie – powiedział – zarówno oddział psychiatrii, jak i przychodnia psychiatryczna VA są przytłoczone liczbą pacjentów z zespołem stresu pourazowego.

Przez kilka minut przedstawiał bulwersujące dane.

– Jedna trzecia weteranów wojen w Iraku i Afganistanie rozważa samobójstwo. – Kiedy porównał to z 3,7 procent całej populacji dorosłych, u których pojawiły się poważne myśli samobójcze, statystyki wojskowe wyglądały groźnie. Zestawił ten odsetek z liczbą faktycznych samobójstw wśród wojskowych: – Dwadzieścia dwa dziennie według najnowszych szacunków, co również dalece wyprzedza wskaźnik sprzed piętnastu lat – stwierdził. – Długoterminowa opieka psychiatryczna jest przez wielu postrzegana jako szkodliwa dla dalszej kariery wojskowej. Choć jest to błędny tok myślenia, pozostaje faktem. Niemal połowa żołnierzy cierpiących na zespół stresu pourazowego nie podda się leczeniu z powodu tej stygmatyzacji lub... a mówię to, wiedząc, komu zawdzięczam swoją pensję... wyzwania, jakie stawia przed nimi przedzieranie się przez skostniałą biurokrację VA. – Odczekał, aż ucichną śmiechy. – Operacja byłaby, jak sądzę, znacznie bardziej atrakcyjna dla

tych ludzi, a zatem wydatnie zwiększyłyby liczbę chętnych do leczenia. – Umilkł na chwilę, by owa myśl mogła dotrzeć do świadomości słuchaczy. – Wyliczono, że ekonomiczny koszt PTSD, ograniczony wyłącznie do wojskowych, wynosi od czterech do sześciu miliardów dolarów. A nie uwzględniono tutaj małżonków i dzieci, których życie również ulega zmianie. Skłonny jestem twierdzić, że te cztery miliardy absolutnie nie oddają skali strat gospodarczych.

Carrie pomyślała oczywiście o Adamie: o jego utraconych zarobkach, zmniejszonym potencjale, a także emocjonalnym i finansowym obciążeniu rodziców oraz okrojeniu ich własnych planów zawodowych. A jej rodzina była tylko drobną częścią tego miliardowego kryzysu.

Doktor Finley pokazał schemat układu limbicznego, skomplikowanej sieci struktur otaczających komory mózgowie. Wśród jego licznych funkcji znajduje się regulacja emocji oraz podstawowych popędów i motywacji. Odpowiada on też za wstępne przetwarzanie i emocjonalne aspekty wspomnień oraz reakcje ciała na stres, takie jak ciśnienie tętnicze, tętno i szybkość oddechów, a także za wzorce snu. Choć tak małe, podłużne ciało migdałowate, zlokalizowane głęboko w przyśrodkowej części płata skroniowego, steruje całą masą ważnych dla życia funkcji.

– Sądzimy, że część podstawno-boczna ciała migdałowatego stanowi najbardziej obiecujący cel dla DBS w leczeniu PTSD. To tutaj właśnie zbiegają się strach i jego wspomnienie. – Finley zmienił slajd. Ciało migdałowate było teraz otoczone czerwonym kółkiem. – To jest epicentrum, gdzie w odpowiedzi na zagrożenie formuje się nasza prymitywna reakcja walki lub ucieczki, gdzie niepokojące wspomnienie wyzwolić może niekontrolowaną wściekłość. Bez względu na to, jak bardzo staramy się osłabić te straszliwe wspomnienia przez psychoterapię lub farmaceutyki, wiemy, że objawy PTSD są strukturalnie wbudowane, dosłownie wdrukowane w mózg. Sądzimy też, że to przetwarzanie w znaczącym stopniu angażuje ciało migdałowate.

Finley wyszedł zza mównicy. Odszukał wzrokiem Carrie, a ona się uśmiechnęła.

– Uświadomiliśmy sobie coś, co mogą państwo uznać za sprzeczne z intuicją. Tradycyjne leczenie koncentrowało się na wygaszaniu niepokojących myśli i wspomnień, analogicznie do sposobu, w jaki leczymy wiele fobii. Pomyślcie o człowieku, który ma na przykład lęk wysokości. Możemy poddać go systematycznemu odczulaniu przez stopniowe umieszczanie go na coraz większych wysokościach. I istotnie taka terapia jest często skuteczna, przynajmniej częściowo, w przypadku fobii, jednak trauma wojenna jest czymś zupełnie innym. Odkrywamy w kontrolowanych doświadczeniach laboratoryjnych, że wstrząsy elektryczne aplikowane zwierzętom zaraz po traumatycznym wydarzeniu znacząco tłumią

behawioralną reakcję tych zwierząt, gdy zostaną one natychmiast ponownie wystawione na uraz. Innymi słowy, wydaje się, że zapominają one swą emocjonalną reakcję na wspomnienie wstrząsu.

Doktor przeszedł do omówienia innego eksperymentu nad pamięcią, z wykorzystaniem terapii elektrowstrząsowej, określanej w skrócie jako EW. Jego uczestnikom pokazano najpierw obrazy straszliwie nieprzyjemnych wydarzeń, po czym proszono o odtworzenie ich z pamięci. Co zaskakujące, badacze odkryli, że pacjenci nie mogli sobie przypomnieć żadnych szczegółów niepokojącego wydarzenia w następnym dniu po zabiegu EW, mimo że polecono im wyraźnie, by zapamiętali je z jak największą liczbą szczegółów. Terapia wstrząsowa najwyraźniej zakłóciła proces zapisu nowego wspomnienia w mózgu. Badacze doszli do wniosku, że istnieje pewien przedział czasu dostępu do zapisanych wspomnień, w którym są one podatne na manipulacje. Mogą być modyfikowane, w ten czy inny sposób zmieniane, przekonfigurowywane lub „rekonsolidowane”.

– Wiemy – ciągnął – że w PTSD silne powiązania wspomnień z emocjami wprawiają ciało migdałowate w działanie na najwyższych obrotach. Gdybyśmy mogli stłumić tę hiperaktywność ciała migdałowatego, wszystkie społeczne i psychologiczne skutki zespołu stresu pourazowego... koszmary senne, depresja i apatia, niepokój i lęk, ryzyko popadnięcia w narkomanię i alkoholizm, huśtawka emocjonalna, skłonność do wybuchów agresji... wszystko to i jeszcze więcej mogłoby odejść w niebyt. – Finley pokazał szereg slajdów przedstawiających dokładniej anatomię ciała migdałowatego i jego powiązania z innymi strukturami limbicznymi. – Naszym celem nie jest wymazanie wspomnień, ale wymazanie związanych z nimi emocji. Pozwólcie, że powtórzę: celem naszego programu DBS jest wymazanie emocji. Aby tego dokonać, musimy najpierw odtworzyć uraz, jakiego doznał dany żołnierz, tak żywo, jak tylko to możliwe. Zaraz potem, gdy wspomnienie zostanie już przywołane, wyciszamy ciało migdałowate przez głęboką stymulację jego części podstawno-bocznej, przerywając jego emocjonalne i fizjologiczne powiązania z tym wspomnieniem, i w ten sposób rekonsolidujemy wspomnienie bez emocjonalnego kontekstu.

Kobieta siedząca tuż za Carrie, jedna z psychiatrycznych pielęgniarek środowiskowych, podniosła rękę.

– Jak zamierza pan to zrobić? W jaki sposób chce pan odtworzyć tak żywo te wspomnienia?

Twarz Finleya rozpromieniła się, jak gdyby czekał właśnie na to pytanie.

– Cieszę się, że o to zapytałaś, Wando. Dzisiaj oficjalnie ogłaszam rozpoczęcie niezwykle ekscytującego programu pilotażowego, uruchomionego z pomocą DARP-y.

Jego spojrzenie powędrowało na tył sali, gdzie siedzieli dwaj mężczyźni w garniturach. Carrie domyśliła się, że to przedstawiciele władz.

– Proszę unieść rękę, kto z państwa słyszał o DARPA-ie?

Podniosła się mniej niż połowa rąk w sali. Jedna z osób odczuła potrzebę wyjaśnienia:

– Znam ten skrót, ale nie wiem dokładnie, co oznacza.

Doktor Finley lekko skinął głową.

– To Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności. Ich misją jest tworzenie nowatorskich technologii służących bezpieczeństwu narodowemu. To właśnie ci goście dali nam Internet, z całym szacunkiem dla Ala Gore.

Wzmianka ta wywołała parę wybuchów śmiechu. Finley ciągnął:

– PTSD wśród wojskowych przybiera powoli rozmiar epidemii, tak więc DARPA eksperymentuje z terapią ekspozycyjną z wykorzystaniem rzeczywistości wirtualnej.

Carrie drgnęła. DARPA tworzyła remake wojny w komputerze.

– Możemy odtworzyć wybuch miny, w którym kumple żołnierza zginęli lub zostali okaleczeni – mówił Finley do słuchającej w milczeniu publiczności. –

A kiedy mózg jest w stanie wymuszonego pobudzenia, mamy sposobność poddać tego pacjenta głębokiej stymulacji mózgu z nadzieją, że wymażemy emocję związaną z owym straszliwym wspomnieniem raz na zawsze. Nie mówię o jej osłabieniu. Mam na myśli trwałe usunięcie. Panie i panowie, z radością widzę, że Calvin Trent z DARPA-y jest dzisiaj wśród nas. Cal, czy mógłbyś wstać?

Cal, mężczyzna o barkach Atlasa i lodowatych oczach, zerknął na swego towarzysza i wstał powolnie. Ukłonił się publiczności, po czym usiadł z powrotem. Finley albo nie rozpoznawał, albo nie znał drugiego gościa, który towarzyszył Trentowi. Tak czy inaczej, łysy facet z okrągłą twarzą i oczkami jak paciorki nie został przedstawiony.

– Cal nadzoruje wszystkie aspekty programu – powiedział Finley – włącznie z symulacją VR, którą stosujemy przed zabiegiem DBS, by zrekonolidować traumatyczne wspomnienie. Rzeczywistość wirtualna sprawia, że wielu pacjentów jest silnie pobudzonych, ale to stan przejściowy. Potrzebujemy ekstremalnych emocji, odświeżenia negatywnego wspomnienia, możliwie krótko przed zabiegiem. Gdy tylko rozpoczynamy stymulację prądem elektrycznym, emocje zostają wygaszone. Po prostu. Cal pozyskał do tego programu niezwykle zespół ludzi i wiem, że potraktujecie go z całą uprzejmością.

Carrie wyczuwała narastające wśród publiczności ożywienie. Niemal wszyscy z obecnych mieli jakiś kontakt z powracającym żołnierzem albo członkiem

rodziny, których życie niszczyło PTSD. Pomyślała znów, jak zawsze, o Adamie.

Poucające było zamieszkać z bratem i widzieć, jakie trudności przeżywają on i jej rodzice. Czasami jego koszmary senne były tak straszne, że krzyczał, jakby go mordowano. Widziała, jak unika wychodzenia z domu, zwłaszcza w tłum. Nawet spacer po lesie za domem były męką. Gdziekolwiek szedł, rozglądał się po ziemi, wypatrując min. Dobrze chociaż, że zaczął biegać razem z nią – cóż, w praktyce to raczej ona truchtała w tyle za Adamem. Biedny chłopak mógł bez trudu przegonić ją, ale nie swoje demony.

Nadzieja, jaką widziała w oczach doktora Finleya, entuzjazm w jego słowach wzmogły jej zaangażowanie. Finley powiedział jej o tym programie, kiedy już przyjęła propozycję pracy, ale widząc, jakie podniecenie wywołał jego odczyt, nabrała jeszcze większego zapału. Była dumna, że uczestniczy w tworzeniu tak ważnej terapii. To zabawne, że nazwała swoją złotą rybkę Limbik, od układu, w którego skład wchodziło ciało migdałowate.

Czy był w tym palec losu?

Rozdział 16

Sala operacyjna była estradą Carrie, a ona sama skrzypaczką, mającą za chwilę dać popisowy koncert. Znow miała na sobie swój zielony strój chirurgiczny pod białym fartuchem. Wkrótce miała wejść do sali przygotowawczej, żeby odwiedzić pacjenta, swojego pierwszego w VA. Jego czaszka będzie pierwszą, jaką przewierci po niemal dwumiesięcznej przerwie.

Początkowo obawiała się zazdrości ze strony innych rezydentów. Oni musieli walczyć o swoje miejsca, podczas gdy ona otrzymała coś, co wielu mogło postrzegać jako porezydencki etat, pracując bezpośrednio z jednym lekarzem nad jednym projektem, bez uciążliwego obowiązku pełnienia dyżurów czy opieki nad pacjentami. Nie dało się zaprzeczyć, że był to atrakcyjny układ, ale doktor Finley wyjaśnił wszystkim, że Carrie nie otrzyma za to punktów na poczet rezydentury. Nie, jej problem polegał na czymś innym. Czy spisie się na miarę swoich możliwości?

Choć zabieg DBS, który miała wykonać, był stosunkowo prosty, nie znaczyło to, że nie grożą przy nim powikłania. Odślanianie mózgu zawsze wiązało się ze znacznym, zagrażającym życiu ryzykiem. Jednak implantacja elektrod nie była tym samym, co odsysanie wynaczynionej krwi z obrzękniętego już mózgu, gdzie chirurg musiał być zarówno szybki, jak i dokładny. DBS wymagało jedynie cierpliwej dokładności, pedantycznej dbałości o szczegóły. Carrie wzięła kilka uspokajających oddechów. Powinna poczekać na doktora Kauffmana, anestezjologa, ale uznała, że sama jest w stanie przeprowadzić przedoperacyjną konsultację.

Pięć minut później weszła do sali przygotowawczej. Jak grom uderzył ją widok człowieka, który mógłby być bliźniakiem jej brata. Siedzący nieco bezwładnie w beżowym fotelu mężczyzna wyglądał jak Adam nie sprzed wojny, ale po niej. Miał tak samo mocno zarysowaną szczękę i ostre rysy twarzy, ale ogolona głowa podkreślała jego zapadnięte policzki i wychudłą sylwetkę. Jego ręce upstrzone były paskudnie wyglądającymi fioletowymi sińcami, które rozlewały się spiralnie jak miniaturowe mgławice. Ale tym, co naprawdę ją zaniepokoiło, były jego oczy. Wydawały się puste, wpatrzone gdzieś w przestrzeń.

Carrie nie była pewna, czego oczekiwać od pacjentów po sesji z użyciem wirtualnej rzeczywistości, ale z pewnością nie tego. Jej pacjent miał zamglony

wzrok ofiary wypadku. Wiedziała, że będzie pod wpływem środków uspokajających, ale trudno było patrzeć na jego cierpienie. Carrie zwykle zajmowała się urazami i chorobami, które uwidaczniały się na skanach MRI. Rany tego człowieka były równie poważne, mimo że nie dawały się zobrazować.

Zerknęła na kartę. Znała nazwisko tego żołnierza, ale chciała sprawdzić je jeszcze raz, by się upewnić, że nie ma pomyłki. Ojcowska lekcja na temat ważności szczegółów nie poszła w las.

Abington. Sierżant sztabowy Steve Abington.

Carrie pomogła Abingtonowi wstać z fotela i usiąść na kozetce, ustawionej ukosem na końcu pomieszczenia obok blatu z wbudowanym zlewem. Nad nim znajdowała się przytwierdzona do ściany stalowa szafka z lekami. Początkowo Carrie sądziła, że Abington jest wychudzony, ale kiedy wstał, zobaczyła rysujące się pod skórą mięśnie. Miał ciało niemal pozbawione tłuszczu, jak sportowiec.

– Jak się dziś czujesz, Steve?

Brak odpowiedzi.

Abington utkwiał wzrok w wiszącej na ścianie przed nim oprawionej w ramki fotografii parku Boston Common, ale zdawało się, że patrzy nie na nią, tylko poprzez nią. Carrie stała wystarczająco blisko, by wyczuć woń detergentu i środka myjącego; pachniał instytucjonalną czystością. Zerknęła jeszcze raz na kartę. Nie podano adresu. Nie podano danych osoby kontaktowej. Być może był bezdomny, a teraz został podopiecznym VA. Czego używano zamiast mydła tam, gdzie mieszkał?

– Jestem chirurgiem. Będą cię dziś operować. Chciałam spotkać się z tobą przed zabiegiem na wypadek, gdybyś miał do mnie jakieś pytania. Czy chciałbyś o coś zapytać, Steve?

Abington obrócił głowę powolnym, sennym ruchem, jakby przepychał się przez melasę. Jego usta zaczęły się wykrzywiać, być może aby uformować jakieś słowo, jednak wydobył się z nich jedynie gardłowy, przypominający chrząknięcie dźwięk.

Carrie wiedziała, że zabieg DBS musi być wykonany w krótkim przedziale czasowym bezpośrednio po sesji wirtualnej rzeczywistości, kiedy traumatyczne wspomnienie jest najbardziej świeże. Nie wiedziała dokładnie, gdzie DARPA prowadzi symulacje ani kto przyprowadził Abingtona do tego pokoju, ani dokąd ta osoba poszła. Te kwestie wykraczały poza obszar jej obowiązków zawodowych.

– Masz na rękach pełno siniaków, Steve. Możesz mi powiedzieć, skąd się wzięły?

Abington przeniósł wzrok na jedną ze swych sponiewieranych rąk. Powoli ją uniół, jak marionetka, którą pociągnięto za sznurki, i przyjrzał się jej z apatycznym, biernym zaciekawieniem. Potem jego twarz przybrała na powrót ten

sam martwy wyraz.

Carrie przystąpiła do sprawdzania jego parametrów życiowych, a on nie stawiał oporu. Ciśnienie krwi: sto dziesięć na siedemdziesiąt. W normie. Stan podgorączkowy, a odruchy prawidłowe. Tętno również mieściło się w zakresie wartości prawidłowych dla dorosłego w spoczynku. Poświeciła mu w oczy kieszonkową latarką – źrenice o pięciomilimetrowej średnicy, nieco rozszerzone, ale równe i szybko reagujące na światło. *Dobrze*. Wszystkie formularze zgody zostały podpisane. Nie było powodu, by nie przystąpić do zabiegu.

– Steve, czy rozumiesz, co teraz nastąpi? Czeka cię bardzo ważna operacja.

Ponownie usta Abingtona zadrgały od słów, których nie był w stanie wyartykułować. Potem, ni stąd, ni zowąd, zaczął się poruszać, podrygując w miejscu jak niespokojne dziecko i masując siniaki na rękach. W oczach Carrie wyglądało to, jakby jego rozładowana bateria nagle się włączyła.

– Ty nie wiesz... ty nie wiesz – wymamrotał. Raz po raz przestawał rozcierać sińce, by przeciągnąć palcami po świeżo ogolonej czaszce.

– Czego nie wiem? – zapytała Carrie.

– Nie powinno mnie tu być.

– Wiem, że się boisz, Steve. Ale chcemy ci pomóc.

Abington zignorował jej słowa.

– Coś jest nie tak. Nie powinienem być tutaj. – Jego głos nabrał wysokości i mocy. – Ty nie wiesz.

– Steve, spokojnie.

Abington umilkł. Opuścił bezwładnie ręce na kolana.

Carrie odetchnęła z ulgą, żałując, że nie zaczęła z rozpoczęciem konsultacji na doktora Finleya lub Kauffmana. Finley uprzedzał ją, że pacjenci przed zabiegiem mogą być mocno pobudzeni. Byli nadwrażliwi po sesji wirtualnej rzeczywistości.

– Steve, pozwól, że ci wyjaśnię, co...

Abington wyciągnął ręce, chwycił ją za gardło i ścisnął tchawicę. Wstrząśnięta Carrie wpadła w panikę. Oczy wyszły jej z orbit. Mogła wciągnąć do płuc jedynie drobne łyki powietrza. Zatoczyła się w tył, ściągając Abingtona z kozetki. Padając na podłogę, mężczyzna puścił jej gardło, a ona okręciła się na pięcie i popędziła w stronę drzwi. On jednak rzucił się za nią. Z szybkością, która zadawała kłam jego wcześniejszemu odrętwieniu, chwycił tył jej rozwianego fartucha w chwili, kiedy sięgała za klamkę. Przyciągnął ją do siebie, tak że znów wpadła w jego ramiona, po czym obrócił ją twarzą w swoją stronę.

Jego usta ułożyły się w przerażający grymas – raptowny przeskok od apatii do wściekłości. Środek uspokajający, który mu podano, najwyraźniej przestał działać. W jego oczach płonęła żądza mordu.

– Nie powinienem być tutaj – wysyczał jej w twarz. – Muszę stąd zwiewać!

Plecami zwrócony był w stronę drzwi, które zamknęła przed ich rozmową, ona zaś miała za sobą blat i szafkę z lekami. Wywinęła się z jego uścisku.

– Na pomoc! – wrzasnęła, choć wątpiła, by ktokolwiek mógł ją usłyszeć. Ściany były zbudowane z grubego betonu, a stanowisko pielęgniarek znajdowało się w głębi korytarza. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Odwróciła się tyłem do Abingtona, by przyjrzeć się zamkniętej na klucz szafce z lekami.

– Ratunku! – krzyknęła ponownie. – Niech mi ktoś pomoże!

Za plecami słyszała, jak Abington bełkocze coś niezrozumiale. Gmerała w kieszeni, szukając kluczy. Czy zaryzykuje rzut oka za siebie? Nie mogła się powstrzymać. Abington krążył pod drzwiami niczym zwierzę w klatce. Zrobił krok w jej stronę.

– Mnie tu nie ma. Nie powinienem być tutaj – powiedział.

Wydobyła klucze, ale ręce drżały jej tak bardzo, że nie była pewna, czy zdoła uporać się z zamkiem. *A w ogóle który klucz otwiera tę cholerną szafkę?*

Przez chwilę przesuwiała je w palcach. W pęku było ich zbyt wiele. Usłyszała, jak Abington robi kolejny krok w jej stronę. Jeden. Pojedynczy. Krok. Gardło bolało ją w miejscu, gdzie ją dusił. Ciężki oddech żołnierza zdawał się dobiegać z każdego kąta pomieszczenia.

Znalazła wśród zbieraniny na kółku mały kluczyk i spróbowała włożyć go do zamka. Nic z tego. Nie pasuje. Szukała dalej. Szafka była cała z metalu; gdyby nie to, rozbiłaby szybę.

– Pomocy! – wrzasnęła.

Na kółku był jeszcze jeden mały kluczyk. Ale czy to nie ten sam, który dopiero co sprawdzała?

– Posłuchaj. Nie powinienem być tutaj – mamrotał Abington.

Carrie wepchnęła drugi klucz do zamka i tym razem pasował. Przekręcił się gładko i gwałtownym ruchem otworzyła drzwiczki. Wśród masy artykułów medycznych zobaczyła rozmaite fiołki leków i kilka strzykawek w opakowaniach jednorazowych.

– Nie powinienem być tutaj – odezwał się Abington gdzieś za jej plecami.

Szperała wśród licznych fiołek z lekami, dopóki nie znalazła diazepam. Trzymając buteleczkę w jednej ręce, zębami rozerwała opakowanie ze strzykawką. Stała wciąż odwrócona tyłem do niego, usiłując przebić igłą zatyczkę fiołki.

– Steve, nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze. Proszę, uwierz mi. Zrobię ci zastrzyk, żebyś się uspokoił.

Napełniła strzykawkę, jednak w tej samej chwili Abington przyskoczył i uderzył ją w plecy. Energia ciosu pchnęła ją na szafkę z taką siłą, że zapało jej dech.

Otoczył ją ramionami w pasie i razem zwałili się na podłogę. Carrie starała się za wszelką cenę nie upuścić strzykawki. Wykręciła się pod nim, by podrapać mu twarz. Ale Abington przewrócił ją na plecy i wbił kolana w jej żebra tak mocno, że przeraziła się, iż złamie jej mostek.

Ponownie złapał ją za gardło, ale tym razem nie zacisnął chwytu.

– Gdzie jest Smokes? Hunter. Czy Hunter jest tutaj? A Karaluch? – Jego głos zabrzmiał błagalnie. – Karaluch!

Carrie zmusiła się, by przestać się szamotać.

Tylko nie duś mnie... proszę, nie duś.

Lata praktyki chirurgicznej dały jej ogromną pewność ręki. Była w stanie nakierować strzykawkę na miejsce wkłucia, nie zwracając uwagi Abingtona.

– Proszę, Steve. Nie zrobię ci krzywdy.

– To ty, Karaluch? – zapytał Abington. – Musisz mnie stąd zabrać. Nie powinienem być tutaj.

Zacisnął dłonie na gardle Carrie niczym pyton zacieśniający sploty. Miała jedną szansę. Jedną. Wbicie igły nie było łatwe nawet w normalnych okolicznościach. Ale najważniejszy był czas indukcji. Lek musiał zadziałać, i to szybko. Abington znów zwiększył siłę chwytu. Wciąż mogła wciągnąć nieco powietrza do płuc, ale trudno było nazwać to oddychaniem. Z jej gardła wydobywały się gulgoczące dźwięki za sprawą śliny, która nie mogła znaleźć ujścia.

Jedna szansa... jedna jedyna szansa...

Żyłą szyjna Abingtona pulsowała jak gruby niebieski cel. Carrie zamachnęła się szerokim łukiem. Mężczyzna zrobił unik i ułożenie jego ciała uległo zmianie. Zamiast trafić w szyję, Carrie wbiła igłę w jego ramię, prosto w mięsień. To opóźni działanie leku, ale mimo to wcisnęła tłoczek.

Próbowała powiedzieć coś, ale nie zdołała wydusić słowa. Zostawiła strzykawkę wbitą w ramię Abingtona i palcami usiłowała rozewrzeć jego dłonie. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Ścisnął jej gardło jeszcze mocniej. Brak tlenu zaczął dawać o sobie znać i nie mogła już opanować paniki. Kopała i wierzgała dziko, ale nie dała rady go zrzucić. Mięśnie nóg zaczęły jej drzeć, a oczy zaszyły łzami.

Nie chcę tak umierać...

W panicznym strachu szarpnęła się pod nim, kopnęła metalowy taboret, który przewrócił się, robiąc przy tym sporo hałasu, ale nic to nie dało. Abington nie puszczał. Poczula, że zaraz straci przytomność. Jej ciało stało się bezwładne, jakby zamiast krwi w jej żyłach płynęła nowokaina. Zamknęła oczy. Nie chciała, żeby ostatnią rzeczą, jaką będzie oglądać, była twarz mordercy.

A potem przepełniło ją uczucie głębokiego spokoju, lekkości. Czula, jak jej strach odpływa, w miarę jak ciemność się pogłębia.

Chwilę później znów oddychała swobodnie, a pokój pojaśniał. Uczucie lekkości minęło, kiedy zamrugała i otworzyła oczy. Obok niej klęczał doktor Finley. Minę miał zatroskaną, jak gdyby był jej rodzonym ojcem.

– Carrie, nic ci nie jest? Słyszysz mnie?

Zamglonym wzrokiem zobaczyła, jak doktor Kauffman z okazałej postury sanitariuszem obezwładniają Abingtona.

Rozdział 17

David Hoffman przyniósł dwie kawy do stolika, gdzie czekał Adam Bryant. Młody weteran zadzwonił nieoczekiwanie i zaprosił go na kawę w Hopkinton, więc reporter, obawiając się, że Adam ponownie zamknie się w skorupie, odwołał swoje plany z Gabby i Emmą. Było mu przykro, że sprawił małej zawód, ale zabierze ją do dziecięcego muzeum jakiegoś innego dnia.

– Pije pan czarną, prawda? – zapytał, stawiając parujący kubek.

Adam w odpowiedzi upił łyk. David przybył kwadrans przed czasem i zastał go już na miejscu, w dżinsowej kurtce i spłowiałym T-shircie, które pasowały do artystycznego klimatu kafejki. Jego rozbiegane oczy i czujna postawa powiedziały Davidowi, że celowo wybrał właśnie ten stolik, z najlepszym widokiem na salę i łatwym dostępem do wyjścia. Wyszukanie i ostrożność pozwoliły mu przeżyć wojnę. Ciałem mógł być tysiące kilometrów od afgańskiej ziemi, ale pewne instynkty pozostały.

David usadowił się na wyściełanym krześle ze swym espresso. W porównaniu z Bliskim Wschodem ta kawa smakowała jak woda.

Sądził, że ma już w garści zlecenie od Agencji Reutera, które wyśle go do Arabii Saudyjskiej, ale najwyraźniej jego reputacja wciąż go wyprzedzała. Wiedział, że prędzej czy później wróci do łask, więc nie martwił się zbytnio tym niepowodzeniem. Poza tym artykuł na temat PTSD był zbyt ważny, by pisać go w pośpiechu. Chciał przedstawić sprawę jak należy, a perspektywa Adama mu w tym pomoże.

– Cieszę się, że pan zadzwonił – powiedział. – Nie spodziewałem się tego.

– No tak – odparł Adam. – Ja sam się wahałem. Uznałem, że jestem winien panu przynajmniej przeprosiny.

– Nie jest mi pan nic winien, panie Adamie. Po prostu chcę opisać pańską historię. Jeżeli jest pan skłonny się nią podzielić.

Adam przyjrzał się badawczo jego twarzy.

– Nos wygląda całkiem nieźle – stwierdził. – Wie pan, naprawdę jest mi przykro, że straciłem panowanie nad sobą.

– Byłem natrętny. Sam się o to prosiłem.

Adam nie zaprzeczył.

– Ma pan coś przeciwko temu, żebym robił notatki? – zapytał David.

– Nie. Musi pan przedstawić to jak należy.

David wyciągnął notatnik i pióro.

– Więc od czego chciałby pan zacząć?

– Sam nie wiem. Trudno powiedzieć, co mnie tak rozwaliło.

– Chce pan powiedzieć, że to nie było jakieś konkretne traumatyczne wydarzenie?

Kąciki ust Adama drgnęły lekko, unosząc się na kształt uśmiechu.

– To *wszystko* było jednym traumatycznym wydarzeniem, chłopie.

– Proszę zacząć, od czego pan chce, co pierwsze przychodzi panu na myśl. –

David zachowywał się, jak gdyby dysponował nieograniczonym czasem.

Gdyby Adam mógł słyszeć ciężką rozmowę, jaką reporter odbył z Anneke w drodze do Hopkinton, wiedziałby, że wcale tak nie jest. Wciąż molestowała Davida o artykuł, a on wciąż wysuwał rozmaite wykręty. Jak dotąd przeprowadził wywiady z dwoma pozostałymi weteranami, których nazwiska jej podał, rozmawiał z administratorem szpitala imienia Waltera Reeda, skontaktował się z pewnym emerytowanym brygadierem i przeczytał kilka książek na temat PTSD, omawiających problem zarówno od strony neurologicznej, jak i socjologicznej. Książki były pouczające, nie mogły jednak właściwie oddać głębi bólu, który widział w oczach Adama.

Zdawało się, że młody człowiek nie umie znaleźć odpowiednich słów.

– Jak tam było? – podpowiedział David. – Może opisałby pan typowy dzień.

Adam zastanowił się.

– No cóż, typowy dzień zaczynał się o piątej trzydzieści od zaprawy, która mogła trwać aż do zarzygania. Najczęściej jednak była to tylko godzina. Zaprawa to trening fizyczny.

– Domyśliłem się, ale dziękuję.

Adam kontynuował:

– Potem była PT, to znaczy poranna toaleta, i śniadanie. Po prostu normalka. Przeważnie było zupełnie spokojnie. I wie pan co? To zabawne, że właśnie spokój był najtrudniejszy do zniesienia. Dawał czas i miejsce na myślenie o różnych sprawach, o domu, o wszystkim, za czym się tęskniło, ale przede wszystkim o kumplu, którego poprzedniego dnia rozerwało na strzępy. Człowiek miał czas myśleć o tym, że wkrótce idzie na patrol i może sam zostanie rozerwany na strzępy. – Przy ostatnich słowach zrobił w powietrzu cudzysłów. – Zasadniczo do tego sprowadzało się nasze życie. Patrol i baza. Wychodziliśmy na cztery lub pięć godzin z rana, wracaliśmy i szamaliśmy coś, potem znów patrol, a potem kolacja i może jeszcze jeden patrol po niej. A czasem szło się na patrol i jakiś T-man strzelał ci w dupę. A czasem ktoś nie wracał.

David domyślał się, że T-man oznacza taliba. Sprawdzi to później, nie chciał przerywać monologu Adama.

– Czasami człowiek wracał z patrolu cały roztrzęsiony – mówił dalej weteran. –

Dobrze było, jeśli udało się zasnąć. A potem, ledwo się człowiek obejrzał, znów była pobudka. I bum, znowu był na patrolu, tak samo jak wczoraj. To istny Dzień Świstaka.

– Nawet strzelaniny?

– Taak, no cóż, to było jedyne odstępstwo od rutyny, ale na COP-ie nawet to staje się rutyną. Rozumie pan?

David skinął głową, zapisując skrót COP w swoim notatniku – jeszcze jedna rzecz do sprawdzenia.

– Może pan opowiedzieć mi o jednym z tych patroli, na którym coś poszło nie tak?

Przyglądając się Adamowi, pomyślał o swoich kolegach, którzy dołączyli do amerykańskich jednostek w Iraku lub Afganistanie i dostali się pod ostrzał albo omal nie weszli na improwizowane miny (albo, co gorsza, naprawdę weszli), i wszyscy wrócili nawiedzeni. Nie wierzył w duchy, a jego przekonania religijne były bliskie agnostycyzmowi, ale wielu z tych, którzy wrócili, zdawało się nękanym przez złego ducha, który nie pozwalał im zaznać spokoju.

Wyraz twarzy Adama się zmienił, jakby położył się na niej cień, kiedy szukał w pamięci jakiegoś szczególnie nieprzyjemnego wspomnienia.

– Podczas mojej ostatniej tury urządziliśmy COP w opuszczonej szkole. – Jego głos przycichł. – COP to posterunek bojowy, w razie gdyby pan nie wiedział.

David odnotował to obok skrótu w notesie.

– Spaliśmy na łóżkach polowych z karabinami i plecakami rozrzuconymi wkoło jak gromada dzieciaków na szkolnej wycieczce – ciągnął Adam. – Tamtejsze powietrze wiecznie stało martwe. Nocami było tak diablo gorąco, jakby człowiek spał w saunie. Podmuch wiatru czuło się tylko wtedy, jeśli koleś obok ciebie puścił bąka. Ale zna pan rytm dnia, prawda?

– Patrol i baza – odparł David.

Adam wyglądał na zadowolonego.

– No więc jestem na patrolu. Dzień wcześniej strzelali do nas jacyś T-mani, a dzieciaki z wioski powiedziały, że wiedzą, gdzie oni są. Za dziesięć dolców i parę batoników można dostać od miejscowych cynk na każdy temat. Wzięliśmy dwa zespoły bojowe na wyprawę myśliwską. Mieliśmy ze sobą AK, RPK, RPG, całe mnóstwo broni. Szliśmy polować na T-manów.

Jego noga zaczęła podrygiwać tak gwałtownie, aż trząsł się stół. Nie odrywając od niego oczu, David bez słowa przestawił kubki z kawą na sąsiedni

stolik, by uniknąć rozlania.

– No więc idziemy za tymi dzieciakami jakąś gównianą drogą. – Głos Adama w miarę opowiadania nabierał energii. – Posuwamy się z zachodu na wschód. Cały czas wypatruję przewróconej ziemi. Wie pan, na szkoleniu uczono nas, że przewrócona ziemia może oznaczać minę. Ale mówię panu, tam ziemia była przewrócona wszędzie, gdzie spojrzeć. Wszędzie. Więc każdy krok mógł oznaczać koniec. Bum! Każdy jeden krok.

W kawiarni było chłodno, ale na jego czole lśnił pot. Strzelał oczami na wszystkie strony, jak gdyby przepatrywał kafelkową podłogę w poszukiwaniu przewróconej ziemi.

– Dotarliśmy do wioski kompletnie roztrzęsieni, a większość dzieciaków, które nas prowadziły, wróciła do swoich lepianek – podjął wątek. – Oczywiście wieśniacy wyszli nas powitać, ale trudno rozpoznać, kto z nich jest sprzymierzeńcem, a kto talibem. No więc oprócz min wypatrywaliśmy też karabinów pod ubraniem, bo zasady mówią, że nie wolno nam strzelać do nikogo, kto nie jest uzbrojony. Ale to jest dynamiczny... to znaczy brutalny rejon. Po prostu nie wiadomo, kto zamierza cię zabić, a kto chce ci pomóc. Totalne szambo.

Sięgnął po kawę i upił długi łyk, po czym odstawił ją na sąsiedni stolik. David mógł jako tako odnieść się do jego przeżyć, gdyż sam parę razy znalazł się w ryzykownych sytuacjach, ale to, przez co przeszedł ten człowiek, nie dawało się z nimi porównać. Myśl, że każdy krok może być ostatnim, była naprawdę przerażająca. Nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek mógł pozostać taki sam jak dawniej, żyjąc w tego rodzaju ustawicznym stresie.

– No więc wracamy, teraz z tylko jednym przewodnikiem, dwunasto-, góra czternastoletnim chłopakiem. Jest chudy, brudny i macha do nas jak szalony, żebyśmy przyspieszyli kroku. – Adam zamachał rękami, naśladując gesty dzieciaka. Jego oddech stał się płytki. – Wskazuje na drzewa jakieś sto metrów od nas, tuż za obrzeżem wioski. Do diabła, tam nawet drzewa są brązowe. Czasami, kiedy dopada mnie stres, muszę popatrzeć na coś zielonego, żeby przypomnieć sobie, gdzie jestem. – Przerwał, by spojrzeć przez okno na zieleń Hopkinton, ale kiedy znów odwrócił wzrok, nie wydawał się przekonany, że jest bezpieczny. –

Tak czy inaczej, idziemy za tym dzieciakiem jeszcze kawałek drogą, ale co krok, rozumie pan, patrzymy pod nogi. Ta przewrócona ziemia. I nagle dzieciak odwraca się i po prostu uśmiecha się do nas. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. To była czysta radość. A potem sięga pod ubranie, wyciąga pistolet i strzela. Starszy szeregowy O'Malley jest na samym przedzie i dostaje kulę w pierś. Niedoczekanie, żeby smarkaczowi udało się ten strzał. Pocisk nawet nie drasnął kamizelki kuloodpornej O'Malleya. – Adam oddychał teraz ciężiej. Biegał oczami po całym

pomieszczeniu, widząc wszędzie widma. Pot z czoła zaczął spływać mu po twarzy, jak gdyby znów znalazł się w afgańskim upale. – Paru kumpli z miejsca przyskakuje do O'Malleya. Ale ja skupiam się na dzieciaku. Strzela znowu, ale tym razem wszyscy się ruszamy, więc pudłuje. Teraz mam go na linii strzału. Podnoszę swój AK i oddaję serię. Rat-tat-tat. Rat-tat-tat.

Uniósł ręce, jak gdyby trzymał w nich karabin. Wycelował wyimaginowaną broń w klientów kafejki. Kilku z nich zauważyło to i zareagowało unikami. Głos łamał mu się z emocji. Wciągał haustami powietrze.

– Rozwaliłem go, wie pan? – Po twarzy spływały mu łzy. Otarł je grzbietem dłoni. – Rozdarłem tego kurewskiego dzieciaka na pół. Różowa mgła dookoła. A my wszyscy szukamy na oślep kryjówek, sądząc, że gdzieś tu są T-mani i że to zasadzka. Ale tam nie było żadnych T-manów, tylko miny na skraju drogi. Szczeniak wiedział, że zginie. Chciał po prostu, żebyśmy się rozbiegli. Żebyśmy zapomnieli o ostrożności. – Łzy, pot, smarki były jawnym dowodem na to, że Adam przeżywa ponownie tę chwilę, jak przypuszczalnie niemal każdej nocy w koszmarnych snach. – No i, rzecz jasna, usłyszałem huk, potem następny, a potem czyjaś ręka uderzyła mnie w twarz. Wszędzie były urwane kończyny. Fruwały, kurwa, dookoła. Tak nie powinno być. Gdzie nie spojrzeć krew, kończyny i flaki.

Davidowi również serce waliło jak szalone.

– No więc tkwimy w tym całym gównie, rozumie pan. *Ratować rannych!* Ratować ich! Cztery punkty. Przywrócić oddychanie. Powstrzymać krwawienie. Opatrzyć ranę. Podjąć kroki przeciwwstrząsowe. Mamy nasze pieprzone QuickCloty i widzę, jak Doc P zajmuje się O'Malleyem, upychając je jak pakuły w nieszczelnym oknie. Ale krew sika z niego tak, jak wieloryb wytryskuje wodę. A ja tylko rozglądam się dookoła. Dzwoni mi w uszach. Mam wrażenie, że jestem pod wodą. Porucznik Carlson zbliża się do mnie, czołgając się po ziemi, ale potem widzę, że ma urwane nogi i ciągnie za sobą wnętrzności. – Adam umilkł i pochylił głowę. Kiedy uniósł wzrok, jego oczy były zaczerwienione, ale suche. – Ciało nie są po to, żeby rozrywać je w taki sposób.

Rozdział 18

Steve Abington oddychał swobodnie, dwanaście razy na minutę, odurzony lekami, z tlenem dostarczonym mu przez rurkę dotchawiczą. Zaledwie parę godzin temu był rozjuszony, ale teraz wyglądał spokojnie dzięki kombinacji propofolu i fentanylu, dawkowanej ze znanstwem przez anestezjologa, doktora Williama Kauffmana. Pacjent był podłączony do respiratora, a także do standardowego zestawu urządzeń monitorujących EKG, ciśnienie tętnicze i wysycenie krwi tlenem. Jego wyniki badań laboratoryjnych mieściły się w granicach normy. A jednak niewiele brakowało, by nie znalazł się na tym stole operacyjnym.

Cały zespół zebrał się na długą dyskusję w sali konferencyjnej na końcu tego samego korytarza co pomieszczenie, w którym Abington zaatakował Carrie. Przez pierwsze kilka minut Finley przeproszał ją za to, że nie uczulił jej wystarczająco na kwestie bezpieczeństwa. Obiecał, że zrewiduje dokładnie wszystkie procedury i normy, a nowe zasady zaczną obowiązywać jeszcze przed końcem tygodnia.

Tymczasem zaś trzeba było zdecydować, co zrobić z Abingtonem. Było to zebranie medyczne, ale oprócz doktora Finleya, Kauffmana i Carrie uczestniczył w nim także Cal Trent z DARP-y. Ubrany był szykownie w dopasowany niebieski garnitur, który eksponował jego muskularną sylwetkę. Na konferencji wydał jej się zimny i oschły, ale tu zachowywał się życzliwie i pojednawczo.

– Jest mi naprawdę przykro z powodu tego, co się pani przydarzyło – powiedział niskim, chropawym głosem. – Musi pani być mocno wstrząśnięta.

– Nic mi nie jest – odparła Carrie, co było tylko częściowo prawdą. Była roztrzęsiona, ale w pełni zdolna do pracy. Przeszła krótkie badanie lekarskie i okazało się, że oprócz paru siniaków na szyi nie doznała żadnych poważnych urazów. Szybko odzyskała równowagę.

– Czas jest tu sprawą kluczową – powiedział Finley. – Abington jest w tej chwili aktywny.

– Aktywny? – zdziwiła się Carrie.

– Został poddany symulacji VR. Teraz właśnie te odtworzone wspomnienia są wzmacniane emocjonalnie przez połączenia w ciele migdałowatym. DBS musi zablokować te emocjonalne powiązania i stracimy na to szansę, jeśli wspomnienie się ulotni. To nie jest choroba Parkinsona, gdzie mamy luksus dokonywania subtelnych poprawek w ciągu tygodni i miesięcy.

– Nie wiadomo, czy rzeczywistość wirtualna okaże się skuteczna po raz drugi – dodał Trent. – Nie mamy na ten temat żadnych danych. Teoretycznie taka reakcja może się już u niego nie powtórzyć. Jeśli nie zainstalujemy i nie uruchomimy systemu DBS, Abington może stracić jedyną szansę powrotu do normalnego życia.

– Carrie, chcę, żebyś wiedziała, że to zależy od ciebie – podkreślił Finley. – Z medycznego punktu widzenia nie widzę żadnego powodu, by nie przystąpić do operacji. Ale oczywiście nasz główny chirurg musi być w znakomitej formie.

Oczy wszystkich spoczęły na Carrie. Zaczynała wpadać w kompleks sali konferencyjnej; ostatnim razem, kiedy była w jednej z nich, stanowiąc, tak jak teraz, centrum zainteresowania, rozmowa potoczyła się koszmarnie.

A teraz znów musiała podjąć ważną decyzję. Czy powinna operować? Choć decyzja należała do niej, wiedziała dobrze, jakiego wyboru oczekuje doktor Finley i reszta zespołu. Co do Abingtona, jasne było, że jego wściekłość wyzwoliła hiperrealistyczna symulacja VR. Carrie szczerze współczuła swemu napastnikowi i nie winiła go za jego zachowanie. Ale zastanawiała się, co widział podczas symulacji. Czy tam był Smokes? Karaluch? Co im się przydarzyło?

Choć Carrie przyszła do VA, by dojść do siebie po druzgocącym niepowodzeniu zawodowym, ta procedura mogła naprawdę pomóc ludziom takim jak Adam czy Steve, których myśli i życie zmieniły się w nieustający koszmar. W tej chwili Carrie była tu jedynym chirurgiem. To była jej praca, a okazja mijała szybko. Jeżeli DBS mogła uwolnić Abingtona od straszliwych wspomnień w tak cudowny sposób, jak złagodziła objawy Dona McCalla, Carrie była mu to winna: podejmie tę próbę.

– Mogę operować. Bierzmy się do roboty.

Carrie nie mogła uwierzyć, jak naturalnie przyszedł jej powrót na salę operacyjną. To było miejsce, gdzie czuła się panią sytuacji. Przypomniła sobie stare porzekadło o jeździe na rowerze. W odróżnieniu od weteranów, u których miała nadzieję wyleczyć PTSD, nie miała problemów ze stłumieniem wspomnienia ataku Abingtona. Skupiła się na czekającym ją zadaniu, przywołując nie tylko swe najnowsze szkolenie, ale także lata rezydentury.

Przygotowując się do wiercenia otworów w czaszce, wróciła myślami do tak niedawnego czasu, kiedy w jej rękach leżało życie Beth Stillwell. W porównaniu z tym dzisiejszy zabieg technicznie to bułka z masłem.

Doktor Finley, pełniący rolę neurofizjologa zespołu, był w sali operacyjnej, by rejestrować wzorce impulsów elektrycznych z komórek nerwowych, kiedy Carrie będzie powolutku kierować elektrodę w stronę części podstawno-bocznej ciała migdałowatego.

Śródoperacyjny monitoring neurofizjologiczny był trudną dyscypliną, wymagającą lat dodatkowych studiów. Oddanie Finleya swemu powołaniu zrobiło na Carrie wrażenie. Nie ulegało wątpliwości, że lekarz wnosi do VA światowej klasy kunszt medyczny.

Poza Finleyem i Kauffmanem w skład zespołu wchodził doktor R.T. Patel, rezydent neurochirurgii pierwszego roku. Choć w zasadzie miał tylko obserwować, również przebrał się w jałowy strój, na wypadek gdyby Carrie potrzebowała jakiegokolwiek nieprzewidzianej pomocy. Główną troską Carrie podczas operacji pozostawało krwawienie śródczaszkowe, po zabiegu zaś miała czujnie wypatrywać oznak infekcji.

Na sali obecna była także Donna Robinson, instrumentariuszka wyglądająca na tyle lat, że mogła leczyć weteranów z Wietnamu, oraz Louise Phillips, która jako pielęgniarka operacyjna nie miała na sobie maski i czepka. Carrie wątpiła, czy znajdzie wśród personelu VA kogoś takiego jak Valerie, ale ufała w umiejętności i sumienność tych kobiet i miała nadzieję, że z czasem nawiąże dobre stosunki z nowymi koleżankami.

Prawdziwym kluczem do sukcesu było wyrobienie w sobie zdolności kierowniczych i komunikacyjnych, tak by zespół wspierał ją podczas każdej operacji. Na szczęście, choć nikt nie ukrywał, że Sam Rockwell był lubiany i że go brakuje, nie wyczuła śladu niezadowolenia, że zajęła jego miejsce.

Cokolwiek to znaczyło, pomagając Carrie przebrać się do operacji, Donna wyraziła podziw dla jej twardości i siły ducha. Parę godzin temu lekarka drżała o swoje życie, ale zamiast zamknąć się w sobie, otrząsnęła się z tego doświadczenia jak dzieciak po upadku na placu zabaw. Przepracowawszy większość życia w VA, Donna oceniała ludzi według ich odporności psychicznej.

Carrie umocowała czterema śrubami ramę stereotaktyczną na ogolonej głowie Steve'a Abingtona, stosując znieczulenie miejscowe, mimo że był już pod wpływem środków znieczulających. Następnie przewieziono go do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie czekał aparat MRI przeznaczony wyłącznie do użytku śródoperacyjnego, i uzyskano szereg ultracienkich przekrojów jego mózgu w sekwencjach T1 i T2. Po powrocie na salę operacyjną skany te zostały załadowane do stacji nawigacyjnej. Obrazy komputerowe zapewniały dokładne współrzędne XYZ ciała migdałowatego Abingtona, dając Carrie wszelkie informacje, jakich potrzebowała, by poprowadzić elektrody stymulujące do celu najmniej inwazyjną drogą. Tego rodzaju sprzęt zapobiegłby katastrofie Leona Dixona, pomyślała ze smutkiem. Była to niezwykle kosztowna aparatura i Carrie zastanawiała się, jak wielką część rachunku pokryła DARPA. Prawdopodobnie większość.

Doktor Kauffman utrzymywał Abingtona w stanie uśpienia za pomocą propofolu i fentanylu. Mógł dodać izofluran, gdyby zaistniała potrzeba głębszej sedacji. W wypadku pacjentów z chorobą Parkinsona i dystonią, których trzeba było wybudzić od czasu do czasu, by ocenić ich funkcje motoryczne, środki takie jak propofol były idealne. Jednak ostatnią rzeczą, jakiej ktokolwiek sobie życzył, był kolejny napad szału w trakcie operacji, tak więc lepiej było, by ten pacjent pozostał nieprzytomny.

Carrie poprowadziła skalpel łukiem za linią włosów po prawej stronie głowy i przewierciła odsłoniętą kość czaszki wiertarką Midas Rex, wykonując standardowy czternastomilimetrový otwór trepanacyjny. Wkręciła w niego zacisk Stim-lock. Do ramy podłączony był elektroniczny układ naprowadzający i Carrie rozcięła oponę twardą. Następnie, kierując się wskazaniem systemu nawigacyjnego, bardzo wolno wprowadziła do mózgu długą metalową kaniulę. Nie spieszyła się. Starannie omijała wszelkie bruzdy, gdzie mogła się kryć pełna krwi tętnica lub żyła.

Ostrożnie zagłębiła kaniulę o kolejny milimetr. Zerknęła na komputer i przesunęła ją jeszcze odrobinę dalej. Mijały długie minuty, gdy w skupieniu prowadziła kaniulę w stronę obszaru docelowego. Zaczęły ją boleć nogi, a czoło pokrył lśniący pot, który domagał się otarcia. Napięcie pleców powodowało nieprzyjemny i uporczywy tępy ból. Z upływem godzin zaczęła odczuwać każdy cios Abingtona. Ignorowała ucisk w gardle i obolały bark, którym uderzyła o podłogę. Musiała być w pełni skoncentrowana – i była.

Tego rodzaju neurochirurgia angażowała inne grupy mięśni, co potęgowało zmęczenie Carrie. Trzymała się twardo, czerpiąc z zasobów sił psychicznych, które zawdzięczała triathlonowi.

Na początku zabiegu Finley i pozostali pytali ją raz po raz o samopoczucie. Jej odpowiedzią było niezmiennie lakoniczne „w porządku”, więc ostatnia kontrola miała miejsce przeszło godzinę temu.

Po trzech godzinach operacji Carrie oznajmiła cicho:

– Wydaje mi się, że jesteśmy u celu. – Usunęła sondę i zastąpiła ją trzema miniaturowymi elektrodami rejestrującymi.

– O, sygnał jest znakomity – powiedział Finley. – Widzę typowy wzorzec wyładowań neuronalnych z podstawno-bocznej części ciała migdałowatego. Świetna robota, Carrie. Precyzyjne trafienie już przy pierwszej próbie. Parametry fizjologiczne są idealne.

Mikroelektrody zostały zastąpione przez elektrodę stymulującą, a kaniulę usunięto. Carrie zamocowała zacisk. Teraz pozostało już tylko przeprowadzenie odsłoniętego przewodu do klatki piersiowej. Minęły cztery godziny. Abington

został obrócony na lewy bok. Prawą stronę jego szyi i klatki piersiowej odkażono betadyną. Carrie wykonała nacięcie skóry głowy i kolejne, pięciocentymetrowe, po prawej stronie klatki piersiowej, tuż pod obojczykiem.

Palcami oddzieliła skórę od tkanki podskórnej, tworząc kieszeń, w której miał się znaleźć podskórny generator impulsów. Następnie wprowadziła trokar tunelujący, przepychając go pod skórą głowy i dalej przez szyję, by dotrzeć do rany na piersi. Przeciągnęła przewód przez trokar i połączyła go z generatorem w klatce piersiowej. Na koniec zaszyła oba cięcia. Urządzenie było teraz zainstalowane i potencjalnie zdatne do użytku.

Pięciogodzinna operacja dobiegła końca.

Abington miał spędzić noc na sali pooperacyjnej oddziału neurologii. Potem wróci do domu, gdziekolwiek to jest, i ponownie zgłosi się za trzy tygodnie na obserwację do doktora Finleya, który odpowiadał za regulację sygnału generatora impulsów.

Finley jeszcze raz sprawdził odczyt sygnału.

– Doktor Bryant, namierzyła pani właśnie ziarnko ryżu w masie galarety. Gratuluję!

Carrie zdjęła maskę i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Rozdział 19

W ciągu dnia stołówka w podziemiu szpitala VA tętniła życiem, ale o tak późnej porze panowała tu martwa cisza. Kuchnię zamykano o piętnastej, później dostępna była jedynie kawa z ekspresu i to, co można było kupić w automatach. Wyżywienie w VA częściowo subsydiował rząd, co być może tłumaczyło, dlaczego nie przewidziano obiadów dla personelu.

Carrie przebrała się w świeży strój chirurgiczny i przysiadła do doktora Finleya przy długim stole. Steve Abington był w sali pooperacyjnej i, jak się domyślała, właśnie budził się z narkozy. Mogła spokojnie wypić kubek kawy, a potem pójść skontrolować stan swego pierwszego – i najbardziej pamiętnego – pacjenta DBS.

Finley rozpływał się w uśmiechach.

– Carrie, to było po prostu wspaniałe. Zachowywałaś się na sali operacyjnej jak weteranka... dowcip niezamierzony.

Carrie uśmiechnęła się promiennie i podmuchała na swój napój.

– Dziękuję, doceniam komplement.

– Mikroelektrody są umieszczone idealnie – ciągnął Finley. – Dokładnie w podstawno-bocznej części ciała migdałowatego. Wzorzec impulsów neuronalnych, pooperacyjna tomografia komputerowa, wszystko jest najzupełniej prawidłowe. Byłaś tak spokojna i skoncentrowana. Wiedziałem, że nadajesz się do tego zadania.

– To była praca zespołowa, tak jak mnie uprzedzałeś.

– Ha! Skromny neurochirurg... chyba pierwszy, jakiego spotkałem.

Jeden mały krok dla Carrie Bryant, ale – miejmy nadzieję – olbrzymi skok dla sierżanta Steve'a Abingtona.

– Biorąc pod uwagę wszystko, przez co przeszłaś, i nie chodzi mi tu tylko o ten atak, to, czego dziś dokonałaś, Carrie, było po prostu niezwykle. Jestem z ciebie naprawdę zadowolony.

Carrie usiłowała nie popaść w euforię, ale zarumieniła się, słysząc jego pochwały. Tak ciężko walczyła, by wrócić do gry, że wciąż nie mogła uwierzyć, iż jej się to udało. Teraz, po tak bogatym w wydarzenia dniu, sądziła, że będzie śmiertelnie zmęczona. Być może padnie na nos później, ale w tej chwili tryskała energią.

Po mniej więcej dwudziestu minutach rozmowy na temat DBS, zabiegu i szans

Abingtona na wyzdrowienie doktor Finley zerknął na zegarek.

– Rany, już po ósmej. Znaczą się uwielbiam to miejsce, ale już w czasie rezydentury postanowiłem nie traktować żadnego szpitala jako sypialni. Więc widzimy się jutro? – Puścił do niej oko.

Chciał się w ten sposób dowiedzieć, czy Carrie wróci. Biorąc pod uwagę, że mogła stracić życie, było to rozsądne pytanie.

– Nic mnie nie powstrzyma – odparła z uśmiechem.

– Tylko żadnych więcej wizyt u pacjentów bez asysty – uprzedził Finley. – Nasz najlepszy chirurg od DBS musi być bezpieczny, jeśli mamy od czasu do czasu wyleczyć kogoś z zespołu stresu pourazowego.

Carrie zasalutowała.

– Doktor Bryant zamelduje się na posterunku, panie dowódczo.

Finley roześmiał się, wstając z krzesła. Kurze łapki w kącikach jego oczu zaznaczyły się wyraźniej.

– Mamy szczęście, że jesteś twarda i skłonna do poświęceń. Ale proponuję, żebyś poszła do domu i trochę odpoczęła. To był dzień pełen przygód.

Carrie skinęła głową.

– Nie zatrzymuję cię. Posiedzę jeszcze trochę nad tą kawą i odpiszę na parę e-maili.

Doktor Finley sięgnął po aktówkę i kilka razy przyjaźnie poklepał ją po ramieniu, po czym ruszył ku drzwiom. Carrie, sącząc kawę, odprowadziła go wzrokiem. Rozkoszowała się spokojem; lubiła być w szpitalu o tej porze. W BCH odpowiadała za całą gromadę pacjentów, z których każdemu mogło się nagle pogorszyć i często tak właśnie się działo. Była wdzięczna za każdy kwadrans wytchnienia.

Być może ta praca otworzy przed nią drogę powrotu do innych typów neurochirurgii, a może nie. Jej matka propagowała uważność, życie chwilą obecną. Carrie nie miała nic przeciwko zatrudnieniu się tutaj na dłużej. Może po rozmowie z Abingtonem, kiedy zobaczy efekt zabiegu, który wykonała – cud w stylu Dona McCalla – zechce przekwalifikować się na specjalistkę od głębokiej stymulacji mózgu.

Zaśmiała się z własnych myśli, wstając, by wyrzucić kubek po kawie. Kto wie, jak długo utrzyma się w VA? Do diabła, cieszył ją już sam powrót na salę operacyjną. Jednak ta sama ambicja, która popchnęła ją ku neurochirurgii, zasiadła ponownie za kierownicą jej umysłu.

Na razie zamierzała się skoncentrować wyłącznie na pacjentach. Ledwo zaczęła tę pracę. Musi pobyć tu trochę i poznać cały program, zanim podejmie jakiegokolwiek decyzje. Najlepiej zrobi, skupiając się na swych obowiązkach. A w tej

chwili oznaczało to kontrolną wizytę u Steve'a Abingtona, zanim odfajkuje ten dzień. Ten zwariowany dzień.

Mimo że funkcjonowała tu jako etatowy lekarz, instynkt kazał jej odwiedzić swojego pacjenta po zabiegu. Było to coś, co wpajano jej przez ostatnie cztery lata. Jednym z przywilejów lekarza była możliwość wykonania operacji i pozostawienia całej reszty rezydentom. Ale sercem i duszą Carrie była wciąż rezydentką, tak więc wizyta u Abingtona była niemal odruchem. Ten człowiek wprowadził omal nie odebrał jej życia, ale pomógł jej także wrócić do zawodu.

W windzie wcisnęła trójkę i wjechała na piętro, gdzie mieściła się sala pooperacyjna oddziału neurochirurgii.

Korytarz na trzecim piętrze był ciemny, cichy i pusty, kiedy szła w stronę czterołóżkowej sali. Szpitale często sprawiały wieczorami wrażenie wyludnionych, ale w VA panowała wyjątkowa martwota.

Carrie wcisnęła przycisk interkomu i zaczęła, aż podwójne drzwi się odblokują. W środku trzy z czterech przeszklonych boksów były puste. Steve Abington leżał w łóżku na końcu ostatniego boks, już bez rurki intubacyjnej, z podłączoną kroplówką, śpiąc spokojnie z głową uniesioną o piętnaście stopni. Umieszczona przy łóżku lampka na giętym wysięgniku oświetlała jego twarz.

Marianne, pulchna pielęgniarka z nocnej zmiany, siedziała za szerokim biurkiem pogrążona w lekturze. Przed nią znajdował się rząd monitorów, wszystkich ciemnych z wyjątkiem jednego, który rejestrował tętno i ciśnienie krwi Abingtona. Jak gdyby Carrie potrzebowała kolejnego przypomnienia, że nie ma tutaj nic do roboty, do ściany za stanowiskiem pielęgniarki, łatwa do odczytania z daleka, przyklejona była taśmą lista wewnętrznych numerów telefonu rozmaitych pracowni. U dołu listy, wielkimi literami, widniał numer Evana Navarra, a także jego identyfikator i hasło do systemu, gdzie zlecano badania laboratoryjne i tak dalej. To było wyraźnie jego królestwo.

– Dzisiaj jest spokój – odezwała się Marianne piskliwym głosem, czujna mimo oczu utkwionych w cklwym romansidle.

Carrie wzięła kartę Abingtona i ruszyła w stronę jego łóżka.

– Nie przywykłam widywać tu lekarzy o takiej porze! – zawołała Marianne. – Zazwyczaj wzywam ich, jeśli dzieje się coś złego, a z tymi ludźmi po DBS przeważnie nic złego się nie dzieje. Po ekstubacji oddychają zupełnie normalnie. Nie miałam jeszcze problemów. Hej, jest pani tu nowa?

Carrie wróciła do biurka. Z uśmiechem wyciągnęła dłoń.

– Jestem doktor Carrie Bryant. Pracuję z doktorem Finleyem. Jestem nowym chirurgiem od DBS.

Szpitalny pokój Abingtona nie był przytulnym miejscem. Wypełniony specjalistycznym sprzętem i monitorami sprawiał w najlepszym razie onieśmielające wrażenie i nie był przeznaczony do dłuższego pobytu. Aparatura wydawała monotony szum, a w panującej na oddziale ciszy każde bipnięcie słychać było z całą wyrazistością.

Carrie przystanąła w drzwiach i przyjrzała się ze współczuciem swemu napastnikowi. Przekonywała sama siebie, że człowiek, który dusił ją parę godzin temu, nie był tą samą osobą, która leży teraz na szpitalnym łóżku. Przed oczyma stanęło jej wspomnienie szalonego wzroku Abingtona i nagle ciarki przeszły jej po plecach. Pamiętała każdy szczegół napaści: ucisk na gardle, przerażenie, które ogarnęło ją, gdy jej tchawica traciła drożność. Woń jego gorącego oddechu, kiedy pochylał się nad nią z płonącymi oczami. Ale... to nie nienawiść się w nich malowała, czyż nie? To był strach. Tak, Abington był przerażony, kiedy rzucił się na nią. Jego atak przypominał raczej tonącego szamocącego się z ratownikiem.

Podeszła do jego łóżka i wyciągnęła z kieszeni fartucha miniaturową latarkę.

– Dobry wieczór, panie Abington – powiedziała. – Chciałabym obejrzeć pańskie źrenice. Czy zechce pan skupić wzrok na światełku?

Steve Abington bardzo wolno otworzył oczy i spojrzał pustym wzrokiem na lekarkę. Jeśli pamiętał Carrie i to, co jej zrobił, nie znalazło to odbicia na jego twarzy.

Carrie szybko sprawdziła jego odruch źreniczny, a następnie ruchomość gałek ocznych.

– Teraz proszę wodzić wzrokiem za światłem. W górę... dobrze. W lewo. W prawo... dobrze.

Ogolona głowa Abingtona była spowita bandażami, ale rama stereotaktyczna została zdjęta i uwolniony od skomplikowanej, skomputeryzowanej aparatury wyglądał przystojnie.

– Miał pan dziś ciężki dzień. Nie zostaliśmy sobie należycie przedstawieni. Pamięta pan cokolwiek z naszego spotkania?

Abington, wciąż sprawiający wrażenie półprzytomnego, nie odpowiedział. Carrie sprawdziła jego odruchy i upewniła się, że są w zasadzie jednakowe we wszystkich kończynach.

– Był pan strasznie zdenerwowany, kiedy pana przyprowadzili – mówiła. – Pamięta pan? Był pan bardzo zdezorientowany, mówił pan, że nie powinien pan być tutaj.

Abington wymamrotał coś pod nosem. Wyglądał na zagubionego i osamotnionego. W jego rozbieganych oczach tliła się konsternacja.

– Steve, czy może pan mi powiedzieć, jaką ostatnią rzecz pan pamięta?

Nagle, jak gdyby uniosła się jakaś zasłona, pacjent ożywił się i jak szalony rozejrzał dookoła. Zacisnął szczęki, a jego twarz opanował wściekły grymas. Zasłonił uszy dłońmi i zaczął potrząsać głową, jak gdyby coś w nich utkwilo. Carrie przeraziła się, że wyrwie sobie kroplówki z ramienia.

– Dosyć. Milcz już, milcz, milcz – odezwał się Abington. Mówił bełkotliwie. Jego mina przywodziła na myśl osaczone zwierzę.

– Steve, co się stało? Co się dzieje?

Abington wciąż gorączkowo kręcił głową na boki, trzymając ręce na uszach.

– Gdzie jesteś? Przestań! Przestań to powtarzać! Wodź wzrokiem za światłem, wodź wzrokiem za światłem, wodź wzrokiem za światłem! Za jakim światłem? Za jakim światłem? Przestań!

– Steve, uspokój się. Proszę, uspokój się. Wszystko jest w porządku.

Wydawało się, że usłyszał ją, ale jeszcze bardziej go to wzburzyło.

– Czemu wciąż mówisz, że wszystko jest w porządku? Nic nie jest w porządku. Nic nie jest w porządku! Nic nie jest w porządku! Przestań już!

Obrócił się na brzuch i nakrył głowę poduszką. Carrie słyszała jednak, jak mamrocze raz za razem te same słowa.

– Wodź wzrokiem za światłem... wodź wzrokiem za światłem...

Rzuciła się do drzwi. Nietrudno będzie uspokoić Abingtona lekami. Pytanie brzmiało: czy kiedykolwiek da się go wyleczyć?

Rozdział 20

Identyfikator dyndający na czerwonej smyczy informował, że pielęgniarz nazywa się Lee Taggart. Miał na sobie świeżo odprasowany biały strój i równie niepokalane płócienne tenisówki, które niosły go szybkim krokiem przez długi korytarz. Zatrzymał się przed stanowiskiem Marianne i pochylił naprzód, chcąc zwrócić na siebie jej uwagę.

– Co ciekawego czytasz?

Jego ciepły głos oderwał pielęgniarzkę od lektury. Kiedy uniosła wzrok, rzucił jej promienny uśmiech, który odwzajemniła. Lee miał sylwetkę sportowca, gładką, czarną jak heban skórę i wiedział, że może się podobać. Nigdy wcześniej nie spotkał Marianne, ale to nie było tutaj niczym dziwnym. Personel zdawał się zmieniać z dnia na dzień, a jej wystarczyło zobaczyć jego czerwoną smycz i biały ubiór, by uwierzyć, że jest etatowym pielęgniarzem.

Marianne zerknęła na okładkę książki, przedstawiającą nagiego do pasa Adonisa jadącego konno z piersiastą, skąpo odzianą kobietą w swych potężnych ramionach. Zachichotała zalotnie.

– Och, to tylko coś dla zabicia czasu – odparła, z zażenowaniem zakrywając okładkę notatnikiem.

Brązowe oczy Lee spojrzały porozumiewawczo.

– Kolejna nudna noc, co? – zauważył.

Wiedział, że bynajmniej nie jest nudna. Wszystko, co mogło pójść nie tak z Abingtonem, poszło nie tak.

– Wolę to niż alternatywę – odparła Marianne, zerkając na jeden z wyłączonych monitorów, by skontrolować własne odbicie w jego ciemnej tafli. Zauważyła, że włosy ma lekko zmierzwione, co natychmiast poprawiła, używając jako grzebienia ręki.

– Słuchaj, przydzielono mnie na dzisiejszą noc do zespołu doktor Goodwin – powiedział Lee. – Muszę tylko wejść i rzucić okiem na pacjenta. Leży w czwórcie, prawda?

– Tak, w czwórcie.

Marianne nie mogła oderwać oczu od tego nowego pielęgniarza. Męczyła się też z Tinderem i wszystkimi innymi portalami randkowymi, na których zamieściła

swój profil. VA miał niewiele do zaoferowania, jeśli chodziło o płęć przeciwną, wykorzystywała więc tę miłą niespodziankę w całej pełni.

Zanim Lee udał się do boks numer cztery, Marianne sprawdziła na jedynym czynnym monitorze parametry życiowe Abingtona. Jego EKG i tętno były prawidłowe, ale pacjent przez ostatnie kilka godzin znajdował się w błogim zamroczeniu haloperydolowym, nawet nie pisnąwszy od czasu swego wcześniejszego wybuchu. Kazano jej zwracać szczególną uwagę na jakiegokolwiek wydłużenie odstępu QT albo wystąpienie arytmii, ale jak dotąd on i lek współpracowali doskonale.

Kiedy Abington wpadł w szal, doktor Bryant zaordynowała dożylną iniekcję dziesięciu miligramów haloperydolu, a Marianne zerwała się z krzesła i natychmiast przyniosła strzykawkę. Parę minut później pacjent znów leżał spokojnie, z zamkniętymi oczami.

– Wygląda na to, że nie potrzebował zbyt wiele na dokładkę do resztek narkozy – stwierdziła doktor Bryant.

Mając już dość wrażeń jak na jedną noc, Marianne zadowoliliła się tym wyjaśnieniem, jednak lekarka w dalszym ciągu sprawiała wrażenie zbitej z tropu.

– Pierwszy raz widzę coś takiego – powiedziała. – Wyglądało, jakby miał halucynacje. Słyszał głosy, w kółko jedno i to samo zdanie. Powtarzał moje słowa, a potem odpowiadał na moje pytanie wiele razy, jak gdybym tak właśnie je zadawała. Zrobiłam to tylko raz, ale nie wiedzieć czemu w jego głowie ono nie chciało ucichnąć.

Marianne nie okazała zainteresowania.

– Oni wszyscy są w taki czy inny sposób pobudzeni – odparła, nie dzielając niepokoju Carrie. – Dostyc często potrzebują dodatkowej sedacji. Rezydenci są do tego przyzwyczajeni i przygotowani, więc rozumiem, że dla pani mogło to być szokiem.

Jej słowa nie zrobiły większego wrażenia na nowej chirurg od DBS.

Doktor Bryant wypisała receptę na środek uspokajający do stosowania wedle potrzeby. Poprosiła Marianne, żeby zadzwoniła, jeśli pojawi się problem, i by przekazała jej numer telefonu swojej zmienniczce, która miała przyjść o jedenastej. Sam Rockwell robił to samo. Od tamtej pory Marianne zajrzała do Abingtona dwa razy. Wydawał się nieco niespokojny, poruszał bezwiednie rękami i nogami, drżał, ale były to zwykłe skutki uboczne leku uspokajającego.

– Muszę przyznać, że dał nam popalić – powiedziała Marianne do Taggarta. – Jest bardzo pobudzony. Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje.

– Cóż, właśnie dlatego przyszedłem mu się przyjrzeć.

– Jeśli zacznie sprawiać ci kłopoty, po prostu wrzaśnij – poradziła Marianne.

– Tak zrobię – odparł Lee – ale potrafię całkiem nieźle radzić sobie sam w większości sytuacji. – Puścił do niej oko, po czym ruszył w stronę boksu Abingtona.

Marianne odprowadziła go spojrzeniem, wbijając wzrok w jego jędrne pośladki. Nie wątpię, pomyślała z uśmiechem i wróciła do przerwanej lektury.

Nieubłagany żar omywał kark Abingtona, a drobinki piasku, nie wiedzieć jak, dostały mu się pod powieki, drażniąc rogówki oczu. Miejsce? Czas? Gdzie był? Co się stało? Gdzieś w oddali słyszał głuchy grzmot eksplodujących pocisków artyleryjskich, a ziemia pod nim dudniła i drżała przy każdym potężnym wybuchu. Pomacał dookoła w poszukiwaniu broni, ale mięśnie jego rąk zareagowały kurczami, jak gdyby miały własny rozum.

Jedna z jego szperających po omacku dłoni natrafiła na coś stalowego. Chwycił swój M16 i przyciągnął go do siebie. Podpierając się rękami, dźwignął się na kolana, ale każdy oddech miał swoją cenę. Coś było nie tak. Coś z nim było straszliwie nie tak.

Powietrze rozdarło się, gdy w górze zaczęły świstać kule. Wysiłkiem woli Abington otworzył oczy i zamrugał w reakcji na oślepiający blask słońca. Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył, że wciąż jest w Afganistanie. Znów był tam, gdzie wszystko się zaczęło, w okopie strzeleckim, a razem z nim był Karaluch, tak samo jak przedtem. Tyle że teraz niezniszczalny Karaluch miał bebechy wyprute przez grad kul i krwawił.

W powolnym, nieznośnie niemrawym tempie Abington przewrócił się na brzuch i podczołgał do rannego kolegi. Nie rozumiał, dlaczego jego ruchy są ociężałe jak we śnie. Ale to nie mógł być sen. To było aż nazbyt rzeczywiste. Czuł na skórze palący żar, a wymieszana woń prochu i krwi była namacalna i autentyczna.

Dyszząc ciężko, posuwał się w stronę Karalucha, który jęczał, trzymając się za rozdarty brzuch. Jeśli czym prędzej nie powstrzyma krwawienia, jego przyjaciel umrze. Po raz kolejny.

W pobliżu usłyszał serię z karabinu. W tej samej chwili sypnęło mu w twarz piaskiem i ziemią. W przypływie adrenaliny otarł pył i rzuciwszy się naprzód, wylądował niemal na Karaluchu. Nie mając nic, czym mógłby zatamować krew, przycisnął pulsującą ranę rękami. Krzyknął ze zgrozą, gdy jego palce zapadły się w głąb krwawej jamy. Macając dookoła, wyczuwał drgające mięśnie i ścięgna, ale krew nie przestawała płynąć. Przyjaciel jęczał w malignie, to tracąc, to odzyskując przytomność.

Abington miał właśnie wołać sanitariusza, kiedy zauważył nad sobą jakiś cień. Uniósł wzrok akurat na czas, by dostrzec sylwetkę mężczyzny wskakującego do ich

okopu. Zamrugał, by odzyskać ostrość wzroku. Zdawało mu się, że ciemnoskóry mężczyzna ma na sobie szpitalną bluzę i spodnie, ale teraz ten strój zniknął. Przybysz ubrany był w mundur maskujący z symbolem czerwonego krzyża na rękawie.

– Co się tu dzieje, Steve? – zapytał.

Abington miał wiele do powiedzenia, ale nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

Tymczasem głos sanitariusza zaczął kotłować mu się w głowie i Abington słyszał w kółko „co się tu dzieje... co się tu dzieje... co się tu dzieje”, jak z porysowanej płyty.

Wyciągnął ręce z rozharatanego brzucha i zakrył sobie uszy, próbując odgrodzić się od tego dźwięku. Czerwone od krwi dłonie wymazały mu twarz ciepłą posoką, ale te słowa wciąż przetaczały mu się w głowie jak niemilknące echo.

Co się tu dzieje... co się tu dzieje... co się tu dzieje...

– Steve, za chwilę poczujesz się trochę dziwnie.

Steve za chwilę poczujesz... Steve za chwilę poczujesz... Steve za chwilę poczujesz...

– Przestań! Przestań to powtarzać! Ratuj Karalucha!

Teraz to jego własny głos stał się echem.

Ratuj Karalucha... ratuj Karalucha... ratuj Karalucha...

Sanitariusz odsunął się nieco od jego twarzy, wyciągając z kieszeni strzykawkę wypełnioną przejrzystym płynem. Z początku zdawało się, że wbija ją w powietrze, ale obraz uległ zmianie i Abington zobaczył, że igła wbiła się w rurkę kroplówki podłączonej do jego własnego ramienia. Dlaczego miał kroplówkę, skoro to Karaluch został ranny?

– To się nazywa chlorek potasu i chociaż nie zabija, poczujesz się bardzo nieprzyjemnie – szeptał przyjaźnie sanitariusz. – Zaraz znów do ciebie zajrzę, Steve.

Mężczyzna wygramolił się z okopu i zniknął – i tylko jego głos pozostał, rozbrzmiewając nieubłagalnym echem w uszach Abingtona.

Zaraz znów do ciebie zajrzę... do ciebie zajrzę... zajrzę...

Parę chwil później ogarnęło go nowe doznanie, dziwne i niepokojące. Gwałtownie wciągnął powietrze do płuc i walczył z uciskiem w klatce piersiowej, zwijając się w kłębek i kołysząc rytmicznie. Próbując uciszyć głos pod czaszką, wysmarował sobie krwią Karalucha całą głowę, włosy i szyję. Obok niego przyjaciel leżał na plecach, z otwartymi ustami, wpatrując się martwym wzrokiem w niebo.

Ucisk przeszedł w coś innego. Jego serce zaczęło trzepotać, a potem walić jak

młotem. Czuł kołatanie w klatce piersiowej i gardle. Odwrócił głowę i utkwiał spojrzenie w swym martwym przyjacielu, pewny, że wkrótce do niego dołączy.

Lee Taggart był już przy windzie, kiedy w boksie Abingtona włączył się alarm. Choć go to bynajmniej nie zaskoczyło, odegrał komedię i wrócił pędem do Marianne, która miała na twarzy wyraz paniki. Niektóre z pielęgniarek reagowały po stoicku – potrafiły uporać się z każdą stresującą sytuacją, jaka na nie spadła – podczas gdy inne w kryzysie kompletnie traciły głowę. Lubiły względny spokój, jaki panował na sali pooperacyjnej oddziału neurologii.

– Coś jest nie tak – powiedziała Marianne. – Jego serce właśnie oszalało.

– Dostał haloperydol, prawda? – odparł Lee. – To czasem powoduje arytmie. Skoro tu jestem, jeśli chcesz, od razu zawiozę go na OIOM.

Marianne wyraźnie ulżyło. Zdecydowanie nie należała do tych, które sprawdzały się w nagłych wypadkach.

Rozdział 21

Kiedy Carrie wróciła ze szpitala, dom był pogrążony w ciszy. Na ganku paliło się światło, jak zawsze, kiedy była poza domem, a rodzice poszli już spać. Na szczęście na Mass Pike nie było dużego ruchu, ale i tak dochodziła północ, kiedy zajechała na podjazd.

Po drodze odtwarzała w pamięci operację Abingtona. Jej pierwszy dzień w pracy był emocjonujący, przerażający i bardzo osobliwy, cieszyła się więc, że jest w domu. Zastanawiała się przez chwilę nad wyprowadzką, skoro znów miała źródło dochodów, ale postanowiła wstrzymać się z tym. Dopóki nie ustabilizuje swojej sytuacji, nie zamierzała wprowadzać żadnych większych zmian.

Kiedy weszła do kuchni, mile zaskoczyła ją czekająca na nią na stole kartka oparta o wazonik z kwiatami – w większości jej ulubionymi stokrotkami. Odręcznie pisany liścik od mamy i taty gratulował jej udanej – jak zakładali – pierwszej operacji. Zastanawiała się, czy opowiedzieć im o Abingtonie, ale obawiała się, że mogliby się zmartwić.

Czytając list od rodziców, przypomniała sobie o dotkliwie obolałej szyi. Była zeszywniała, a każde spojrzenie w lewo powodowało ostry, przejmujący ból, który sięgał aż na tył głowy. Był to ból nadwreżonych mięśni. Bolała ją także zewnętrzna strona prawego kolana, ale przynajmniej nie przy każdym kroku. Rano prawdopodobnie obudzi się z widocznymi śladami dzisiejszej napaści. Trzeba je będzie wyjaśnić albo po prostu zatuszować.

Usłyszała za sobą skrzypienie desek podłogi i odwróciła się. W drzwiach kuchni zobaczyła Adama. Miał na sobie T-shirt i spodnie od dresu. Przez chwilę znów widziała w nim swego małego braciszka, ale ten obraz zburzyły jego udręczone, podkrążone oczy. Oczy, które przypominały Abingtona.

– Cześć, Carrie – przywitał ją, człapiąc do lodówki. – Jak poszła pierwsza operacja?

– Całkiem nieźle – odparła. – Nikt nie umarł.

Adam w odpowiedzi uśmiechnął się krzywo.

– Cóż, ja powiedziałbym, że to wielki sukces. – Zachichotał. – Chcesz trochę soku?

– Chętnie.

Adam napełnił dwie szklanki i usiadł obok niej przy stole. Carrie odsunęła na

bok kwiaty i kartkę, żeby zrobić miejsce, a przy okazji obejrzała ukradkiem swoje ręce, by się upewnić, że nie ma na nich żadnych widocznych sińców lub zadrapań. Gdyby zauważyli je rodzice, z pewnością obawialiby się o jej bezpieczeństwo, ale Adam mógł dostać szau.

– Mogę cię o coś zapytać?

Adam upił łyk soku.

– O co tylko zechcesz.

– Jak myślisz, co by się stało, gdybyś zobaczył odtworzone w rzeczywistości wirtualnej coś, co przydarzyło ci się w Afganistanie? – zapytała ściszym głosem.

– Co masz na myśli? Jakąś symulację komputerową?

– Coś w tym stylu. Ale hiperrealistyczną.

Adam rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia.

Carrie pomyślała nie tylko o pierwszej napaści Abingtona, ale także o jego drugim wybuchu po operacji, któremu położyła kres dopiero dawka haloperydolu. Znając porywczy temperament Adama, nietrudno było jej wyobrazić sobie swego brata na miejscu tego pacjenta.

– Mógłbyś może... stać się agresywny? – zapytała.

To był drażliwy temat dla rodziny. Adam miał kilka sztuk broni palnej, w tym pistolet i strzelbę, i groził, że prędzej się wyprowadzi, niż je odda. Był pełnoprawnym i odpowiedzialnym posiadaczem broni i nikt temu nie przeczył, ale nikt też nie chciał, żeby miał te spluwy. Obawiano się o jego bezpieczeństwo, gdyż PTSD i posiadanie broni były często śmiertcionośną mieszanką.

Odpowiedzią Adama było obojętne wzruszenie ramion.

– Uderzyłem reportera bez żadnego prawdziwego powodu. Więc przypuszczam, że wszystko jest możliwe.

Carrie roześmiała się.

– Zadzwoiłeś z przeprosinami?

– Zrobiłem coś jeszcze lepszego – odparł Adam. – Spotkałem się z tym gościem przy kawie. Dałem mu wszystko, co mógł chcieć usłyszeć, i prawdopodobnie więcej, niż oczekiwał.

Carrie zanotowała sobie w myślach, żeby zadzwonić do Davida Hoffmana; ona też zgodziła się na spotkanie przy kawie. Widząc smutek w oczach brata, sięgnęła przez stół i ujęła jego dłoń.

– Nawet ja nie słyszałam tych historii.

Adam uściśnął jej rękę.

– Nie bez powodu.

– Gdybyś kiedyś chciał o tym porozmawiać...

– Jesteś do mojej dyspozycji. Wiem, Carrie. Zawsze kryłaś mi plecy. – Uniósł ręce, udając, że trzyma w nich wiertarkę pneumatyczną. – Hej, co myślisz o tej pracy, którą się zajmujesz? Powinienem dać sobie wywiercić dziurę w głowie i powtykać druty? – Zaniósł się szaleńczym śmiechem złego naukowca z komiksów.

Na podstawie reakcji Abingtona na leczenie Carrie nie mogła powiedzieć nic pewnego, ale wciąż wierzyła w ten program i w to, co obiecywał. Uzyskanie pomyślnego rezultatu mogło być warte bólu rekonsolidacji złych wspomnień za pomocą rzeczywistości wirtualnej, jednak miała powody niepokoić się o potencjalne efekty uboczne.

Wróciła myślami do dziwnej wymiany słów z Abingtonem tuż przed tym, jak dostał szau. W jego głosie brzmiała taka udręka, kiedy powtarzał „Wodź wzrokiem za światłem, wodź wzrokiem za światłem”. *Tak, jakby w kółko słyszał w głowie mój głos.*

– Nie wiem jeszcze – powiedziała bratu. – Potrzebuję więcej czasu, żeby zobaczyć skutki, zanim będę mogła coś stwierdzić, chociaż sędzę, że jest w tym olbrzymi potencjał.

Adam wypił długim haustem resztę soku i wstał, odpychając krzesło.

– Jestem denat. – Przeciągnął się i ziewnął.

– Cześć, Denat, jestem Carrie. – Podała mu rękę, a on uściśnął ją, uśmiechając się z ich odwiecznego żartu. – Dobrej nocy. Zobaczymy się rano.

– Miłych snów, Carrie. – W drzwiach przystanął i odwrócił się. – Hej, fajnie, że tu jesteś. Fajnie dla nas wszystkich.

Carrie posłała mu całusa.

– Kiedy zabierzesz mnie na przejażdżkę tym swoim camaro?

– Dziś prawie go uruchomiłem.

Carrie skrzywiła się, gdy przypomniła sobie ostatni raz, kiedy Adam prawie go uruchomił. Brat zauważył jej reakcję.

– Nie martw się – powiedział. – Nie zrobię z nim powtórki *Christine*.

Christine, filmowa adaptacja powieści Stephena Kinga, była ostatnio jego ulubionym filmem. Zobaczył ją w telewizji kablowej po powrocie z wojny. Nawiązywał do sceny, w której dzieciaki uzbrojone w aluminiowe drągi zdemolowały samochód o imieniu Christine i przypłaciły to życiem, kiedy samochód w magiczny sposób naprawił swoje usterki i szukał zemsty. Adamowi najwyraźniej przypadła do gustu wizja czegoś niezniszczalnego, być może dlatego, że sam czuł się kompletnie bezbronny.

– Dobranoc, Adam – powiedziała Carrie, przechodząc przez kuchnię, by objąć go czule. Boże, chciała wierzyć, że terapia DBS działa. Chciała wierzyć, że jest

lekarstwem na PTSD. Pragnęła, by jej brat znów stał się sobą, ale on bardziej przypominał swoje camaro, którego nie mógł uruchomić, niż Christine, która potrafiła w cudowny sposób poskładać się w całość.

W swoim pokoju na piętrze, odkładając telefon na komodę, Carrie zauważyła, że podczas jazdy do domu przegapiła rozmowę.

– Doktor Bryant, tu Marianne z VA. Prosiła mnie pani, żebym zadzwoniła, gdyby był jakiś problem z pacjentem Abingtonem. Został przewieziony na OIOM przez pielęgniarkę z zespołu doktor Goodwin. Wystąpiła u niego arytmia i spadło ciśnienie krwi. Monitor pokazywał częstoskurcz komorowy z szerokim QRS. Przykro mi, że muszę zostawić pani tę wiadomość. Próbowałam parę razy, ale nie mogłam się dodzwonić.

Carrie poczuła, że jej serce również zaczyna przyspieszać. Sprawdziła historię połączeń i faktycznie: dwa nieodebrane połączenia z VA, w tym to, w którym Marianne nagrała się na pocztę głosową.

– Haloperydol, cholera – mruknęła pod nosem.

Być może powinna była po prostu podać Abingtonowi diazepam, gdyż miał je już w organizmie po poprzednim razie. Tyle tylko że sprawdziła jego EKG i odstęp QT był prawidłowy, a haloperydol go uspokoił. Czuła się chora fizycznie. Odwiedziła go, zaordynowała lek, i to ona była winna temu, że trafił na OIOM.

Zastanawiała się, czy mogła rozegrać to inaczej, ale wciąż wracała do haloperydolu. Abington wydawał się oszalały, skrajnie pobudzony. Nigdy nie spotkała się z podobnymi objawami u żadnego pacjenta po operacji. Powtarzanie tych samych słów i ten wyraz jego oczu – widziała w nich strach i grozę. Było to coś innego niż dezorientacja lub majaczenie, jakie widywała od czasu do czasu, czy to u osób ogarniętych delirium tremens, czy u ofiar ostrego udaru, sepsy albo całej masy innych chorób i powikłań chirurgicznych. To było coś nietypowego i nie wiedziała, co o tym myśleć.

Co innego mogło spowodować arytmie?

Krwotok?

Boże, z tym zawsze należało się liczyć po zabiegu. A Carrie widziała co najmniej jeden przypadek, gdzie skutkiem krwotoku podpajęczynówkowego była poważna arytmia. Choć najbardziej prawdopodobną przyczyną pozostawała reakcja niepożądana wywołana przez lek, po głowie krążyły jej też – poza krwotokiem – inne wytłumaczenia. To mogła być infekcja. Gorączka. Być może napad padaczkowy albo nawet udar. Logicznym pierwszym krokiem byłaby tomografia komputerowa mózgu.

Na razie jednak nie mogła nic zrobić. Zdrowie Abingtona było w rękach ekipy z oddziału intensywnej opieki medycznej. Zanim będzie mogła wkroczyć do akcji,

stan Abingtona musi być ustabilizowany. Ciśnienie krwi, rytm serca i inne parametry życiowe muszą być pod kontrolą. Wparowanie tam o tak późnej porze przyniosłoby więcej szkody niż pożytku. Ci ludzie zastosują niezbędne środki ostrożności. Mogła wyobrazić sobie Abingtona leżącego w łóżku na OIOM-ie, znów zaintubowanego i podłączonego do respiratora, z kroplówką podającą mu do żył płyny infuzyjne i leki antyarytmiczne, dopaminę i inne wazopresory utrzymujące jego ciśnienie krwi na wystarczającym poziomie. Pałeczka została przekazana; Abington nie był już pacjentem oddziału neurochirurgii.

Mimo to zamierzała zajrzeć do niego z samego rana.

Rozdział 22

Kiedy rozdzwonił się budzik, było jeszcze ciemno. Opatulona w łóżku Carrie zastanawiała się, czy nie wcisnąć przycisku drzemki, ale zdecydowała się na wczesny start. Mimo bólu w ciele i szyi – skutku wczorajszych wydarzeń – udało jej się przybyć do VA nieco po wpół do ósmej. Chciała zajrzeć do Abingtona, zanim oficjalnie rozpocznie swój dzień. Choć nie wątpiła w kompetencje personelu OIOM-u, przeprowadziła inwazyjny zabieg i czuła się ostatecznie odpowiedzialna za jego rezultat. Być może nie zrobi nic poza poklepaniem tych ludzi po plecach i podziękowaniem im za dobrą robotę, ale coś zrobić musiała. A przede wszystkim musiała się dowiedzieć, jak się to skończyło.

Ledwo zdążyła pokazać swój identyfikator przy wejściu, jej telefon zaczął wibrować. Ku jej zaskoczeniu był to esemes od doktor Sandry Goodwin, szefowej działu neurochirurgii. *Proszę przyjść do mnie, kiedy tylko pani dotrze. Jestem w swoim gabinecie.* W tych słowach pobrzmiwała lekka irytacja. Carrie podlegała doktorowi Finleyowi, głównemu neurologowi i kierownikowi programu DBS, więc choć chirurgia należała do kompetencji doktor Goodwin, ich relacje służbowe były w najlepszym razie luźne i jak dotąd Carrie nie miała z nią zbyt wiele do czynienia. Abington mógł poczekać. Carrie wstąpiła do bufetu na kawę, po czym ruszyła na pierwsze piętro.

Doktor Goodwin siedziała za metalowym biurkiem, wyprodukowanym zapewne w latach siedemdziesiątych. Zmierzyła ją pogardliwym wzrokiem. Carrie nie spodziewała się, że zastanie tam również Evana Navarra, który kierował programem rezydentury. Doktor siedział na jednym z dwóch twardych składanych krzeseł ustawionych przed biurkiem szefowej. Ściany z betonowych bloków pomalowane były na smętny odcień żółci, a niski sufit pokryty tanimi panelami akustycznymi sprawiał, że Carrie czuła się przytłoczona. Nie licząc kilku rachitycznych roślin, drugi dom doktor Goodwin miał w sobie tyle życia, co prosektorium.

Doktor Navarro obrócił nieco krzesło obok siebie, podsuwając je Carrie. Usiadła ostrożnie, nie tyle z powodu bolącego kolana, ile jego twardego spojrzenia. Navarro był niski – Carrie miała nad nim parę centymetrów przewagi – ale słynął z kłótności i doprowadzania rezydentów do łez. Jego włosy zaczesane były gładko do tyłu, odsłaniając wydatne zakola.

Goodwin wyglądała pod każdym względem na swoje pięćdziesiąt pięć lat. Równo obcięte włosy podkreślały ostre rysy jej twarzy, a w jej orzechowych oczach nie było ani śladu ciepła czy łagodności. Była rzeczowa i nastawiona na wykorzystanie do maksimum każdej minuty dnia. Biały fartuch narzucony na niebieski strój operacyjny sugerował, że w którymś momencie miała wziąć do ręki skalpel, jednak Carrie mocno w to wątpiła. Goodwin była administratorką. Ale może lubiła udawać chirurga.

– Słyszałam, że wczoraj poszła pani zobaczyć Steve’a Abingtona na sali pooperacyjnej – odezwała się prosto z mostu.

Żadnego „Dzień dobry”. Żadnego „Jak się pani podoba nowa praca”. Żadnego „Słyszałam, że omal nie straciła pani życia”. Doktor Goodwin nie zwykła marnować nie tylko czasu, ale i słów.

– To prawda. – Carrie nie wiedziała, co innego mogłaby odpowiedzieć.

Gniewna mina Goodwin mówiła, że szefowa neurochirurgii nie jest zadowolona.

– Słyszałam o wczorajszym dniu i rozumiem sytuację. Przykro mi z powodu tego, co się stało, chociaż sędzę, że doktor Finley wyjaśnił pani zawczasu, że pacjentów z zespołem stresu pourazowego należy zawsze odwiedzać w towarzystwie.

Carrie poczuła się odrobinę zawstydzona tym zarzutem, ale i oburzona. Zabrzmiało to jak zrzucanie winy na ofiarę.

– Chyba nie w pełni doceniłam wagę tej przestrogi – stwierdziła.

– Możliwe – odparła zimno Goodwin – i z powodu tych okoliczności łagodzących uznaliśmy z Evanem za wskazane wyjaśnić pani obowiązujące na oddziale zasady, między innymi w zakresie opieki pooperacyjnej.

– To jest zadanie rezydentów – wtrącił ostrym tonem Navarro. – Być może uważa się pani za członka zespołu, ale to nieprawda.

Goodwin skarciła go spojrzeniem, jak gdyby przywołując do nogi swego bojowego psa.

– Evan chce powiedzieć, Carrie, że jest pani właściwie pracownicą doktora Finleya. Pani sytuacja tutaj jest bardzo nietypowa. Niespotykana, jak bym to określiła. Mówiąc wprost, szpital ma dobrze zorganizowany program rezydentury, a pani do niego nie należy. Z pewnością rozumie pani, że obowiązują tu pewne procedury opieki nad pacjentami i hierarchia zadań. Pokazuje się pani i pielęgniarki nie wiedzą, kogo wzywać, jeśli pojawi się problem. Panią? Nie jest pani nawet ubezpieczona u nas, gdyby coś poszło nie tak. Takim zachowaniem naraża pani ten program na dodatkowe ryzyko.

Carrie poczuła, jak twarz oblewa jej fala gorąca.

– Byłam po prostu ciekawa, jak się ma mój pierwszy pacjent po głębokiej

stymulacji mózgu.

– To zrozumiałe – przyznała Goodwin. – Dlatego właśnie prowadzimy na ten temat przyjacielską rozmowę.

Nie sprawia wrażenia przyjacielskiej, pomyślała Carrie.

– Jeśli rezydenci uznają, że wkracza pani w ich kompetencje, cały mój program popadnie w chaos – powiedział Navarro.

– Z pewnością nie taki był mój zamiar.

– No cóż, nasze najlepsze zamiary miewają niezamierzone skutki.

– A co z Abingtonem? – zapytała Carrie. – Wiem tylko, że został przewieziony na OIOM.

– I nie musi pani wiedzieć nic więcej – odparł szorstko Navarro.

Doktor Goodwin znowu uniosła dłoń. Najwyraźniej trzeba było mu jeszcze bardziej skrócić smycz.

– Chyba czegoś nie rozumiem – stwierdziła Carrie. – Chciałam po prostu zobaczyć, jak się czuje pacjent po *moim* zabiegu.

Surowa twarz Goodwin spoważniała jeszcze bardziej.

– Pozwoli pani, że poświęcę chwilę, żeby wyjaśnić, na czym polega pani rola tutaj – powiedziała. – Jest pani chirurgiem od DBS. Kropka. Wykonała pani operację znakomicie. Doktor Finley wprowadził panią do zespołu wyłącznie w tym celu. A ja, skoro już o tym mowa, byłam temu przeciwna.

Bez żartów.

– Wolałabym, żebyśmy ściągnęli kogoś, kto przeszedł *pomyślnie* przez oficjalny program rezydentury – ciągnęła Goodwin. – Ale to doktor Finley ma fundusze i obstawał przy tym, że pani umiejętności jako chirurga usuwają w cień obawy, jakie moglibyśmy mieć w związku z pani... niefortunną historią.

Na wzmiankę o tym Carrie stężała, co spowodowało ukłucie bólu w stłuczonym kolanie.

– Pani zadaniem jest implantowanie elektrod do głębokiej stymulacji mózgu, to wszystko – oświadczyła Goodwin.

– A następnym ogniwem w tym łańcuchu jestem ja – dodał Navarro.

Carrie poczuła się, jak gdyby właśnie rzucono nią o ziemię.

– Tak więc, Carrie, jest pani tutaj, ponieważ zabiegi DBS trwają długo i wymagają wyspecjalizowanego operatora. Jest pani po prostu siłą najemną i lepiej, żeby ograniczyła pani do tego swoją działalność.

Policzki Carrie oblał rumieniec. Zaczynał ogarniać ją gniew. Z trudem zdobyła się na powściągliwość.

– Rozumiem – zwróciła się do Navarra. – Czy zechciałby pan poinformować mnie o stanie Abingtona? Wiem, że został przeniesiony na OIOM.

Przeprowadziłam operację. Czuję się odpowiedzialna za zdrowie pacjenta. Myślę, że zasługuję na tę zawodową uprzejmość.

Goodwin i Navarro wymienili nieprzeniknione spojrzenia.

– Chciałabym, żebyśmy dobrze się rozumieli, Carrie – powiedziała Goodwin. –

Wykonuje pani zabieg i na tym koniec. Opieką pooperacyjną zajmują się rezydenci i doktor Navarro. Jeśli pacjent zostaje przeniesiony na inny oddział, odpowiadają za niego inni. Nie my. Wypełniamy nasze obowiązki w zakresie neurochirurgii i nie uganiamy się za pacjentami, kiedy przechodzą pod opiekę innego oddziału. W ten sposób zapewniamy efektywność pracy. Czy wyraziłam się jasno?

Carrie była wstrząśnięta. Nie mogła uwierzyć, że doktor Goodwin zwraca się do niej tak pogardliwym tonem. Kultura organizacyjna VA również sprawiała wrażenie przepojonej pogardą. Wyglądało na to, że Carrie, okazując pacjentowi zainteresowanie i troskę, pogwałciła jakieś święte prawo i sama jedna zagroziła funkcjonowaniu całego systemu.

Carrie wiedziała dobrze, czym jest „psychologia”, pogląd, że pacjent przeniesiony z jednego oddziału na inny staje się NNP, nie naszym problemem. Nigdy jednak nie zdarzyło jej się pracować w środowisku, w którym ta cicha praktyka byłaby tak jawnie lansowana i wręcz usankcjonowana. Sama myśl o tym przyprawiła ją o mdłości. Nie na to się pisała i miała szczerzy zamiar powiadomić o swoich odczuciach doktora Finleya.

Na razie najlepszą, najbardziej polityczną strategią było udać uległość i zakończyć to spotkanie. *Nigdy nie drażnij rozjuszonego niedźwiedzia.*

– Tak, wszystko rozumiem – powiedziała. – Więc jeśli nie mam w grafiku żadnego zabiegu DBS, to co?

– Dopóki respektuje pani nasze zasady, nie obchodzi mnie to. Niech pani robi to, co uważa pani za najlepsze dla siebie i swojej kariery, Carrie – odparła Goodwin.

Jej uśmiech miał w sobie całe ciepło sopla lodu. Nie musiała mówić Carrie, żeby wstała. Audiencja była zakończona.

Rozdział 23

Carrie siedziała od piętnastu minut w swym ciasnym, pozbawionym okien pokoju, próbując się uspokoić. Jej ciśnienie krwi wróciło do normy, jednak wciąż nie mogła się skoncentrować na lekturze. Czytała właśnie trudny artykuł na temat dyzartrii w chorobie Parkinsona, ale słowa plątały się na stronie.

Myślami wracała wciąż do tamtej niemiłej rozmowy – należałoby raczej nazwać ją zasadzką – z Goodwin i Navarrem. Ich insynuacje doprowadzały ją do szału. Nie przyjęła tej pracy, by być po prostu narzędziem chirurgicznym. Młotkiem do wbijania gwoździ, mówiąc obrazowo. Doktor Finley powiedział jej, że będzie częścią zespołu, i tak właśnie wyobrażała sobie swoją rolę.

„Wolałabym, żebyśmy ściągnęli kogoś, kto przeszedł pomyślnie przez oficjalny program rezydentury”. Słowa doktor Goodwin bolały mocno.

W przyływie frustracji Carrie zwinęła w kulkę wydruk, który czytała, i rzuciła nim o ścianę. Co za kąśliwa, zarozumiała i zwyczajnie grubiańska baba. Ze Steve'em Abingtonem działo się coś dziwnego, coś, co mogło mieć związek z zabiegiem DBS. Chodziło o coś więcej niż tylko pobudzenie, o którym mówiła dyżurna pielęgniarka. To było coś... właściwie co? Skupiła się głównie na jego osobliwej reakcji. W głowie wciąż słyszała, jak Steve mamrocze w kółko te same słowa, powtarzając to, co powiedziała.

„Wodź wzrokiem za światłem... wodź wzrokiem za światłem...”

Abington najwyraźniej miał jakieś halucynacje słuchowe. Były nietypowe, nie takie, z jakimi spotykała się u schizofreników, gdzie niepokojące głosy z zewnątrz zdawały się mówić bezpośrednio do ofiar. Bardzo chciała to zrozumieć. Nawet jeśli zakazano jej wizyt u Abingtona, jej czas należał do niej i mogła wciąż pracować nad jego przypadkiem.

A żebyś wiedziała, doktor Goodwin!

Wcisnęła się do zatłoczonej windy. Jej palec zawisł na chwilę nad przyciskiem piętra, gdzie mieścił się OIOM, jednak oparła się pokusie. Badania biblioteczne nad „zakazanym” pacjentem to jedno, ale nie mogła jawnie zignorować poleceń doktor Goodwin parę minut po tym, jak zostały wydane. Na razie lepiej było pozostać przy dociekaniach czysto teoretycznych.

Biblioteka VA znajdowała się na parterze, tuż przy holu, i nie wyglądała na miejsce mocno uczęszczane. Podłogę pokrywała wytarta wykładzina i choć było

tam kilka drewnianych kabin z pulpitami, w żadnej nie było krzesła. W odróżnieniu od sklepu z upominkami, w którym pracowali ochotnicy ubrani w kolorowe kitle ozdobione patriotycznymi przypinkami, stanowisko bibliotekarza było puste. Zamiast żywego człowieka kartka w akrylowym stojaku informowała, jak uzyskać hasło dostępu do komputera i poruszać się po stronie domowej. Kilka nowszych numerów czasopism medycznych – w niezbyt bogatym wyborze – upchnięte było jak w stojaku na gazety, ale regały biblioteczne świeciły pustkami.

Carrie usiadła na jednym z plastikowych krzeseł stojących przed terminalem. Przez głowę przemknęła jej myśl o tacie. Jak on by się do tego zabrał? Jej ojciec uwielbiał szperać w literaturze. Było to dla niego istotną częścią pracy lekarza. Ogromnie różnili się pod tym względem. Jako chirurg Carrie wolała zagadki mające postać nie słów, ale raczej wyników badań laboratoryjnych, odczytów przyrządów i wszelkich wizualnych wskazówek, jakich mogło dostarczyć jej wnętrze ludzkiego ciała.

Była typową przedstawicielką swego fachu; niewielu chirurgów lubiło studiować literaturę. Carrie przypomniała sobie praktykę kliniczną na trzecim roku studiów, kiedy uczestniczyła w obchodach szpitalnych z lekarzem prowadzącym oraz tłumem stażystów i rezydentów. Rezydent podsumowywał wydarzenia poprzedniego dnia, wyniki analiz krwi lub badań obrazowych, podczas gdy reszta tłoczyła się wokół łóżka pacjenta jak widzowie na imprezie sportowej.

Choć te obchody lekarskie mogły być nieco przykre dla chorych, były zawsze ciekawe i pouczające. Dopóki jakiś nadęty student lub rezydent nie wyskakiwał nieuchronnie z tekstem w rodzaju: „Thompson et al. w ostatnim numerze «Lancetu»”, by następnie zagłębić się w szczegóły opublikowanego tam badania i jego związku z leżącym przed nimi pacjentem.

Carrie jęknęła w duchu z niezadowolenia. Dla niej wartość obchodów na chirurgii tkwiła w informacjach praktycznych i możliwości uczenia się na przykładach. Wiedza książkowa, choć cenna, nie była tu najważniejsza. Teraz skupiała się na sposobach wprowadzenia jej w życie. Żywiła wielki szacunek dla internistów, czyli „much”, jak nazywali ich chirurdzy. Na miłość boską, jej tato był jednym z nich i nigdy nie przestał być jej idolem. Ona jednak od pierwszego dnia czuła się swobodniej w skórze chirurga.

Przypomniał jej się stary dowcip: internista, patolog i chirurg wybrali się na polowanie na kaczki. Nagle koło nich przelatuje stadko ptaków. Internista mówi: „One kwaczą jak kaczki, lecą jak kaczki, wyglądają jak kaczki. To muszą być kaczki”. Chirurg zerka na przyjaciela, podnosi strzelbę i strąca ptaki z nieba, po czym mówi do patologa: „Idź i zobacz, czy to są kaczki”.

Carrie była chirurgiem.

Po jakiejś minucie bezowocnego klikania i przewijania okien zadzwoniła do ojca.

– Cześć, skarbie – odezwał się Howard Bryant.

Carrie uśmiechnęła się, słysząc jego głos.

– Cześć, tato. Potrzebuję pomocy.

Kiedy wyjaśniła mu, czego szuka, jej ojciec odgadł, w czym problem: była w niewłaściwej bibliotece. Poczowała ulgę, wychodząc przez główną bramę VA. Opuszczała budynek, w którym urzędowała doktor Goodwin, by udać się na przystanek pomarańczowej linii metra. Mogła pojechać do Biblioteki Medycznej Uniwersytetu Harvarda samochodem, ale parkowanie o tej porze dnia byłoby mordęgą. Pół godziny później zamieniła ciepły wiosenny dzień na chłodne wnętrze Biblioteki Medycznej im. Francisa A. Countwaya.

Harwardzka biblioteka była potężnym wielopiętrowym gmachem, z krętymi marmurowymi schodami i imponującym, przestronnym atrium nakrytym przeszklonym sufitem. Carrie zajęło trochę czasu, nim znalazła *Index Medicus*, który przestał się ukazywać w roku 2004, zdetronizowany przez medyczne wyszukiwarki internetowe, jednak szanując strategiczny plan badań bibliotecznych swego taty, chciała zacząć od rzeczy starej i sprawdzonej.

Po dwóch godzinach szperania wciąż nie znalazła niczego użytecznego, jednak nie dawała za wygraną. Ulżyło jej, że nie natrafiła na żaden przypadek arytmii spowodowanej głęboką stymulacją mózgu, co uciszyło wewnętrzny głos, który chciał obwinić ją o ten aspekt stanu Abingtona. Co do jego delirium, wyszukiwarki medyczne wynajdywały mnóstwo rzadkich typów halucynacji, które okazywały się ślepym zaułkiem: omamy hipnagogiczne związane z przejściem między fazami snu, halucynozę pedunkularną powiązaną z chorobami pnia mózgu, halucynacje muzyczne, które wydawały się bardziej niewinne i może nawet przyjemne, ale nic, co przypominałoby przypadek Abingtona.

Przejrzała kilka starych podręczników: *Noyes' Modern Clinical Psychiatry* z lat sześćdziesiątych. Bezużyteczne. Wstała, by rozprostować nogi. Niepostrzeżenie minęła kolejna godzina. Potem jeszcze jedna. Burczało jej w brzuchu, ale nie zamierzała kończyć. Wypisując rewers na jakieś mało znane czasopismo medyczne, przypomniała sobie czystą zgrozę na twarzy Abingtona. Jej pusty żołądek wydawał się drobnostką w porównaniu z potrzebami tego pacjenta.

– Usiądę tam – powiedziała do kruchej, kościstej osiemdziesięcioletniej bibliotekarki, która na pozór bez wysiłku dźwigała opasłe tomy.

– Zaniosę je pani... zaniosę je pani – odparła kobieta, powtarzając własne słowa, co sprawiało wrażenie zadawnionego nawyku.

Carrie przypomniało to Abingtona.

„Wodź wzrokiem za światem... wodź wzrokiem za światłem...”

I nagle olśniło ją. Tak uparcie nazywała objawy Abingtona halucynacjami, że znajdowała artykuły dotyczące tylko tego stanu. Ale Abington nie miał halucynacji. To nie były całkowicie fałszywe doznania zmysłowe. Było to raczej błędne postrzeganie tego, co mówiła Carrie. Zadała mu pytanie, a on odpowiadał na nie wiele razy. Po prostu zdawało mu się, że ona powtarza je w kółko, kiedy w rzeczywistości wypowiedziała je tylko raz – jedno krótkie zdanie.

Jako neurochirurg Carrie doskonale zdawała sobie sprawę z różnicy między złudzeniem a halucynacją. Skupiła się na niewłaściwym problemie. Halucynacja jest *fałszywym* spostrzeżeniem, bez udziału zewnętrznego bodźca. Bez względu na swą treść stanowi wewnętrzne, osobiste doświadczenie chorego. Złudzenie natomiast jest *błędną percepcją* rzeczywistości i w tych przypadkach bodziec zewnętrzny jest zawsze obecny. U Abingtona zewnętrznym bodźcem był jej głos.

Popędziła z powrotem do swego stolika i chwyciła standardowy podręcznik, *Principles of Neurology* Adamsa i Victora. Czytała już o halucynacjach, ale tym razem szukała czegoś innego.

Złudzenia.

Przewertowała indeks, aż w końcu znalazła: złudzenia, słuchowe, strona 759. Tam, u dołu strony, była wzmianka o złudzeniach słuchowych związanych z uszkodzeniami płata skroniowego, przy których „zdarza się powtarzanie słów, rodzaj perseweracji”. Tak! Perseweracja, uporczywe powtarzanie słowa lub frazy, mające związek z urazem mózgu. Abington nie miał omamów słuchowych, tylko błędnie interpretował to, co faktycznie słyszał. Była to różnica subtelna, ale o kolosalnym znaczeniu.

Tętno Carrie podskoczyło. Nareszcie trafiła na jakiś trop. Czytała o palinakuzji, zjawisku opisanym po raz pierwszy przez Bendera w roku 1965 i omówionym na licznych przykładach przez Jacobsa w roku 1973. Nazwa pochodziła od greckich słów: *palin* (znowu) i *akuein* (słyszeć), czyli pacjent wciąż słyszy słowa czy dźwięki, mimo że fizycznie przestały być emitowane. Wszystkie przypadki przypisywano uszkodzeniu w płacie skroniowym, części mózgu, gdzie następuje przetwarzanie dźwięków. Niektóre były skutkiem pewnych form napadów epileptycznych, jak w padaczce ogniskowej. Objawem było kilkakrotne powtarzanie – czyli perseweracja – pojedynczych słów albo dłuższych fraz.

Dźwięki mogły nawet być głośniejsze i bardziej wyraziste niż te pierwotne. Wielu pacjentów reagowało na nie zdenerwowaniem i silnym niepokojem. Carrie czytała o kilku chorych, którzy zachowali jasność myślenia na tyle, by stwierdzić, że głosy zdają się dobiegać z jednej, określonej strony ich głowy. Ostatecznie lekarze zdołali ustalić, że palinakuzja objawia się po stronie przeciwnej do

uszkodzenia mózgu. Jeśli to prawda, Abington słyszałby słowa Carrie, „wodź wzrokiem za światłem”, tylko w jednym uchu – a ściślej, w korze słuchowej lewej półkuli, po stronie przeciwnej do miejsca uszkodzenia.

Palinakuzja jest niezwykle rzadka. Mimo intensywnych poszukiwań w literaturze Carrie znalazła ledwie kilka opisanych przypadków. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego Abington doznaje tego złudzenia. Być może wystąpiło u niego już w trakcie badania przedoperacyjnego. Może to ono wyzwoliło jego agresję. Czy mogło mieć podłoże padaczkowe? A może po zabiegu wystąpił krwotok w płacie skroniowym? Ciało migdałowate nie leży w anatomicznym obszarze odpowiedzialnym za przetwarzanie dźwięków, ale czy w jakiś pośredni sposób DBS może wywołać taki skutek?

Myśli kłębiły jej się pod czaszką. Czy to złudzenie słuchowe miało jakiś związek z arytmia, czy może wywołał je haloperydol? Może winna była kombinacja czynników. Tak czy inaczej, miała potencjalną odpowiedź – i nazwę, palinakuzja – wyjaśniającą dziwne zachowanie Abingtona.

Tak osobliwa i niespotykana dolegliwość; wyobrażała sobie, że każdy by się zdenerwował, sądząc, że ktoś wrzeszczy mu do ucha w kółko jedno i to samo, a przy tym nie widzi krzyczącej osoby ani nie może się zorientować, skąd dobiega ów wrzask. To było złudzenie. Implikacje były niepokojące. Stan ten wskazywał na ogniskowe zaburzenie w mózgu, a konkretnie w części płata skroniowego, która przetwarza informacje słuchowe.

Carrie wróciła do myśli, że mogło to być efektem ubocznym DBS. To by oznaczało, że dezorientacja i pobudzenie Abingtona nie są powszechnie spotykanym powikłaniem pooperacyjnym ani działaniem niepożądanym leków anestetycznych lub innych. Musiała zobaczyć Abingtona, zbadać go dokładniej, ale uniemożliwiały jej to przeszkody w osobach doktorów Goodwin i Navarra.

Widziała przed sobą inną drogę. Wymagała ona zwrócenia się do przyjaciela, być może jedyne, jakiego miała w VA.

Rozdział 24

Trudno byłoby liczyć na szczęśliwszy zbieg okoliczności.

Funkcjonując jako prywatny chirurg DBS doktora Finleya, Carrie nie miała żadnych obowiązków klinicznych, dostała jednak od niego e-mail z propozycją, by dołączyła do niego tego ranka, gdyż miał w grafiku szczególny przypadek – jednego ze swoich pierwszych pacjentów poddanych głębokiej stymulacji mózgu z powodu zespołu stresu pourazowego. Los wyraźnie jej sprzyjał.

Dziesiątki razy odtwarzała w myślach rozmowę z Abingtonem. Nie miała wątpliwości, że wielokrotnie powtórzył frazę „wodź wzrokiem za światłem”, i zdawało się, że odpowiadał na jej pytanie za każdym razem, kiedy sądził, że zostało zadane, ale to nie było dowodem palinakuzji. Ponieważ Abington był poza jej zasięgiem, najlepszym sposobem, by dowiedzieć się czegoś więcej, uznała, będzie zobaczyć innego pacjenta z tą samą przypadłością. E-mail od doktora Finleya był darem niebios.

W tym momencie tropienie palinakuzji nie było dla niej niczym więcej jak tylko wyzwaniem intelektualnym. Była po prostu ciekawa, czy zachowanie to kiedykolwiek przejawiało się u innych, czy też przypadek Abingtona jest naprawdę wyjątkowy. Nie była jeszcze gotowa rozmawiać na ten temat z Finleyem. Wciąż nie odzyskała dawnej pewności siebie, a wszelkie twierdzenia powinny być oparte na faktach, nie na domysłach.

Nigdzie nie znalazła wzmianki o złudzeniach słuchowych towarzyszących głębokiej stymulacji mózgu w chorobie Parkinsona lub innych zaburzeniach ruchowych. Ale u pacjentów z PTSD elektrody umieszczane są w zupełnie innym obszarze mózgu, w ciele migdałowatym.

Carrie zastanowiła się nad tym. Ciało migdałowate zasadniczo nie jest związane z percepcją słuchową, o tym wiedziała. Ale to był program eksperymentalny, a mózg wciąż skrywa głębokie tajemnice.

Miała się spotkać z doktorem Finleyem w środę rano, po dyżurze w klinice neurologii. Finley był teoretycznie kierownikiem przychodni neurologicznej, w której poza tym pracowali głównie rezydenci trafiający do VA na trzymiesięczne tury. Jednak rosnące zaangażowanie Finleya w program głębokiej stymulacji mózgu stopniowo wyparło jego bezpośrednie obowiązki nauczycielskie i kierownicze i w typową środę urzędował w swoim gabinecie, dostępny dla

rezydentów w razie potrzeby. Ci zaś woleli na ogół zostawić go w spokoju i rozwiązywać problemy kliniczne na własną rękę.

Carrie uczestniczyła tylko w jednym dyżurze w przychodni, odkąd dołączyła do personelu VA, ale pacjenci DBS, których widziała tamtego dnia, byli leczeni z powodu zaburzeń ruchowych, nie PTSD. Nie mogła porównywać ich z przypadkiem Steve'a Abingtona. Większość z nich miała pourazowe uszkodzenia mózgu, z deficytami poznawczymi, percepcyjnymi i językowymi, którym zwykle towarzyszył niedowład połowiczny lub czterokończynowy albo napady padaczkowe. Tych, u których głównym objawem był stres pourazowy, często kierowano do kliniki psychiatrycznej, która pękała w szwach.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ci weterani cierpią na różne choroby psychiczne, ale leczenie ograniczało się do podawania środków przeciwdepresyjnych, leków przeciwłękowych lub innych nieskutecznych środków psychotropowych. Na tym wczesnym etapie badań klinicznych przyjęcie do programu DBS było rzadkością, a zapotrzebowanie ogromnie przewyższało liczbę wykonanych do tej pory zabiegów. Jeśli ludzkość nie położy kresu wojnom – na co można by liczyć tylko wtedy, jeśli ludzkość skończyła sama ze sobą – skuteczna terapia PTSD wydaje się jedynym lekarstwem na lawinowo rosnącą niewydolność VA.

Carrie stanęła pod gabinetem doktora Finleya pięć minut po zakończeniu dyżuru w przychodni i zapukała leciutko. Martwiła się, czy mu nie przeszkodzi, ale on gwałtownie otworzył drzwi, jak gdyby tylko na to czekał. Życzliwy uśmiech złagodził nieco jej obawy. Finley tryskał energią.

– To naprawdę ekscytujący dzień, Carrie. Właśnie przeglądałem wyniki neuropsychologicznych badań Ramóna. Jesteśmy wyraźnie na tropie. Spójrz na to.

Wręczył jej opasłą kartonową teczkę pełną danych i wykresów dotyczących niejakiego Ramóna Hernandeza, trzydziestodwuletniego mężczyzny i weterana wojny w Afganistanie. Przewertowała dokumenty.

– Był jednym z pierwszych pacjentów, u których wykonaliśmy głęboką stymulację mózgu, ponieważ nie reagował na żadną standardową terapię – powiedział Finley. – Pamiętam, że Sam Rockwell miał jakieś trudności podczas zabiegu i musiał kilka razy przemieszczać elektrody stymulujące, zanim uzyskaliśmy odpowiednie sygnały z ciała migdałowatego, ale na szczęście nie było żadnych wyraźnych powikłań.

Żadnego wódz wzrokiem za światłem, pomyślała Carrie. Żadnej arytmii.

Z miną dumnego ojca Finley ciągnął:

– Z wyrzutka żyjącego na ulicy albo w więzieniu Ramón Hernandez stał się cenionym pracownikiem jako analityk logistyczny w centrum dystrybucyjnym sieci

Target. Wciąż przyjmuje sto pięćdziesiąt miligramów sertraliny dziennie, ale odstawił już oksykodon, benzodiazepiny i beta-blokery i regularnie uczęszcza na cotygodniowe konsultacje w poradni zdrowia psychicznego. Ostatnio słyszałem, że ma nawet dziewczynę. – Podniósł ze stołu teczkę. – Ten zbiór danych psychometrycznych dokumentuje imponujące postępy Ramóna. Oprócz testu osobowości MMPI skoncentrowaliśmy się głównie na badaniu wszelkich aspektów funkcjonowania pamięci, inteligencji emocjonalnej i funkcji wykonawczych. Oto wyniki jego badania w kierunku aleksytymii.

Carrie wiedziała, czym jest MMPI, czyli Minnesocki Wielowymiarowy Inwentarz Osobowości, nie słyszała jednak dotąd o badaniu aleksytymii, poprosiła więc Finleya o wyjaśnienie.

– To dotyczy ludzi mających problem z nazwaniem i wyrażeniem własnych emocji – odparł Finley. – Rodzaj miary tego, jak dobry kontakt mają ze swymi uczuciami. To przydatny dodatek do innych testów oceniających inteligencję emocjonalną lub wytrzymałość na stres. Są dalekie od doskonałości, ale analizując wyniki całej baterii testów, uzyskujemy względnie dobry obraz osobowości pacjenta.

Adam nie ma raczej większych trudności pod tym względem, pomyślała Carrie. Wydawał się równie troskliwy i wyrozumiały jak dawniej. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że stał się wybuchowy, o czym świadczył zakrwawiony nos Davida i zdemolowane camaro. Adam był fajerwerkiem agresji, czekającym tylko na iskrę, która podpali lont.

– Don McCall zrobił na tobie imponujące wrażenie? – powiedział Finley. – Poczekaj, aż zobaczysz Ramóna.

Rozdział 25

Oddział Neurologii i Neurochirurgii VA zajmował tworzącą literę H część pierwszego piętra głównego budynku. Mówiło się, że oddział zostanie przeniesiony, kiedy tylko skończy się budowa nowego gmachu, ale stało to pod wielkim znakiem zapytania. Mimo ciasnoty wygodnie było mieć sale operacyjne i gabinety neurologiczne w bezpośredniej bliskości.

Doktor Finley szybkim krokiem zaprowadził Carrie do gabinetu numer pięć w części neurologicznej. Pokój przypominał większość tych, w jakich z reguły bywała; niezbyt różnił się od tego, w którym omal nie straciła życia. Była tam szafka z blatem na wysokości pasa, umywalka i rozmaite aparaty do sprawdzania parametrów życiowych.

Na aluminiowym krześle obok kozetki siedział zadbany, gustownie, choć prosto ubrany i schludnie uczesany Latynos, który na widok Finleya wstał i przywitał się z nim uściskiem dłoni. Był potężnie zbudowany i dość przystojny, zauważyła Carrie.

– Cześć, doktorze. Miło pana widzieć. – Mówił młodzieńczym i dźwięcznym głosem człowieka radośnie patrzącego w przyszłość.

Carrie musiała przyjrzeć się uważnie, by dostrzec lekką asymetrię jego szyi tam, gdzie pod skórą biegły wyprowadzone z czaszki przewody, by przechodząc pod prawym obojczykiem, połączyć się z generatorem wszczepionym w górnej części klatki piersiowej.

– To jest doktor Carrie Bryant, która przejęła obowiązki doktora Rockwella.

– Słyszałem o jego wypadku – powiedział Ramón. – Straszne. To był wspaniały facet. Miło mi panią poznać, doktor Bryant. Dorównać takiemu poprzednikowi to trudne zadanie. – Jego dłoń, wielka jak pół rękawicy baseballowej, pochłonęła jej własną, kiedy uścisnął ją pewnym, lecz delikatnym ruchem.

– Słyszałam o doktorze Rockwellu same pochlebne rzeczy – przyznała Carrie.

– Masz coś przeciwko temu, żeby doktor Bryant cię zbadała, Ramón?

– Proszę bardzo. Chociaż myślę, że teraz potrafiłbym już sam się przebadać.

Carrie oparła się pokusie, by z miejsca zapytać go, czy kiedykolwiek słyszał powtarzane raz po raz te same słowa. Jej stara przyjaciółka Val wytykała jej, że ma subtelność wiertarki udarowej.

Zadała pacjentowi szereg pytań dotyczących jego obecnego stylu życia. Było

jasne, że jest dostosowany społecznie, nie ma problemów z koncentracją, a jego odpowiedzi są przemyślane i naturalne. Lubił swoją pracę, a nawet myślał o poślubieniu swej dziewczyny.

– Biorąc pod uwagę, że jeszcze nie tak dawno mogła oskarżyć mnie o przemoc domową, powiedziałbym, że mam za sobą długą drogę. – Uśmiech Ramóna zdradzał buńczuczną pewność siebie, niezbędną na polu bitwy.

– Może pan powiedzieć o tym coś więcej? – poprosiła Carrie.

Chciała wiedzieć dokładnie, jak długą drogę przeszedł.

– Upijałem się i byłem zazdrosny. Uderzyłem ją, i to nie raz. Oczywiście nie jest to coś, czym bym się chwalił. Odkąd dzięki DBS panuję nad swoim gniewem, mogłem wreszcie wysłuchać, co próbują powiedzieć mi terapeutyci.

– To znaczy?

– Że próbowałem kontrolować ją, bo tak naprawdę bałem się, że ją stracę.

Głębia tej uwagi zrobiła wrażenie na Carrie, ale ciekawiło ją, jak Ramón zareaguje na pytania o jego wspomnienia wojenne.

– Co się wydarzyło podczas tamtej zasadzki? Nie ma pan nic przeciwko temu, żeby o tym rozmawiać?

Oczy Ramóna rozbłysły, ale wzruszył tylko ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam tego dokładnie.

– Proszę powiedzieć tyle, ile pan pamięta – odparła Carrie.

– Stacjonowałem w Camp Dwyer w prowincji Helmand, którą nazywaliśmy pieszczotliwie „Hell, man”. Luksusem był tam worek z piaskiem, który mógł służyć jako kanapa – powiedział Ramón z obojętnością spikera telewizyjnego. –

Byliśmy na misji zwiadowczej, poszukując terrorysty Nassera Umari. To był słynny antykoalicyjny dupek, przepraszam za wyrażenie, powiązany z talibami i, jak przypuszczam, także innymi ugrupowaniami rebeliantów. Spuściliśmy się na linach z helikoptera MH-47, odbyliśmy patrole, po czym wycofaliśmy się do punktu odbiorczego. Nasz zespół bojowy liczył około piętnastu ludzi. – Przerwał, szperając w pamięci. – Tak, około piętnastu. Tego dnia było, jak zwykle, gorąco jak w piecu. Kilka stopni więcej i piasek zamieniłby się w szkło. Przeskoczyliśmy właśnie przez ziemny wał w jakimś na pozór wyludnionym mieście, kiedy nie wiedzieć skąd rozległ się ogień maszynowy. Ja i trzech inni goście odbiliśmy w uliczkę, sądziłem, że stamtąd będziemy mieli lepszy widok na nieprzyjacielską pozycję. Ale talibowie rozstawili karabiny maszynowe wszędzie dookoła i ledwo się obejrzałem, dostałem postrzał w ramię. Powiem pani, że bolało jak diabli. –

Podwinął rękaw białego T-shirta, żeby pokazać Carrie bliznę na swym potężnym bicepsie, niewiele większą od ćwierćdolarówki. Była pewna, że całe jego ciało jest poznaczone bliznami, które nie miały nic wspólnego z zabiegiem DBS. –

Odpowiedzieliśmy ogniem – podjął wątek – ale ja wczołgałem się w jakieś drzwi, żeby opatrzyć ranę. Następne, co wiem, to że na naszą pozycję spadł granat rakietowy i dwaj z koleś, którzy byli ze mną w tym zaułku, nie mogli liczyć na pogrzeb z otwartą trumną. To się odbyło tak szybko. Ale w końcu taka jest wojna. Żli goście chcą dopaść nas, a my ich. Zabijasz albo giniesz, no nie?

Carrie była zaskoczona jego spokojem i opanowaniem. Nie dostrzegła ani śladu przemilczeń czy uników. Pozostawał skupiony, z umysłem nakierowanym na teraźniejszość, z przeszłą traumą łagodzoną przez upływ czasu. Była pod wrażeniem. Gdyby emocje były kolorami, zasadzka Ramóna byłaby oddana w zwykłej czerni i bieli.

– Dobrze, a więc na jakie problemy się pan skarża? – zapytała.

Ramón zastanowił się chwilę.

– Cóż, czasami zbyt mało troszcę się o różne sprawy – wyznał w końcu. – Nie denerwuję się też tak bardzo wieloma rzeczami, które kiedyś doprowadzały mnie do szału. W zasadzie to dobrze, ale martwi mnie to czasem, kiedy wiem, że powinienem się bardziej zaangażować. Jeśli opóźniam się w pracy, nie spędza mi to snu z powiek. To do mnie niepodobne. I nie pamiętam wiele ze swojej służby w Afganistanie. To znaczy pamiętam, ale nie do końca. Jest mnóstwo dziur. Ludzie muszą mi przypominać, a ja czasem nic nie kojarzę. Ale mogę z tym żyć.

– A jak z pana słuchem? Czy słyszy pan głosy? – zapytała Carrie.

– Nie.

– Czy słyszy pan dźwięki albo głosy, o których wie pan, że są rzeczywiste, ale zdają się powtarzać wciąż w pana głowie, jak echo, które nie milknie?

Doktor Finley spojrzał na nią kompletnie zaskoczony. Wiedziała, że te pytania wywołają tego rodzaju reakcję. Nie należały do standardowego zestawu, jednak Finley nie zainterweniował.

– Nie – odparł Ramón.

Carrie dokończyła badanie: standardowe testy pamięci i funkcji poznawczych, co do których była pewna, że przejdzie je znakomicie. Sprawdziła jego wzrok i ruchomość gałek ocznych, słuch, mowę i zdolność połykania. Jego funkcje motoryczne, chód, czucie i odruchy były najzupełniej prawidłowe.

– Dziękuję – powiedziała. – Miło było mi poznać i porozmawiać z panem. I dziękuję za pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Do zobaczenia. I powodzenia z programem.

Znów uścisnęli sobie ręce i Carrie wraz z doktorem Finleyem opuściła gabinet. Finley miał jeszcze coś do omówienia z Ramónem, ale powiedział, że chce najpierw porozmawiać z Carrie na osobności.

– Niesamowite, prawda?

– Jestem naprawdę zdumiona – przyznała.

Duma i entuzjazm Finleya były zaraźliwe, jednak nie potrafiła, jak on, dać się ponieść chwili. Ramón sprawił, że odzyskała animusz, ale jej ciekawość nie została w pełni zaspokojona.

– Czy u Steve’a Abingtona kiedykolwiek zdiagnozowano schizofrenię? Były jakieś przypadki tej choroby w jego rodzinie?

Finley zastanowił się chwilę i pokręcił głową.

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Po prostu z ciekawości – odparła.

Spodziewała się takiej odpowiedzi i ani trochę nie zmniejszyło to jej obaw. Majaczenie pooperacyjne albo jakiś dziwny skutek uboczny DBS? Nie miała pojęcia. Zastanawiała się, jaki powinien być jej następny ruch. Zgodnie z grafiką w piątek miała być znów na sali operacyjnej, by wykonać zabieg DBS na żołnierzu piechoty morskiej nazwiskiem Eric Fasciani. Zanim będzie mogła w pełni podzielić entuzjazm Finleya, musi sprawdzić, czy u niego również wystąpi ten stan.

Jeśli będzie ostrożna, uda jej się odwiedzić tego pacjenta po zabiegu, a Goodwin nigdy się o tym nie dowie.

Rozdział 26

Carrie nigdy nie przepadała za alkoholem. Rzadko piła, ale w piątkowy wieczór, dwa dni po spotkaniu z Ramónem Hernandezem, siedziała sama w boksie u Bertucciego, sącząc sauvignon blanc. W głowie huczało jej ze zmęczenia. Spędziła na nogach siedem wyczerpujących godzin, wykonując kolejny udany zabieg DBS.

Operacja przebiegła dość gładko i nietrudno było dostrzec, jak jej praca może przerodzić się w rutynę. W grafiku na następny tydzień miała już dwa przypadki choroby Parkinsona, i miały to być niemal identyczne zabiegi. Dzisiaj na stół trafił Eric Fasciani i zależnie od tego, co Carrie odkryje, wszystko może się zmienić.

Niemłoda kelnerka o życzliwej twarzy i przyjaznym uśmiechu przemknęła obok jej stolika, ale zawróciła, zauważywszy pusty kieliszek.

– Czy przynieść następny? – Uprzątnęła kieliszek razem z resztkami sałatki. – Może jakiś deser? Mamy przepyszny mus czekoladowy.

– Brzmi kusząco – odparła Carrie – ale wezmę tylko kawę. Czarną.

Gdy kelnerka odeszła, Carrie sprawdziła godzinę na smartfonie i zmarszczyła brwi. Nie mogła się doczekać, kiedy zajrzy do Fascianiego na sali pooperacyjnej, ale było jeszcze na to za wcześnie. Jej najnowszy pacjent DBS stanowił potencjalną odpowiedź na zagadkę Steve’a Abingtona, w tej chwili jednak byłby zbyt odurzony lekami, by mogła to należycie ocenić. Dla jej celów musiał być bardziej przytomny.

Operacja Fascianiego trwała długo, ale przebiegła bez incydentów. Za radą doktora Finleya Carrie pominęła konsultację przedoperacyjną. Uznano, że będzie to korzystniejsze dla jej spokoju. Zamiast powitać wzburzonego i roztrzęsionego pacjenta, Carrie zobaczyła tylko ogolonego na łyso młodego człowieka, uspiętego i zaintubowanego, z rurką dotchawiczą podłączoną do respiratora i wkłutym w żyłę wenflonem. Być może tak było lepiej i zgadzało się to z poglądem doktor Goodwin na jej rolę jako najemnej siły roboczej. Carrie była technikiem, nie lekarzem. Dobrze chociaż, że doktor Finley zapoznał ją z historią tego nieszczęśnika.

– Trzy tury w Afganistanie, ale to ostatnia go wykończyła – powiedział. – Jak się wydaje, atak był świetnie zorganizowany. Stu pięćdziesięciu talibów zbiegło ze zbrocy z czterech stron i zasypało jego bazę ogniem karabinowym i granatami.

Carrie zastanawiała się, czy ktokolwiek powrócił z wojny niezmienny.

– Posterunek stanął w ogniu – ciągnął Finley. – Po tym wszystkim został z niego rozdygotany wrak. Nie mógł zasnąć, żeby jego martwi kumple nie obudzili go zlanego potem. Ewakuowano go stamtąd helikopterem i w końcu wrócił do domu w Worcester. Niestety kompletnie nie udało mu się na powrót zintegrować ze społeczeństwem. Cierpi na przerażające nawroty wspomnień i codzienne napady paniki. Prawdę mówiąc, znaleźliśmy go na ulicy, koczującego w starym wózku na zakupy. Ulokowaliśmy go teraz w schronisku, ale jego stan niezbyt się poprawił.

Carrie ogarnęło przelotne uczucie wdzięczności. Adam miał dom, kochających i wspierających go rodziców i ją. Spojrzała na Fascianiego i zobaczyła ślady po igłach na jego rękach i szyi, oraz dziesiątki wypukłych blizn na kończynach i tułowiu. Jednym z jego demonów była heroina.

– Psychoterapia niewiele mu daje – dodał Finley – a po wynikach badań krwi najczęściej w ogóle nie widać, żeby przyjmował leki przeciwdepresyjne, które mu zapisujemy. Tylko diazepam, alkohol, oksykodon i inne opiaty. Więc w tym przypadku, Carrie, DBS nie jest po prostu terapią. To jego jedyna nadzieja, modlitwa.

Operacja była powtórką zabiegu Abingtona. Małe otwory trepanacyjne do umocowania ramy stereotaktycznej, tomografia komputerowa i nałożona komputerowo mapa mózgu powstała na podstawie wcześniejszych skanów MRI. Czternastomilimetrowy otwór trepanacyjny umieszczony dokładnie tam, gdzie wskazały to obrazy, kaniula wprowadzona do podstawno-bocznej części ciała migdałowatego, potem elektrody i wreszcie pewny głos doktora Finleya dobiegający znad monitora po przeciwnej stronie stołu: „Wspaniale, Carrie. Precyzyjny i doskonały sygnał. Zamocuj je”.

Po wszystkim Finley i Carrie spotkali się na zewnątrz sali operacyjnej. Jej szef promieniał dumą, rozradowany.

– To twój drugi zabieg w tym tygodniu i jesteś, krótko mówiąc, znakomita – powiedział. – Wierz mi, Carrie, masz dryg do tej pracy. Jesteś jak robot. Chcę powiedzieć, że mimo wszystkich tych skomputeryzowanych ustrojstw doktor Rockwell często musiał przemieszczać kaniulę, niekiedy trzy albo i więcej razy, i zawsze obawiałem się powikłań – jakiejś infekcji lub krwotoku. Ale przy tobie mam pewność, że elektrody są umieszczone tam, gdzie trzeba, i jestem o wiele spokojniejszy o rezultat.

Kątem oka Carrie widziała wózek z Erikiem Fascianim toczony do windy w drodze na trzecie piętro, na salę intensywnej opieki pooperacyjnej.

– Dziękuję za zaufanie – odparła.

– Rockwell to świetny lekarz – dodał Finley. – I modlę się, żeby w pełni wrócił do zdrowia. Ale cokolwiek będzie, myślę, że masz jego pracę.

Carrie zarumieniła się, nieco zażenowana, że jej fart jest owocem cudzego nieszczęścia. Grzecznie odrzuciła zaproszenie Finleya na obiad i odeszła samotnie, żeby zabić czas.

To było trzy godziny temu. Carrie jeszcze raz zerknęła na smartfona, zapłaciła gotówką rachunek wraz z sowitym napiwkiem i wysliznęła się z boksu. Jeśli u Fascianiego wystąpią te same objawy co u Abingtona, nikt nie będzie pracował na miejscu Sama Rockwella, myślała, idąc szybkim krokiem do samochodu.

Rozdział 27

Parking dla lekarzy VA był niemal opustoszały, kiedy Carrie zajęła swym wiernym subaru. Zaparkowała w pewnej odległości od wejścia, z dala od wścibskich oczu. Zajęte były tylko miejsca rezydentów na dyżurze i ktoś pracujący dla Navarra mógłby rozpoznać jej wóz. To mogło spowodować pytania, a jej dzień pracy oficjalnie zakończył się w chwili, kiedy Fasciani został wywieziony z sali operacyjnej.

VA nie leżał w najlepszej okolicy i cisza otaczających ulic działała Carrie na nerwy. Przenikliwy wiatr marszczył plastikowe płachty zwisające z nieużywanych od dawna rusztowań, które otaczały znaczną część pogrążonego w mroku Gmachu B. Carrie nie wiedziała, czy zarząd VA liczył na dalszy napływ funduszy z DARP-y, by znów ruszyć z budową, ale miała swoje podejrzenia.

Ręką przyciskając do boku podkładkę z klipssem, osłoniła dłonie przed zimnym cienkim materiałem kieszeni długiego białego fartucha. *Też mi wiosna*. Pod fartuchem miała na sobie czysty niebieski strój operacyjny. Musiała wyglądać oficjalnie, jakby była tutaj służbowo.

Automatyczne drzwi tylnego wejścia do szpitala rozsunęły się ze świstem, kiedy się zbliżyła. Przemknęła obok samotnego ochroniarza tkwiącego przy drewnianym podium, migając mu przed oczyma swym szpitalnym identyfikatorem. Była dla niego po prostu kolejną lekarką na dyżurze. Puste korytarze VA wzmacniały odgłos jej kroków. O tej porze BCH tętniłby życiem i Carrie przypomniała sobie dni, kiedy karetki podjeżdżały jedna za drugą, przywożąc wszystko, od ataków paniki po rany postrzałowe.

W drodze do windy dostrzegła nadchodzącą z przeciwka młodą kobietę ubraną w zieloną bluzę i spodnie. Mogła być jedną z rezydentek Navarra, ale Carrie nie przyglądała się dokładnie, by to sprawdzić. Unosząc podkładkę przed twarzą, opuściła głowę, udając, że studiuje coś ważnego.

Wybieg zadziałał. Żadnego spojrzenia. Żadnej zmiany w rytmie kroków tamtej kobiety. Carrie poczuła się trochę głupio. Była chirurgiem, nie jakimś szemranym detektywem medycznym. Wszystko to było nieco absurdalne, ale i emocjonujące zarazem. Przez większość życia przestrzegała reguł, nie omijała ich, ale w tym wypadku czuła się usprawiedliwiona i wierzyła, że to, co robi, jest bezwzględnie konieczne. Przyspieszyła kroku i dotarła do wind nieco zdyszana.

Parę chwil później stanęła znów przed salą pooperacyjną oddziału neurologii. Wcisnęła przycisk interkomu i zaczęła, aż dyżurna pielęgniarka odblokuje dwuskrzydłowe drzwi broniące dostępu do pomieszczenia. Usłyszała ciche kliknięcie, pociągnęła za klamkę, po czym weszła do środka.

Marianne najwyraźniej miała tej nocy wolne i na stanowisku pielęgniarek dyżurował ktoś inny. Carrie nie rozpoznawała atrakcyjnego czarnoskórego, mniej więcej trzydziestoletniego mężczyzny, który był zbyt zaabsorbowany wklepywaniem danych, by zadać sobie trud sprawdzenia, komu otworzył drzwi.

– Dobry wieczór – powiedziała.

Mężczyzna oderwał wzrok od monitora. Miał przystojną twarz i migdałowe oczy koloru ciemnego karmelu. Carrie spojrzała na jego plakietkę identyfikacyjną, ale zasłaniał ją cień i nie dało się odczytać nazwiska.

– Spokojna noc dzisiaj – zagaiła.

Tylko jeden lekarz powinien był odwiedzać chorych i z pewnością nie była to Carrie. Choćby tylko z tego powodu wolałaby zupełnie darować sobie rozmowę, ale to mogłoby wydać się dziwne. Pielęgniarze oczekiwali, że lekarze zamienią z nimi parę słów.

– Mam dziś na sali tylko jednego pacjenta – odparł pielęgniarz. W jego dźwięcznym głosie nie było znać ani zadowolenia, ani zmartwienia brakiem aktywności.

Abington również był jedynym pacjentem na sali tamtej nocy, kiedy Carrie złożyła tu wizytę, co ją zaintrygowało. Czy weteranom specjalnie wyznaczano zabiegi DBS w dni, na które nie były przewidziane żadne inne duże operacje neurologiczne? Izolowanie ich miałoby sens, biorąc pod uwagę, jak bywali pobudzeni i nieobliczalni. Tak czy inaczej, ta praktyka działała na jej korzyść.

– Jak się ma nasz pacjent?

– Jest dość spokojny. Ale ci weterani generalnie są w nie najlepszym stanie.

– Wstąpię tylko i rzucę na niego okiem. To ja przeprowadziłam u niego implantację systemu DBS.

– Mhm. – Pielęgniarz, choćby chciał, nie mógłby okazać większej obojętności.

Tknięta nagłą myślą Carrie postanowiła zapewnić dodatkowe ubezpieczenie swej potajemnej wizycie.

– Jak się pan nazywa? – zapytała.

Pielęgniarz zerknął na nią podejrzliwie. Lekarze nie zawsze bawią się w takie uprzejmości.

– Lee Taggart – odparł, unosząc plakietkę, by dociekliwa lekarka mogła ją przeczytać.

– Wie pan co, Lee – Carrie pochyliła się konfidencjonalnie nad kontuarem –

byłabym wdzięczna, gdyby zachował pan moją wizytę w sekrecie. Tak naprawdę powinnam zostawić wszystko w rękach rezydentów, ale mam trochę bzika na punkcie kontroli.

Uśmiechnęła się figlarnie, co jednak kompletnie nie wzruszyło pielęgniarka. Odniosła wrażenie, że Lee Taggart nie dba za grosz o szpitalne zasady, byle tylko pobory spływały mu na konto.

– Niech pani robi, co pani uważa – powiedział, odwracając wzrok z powrotem ku tabelom. – Nie mówię ludziom niczego, o co nie pytają albo czego nie muszą wiedzieć.

Carrie rzuciła mu pełen wdzięczności uśmiech, którego nie dostrzegł, i odeszła.

Piętnaście kroków później znalazła się w boksie Fascianiego. Te szpitalne pokoiki były zaledwie przeszklonymi kabinkami z wolno stojącą szafą na ubrania i zapewniającą odrobinę prywatności cieniutką zasłonką. Pacjenci byli odizolowani, by ograniczyć rozprzestrzenianie się infekcji, i choć wybór pomieszczeń nie był duży, Carrie zwróciła uwagę, że Fasciani zajmuje ten sam boks co Abington przed przeniesieniem go na OIOM.

Lampka zamontowana nad łóżkiem pacjenta oświetlała jego twarz wystarczająco, by dało się dostrzec jego szklane spojrzenie. Był przytomny i Carrie pogratulowała sobie w duchu dobrego wyczucia czasu, kiedy będzie wybudzony po zabiegu. Zamknęła drzwi, zaciągnęła zasłonkę i włączyła świetlówkę pod sufitem.

Oczy Fascianiego były zapadnięte i obwiedzione czarnymi kręgami. Jego wychudła twarz, niekompletne uzębienie i ogolona głowa nadawały mu wygląd raczej jeńca wojennego niż hospitalizowanego pacjenta. Dobrze chociaż, że nie miał w oczach tego wyrzutu i przerażenia, jakie widziała u Abingtona. Być może jej obawy były płonne. Wkrótce się o tym dowie.

Podeszła do jego łóżka.

– Eric, jestem doktor Bryant. Operowałam cię dzisiaj – odezwała się szeptem.

Nic. Jeśli już, to jego nieobecny wzrok jeszcze usilniej starał się przeniknąć przeciwległą ścianę.

– Przyszłam tylko zobaczyć, jak się masz – ciągnęła, opierając dłonie na poręczy łóżka. – Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku. Niekiedy pacjenci czują mniej więcej w tym czasie lekkie nudności po narkozie i może cię boleć głowa.

Wciąż cisza. Jedyłą jego reakcją, jeśli można tak to nazwać, było odwrócenie się od niej. Poruszał się w zwolnionym tempie. Carrie poczuła ucisk w dołku. Jej wcześniejsza pewność siebie się ulotniła. Przyszła jej do głowy tylko jedna przyczyna tak ospałych ruchów.

Jest wciąż pod wpływem leków anestetycznych, cholera!

Była pewna, że dała mu dość czasu na dojście do siebie. Po tylu godzinach po operacji Fasciani powinien być wystarczająco przytomny, żeby grać w warcaby. W stanie, w jakim się znajdował, nie było szans, by mogła przebadać go jak należy. Wątpiła, czy pacjent spędzi na sali pooperacyjnej kolejną noc. Jeśli miała go zbadać, musiała to zrobić tego wieczoru. Nie miała innej opcji. Będzie musiała wrócić później. Napędzała ją ciekawość. Miała nadzieję, że osoba dyżurująca na nocnej zmianie okaże się równie ugodowa jak Lee Taggart.

Podeszła do nóg łóżka, by zerknąć na kartę Fascianiego. Rzuciwszy okiem na wykaz leków, od razu dostrzegła źródło problemu: diazepam, i to w końskiej dawce. Eric musiał się stać niespokojny i pielęgniarz, całkiem rozsądnie, uspił go. Najwyraźniej Lee Taggart uznał, że dawka silnego środka uspokajającego nie jest szczegółem, o którym Carrie musi wiedzieć, a jej, rzecz jasna, nie przyszło do głowy zapytać. Cóż, przynajmniej mogła być pewna, że małomówny pielęgniarz utrzyma jej wizytę w sekrecie.

Jeszcze raz, szlag!

Sytuacja była właściwie beznadziejna. Fasciani nie ocknie się tej nocy. Carrie mogłaby wrócić o północy albo o drugiej nad ranem i nie robiłoby to żadnej różnicy.

Choć zniechęcona, nie była skłonna dać za wygraną. Odziedziczyła upór i determinację po matce. Stojąc w nogach łóżka, zapytała:

– Eric, czy możesz mi powiedzieć, jak się czujesz?

Nie odpowiedział, ale też wcale tego nie oczekiwała. Przeszła na lewą stronę łóżka, by latarką sprawdzić reakcję jego źrenic na światło, i zauważyła, że ma wysuszone i spierzchnięte usta. Kostką lodu wyjętą ze stojącego przy łóżku plastikowego kubka przeciągnęła po nich jak leczniczym balsamem. Fasciani pustym wzrokiem wpatrywał się w punkt odległy o kilometr. W końcu odwrócił się od niej, ruchem spowolnionym działaniem leków, i znieruchomiał z głową zwróconą w stronę drzwi. Carrie sądziła w pierwszej chwili, że chce wezwać pielęgniarza, ale był tak zamroczony, że wątpiła, czy w ogóle wie, gdzie jest.

Postanowiła podjąć jeszcze jedną próbę, choć szanse powodzenia były nikłe. Przeszła na drugą stronę łóżka, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

– Eric, chcę ci pomóc – powiedziała. Głos łamał jej się lekko z emocji. W piersiach czuła ból, jakby miało pęknąć jej serce; jej głębokie współczucie wykraczało dalece poza obowiązki lekarza. Powodem gwałtowności tych uczuć był Adam. W zmaganiach Fascianiego oraz Abingtona słyszała echa swego brata. I choć wydawało się, że Adam radzi sobie dobrze, istniała realna możliwość, że pewnego dnia wpadnie w otchłań – najpierw ulica, potem narkotyki, schroniska i w końcu może jakieś szpitalne łóżko w VA, z drutami w mózgu albo bez. Tak

więc Fasciani nie był po prostu kolejnym rannym weteranem. Był jak ktoś z rodziny.

Jego pościel zaszeleściła, kiedy odwrócił się od Carrie w stronę ściany naprzeciw drzwi. Tym razem jego ruch wydał jej się zastanawiający. *Czy zrobił to umyślnie?* Odczekała chwilę, mniej więcej dwie minuty, celowo zachowując milczenie. Kiedy minęło dość czasu, obróciła jego głowę tak, że znów zwrócony był twarzą w jej stronę. Nie stawiał żadnego oporu i pozostał w tej pozycji nieruchomy, prawie nie mrugając. Zrobiła parę kroków w stronę drzwi.

– Eric, słyszysz mnie? – zapytała.

Jedna sekunda... potem druga... potem trzecia... potem...

Fasciani obrócił głowę w stronę przeciwległej ściany.

Dwa razy. To nic, pomyślała. Odezwałam się, a on dwa razy odwrócił głowę od mojego głosu. To mógł być zwykły zbieg okoliczności. Po raz trzeci obróciła jego głowę.

– Eric, słyszysz mnie?

Liczyła w myślach: *Raz... i dwa... i trzy...*

Fasciani pokazał jej tył swojej głowy, znów odwracając się ku ścianie naprzeciw drzwi. Powtórzyła test jeszcze raz z tym samym skutkiem. Mówiła do niego z prawej strony łóżka, a on odwracał głowę w lewo.

– Cholera. Wygląda to, jakby słyszał mój głos z tamtej strony pokoju! – mruknęła.

Poddała go jeszcze jednej próbie, ale w inny sposób.

– Eric, chcę, żebyś odpowiedział mi za każdym razem, kiedy to słyszysz – powiedziała.

Fasciani obrócił głowę w lewo i wymamrotał półprzytomnym, bełkotliwym od leków głosem:

– Słyszę cię, słyszę, słyszę.

Carrie zaparło dech. To był klasyczny objaw, o którym czytała w literaturze. Wielu pacjentów potrafiło umiejscowić swoje złudzenia po stronie przeciwnej do patologicznych zmian w mózgu. Była pewna, że kora słuchowa w prawym płacie skroniowym mózgu Fascianiego nie funkcjonuje jak należy.

Jej wykszolenie dało o sobie znać, gdy wszelkimi sposobami starała się spowolnić rozpedzone myśli. Nie chciała wyciągać pochopnych wniosków, ale trudno było jej opanować emocje.

Zarówno Abington, jak i Fasciani przejawiali objawy palinakuzji, a tym, co ich łączyło, był zabieg DBS. Tylko czy to on był pierwotną przyczyną? Carrie nie mogła stwierdzić tego na pewno. Znów wzięła pod uwagę krwotok, ale może chodziło o udar spowodowany zablokowanym naczyniem krwionośnym?

Potrzebowała skanu CT albo MRI, na cito. Do tego EEG. A może to był napad padaczkowy? Albo coś jeszcze innego? Dlaczego nic takiego nie wystąpiło u Ramóna? Albo wystąpiło, tylko o tym nie pamiętał?

Ogarniała ją niecierpliwość i zaciekawienie, ale także gniew. Tkwiła w pułapce. Nie powinna być tutaj i nie miała do kogo zwrócić się o pomoc. Nie mogła nawet zlecić tych badań, nie narażając się na konsekwencje ze strony Goodwin.

Nie miała prawa nic zrobić, chyba że uda się do doktora Finleya. Ale co potem?

Cześć, szefie, przepraszam, że naraziłam na szwank twój program i szpital, odgrywając bez upoważnienia rolę rezydentki.

Mogło to pociągnąć za sobą przeróżne problemy. W najlepszym razie Finley musiałby znaleźć jakieś wytłumaczenie dla badania Fascianiego przez Carrie albo po prostu skłamać, mówiąc, że sam prowadził pooperacyjną obserwację pacjentów. Ale Finley nie był nawet chirurgiem i uświadomiła sobie, że to wyjaśnienie by nie przeszło.

Zanim będzie mogła zwrócić się do Finleya, potrzebowała więcej konkretów. Najgorszą rzeczą, jaką mogła zrobić, było nie robić nic. Następne na liście złych rozwiązań było wysunięcie jakiegoś szalonego twierdzenia o niedostrzeżonych dotąd przez nikogo poważnych skutkach ubocznych DBS, nie mając żadnych dowodów na jego poparcie. Jej wiarygodność była wciąż w fazie odbudowy, a ona już wkroczyła na niepewny grunt. Miała wrażenie, że jest na tropie czegoś, ale właściwie czego? O wpół do dziesiątej wieczorem nie mogła tego wyjaśnić.

Chyba że...

Nagle przyszedł jej do głowy pomysł tak sprytny, że poczuła napięcie we wszystkich mięśniach ciała. O jedenastej przyjdzie następna zmiana. Carrie mogła pójść do domu, zadzwonić do dyżurnej pielęgniarki i zlecić tomografię komputerową, korzystając ze szpitalnego identyfikatora doktora Navarra, który wisiał, widoczny dla wszystkich, przy stanowisku pielęgniarek.

Było to ryzykowne posunięcie, ale zlecenie badania to nie zaordynowanie narkotyku. Mogła powiedzieć, że Navarro osobiście poprosił ją, żeby się tym zajęła. Istniała szansa, że nikt nie zakwestionuje zlecenia. Jeśli pielęgniarka z nocnej zmiany będzie choć trochę przypominała Lee Taggarta, było to niemal pewne. Badanie zostałoby wykonane w nocy albo bardzo wcześnie rano. Carrie wstąpiłaby do pracowni radiologicznej zaraz po przyjściu i obejrzałaby klisze osobiście. Prawdopodobnie nikt by jej nie zobaczył, gdyby zjawiała się wystarczająco wcześnie. Kiedy pozna wyniki tomografii i EEG, zdecyduje, co robić dalej. Delikatnie dotknęła twarzy Fascianiego. Jego skóra sprawiała wrażenie gąbczastej, nieelastycznej. Współczucie ścisnęło jej serce. Musiała coś zrobić.

Nie był to idealny plan, ale przynajmniej tyle mogła zdziałać.

Rozdział 28

Rzut oka na prędkościomierz powiedział Carrie, że jedzie siedemdziesiątką. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach, nie było więc nic dziwnego w tym, że napędzana adrenaliną jechała tak szybko. Spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Za pół godziny będzie mogła zadzwonić, by odbyć rozmowę, którą ćwiczyła w pamięci.

Radio było wyłączone, ale jej palce wybijały na kierownicy nieregularny rytm, kiedy zjeżdżała z autostrady. Wróciła myślami do Fascianiego, Abingtona i tej osobliwej palinakuzji. Implikacje tego odkrycia podniecały ją i oszałamiały zarazem. Głęboka stymulacja mózgu znajdowała się w epicentrum renesansu psychochirurgii, narastającej fali, którą jej odkrycie mogło załamać. Doktor Finley na pewno nie przewidywał takiego rezultatu, kiedy wprowadzał ją na pokład.

Przestrzegając dozwolonej prędkości, Carrie dotarła do domu za kwadrans jedenasta, mając piętnaście minut do przyjścia nocnej zmiany i rozpoczęcia przedstawienia. Trudno było nie wybiegać myślami w przyszłość. Gdyby DBS okazała się szkodliwa tak, jak podejrzewała, położyłoby to natychmiast kres pilotażowemu programowi Finleya, a ją pozbawiłoby pracy. To, co miała wkrótce zrobić, niosło olbrzymie brzemie winy. Finley dał jej drugą szansę, a ona za jego plecami pracowała ukradkiem nad zniweczeniem potencjalnie zasługujących na Nagrodę Nobla prac nad leczeniem PTSD.

Choć środowisko chirurgów zaakceptowało głęboką stymulację mózgu jako neurochirurgiczną metodę leczenia rozmaitych dolegliwości, opinia publiczna skupiłaby się na powodowanych przez nią uszkodzeniach mózgu i trudno byłoby jej nie widzieć w tym zabiegu powrotu do czasów zardzewiałych utensyliów i śliniących się, otepiałyh pacjentów. Pewne skutki uboczne eksperymentalnych zabiegów chirurgicznych byłyby do przyjęcia, ale palinakuzja do nich nie należała. Ten niezwykle rzadki objaw uniemożliwia człowiekowi funkcjonowanie z powodu bezcielesnych głosów nieustannie krzyczących mu do ucha. Jeśli nie jest to los gorszy od śmierci, to z pewnością temu bliski.

Gdy Carrie weszła do domu, Irene Bryant malowała obraz w salonie. Adam leżał wyciągnięty na sofie. Ubrany w szare szorty i luźny T-shirt, chrupał jabłko, przybrawszy rubensowską pozę. Gdyby tylko był tak pulchny i dorodny jak owe modelki. Odwiesiwszy płaszcz, Carrie podeszła do sztalug. Była przekonana, że to

Adam jest tematem dzieła matki, ale Irene malowała tylko stojącą na stoliku misę z owocami. Efekt był tak realistyczny, że Carrie zdawało się, iż czuje zapach cytrusów wmieszany w woń świeżej farby olejnej.

– To jest piękne, mamó – powiedziała.

Irene, podparwszy się pod boki, przyjrzała się krytycznie swej pracy.

– Myślę, że zatytułuję go *Misa z owocami*.

– Bardzo trafny tytuł – odparła Carrie. Wskazała palcem jabłko w misie. – Mogę? – zapytała. Na obiad zjadła tylko sałatkę i burczało jej w brzuchu. Musiała wypełnić czymś żołądek, zanim zadzwoni, a obraz matki rozbudził w niej apetyt na owoce.

– Skończyłam z nim już, więc się nie krępuj.

Adam rzucił jej jabłko. Zauważyła, że czubki palców brata są czarne od smaru silnikowego, którym w jakiś sposób udało mu się nie powalać mebli, ale nie owocu. Odrzuciła mu go z powrotem.

– Wezmę sobie sama. Dzięki.

– Prawie udało mi się dziś uruchomić tę bestię – powiedział Adam.

Jego nieobecne spojrzenie i przygnębiona mina sprawiły, że promienny uśmiech Irene zgasł. Carrie posmutniała na myśl o tym, co musi czuć matka. Przeszłość Adama blokowała jego potencjał, jego przyszłość, a psychiczne kajdany, które dźwigał, utrzymywały go w stanie zawieszenia, z którego na pozór nie było ucieczki. Ona sama zaś, uczestniczka doniosłego przełomu w psychochirurgii, mogąc pomóc Adamowi i innym jemu podobnym, zamierzała zrobić coś wręcz przeciwnego.

Irene odwróciła się ku córce i utkwiała w niej zatroskane spojrzenie. Potrafiła dostrzec to, co umykało innym, dzięki czemu była nie tylko utalentowaną malarką, ale i matką, przed którą trudno cokolwiek ukryć. Carrie przekonała się o tym boleśnie w buntowniczych latach gimnazjalnych, zwłaszcza gdy po raz pierwszy i ostatni w życiu wróciła od koleżanki lekko podchmielona. Obserwatorski zmysł matki nigdy nie przestawał jej zdumiewać. Być może odziedziczyła nieco tego daru, co pozwoliło jej dostrzec u Abingtona i Fascianiego to, czego nie widzieli inni z VA.

– Czy coś jest nie tak, kochanie? – zapytała Irene.

Właśnie mam zamiar znowu rozpieprzyć swoją przyszłość, pomyślała Carrie. Swoją i Adama.

– Nie, wszystko w porządku. – To była cała odpowiedź, na jaką było ją stać.

– Dzionek był udany?

– Jak najbardziej. Ale pójdę już spać. Jutro czeka mnie ważny dzień. – *Może najważniejszy, zależnie od tego, co wykażą albo czego nie wykażą te badania.*

– Tak, mnie też – wtrącił z sarkazmem Adam. – Zamierzam nie robić nic, a po południu dostanę wielką górę niczego na talerzu.

Irene spojrzała na niego z lekką dezaprobatą, tylko dlatego, że w jego żarcie kryła się bolesna prawda. Adam nie miał nic do roboty poza pracą przy swoim gruchocie. Nie mógł się nigdzie zatrudnić, spotkać z przyjaciółmi czy skoncentrować na jakimś zadaniu, by frustracja i utajona agresja nie wzięły nad nim góry.

Carrie przeszła przez pokój, objęła brata ramionami i pocałowała w czoło.

– Kocham cię, braciszku – powiedziała. – I przebrniemy przez to razem.

Adam odpowiedział słabym uśmiechem sugerującym, że nie podziela jej przekonania.

– Może w moim następnym życiu – odparł.

Poczucie winy wróciło. Ból zdrady, sekretów, których będzie musiała dochować, ciążył jej bardzo i przypuszczała, że z upływem czasu stanie się jeszcze większym brzemieniem. Kierując się w stronę schodów, przystanęła, by w przelocie cmoknąć matkę w policzek. Spojrzenie, jakie posłała jej Irene, powiedziało jej, że ten czuły gest nie uśmierzył matczynej troski.

Carrie wbiegła po schodach i zamknęła za sobą drzwi sypialni. *Nareszcie w domu!* Ale nie, nie była w domu. Nie tak naprawdę. To była prowizorka; w jej życiu panował chaos, tak samo jak w życiu Adama.

Usiadła na łóżku ze smartfonem w dłoni. Nie znała na pamięć numeru VA, odszukała go więc i zapisała na tym samym świstku, na którym wcześniej zanotowała szpitalny identyfikator doktora Navarra oraz jego nazwę użytkownika i hasło. Navarro wywiesił te dane dla własnej wygody, by nie musieć zatwierdzać i wprowadzać każdego zlecenia badań laboratoryjnych, jakie składali rezydenci. Było to lenistwo, ale nie on jeden praktykował ten zwyczaj.

Carrie nie musiała sprawdzać, by wiedzieć, że ma lekko rozszerzone źrenice i przyspieszone tętno – neurologiczne reakcje na stres. Zdawała sobie sprawę, że to pobudzony współczulny układ nerwowy wywołuje te objawy, lecz wiedza ta w żaden sposób nie zmniejszała jej niepokoju.

Telefon zaczął dzwonić. Jej dłonie stały się lepkie od potu.

Odezwała się telefonistka.

– Tu VA, czym mogę służyć?

– Proszę salę pooperacyjną oddziału neurologii.

– Chwileczkę.

Po krótkiej ciszy znów rozległ się sygnał. Carrie zaczerpnęła tchu i powoli wypuściła powietrze. Przyglądała się numerowi identyfikacyjnemu Navarra, ucząc się cyfr na pamięć.

Uda ci się. Po prostu mów pewnym głosem.

Kolejny sygnał. Carrie, cała spięta, ścisnęła telefon coraz mocniej. Ale słyhać było tylko dzwonki. Nikt nie odbierał. *Gdzie jest dyżurna pielęgniarka?* Przyszło jej do głowy, że Fascianiemu mogło się pogorszyć. Być może był w tej chwili reanimowany, może dostał zapaści. Naturalnie zaczęła rozważać najgorszy możliwy scenariusz. Czy miało to związek z zabiegiem?

Odczekała kwadrans, po czym zadzwoniła jeszcze raz. Telefonistka ponownie połączyła ją z oddziałem. Trzydzieści minut po północy, po trzech próbach dodzwonienia się do dyżurnej pielęgniarki, Carrie była emocjonalnym wrakiem. Coś strasznego przydarzyło się Ericowi Fascianiemu, była tego pewna. Jeszcze raz wybrała numer szpitala.

– Tu doktor Carrie Bryant – przedstawiła się. – Czy mogłaby pani dać znać dyżurnej pielęgniarce z sali pooperacyjnej oddziału neurologii, żeby zadzwoniła do mnie najszybciej, jak to możliwe?

Podawała telefonistce swój numer i czekała niecierpliwie na dzwonek telefonu. Kiedy rozległ się w końcu jakieś siedemnaście minut później, leżała na podłodze, próbując rozciągnąć nieco napięte mięśnie nóg i pleców. Choć od niesprowokowanej napaści Abingtona minęły już dwa dni, wciąż czuła uporczywy ból. Powinna była zejść na dół, żeby coś przekazać, ale Adam siedział tam jeszcze, oglądając telewizję, a ona nie była w nastroju, by znów stawić czoło swemu poczuciu winy.

Pokonała atak zawrotów głowy po zbyt szybkim zerwaniu się z podłogi i odebrała telefon.

– Tu doktor Bryant – powiedziała.

– Doktor Bryant, tu Mandy, telefonistka.

– Mandy? – Carrie nic nie rozumiała. *Gdzie jest dyżurna pielęgniarka?* – Ach, okej – odparła machinalnie.

– Na sali pooperacyjnej oddziału neurologii nikogo nie ma.

Zawroty głowy wróciły ze wzmożoną siłą.

– Co chce pani przez to powiedzieć? To niemożliwe. Zaledwie parę godzin temu odwiedzałam tam pacjenta.

Mandy westchnęła z irytacją, jak gdyby dając do zrozumienia, że lekarze nigdy nie wiedzą, co się naprawdę dzieje.

– Być może – odparła. – Ale teraz nie ma tam żadnych pacjentów. Ochrona sprawdziła to dla mnie. Światła są pogaszone, drzwi zamknięte i nikogo nie ma.

Rozdział 29

Podczas nocnej jazdy do VA Carrie nie szarżowała z gazem. Zamiast krwi miała w żyłach espresso. Myśl, że Fasciani jakimś cudem wstał i wyszedł z sali pooperacyjnej, po prostu nie mieściła się w głowie. Jedynym wyjaśnieniem było nagłe pogorszenie się jego stanu, podobnie jak w wypadku Abingtona. Być może miał wstrząs, może wystąpiła arytmia, jak u Abingtona, i został przeniesiony na OIOM – „odfajkowany”, jak określiłaby to Goodwin. Wywołana przez DBS palinakuzja i arytmia? Carrie nie mogłaby wyobrazić sobie bardziej dziwnego połączenia.

Gdyby mogła zadzwonić z domu do Lee Taggarta albo do dyżurnej pielęgniarki z nocnej zmiany, zrobiłaby to. Problem w tym, że nie miała dostępu do grafiku. Była pracownicą doktora Finleya i nie miała uprawnień do korzystania ze szpitalnego systemu komputerowego. Jeśli chciała rozmawiać z pielęgniarkami, mogła to zrobić jedynie na miejscu. Żaden problem. Odgrzała burrito w kuchence mikrofalowej, a Red Bull miał zapewnić jej jasność umysłu na całe godziny.

Co więcej, zyskała dzięki temu pretekst, by udać się na OIOM w poszukiwaniu Fascianiego i przy okazji osobiście zbadać Abingtona – jeśli wciąż jeszcze tam leżał. Nietrudno będzie jej przejść przez oddział, nie budząc większego zdziwienia. Jej cel był skromny i osiągalny. Dotrze do pracy na długo przed innymi, dowie się tego, co chce wiedzieć, i może prześpi się parę godzin w jakiejś pustej dyżurce.

Nieco po pierwszej trzydziści zajechała pod VA i postawiła samochód w tym samym miejscu, na którym parkowała parę godzin temu. Potem znów przeszła tylnym wejściem, skinąwszy głową i mignąwszy identyfikatorem, tym razem innemu ochroniarzowi. Szybkim krokiem przemierzyła korytarz, chcąc jak najszybciej potwierdzić to, o czym już wiedziała. Szpital, jak większość jego pacjentów, wydawał się pogrążony w głębokim śnie.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze i Carrie wysiadła w pośpiechu. Błyskawicznie znalazła się przy dwuskrzydłowych drzwiach sali pooperacyjnej. Jak zawsze były zamknięte. Bardziej niezwykły był widok, który zobaczyła przez okienka w wahadłowych drzwiach. Światła na korytarzu były wyłączone. Poświata rozmaitych wygaszaczy ekranu oświetlała stanowisko pielęgniarek wystarczająco, by Carrie mogła się przekonać, że jest puste.

Puste, ale dlaczego? Co się stało z jej pacjentem? A raczej z pacjentem Navarra

i Goodwin.

Jeśli Fasciani był wciąż w szpitalu – a gdzie indziej mógłby być? – Carrie uznała, że znajdzie go na oddziale intensywnej opieki medycznej. Miał wstrząs albo coś w tym rodzaju. Arytmia. To było jedyne logiczne wytłumaczenie.

Wkrótce stanęła przed zamkniętymi drzwiami OIOM-u, patrząc przez szybę na dobrze oświetlony, funkcjonujący oddział. Wcisnęła przycisk interkomu i przedstawiła się jako doktor Bryant. Drzwi otworzyły się, a ona ruszyła śmiało w stronę stanowiska pielęgniarek. Czarnoskóra dwudziestoparoletnia kobieta o gładko zaczesanych do tyłu włosach i wydatnych kościach policzkowych, piękna i drobna, uniosła wzrok znad monitora i uśmiechnęła się do niej.

– Dzień dobry, pani doktor, co panią tu sprowadza?

– Chciałam tylko sprawdzić, czy wczoraj wieczorem trafił tu pacjent nazwiskiem Eric Fasciani.

Kobieta, Dot według plakietki z nazwiskiem, przebiegła palcami po klawiaturze, po czym lekko pokręciła głową.

– Nie kojarzę tego nazwiska. Nie, przykro mi. Nie ma go tutaj.

Carrie zmarszczyła czoło. Gdzie on mógł trafić?

– A czy Steve Abington wciąż tu jest? – zapytała jeszcze.

Dot stuknęła w klawisze szybciej niż sprzedawca biletów lotniczych. Znow lekko zmarszczyła brwi.

– Nie mamy tu też nikogo o tym nazwisku – odparła.

– Chyba przywieziono go na ten oddział przedwczoraj?

Dot znow spojrzała w ekran, sądząc, że mogła coś przeoczyć.

– Przykro mi, nie mamy go w rejestrze, więc nie mogę powiedzieć pani, gdzie trafił.

– Możemy sprawdzić w komputerze? – zapytała Carrie.

– Niestety nie – odparła Dot. – Ten nowy elektroniczny system rejestracji danych jest pod wieloma względami wspaniały, ale jesteśmy wciąż w lesie, jeśli chodzi o autoryzację dostępu. Spędziłam nad tym około stu godzin, a jedyne, co wolno mi zrobić, to wprowadzać parametry życiowe i inne dane medyczne.

Carrie bynajmniej nie była zaskoczona. Znała ten problem bardzo dobrze.

– Mogę sprawdzić wyniki badań laboratoryjnych – powiedziała Dot. – Ale nie jestem w stanie dotrzeć do takich informacji, jak dane osobowe pacjenta. Proszę mnie nie pytać dlaczego. Niemal wszyscy na to narzekają, ale myślę, że wkrótce się połączymy.

Carrie rozpromieniła się.

– Czy może pani sprawdzić, jakie badania wykonano dla Steve'a Abingtona w ciągu ostatnich dwóch dni?

Dot skinęła głową i jej palce zaczęły śmigać po klawiaturze.

– W systemie nic nie ma.

– Nic? Czy to normalne? W końcu on leżał na tym oddziale.

– Pani doktor, w VA może zdarzyć się wszystko. Jediną normalną rzeczą jest to, że nic nie jest normalne, jeśli rozumie pani, co chcę przez to powiedzieć. A tak w ogóle, kim pani jest?

No i tyle. Ostatnią rzeczą, jakiej Carrie potrzebowała, było to, by wieść o jej wizycie tutaj dotarła do Goodwin albo Navarra. Musiała pójść ze swymi obawami do kogoś, kto naprawdę będzie mógł pomóc.

Rozdział 30

Ściskając w garści kubek z kawą, Carrie skierowała się do gabinetu doktora Alistaira Finleya, upewniwszy się wcześniej, że jego granatowy mercedes coupé klasy E stoi na swoim stałym miejscu. Parking był już w połowie zapełniony, a na korytarzach rozchodzących się wokół głównego wejścia zaczął się zwykły ruch. Szpital ziewnął, przeciągnął się i teraz budził się do życia jak uśpiony olbrzym.

Na dworze półmrok wczesnego poranka ustąpił skrzącemu się blaskowi słońca i miłemu, ciepłemu wietrzykowi. Wszystko wskazywało na to, że będzie to piękny dzień. Carrie zastanawiała się, gdzie mogą spędzać go Abington i Fasciani.

Szła do gabinetu Finleya otumaniona, z zaczerwienionymi oczami, przespawszy się zaledwie dwie godziny na pozbijanym w grudy materacu w dusznej jak wnętrze pieca dyżurce. Doktor Finley zawsze rozpoczynał pracę o ósmej. Carrie biegła tam, nawet się nie ogarnąwszy. To musiała być jego pierwsza wiadomość dnia.

Przybywszy za pięć ósma, przekonała się, że drzwi gabinetu jej szefa są zamknięte – odpowiednik hotelowej wywieszki „Nie przeszkadzać” – ale mimo wszystko zapukała.

Zazwyczaj miły głos Finleya brzmiał nieco burkliwie, gdy zawołał: „Proszę wejść!”. Przekraczając próg, zauważyła, że nie włączył jeszcze laptopa, i wątpiła, czy zdążył wypić poranną kawę. Akcja zaczęła się, zanim był oficjalnie gotów stawić jej czoło.

Na jej widok Finley zrobił zaskoczoną minę. Zerknął szybko na grafik zabiegów, przypięty do korkowej tablicy wiszącej na ścianie nad jego komputerem.

– Chyba nie mamy dzisiaj operacji, prawda? – odezwał się, sięgając po kubek z kawą.

– Oni zniknęli – powiedziała Carrie. – Abington i Fasciani. Zniknęli. Nie mogę znaleźć żadnego z nich.

Finley spojrzał na nią z ukosa.

– O czym ty mówisz? – zapytał, wskazując gestem jedno z metalowych krzeseł. – Carrie, usiądź, proszę. Wyglądasz okropnie. Spałaś chociaż trochę?

Carrie nie miała czasu przejrzeć się w lustrze, przypuszczała jednak, że musi wyglądać koszmarnie. Spała w fartuchu i stroju operacyjnym, i było to po niej widać. Jej włosy były zmierzwioną masą. Finley tymczasem miał na sobie elegancki prążkowany garnitur i czerwony krawat.

Uświadamiając sobie, że wparowała jak burza, Carrie posłusznie usiadła. Starła się uspokoić rozpędzone myśli. W White Memorial neurolog o takiej pozycji miałby panoramiczny widok na rzekę Charles, ale tu doktor Finley miał za oknem tylko opuszczony plac budowy. Był niedoceniany i skromny, a ona chciała być w porządku wobec człowieka, który wziął ją pod swoje skrzydła i dał jej szansę na odkupienie win.

Finley obrócił swój fotel w stronę Carrie. Odchylił się w tył i oparł podbródek o kciuk, z drugą ręką założoną na piersi.

– No więc co się właściwie dzieje? Chciałabyś może kawę albo coś?

Carrie pokazała mu swój kubek.

– Nie, dziękuję. Już mam.

Jej żołądek wybrał tę właśnie chwilę, by zaburzyć jak nadciągający grzmot. Nie jadła przyzwoitego posiłku od wielu godzin. Po wizycie na OIOM-ie spędziła nieco czasu w niemal opustoszałym bufecie, certoląc się z kubkiem kawy i gapiąc na porcję jajecznicy z proszku i owoców z puszki, która patrzyła na nią z talerza.

– Co cię dręczy? – zapytał Finley.

– Zajrzałam do Steve’a Abingtona po operacji – odparła. – Nie przywiązywałam do tego wagi. Po prostu zawsze tak robię. Ty też byś to zrobił. Kiedy zlecasz badania albo poddajesz kogoś zabiegowi, czujesz się zobowiązany, żeby śledzić jego stan, prawda?

– Oczywiście. Chyba już wiem, do czego zmierza ta rozmowa.

– Najwyraźniej tu jest to niemile widziane. Doktor Goodwin i doktor Navarro powiedzieli mi... nie, stanowczo zabronili mi prowadzić pooperacyjną obserwację moich pacjentów. Ale usłyszałam to dopiero po tym, jak poszłam zobaczyć Steve’a Abingtona.

– Poszłaś na salę pooperacyjną?

Carrie skinęła głową.

– Muszę ci powiedzieć, że z Abingtonem było kiepsko. Kiedy tam zajrzałam, był wciąż zdezorientowany i pobudzony, ale to pewnie dlatego, że właśnie budził się z narkozy. Jednak później zrobiło się jeszcze gorzej. W końcu musiałyśmy z pielęgniarką podać mu haloperydol, chociaż wcześniej dostał już diazepam.

Finley skrzywił się. Pewna granica została przekroczona.

– Taaak, Goodwin zaczęła mnie na korytarzu i mówiła długo o waszej rozmowie. Ale nie wiedziałem, że odwiedziłaś pacjenta po zabiegu. Teraz rozumiem już, dlaczego była tak wkurzona.

– Co powiedziała?

Finley roześmiał się lekko.

– Wolałbym nie powtarzać. Obiecałem jej, że porozmawiam z tobą, ale na znak

protestu postanowiłem w ogóle nie poruszać tej sprawy. Jesteś dorosła i ufam, że dostosujesz się do tutejszych reguł. A między nami mówiąc, uważam, że Goodwin jest taktowna jak buldożer.

Carrie zapadła się w sobie. Miała jeszcze tyle do powiedzenia, ale współczujący wzrok Finleya rozbudził w niej nagłe poczucie winy. Zamiast być graczem zespołowym poważnie traktującym swój okres próbny, przestrzegając oddziaływanych zasad, ona uparcie wprowadza chaos.

– Cóż, nie zamierzałam naruszać szpitalnej polityki – powiedziała w samoobronie. – Kiedy wróciłam do domu, dowiedziałam się, że Abington został przeniesiony na OIOM z powodu jakiegoś problemu z sercem, ale zanim zdążyłam pójść tam rano, doktor Goodwin wezwała mnie do siebie i powiedziała, że mam się nie wtrącać, że to już sprawa innych.

– Z przykrością muszę przyznać, że ona ma rację, Carrie – odparł Finley, starając się nie okazać zbyt dużego wyrzutu w głosie. – Codzienną opieką nad pacjentami musi zajmować się zawsze ten sam, dobrze zorganizowany personel, który podlega kierownictwu tych dwojga. Chociaż w pewnym sensie jesteś moją prywatną pracownicą, oficjalnie należysz do jej działu. Powiem szczerze, że trzymam się od nich możliwie z daleka i proponuję, żebyś robiła to samo. W przeciwnym razie zrobi się zamieszanie. Poza tym Goodwin może nabruździć, jeśli uzna, że nie chce cię wśród załogi.

Carrie spojrzała na niego z przestachem.

– Naprawdę?

Finley nie wydawał się zbyt przejęty.

– Twoja pensja może pochodzić z moich prywatnych funduszy, ale ostatecznie to wszystko są rządowe pieniądze. Tak więc formalnie to Goodwin wszystkim rządzi – wyjaśnił. – Z drugiej strony, jeśli odniesiemy tu sukces, to na nas dwoje spłyną wszelkie pochwały i zaszczyty, a ona pozostanie na drugim planie.

Carrie nie mogła do końca pojąć tej logiki. Ale jeśli doktor Finley zgadzał się na tę politykę, uznała, że lepiej ustąpić. A jednak dwóch pacjentów zniknęło. Z pewnością Goodwin nie byłaby zachwycona takim stanem rzeczy.

Finley prychnął śmiechem.

– Kłopoty towarzyszą ci na każdym kroku, co? Jak wiele szkód będę musiał tu naprawić? I co to za znikający pacjenci? Zdawało mi się, że była mowa tylko o wizycie u Steve'a Abingtona.

Carrie jeszcze bardziej skuliła się na krześle.

– Cóż, muszę przyznać, że nie mogłam się powstrzymać, żeby przynajmniej nie zajrzeć do Erica. Wiem, wiem, nie powinnam była tego robić. Ale operowałam go zaledwie parę godzin wcześniej i obawiałam się, czy nie wystąpi u niego taka sama

reakcja jak u Abingtona. Chyba też byś tak zrobił?

– Być może.

Carrie wzdrygnęła się, słysząc jego karcący ton. Nieświadome naruszenie reguł przy Abingtonie to jedno, ale jawne zlekceważenie Goodwin i wizyta u Fascianiego wykraczały poza granice tolerancji Finleya. Jednak nie mogła już nic na to poradzić. Musiała brnąć dalej.

– Kiedy poszłam zobaczyć Fascianiego, nie było go tam. Sala była pusta i zamknięta na klucz – powiedziała, siląc się na spokój. Nie wspomniała o tym, że wróciła do domu, by zlecić badania. To nie był odpowiedni moment na poruszanie kwestii, która naprawdę ją gnębiła. – A skoro byłam już w szpitalu, postanowiłam zajrzeć na OIOM do Steve’a Abingtona.

Doktor Finley klepnął się w czoło.

– Rany boskie, Carrie! Zignorowałaś Goodwin kompletnie.

– Ale nie zastałam go tam – ciągnęła Carrie, ignorując przyganę. – A Dot, pielęgniarka z OIOM-u, nie miała w rejestrze żadnego śladu, że on *kiedykolwiek* tam był.

– O której godzinie to wszystko się zaczęło? – zapytał Finley.

– Chyba po dziesiątej wieczór – odparła. – Przekąsiłam coś po operacji, a potem wróciłam po pewną rzecz, którą zostawiłam w swoim pokoju. To właśnie wtedy postanowiłam zajrzeć do Fascianiego.

– Carrie... – W głosie Finleya brzmiała wyraźna nagana.

– Wiem, że nie powinnam była tego robić – przyznała Carrie. – Ale ciekawość była silniejsza. Po prostu nie przywykłam do tego, żeby porzucać swoich pacjentów. To dla mnie trudne.

W końcu udało jej się powiedzieć coś, co ugłaskało Finleya. Cień uśmiechu sprawił, że uspokoiła się nieco.

– Rozumiem – odparł. – Masz jedyną w swoim rodzaju pracę w jedynej w swoim rodzaju kulturze organizacyjnej VA. Trzeba zмагаć się z mnóstwem biurokracji, a twoja pozycja bynajmniej ci tego nie ułatwia. Więc kiedy nie znalazłaś naszego pacjenta na sali pooperacyjnej, poszłaś zobaczyć Abingtona na OIOM-ie... dobrze to rozumiem?

– Tak jest – potwierdziła Carrie. – Powiedzmy, że to ciekawość zawodowa.

– Ja powiedziałbym, że to bardzo, bardzo dziwne – stwierdził Finley, gładząc się po podbródku. – Nie to, co zrobiłaś, ale to, że ci pacjenci zniknęli. Szczerze mówiąc, nie wiem w tej chwili, co ci odpowiedzieć, ale obiecuję, że zaraz przyjrzę się tej sprawie. Spotkajmy się ponownie dziś po południu. Jestem zajęty przez cały dzień, ale wygospodaruję dla ciebie chwilę o czwartej. Do tego czasu zdążę rozwikłać zagadkę. Ale ty, moja droga, powinnaś skorzystać z wolnego dnia i pójść

do domu się przespać. – Wstał z krzesła. Jego troskliwość przypomniła jej ojca. – Ja zajmę się wszystkim. A poza tym posłuchaj mojej rady i trzymaj się z daleka od Goodwin. Ona ma kły.

– Navarro też, jak przypuszczam.

– On także gryzie.

– W takim razie widzimy się o czwartej.

Carrie wyszła z pokoju zadowolona, że nie wspomniała Finleyowi o palinakuzji. Zastanawiała się, czy tego nie zrobić, ale oparła się pokusie. Jej zaintrygowanie przyczyną tej dolegliwości – czy był to udar niedokrwienny, krwotok wewnątrzczaszkowy, napad padaczkowy, jakieś nierozpoznane powikłanie samego zabiegu DBS czy coś jeszcze innego – nie zmalało. Literatura medyczna zawierała jedynie garstkę doniesień o przypadkach palinakuzji, więc natknięcie się na nią u dwóch kolejnych pacjentów było czymś więcej niż zbiegiem okoliczności. Dlatego potrzebowała dowodów, zanim postawi pod znakiem zapytania cały program Finleya. Musi zobaczyć twarde fakty. Będzie potrzebowała wyników badań angio-TK i EEG, by móc wykluczyć bardziej pospolite wyjaśnienie tego, co zaobserwowała.

Zamiast jechać do domu i z powrotem, postanowiła przespać się jeszcze kilka godzin w dyżurce i spędzić popołudnie na studiowaniu literatury, zanim spotka się o czwartej z Finleyem. Posiliwszy się kupionym w bufecie wysokobiałkowym batonikiem, nie miała problemu ze znalezieniem o tej porze dnia pustej dyżurki. Opadła na materac i zamknęła oczy.

Uporczywe myśli nie pozwoliły jej zasnąć od razu. Musiała rozważyć tak wiele ewentualności. A jeśli Abington i Fasciani nie będą już wykazywać objawów palinakuzji, kiedy się odnajdą? Mogłoby to sugerować, że jest to stan przejściowy. W takim wypadku mogłaby nalegać na włączenie do programu DARPA pooperacyjnych badań neurologicznych, żeby sprawdzić, czy nie pojawi się u innych. Nie był to idealny plan, ponieważ nie była skłonna wykonywać dalszych zabiegów, dopóki nie zdoła wykluczyć potencjalnego efektu ubocznego. Wiele będzie zależało od spotkania o czwartej.

Nie mogąc się skoncentrować, Carrie zamknęła oczy. Wzięła kilka uspokajających oddechów i próbowała oczyścić umysł. Wyczerpanie sprawiło, że była podminowana i nie potrafiła się odprężyć. Ponownie skupiła się na myśli, że palinakuzja może być stanem przejściowym. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej sensowne się to wydawało. Gdyby było inaczej, doktor Finley już dawno natknąłby się na te objawy i powiedziałby jej coś. Być może Goodwin wiedziała o tym efekcie ubocznym i utrzymywała go w tajemnicy. Ale dlaczego miałyby to robić? Carrie nie miała pojęcia.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Usiadła gwałtownie na łóżku. Poczowała mdlące ściskanie w dołku. A jeśli nikt nie zaobserwował tego stanu, ponieważ nigdy wcześniej on nie wystąpił? Jeśli to ona spowodowała go podczas zabiegu? Co, jeśli to *ona* jest problemem, a nie DBS?

Rozdział 31

Rozpędzony humvee trafił kołem w rów i Steve Abington o mało nie zleciał na podłogę. Wgramolił się z powrotem na siedzenie i wyjrzał przez kwadratowe okno po lewej stronie pojazdu. Horyzont wydawał się odległy o miliony kilometrów, a przesuwany się za oknem wypalony pejzaż ciągnął się w dal jak nieskończony brązowy koc. Niemiłosierne słońce stało wysoko na niebie i prażyło spękaną ziemię. Co to za miejsce? Jaka prowincja? Paktika? Chost? Do diabła, wszystkie wyglądały tak samo.

Usłyszał dobiegający z zewnątrz trzask wystrzałów z broni ręcznej zmieszany ze znajomym rat-tat-tat karabinów automatycznych. Kule zdawały się śmigać ze wszystkich stron, tak że nie dało się ustalić źródła. Abington strzelał z browninga M2 przez otwarty dach terenówki tyle razy, że stracił rachubę. Ale teraz uniósł wzrok i spostrzegł, że ten pojazd nie ma stanowiska dla strzelca. Będą musieli przejechać przez tę kanonadę. Być może dopędzić jakiś konwój, jeśli wyjechali na własną rękę. Jedno było pewne: ktokolwiek prowadził, nie czuł zbytniego pośpiechu.

– Hej, daj trochę kopa tej świni! – zawołał.

Na prawo od niego ktoś zdusił śmiech. Dopiero teraz Abington uświadomił sobie, że obok niego siedzi drugi pasażer. Był to muskularny biały mężczyzna o kwadratowej, wyrazistej twarzy i wydatnym nosie. Usta wygięły mu się w krzywym uśmiechu i Abington wyobraził sobie błysk rozbawienia w ukrytych za okularami przeciwsłonecznymi oczach. Nigdy wcześniej nie widział tego człowieka. A może widział? Był zagubiony. Zdezorientowany.

Gdzie był, zanim znalazł się w tym humvee? Szperał w pamięci, ale natrafił tylko na pustkę. Nie mógł sobie niczego przypomnieć. Jego mózg wyglądał jak sito próbujące zatrzymać wodę. Wiedział tylko, że to jest Afganistan, chociaż nie pamiętał, jak długo tu jest ani kiedy przyjechał. Miał wrażenie, że cały ten cholerny bajzel zlał się w jeden niekończący się dzień. Może to właśnie dlatego nie mógł sobie przypomnieć, jak się tu dostał. Jednostajność tego wszystkiego sprawiała, że trudno było odróżnić jedną chwilę od następnej.

Zamrugał kilkakrotnie, by odzyskać ostrość widzenia. Przez moment zdawało mu się, że gość na prawo od niego ma na sobie cywilne ubranie – czarną koszulę, spodnie i ciemną kurtkę z zamkiem błyskawicznym. Sekundę później obraz uległ

zmianie i Abington zobaczył, że facet jest ubrany jak wszyscy inni w mundur maskujący i kamizelkę kevlarową. Tylko czemu na głowie ma kapelusz polowy zamiast kevlarowego hełmu?

Nieustanny ogień karabinowy rozdzierał powietrze i dziurawił ziemię na poboczu drogi. Iglice czerwonej gliny i pyłu wystrzeliwały w niebo jak ziemne gejzery. Abington nie mógł uwierzyć, że samochód nie jest podziurawiony kulami jak sito, ani nie rozumiał, dlaczego kierowca wydaje się tak obojętny.

– Hej, tu obowiązuje jeden przepis drogowy: spierdalać. Daj gazu!

Kierowca nonszalancko obrócił głowę i spojrzał na niego, unosząc ze zdumieniem brwi. Był to czarnoskóry mężczyzna o krótkich włosach i oczach w kształcie migdałów. Miał sympatyczną twarz, bez pyłu, brudu czy choćby śladów zmęczenia. Wyglądał delikatnie, jak ktoś, kto żyje z pracy innej niż rzemiosło wojenne. Wyraźnie nie przejmował się też zbyt kulami. Abington wyczuwał otaczającą go aurę służbistości. Może ten człowiek był kimś ważnym, podpułkownikiem albo nawet pułkownikiem. Kimkolwiek był, Abington zamarł pod jego twardym spojrzeniem.

– Jedziemy wystarczająco szybko – powiedział kierowca tonem, który miał jednocześnie uspokoić go oraz uciąć dyskusję.

Mężczyzna siedzący na prawo od Abingtona – Kapelusz – wybuchnął śmiechem.

Abington usłyszał w lewym uchu powtarzające się w kółko: „Jedziemy wystarczająco szybko... jedziemy wystarczająco szybko...”. Ale ten głos, jak kule, zdawał się dobiegać zewsząd i znikąd.

– Ten typ jest chyba najbardziej odjechany z całej bandy.

– Tak, faktycznie coś mu dolega – odparł kierowca.

Abingtonowi trudno było śledzić rozmowę, ponieważ wszystko, co mówili, powtarzało się echem.

– Cóż, dobrze chociaż, że niektórzy z nich jakoś sobie radzą. Przynajmniej na razie – powiedział Kapelusz.

Kierowca parsknął śmiechem.

– Tak, byłby niezły cyrk, gdyby wszyscy byli tacy jak on.

Abington zmrużył oczy, próbując wydobyć sens z tej osobliwej wymiany zdań.

– O czym wy mówicie? – zapytał. – Czy Karaluch wyszedł z tego? On żyje? Gdzie jest Karaluch? Gdzie jest cała reszta?

„Gdzie jest cała reszta... gdzie jest cała reszta...”, usłyszał.

Kapelusz roześmiał się jeszcze głośniejsze. Abington poczuł kłujący ból. Spojrzał na swoją nogę akurat na czas, by zobaczyć, jak mężczyzna wyciąga igłę z jego uda, najwyraźniej wstrzyknąwszy mu w mięsień zawartość strzykawki.

– Hej, co się dzieje? – wykrzyknął.

Kapelusz uśmiechnął się z wyższością i poklepał kierowcę w ramię. Kierowca zerknął w tył na niego i na pustą strzykawkę.

– Nie mogę słuchać tego bredzenia przez następne pięć godzin – oświadczył Kapelusz. – Po prostu nie mogę.

Bredzenia? Dlaczego tak to nazwał?

– Co mi podałeś? – zapytał Abington. Już teraz jego mowa stała się bełkotliwa i niewyraźna, gdy język plątał mu się w ustach. W gardle poczuł gorzki posmak.

– Tylko diazepam – odparł Kapelusz na pół drwiącym tonem. – Hm... wszyscy goście ze służb specjalnych to biorą.

– Służby specjalne? Co my robimy? Gdzie jest Karaluch? Byłem z Karaluchem, kiedy dostaliśmy się pod ostrzał.

Pod ostrzał... pod ostrzał... pod ostrzał...

– Tak, byłeś z Karaluchem – powiedział Kapelusz powątpiewającym i obojętnym tonem. – Skoro tak twierdzisz.

Abington zamrugał szybko, próbując zachować czujność, ale to nie pomogło. Chciał spać. Wkrótce odgłos strzelaniny odpłynął w dal, dopóki, jak inne jego zmysły, nie zamilkł zupełnie.

Kiedy się ocknął, leżał na ziemi. Rozpoznał to miejsce natychmiast. To tutaj razem z Karaluchem walczyli z talibami, to tu właśnie jego najlepszemu kumplowi kule wypruły flaki. Humvee stał w pobliżu, a odgłos strzelaniny wciąż wypełniał powietrze, ale Abington nie widział smug dymu. Kapelusz i kierowca na pewno nie zachowywali się jak dwaj goście, którym grozi śmierć.

– Robi się gorąco! – krzyknął. Jego głos był ochryply i zniekształcony. Czuł się jak przy grypie, z bólem w stawach i całą resztą. Wciąż słyszał echo, ale tym razem słabsze, łatwiejsze do ignorowania.

Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu kryjówki i zobaczył wykopany w ziemi dół, ale inny niż te, do których przywykł. Był dłuższy, bardziej prostokątny, przywodzący na myśl trumnę.

Kapelusz podszedł do niego, z twarzą ukrytą w cieniu.

– Właż – powiedział, wskazując dół. Kierowca opierał się o terenówkę, ze stopami daleko przed sobą, założonymi rękami, wyluzowany jak w niedzielny poranek.

Abington zawahał się. Coś tu nie grało. Coś potwornie nie grało. Nie mógł jednak zebrać myśli. Widział coś pomiędzy okruchami wspomnień. Przez chwilę miał wrażenie, że doświadcza innej rzeczywistości. Były tam drzewa, wysokie sosny otaczające otwartą przestrzeń. Jasne, w Afganistanie były lasy, ale ten teren

był bardziej pustynny. Czy na pewno? Dziwny obraz, który widział, zniknął i wróciła pustynia. Potem drzewa pojawiły się znowu. To było jak wyłącznik światła, gdzie przy każdym pstryknięciu sceneria się zmieniała. Czy to po tym zastrzyku?

Kapelusz przewrócił oczami. Wyglądał, jakby coś go zirytowało.

– Nieprzyjacielski ostrzał – powiedział bez cienia niepokoju czy entuzjazmu. – Właż do okopu, gałganie.

Abington ani drgnął. Wygląd mężczyzny zmieniał się wraz z jego otoczeniem. Raz widział rysz tunek bojowy, to znów czarne cywilne ubranie.

Co się, do diabła, ze mną dzieje?

– Może przestaje działać – odezwał się kierowca. – Przekonaj go, Curtis. Odegraj to realistycznie. Nie chcę być zmuszony wypchać go tam siłą. Jestem wykończony po tej całej jeździe.

Curtis. Kapelusz ma na imię Curtis.

Abington miał nieodparte wrażenie, że widział już gdzieś tego gościa. Imię było znajome i wywołało pewne wspomnienie. To wspomnienie wydawało się rzeczywiste, nie tak jak zmieniająca się wciąż sceneria, ale nie wiązało się z tym miejscem. Nie, to się zdarzyło gdzie indziej. Ciemne miejsce. Praktycznie klatka. Nie, bardziej jak cela. Dlaczego miałyby być w celi? Kim był Curtis? Szukał po omacku czegoś, co zaginęło w nieprzeniknionej mgle. Przez moment zdawało mu się, że kojarzy. Imię „Curtis” uderzyło go jak pędzący pociąg, ale jasność trwała tylko chwilę i wkrótce runęła w mroczne zakamarki jego umysłu.

Curtis... Kapelusz to Curtis... a kim jest kierowca?

– Właż do dołu! – wrzasnął Curtis.

Nie, Abington nie zamierzał się ruszyć, dopóki nie uzyska odpowiedzi. Na przykład gdzie jest Karaluch? Dlaczego ci dwaj nie boją się, że zostaną zastrzeleni?

Kierowca i Curtis wymienili spojrzenia.

W kącikach ust Curtisa zagrał przebiegły uśmiech, który natychmiast przerodził się w wyraz panicznego strachu.

– Strzelają do nas! – krzyknął z autentycznym przerażeniem w głosie. – Właż do okopu, Steve! Szybko!

Ziemia wokół stóp Abingtona rozprysnęła się, zryta pociskami. Niczego już nie rozumiał, ale mimo to wskoczył do dołu.

– Siedź tam! Siedź tam! – wrzeszczał Curtis. – Wkrótce przyjdzie pomoc.

Potem wybuchnął śmiechem. W głębi dołu Abington przyciągnął nogi do klatki piersiowej, przyjmując niemal embrionalną pozycję. To była swego rodzaju macica, schronienie. Ilekroć grzechot wystrzałów przycichał nieco, słyszał nad sobą kroki.

Oblało go coś płynnego. Czy to atak chemiczny? Pachniało jak benzyna i dostało mu się do oczu, powodując szczypanie. Widział tylko biel, a straszliwe pieczenie nie ustępowało bez względu na to, jak mocno tarł.

– Jesteś chorym zwyrodnialcem, wiesz? – odezwał się kierowca. – Możemy zrobić to w sposób humanitarny. Na przykład najpierw go zastrzelić.

Abington wył z bólu. Benzyna szczypała go w oczy i paliła usta, jak gdyby skoczył na główkę między płonące okręty wojenne.

– Myślałem nad tym. Po prostu jestem ciekaw, co się stanie – odparł Curtis.

– Powtarzam, jesteś chorym zwyrodnialcem – powiedział kierowca. – Zaczekam w samochodzie. Nie chcę tego oglądać. Pamiętaj, żeby rozdrobnić kości na pył, zanim go zakopiesz.

Przez warstwę łez Abington zobaczył, jak Curtis wrzuca do dołu metalową zapalniczkę. Przykrywka była otwarta, a płomyk zapalony. Zapalniczka zetknęła się z benzyną i wkoło buchnęły jaskrawopomarańczowe języki ognia. Abington krzyczał, gdy jego skórę zaczęły pokrywać bąble. Schodziła płatami, odsłaniając najpierw mięśnie, potem kości. Jego wrzaski przybrały zwierzęcy, dziki, pierwotny ton. Curtis przyglądał się z krawędzi dołu.

W pewnym momencie kierowca wrócił. Abington widział go, ale jego mózg rejestrował tylko ból. Zobaczył, jak kierowca wyciąga pistolet i kieruje lufę w głąb dołu, ale nie pojmował tego. Czuł odrażający odór własnego palącego się ciała i włosów.

– Curtis, ty naprawdę masz pomieszane we łbie, chłopie.

Kierowca oddał jeden strzał, który położył kres jego mękom.

Rozdział 32

– Kompletnie nic z tego nie rozumiem – powiedziała Carrie. Przeglądała dokumenty, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Strapiona mina doktora Finleya była wiernym odbiciem jej rosnącej konsternacji. Przygryzając końcówkę okularów do czytania, obrócił się wraz z fotelem w jej stronę.

Unosząc oczy znad formularzy wypisów ze szpitala, zobaczyła jego zaciekawione spojrzenie.

– Goodwin to zatwierdziła? – zapytała.

– Tak – odparł Finley.

Carrie spuściła wzrok i oparła podbródek na kłykciach. Przypomniała sobie wykład ze studiów medycznych, na którym była mowa o tym, że jeden-dwa procent wszystkich hospitalizacji kończy się opuszczeniem szpitala przez pacjenta na własną prośbę. Odsetek ten był wyższy w wypadku alkoholików i narkomanów, czyli grupy, do której należeli Abington i Fasciani. Nic w tym zaskakującego, jeśli wziąć pod uwagę, jak potężna jest u niektórych pacjentów potrzeba powrotu do substancji, od której są uzależnieni. Jednak jej dwaj pacjenci po zabiegu DBS nie wykazywali wyraźnych objawów zespołu abstynencyjnego. To było coś innego – dezorientacja i pobudzenie, to prawda, ale nie wierzyła, by wyszli na własne żądanie, żeby dać sobie w żyłę.

Przechyliła się nad biurkiem szefa i pokazała palcem rubrykę w formularzu wypisu, gdzie podana była data wizyty kontrolnej.

– Myślisz, że się pokażą?

Finley posmutniał.

– To jest poważny program – odparł. – Cal Trent zwerbował do niego wielu różnych specjalistów. Ja zajmuję się swoją działką, ale to oczywiście nie jest całość. Stanowimy część znacznie większego przedsięwzięcia, w którym uczestniczą projektanci rzeczywistości wirtualnej, eksperci od rekonstrukcji wypadków, psychiatrzy, psychologowie, a nawet biochemicy. Każdy pacjent wie, że będzie monitorowany i poddawany testom przez wiele miesięcy. Ale nie wszyscy sumiennie zgłaszają się do VA czy innych placówek DARP-y na wizyty kontrolne. W tym wypadku obawiam się, że straciliśmy dwóch uczestników. A to nie postawi nas w dobrym świetle. Cal będzie bardzo niezadowolony, jestem tego

pewny.

Carrie wróciła myślami do prezentacji Finleya podczas konferencji w pierwszym tygodniu jej pracy. Pamiętała łysego mężczyznę o blisko osadzonych oczach i okrągłej twarzy, który siedział obok Trenta. Zaintrygowało ją wtedy, że Finley go nie przedstawił, ale teraz stało się to bardziej zrozumiałe. Zakres tego przedsięwzięcia wykraczał dalece poza mury VA i jej szef prawdopodobnie w ogóle nie znał tego człowieka. Olśnienie to w najmniejszym stopniu nie ukoło jej troski o zaginionych pacjentów.

– Dlaczego mieliby opuścić szpital? Czy mieli w ogóle dokąd pójść?

– Niepokoję się tak samo jak ty. Po ulicach chodzi dwóch gości z wetkniętymi w głowę drutami, za których teoretycznie odpowiadamy. Zależy mi na ich odszukaniu nie mniej niż tobie. Goodwin nie mogła ich nie wypuścić. To nie więzienie. Tylko że to zachowanie jest jakąś anomalią. Przez program DBS przeszły już dziesiątki weteranów, ale dopiero ci dwaj zrobili coś takiego. To prawda, trzeba koło nich skakać i przypominać im, by przychodzili od czasu do czasu na wizyty kontrolne, ale odejść w taki sposób? Po prostu wstać i wyjść? Tego jeszcze nie było. Ani razu.

Carrie skuliła się na krześle, jednak Finley nie zwracał na to uwagi. Dobiło ją słowo, którego użył. *Anomalia*. Palinakuzja była sama w sobie osobliwością, ale teraz obaj pacjenci przejawiali coś, co wyglądało na zaburzenia świadomości. Jeśli nie zaobserwowano tego nigdy przedtem, to jedynym wspólnym elementem, jedynym prawdziwym powiązaniem była ona. Wykonała obie operacje tylko po to, by stwierdzić, że u obu pacjentów wystąpił ten sam dziwaczny zespół objawów.

– Cóż, nie mam pojęcia, w jakim stanie był Abington, kiedy zażądał, by go wypisano – powiedziała. – Ale widziałam Fascianiego wczoraj wieczorem i nie wydaje mi się, by był wystarczająco przytomny, żeby zrobić coś takiego.

– Wiem, co twoim zdaniem widziałaś, Carrie – odparł Finley. Wziął papiery z jej rąk, by przejrzeć je raz jeszcze. – Ale tu są te wnioski. Podpisane przez Abingtona i Fascianiego. Spójrz. Podpisy są identyczne jak na dokumentach sprzed operacji. – Odwrócił strony, tak by Carrie mogła zobaczyć to, co wskazuje palcem. – Oba zostały zatwierdzone przez doktor Goodwin. Powiedziała mi, że próbowała przekonać ich, żeby zostali, i przyznała, że obaj sprawiali wrażenie nieco rozkojarzonych, ale oceniła, że kiedy jest wystarczająco *compos mentis*¹, by wyjść na własne żądanie. Wygląda na to, że po tym, jak poszłaś, nocna pielęgniarka zadzwoniła do Navarra, a on zwrócił się do Goodwin, ponieważ Fasciani domagał się, by go wypisano.

Carrie zeszywniała.

– Nie przejmuj się – uspokoił ją Finley. – Nie odniosłem wrażenia, że Goodwin wie o twojej wieczornej wizycie. A z tego, co tu czytam, Abington wypisał się wcześniej tego samego dnia. Serce się umiarowiło. Goodwin powiedziała, że arytmia ustąpiła, a jego stan psychiczny poprawił się radykalnie. Odesłano go na neurologię, a on zażądał wypisania, tak jak Fasciani.

– Ale w takim razie dlaczego nie było żadnego śladu pobytu Abingtona na OIOM-ie?

– To dobre pytanie. Zapomniałem, że wspominałaś o tym. Spójrzmy, dobrze?

Finley zalogował się do komputera. Parę chwil później uzyskał dostęp do elektronicznej dokumentacji medycznej Abingtona. Carrie wstała i patrzyła mu przez ramię, gdy nawigował wśród licznych menu i formularzy wyświetlanych w szarych oknach.

Natychmiast zauważyła długą listę zabiegów medycznych i odpowiednich kodów opisujących jego leczenie. U dołu wykazu był wpis o przeniesieniu Abingtona na oddział intensywnej opieki medycznej. Wszystko tu było. Wszystko, czego pielęgniarka z OIOM-u nie mogła znaleźć, włącznie z zabiegami, uwagami pielęgniarskimi, uwagami lekarzy i zleconymi badaniami. Ostatnią pozycją był wniosek o wypisanie ze szpitala i podpisy. Abington wcale nie zniknął. Po prostu wyszedł na własną prośbę.

Carrie się zaniepokoiła nie na żarty. Czy zabieg DBS mógł wpływać także na ocenę sytuacji? Elektrody były umieszczane w ciele migdałowatym, podłużnego kształtu tworze tkwiącym głęboko w przednio-przyśrodkowej części płata skroniowego. Obszar ten odgrywał kluczową rolę w przetwarzaniu strachu i jego wspomnień. Zabiegi DBS tego typu stanowiły wciąż niezbadaną dziedzinę i obawy Carrie, że mogła spowodować jakieś pooperacyjne powikłania, wzrosły w dwójnasób. Konieczność odszukania zaginionych weteranów i zebrania stosownych danych stała się jeszcze bardziej paląca. Musiała wykluczyć wszystkie inne możliwości, zanim dobrowolnie weźmie na siebie winę.

– I co teraz? – zapytała.

– Teraz mamy przewidzianą na następny tydzień operację kolejnego weterana. Myślę, że musimy dalej działać zgodnie z planem i liczyć na to, że ci dwaj uciekinierzy pokażą się kiedyś.

Kolejny człowiek, któremu mam zrobić krzywdę? – pomyślała Carrie. Nie, dziękuję.

Od razu złożyła sobie obietnicę. Jeśli nie zdoła odszukać w porę Abingtona i Fascianiego, nie będzie następnych zabiegów. Po prostu. Zrezygnuje i cały program zostanie zawieszony. Ustaliła ostateczny termin i nie przesunie go nawet o dzień.

– Martwisz się, że to mogła być infekcja? – zapytała. – A może problem z samym systemem DBS?

– Tak, oczywiście, że się martwię – przyznał Finley. – Z obu tych względów. Ale co proponujesz?

– Wygląda na to, że mam parę dni wolnego przed następną operacją. Jeśli pozwolisz, spróbuję ich znaleźć.

Finley nie zaprotestował od razu. Rozwagał ten pomysł przez chwilę, mrużąc cicho, znowu z końcówką okularów w ustach.

– Myślę, że sytuacja usprawiedliwia nadzwyczajne środki, jeśli jesteś skłonna zadać sobie ten trud.

– A co z Goodwin? Powinam pójść z nią porozmawiać? – zapytała Carrie. – Może ona ma jakieś wyobrażenie, dokąd mogli pójść.

Finley podrapał się po głowie.

– Szczerze mówiąc, nie jestem przekonany, czy to dobry pomysł – stwierdził. – Ona nie wie, że szukałaś jej pacjentów na OIOM-ie.

– A jeśli jej powiem?

– Jak sobie wyobrażasz tę rozmowę?

– Zapytam Goodwin, w jakim stanie byli pacjenci, kiedy zażądali wypisania na własną prośbę.

Finley uniósł brwi.

– I myślisz, że jak ona zareaguje?

Carrie zastanowiła się chwilę.

– Zapyta, dlaczego się tym interesuję. To nie moja sprawa. Nie powinno mnie to obchodzić.

– A potem? – Finley naprowadzał ją, zmuszając do odegrania tej sceny aż do jej nieuchronnego zakończenia.

– Zdziwi się, dlaczego nie dotarło do mnie, na czym polega moja rola tutaj.

– I tak znajdziemy się znów w punkcie wyjścia, czyli Goodwin zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby się ciebie pozbyć. Tak więc stracę za jednym zamachem dwóch pacjentów i chirurga od DBS, a to może najzwyczajniej położyć kres mojej współpracy z DARP-ą. Chyba bardziej przypadł mi do gustu twój pierwszy plan.

– Pójść ich szukać?

Finley uśmiechnął się i puścił do niej oko.

– Wiem, że to wykracza poza zakres twoich obowiązków zawodowych.

– Mam silną motywację – odparła Carrie. *Z powodów, o których nie masz nawet pojęcia.*

Nagle odezwał się telefon w kieszeni jej fartucha. Dźwięk ten zaskoczył ją. Wydobyła urządzenie i zobaczyła esemesa od Davida Hoffmana.

Jestem w VA na rozmowach. Mogę postawić ci kawę?

– Szczęście nam dzisiaj sprzyja – powiedziała z lekkim uśmiechem.

Jasne. Java du Jour, za 15 minut?

Wsunęła telefon z powrotem do kieszeni.

Finley spojrział na nią zaintrygowany.

– A to dlaczego?

– Cóż, nie jestem wprawdzie detektywem, ale właśnie zostałam zaproszona na kawę przez reportera śledczego.

– Czy on ci pomoże?

– Mam dar przekonywania – powiedziała. – Zamierzam ich znaleźć, Alistair. To obietnica. – *I przy odrobinie szczęścia udowodnię, że to nie ja zrobiłam coś nie tak.*

Zdawało się, że Leon Dixon zawsze już będzie towarzyszyć jej jak cień, od którego nigdy nie zdoła się uwolnić. Jego obraz przesłonił Abington i przypomniała sobie przerażone oczy weterana, kiedy rzucał się na nią. Widziała jego górującą nad nią postać i czuła silne dłonie zaciskające się boleśnie na jej gardle.

Przy drzwiach zatrzymała się, tknięta nagłą myślą. Co wywołało szalony atak Abingtona? Wiedziała, że przed zabiegiem skonfrontowano go z jego najbardziej traumatycznym wspomnieniem wojennym za pomocą rzeczywistości wirtualnej. Postanowiła dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o tych weteranach i o programie DBS. Goodwin mogła sobie myśleć, co chce, ale ona nigdy z własnej woli nie zamknie się w bunkrze.

– Doktorze Finley?

Odwrócił się w jej stronę.

– Chciałabym wypróbować ten system rzeczywistości wirtualnej.

Rozdział 33

W Java du Jour, uroczej, przytulnej kawiarence przecznicę od VA, było zaskakująco mało gości. Zazwyczaj panował tu tłok, więc być może szesnasta trzydzieści była godziną luzu. Carrie weszła do środka i zobaczyła Davida siedzącego samotnie przy jednym z kilku drewnianych stolików ustawionych wokół kamiennego kominka, wsuniętym zachęcająco w wielki wykusz okienny. Ich oczy spotkały się. Wstał i wysunął dla niej krzesło.

Miły gest. Były chłopak Carrie nie był skory do tak szarmanckiego zachowania, podobnie zresztą jak większość jej rówieśników.

– Dziękuję, że zgodziłaś się na spotkanie – przywitał ją David. – Cappuccino?

Carrie zwróciła uwagę na jego ubiór. Miał na sobie niebieską sportową koszulę, ciemne dżinsy i wyglansowane czarne buty. Był wyższy, niż pamiętała, a jego strój uwydatniał zgrabną, wysportowaną sylwetkę – nie fanatyka siłowni, ale najwyraźniej kogoś, kto lubi utrzymywać się w formie. Co do kawy, Carrie zwykle piła czarną bez dodatków, ale sposób, w jaki David powiedział „cappuccino”, nie wiedzieć czemu sprawił, że wydało się to doskonałym wyborem.

– Tak, cappuccino brzmi nieźle.

Usiadła przy stoliku, a kiedy David poszedł złożyć zamówienie, zaczęła nagle powątpiewać w swój plan. Być może było głupotą szukać tych ludzi, ale nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić. Wciąż dręczyła ją myśl, że w jakiś sposób zabieg DBS, a bardziej konkretnie jej technika, doprowadziły do wyjątkowo rzadkich powikłań w postaci palinakuzji i zaburzonej oceny sytuacji. Dolegliwości te z pewnością objawiłyby się wcześniej u innych pacjentów z PTSD. Ponieważ nigdy ich nie odnotowano, mogła szukać winowajcy, tylko patrząc w lustro. Usilnie starała się dopasować do siebie wszystkie fragmenty tej łamigłówki.

Uniosła wzrok i spostrzegła, że David już siedzi, patrząc na nią łagodnie, z dwiema filiżankami kawy przed sobą.

– Dwadzieścia sekund – powiedział z błyskiem w oczach.

– Co?

– Tyle czasu zajęło ci zorientowanie się, że wróciłem.

Carrie roześmiała się z zażenowaniem.

– Przepraszam. Po prostu się zamyśliłam. Wybacz.

– Nic się nie stało. Mnie też się czasami zdarza.

Carrie roześmiała się znowu, gdy David przysunął jej filiżankę. Podniosła ją do ust i aromat uderzył w jej nozdrza z całą siłą. Rozkoszowała się nim, zanim upiła łyk. Może jednak była amatorką cappuccino?

– Cieszę się, że mogliśmy się spotkać – powiedział David. – Prawdę mówiąc, zamierzałem zadzwonić do ciebie. Myślałem, że moglibyśmy porozmawiać o Adamie, ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, co słychać u ciebie.

Carrie wyczuła w nim coś bardzo kojącego. Już sam sposób, w jaki podszedł do napaści jej brata, zrobił na niej ogromne wrażenie. Ale chodziło też o coś więcej. David emanował pewnością siebie i być może właśnie to ją zaintrygowało. Wydawał się tak swobodny w swej dziennikarskiej skórze, że nie miała żadnych oporów przed zwieraniem mu się. Nie bez znaczenia było i to, że jest diabelnie przystojny.

Zdawała sobie sprawę, że jej praca w VA byłaby bardzo interesująca dla niego i jego artykułu, ale miała inny plan. Zapadła długa cisza, kiedy Carrie zastanawiała się, jak zabrać się do rzeczy.

– Czy zawsze milczysz jak owce? – zapytał żartobliwie David.

Carrie parsknęła śmiechem.

– Przepraszam. Znowu utonęłam w myślach. A to był, nawiasem mówiąc, naprawdę przerażający film. Nie dałam rady go obejrzeć.

David udał oburzenie.

– To jeden z najlepszych, jakie znam.

– A *Titanic*?

– Od początku wiadomo było, jak się skończy. To zepsuło mi całą przyjemność z oglądania. – David z uśmiechem puścił do niej oko. – A co powiesz o *Polach śmierci*?

– Nigdy tego nie widziałam – przyznała Carrie. – A na okrągło oglądamy z ojcem stare filmy.

– Dziennikarz „New York Timesa” relacjonujący wojnę domową w Kambodży? – podsunął David. – Nie? Nic ci to nie mówi? To film, który naprawdę przypadł mi do gustu.

– Czy zawsze pracowałeś dla... – Carrie urwała zakłopotana. – Jak się nazywa ta gazeta?

– „Lowell Observer” – odparł David. – Nie. Jestem niezależnym dziennikarzem, można powiedzieć: wolnym strzelcem. Jeżdżę do miejsc takich, jak Kambodża czy Tajlandia i wszelkie inne kraje, których rząd radzi nam unikać.

Wdał się w długą opowieść o swych zagranicznych przygodach i o porwaniu w Syrii, które doprowadziło do tego, że przyjął pracę w „Lowell Observerze”. Carrie uznała ten aspekt jego osobowości za dość intrygujący. Na studiach

medycznych pisała esej o tym, dlaczego niektórzy ludzie poszukują mocnych, nawet budzących lęk wrażeń, podczas gdy innych odstręcza sama myśl o czymś takim.

Pewne dowody świadczą o tym, że dopamina pobudza korę wyspy, część kory mózgowej ukrytą głęboko pod płatem skroniowym. Zjawisko to uznano za spadek po najwcześniejszych ludziach, którzy ryzykowali wszystko, by wyżywić i ochronić swoje rodziny. Carrie często przyłapywała się na tym, że analizuje zachowanie swego byłego chłopaka, Iana, opierając się wyłącznie na tym, co według niej dzieje się w jego mózgu. Teraz robiła to samo z Davidem, po zaledwie kilku minutach spędzonych z nim sam na sam. Jego aktywna wyspa fascynowała ją.

– Dość już o mnie – oznajmił David. – Teraz opowiedz mi o swojej pracy w VA.

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć – stwierdziła Carrie. Powoli obracała w filiżance patyczek z cukrem. Uniosła wzrok i spojrzała prosto w jego orzechowe oczy. – To dosyć poufne sprawy, a ty jesteś reporterem.

– Co oznacza, że mi nie ufasz.

– Ale rozpaczliwie potrzebuję pomocy kogoś, kto zna się na prowadzeniu śledztwa. Od tego może zależeć moja dalsza kariera.

– Och, zagadka. Uwielbiam to. Znasz określenie „ukryte źródło”?

– Nie, ale jeśli zanucisz kilka taktów, potrafię powtórzyć.

Zabrało Davidowi chwilę, nim się uśmiechnął.

– Urocze – powiedział.

– Stary rodzinny dowcip.

– Ukryte źródło oznacza, że twoje słowa nie będą cytowane w żadnym artykule, który mógłbym napisać. Po prostu rozszerzasz moje spojrzenie na sprawę.

– To może być temat na artykuł, ale na razie chciałabym porozmawiać po przyjacielsku... czy raczej po koleżeńsku na temat PTSD.

David pozostał ostrożny.

– W porządku, nie robię notatek. Ale jeśli powiesz mi coś, co uznam za przydatne, będę się natrętnie dopraszać o pozwolenie na zrobienie z tego użytku. To moja praca.

– Rozumiem – odparła Carrie. – I nie wspominałabym o tym, gdybym nie sądziła, że ostatecznie może się to przerodzić w artykuł.

– Więc zaczynaj – zachęcił David.

– DARPA i VA uruchomiły wspólny program pilotażowy, by opracować metodę leczenia PTSD. Nie łagodzenia objawów, ale zupełnego wyleczenia.

Twarz Davida rozpromieniła się, jak gdyby do kawiarni weszła właśnie jakaś

gwiazda filmowa. Z przejęciem pochylił się naprzód.

– Możesz okazać się moją wybawczynią – szepnął. – Chociaż moja redaktorka będzie innego zdania.

Carrie cofnęła się.

– Dlaczego? – zapytała.

– Dlatego, że jeśli masz tu coś naprawdę interesującego, będę musiał znów przesunąć termin, dopóki nie dasz mi pozwolenia na wykorzystanie tego. Anneke nie będzie zbyt szczęśliwa.

– Dopóki nie dostanę pozwolenia od swojego szefa, to nie jest do publikacji – powtórzyła.

– Zgoda – odparł.

– Nie, mówię poważnie, Davidzie. Potrzebuję od ciebie pewnej przysługi i udzielę ci informacji w zamian za pomoc, ale wszystko musi odbyć się uczciwie. Jeśli wiadomość o programie przecieknie na zewnątrz, może to oznaczać koniec funduszy. Mnóstwo weteranów liczy na tę kurację, z moim bratem włącznie.

– Uczynność to moje drugie imię. No, tak naprawdę to Charles.

– Rozmawiamy prywatnie – przypomniała mu Carrie. – Bo potrzebuję twojej pomocy.

David uniósł dwa palce.

– Słowo skauta – rzekł z powagą.

Carrie pozostała nieprzekonana.

– Adam był skautem – stwierdziła. – To chyba powinny być trzy palce, a dłoń ma być zwrócona w drugą stronę.

David opuścił rękę i rzucił jej zmieszane spojrzenie.

– Masz rację – przyznał.

Carrie uśmiechnęła się. Z jakiegoś powodu ufała mu.

– No cóż, jestem chirurgiem odpowiedzialnym za wprowadzanie elektrod do mózgu weteranów z zespołem stresu pourazowego. Używamy DBS, to znaczy głębokiej stymulacji mózgu prądem elektrycznym, próbując wyeliminować emocje ze wspomnień o zdarzeniu, które wywołało PTSD.

David spojrział z niedowierzaniem.

– Hmm, to jest możliwe? – zapytał.

– To eksperymentalna, nowatorska metoda. Żeby zadziałała, musimy zrekonsolidować lęki i straszliwe wspomnienia, które dręczą tych żołnierzy.

– Jak zrekonsolidować?

– Za pomocą rzeczywistości wirtualnej – wyjaśniła Carrie. – Te wspomnienia, a zwłaszcza strach i inne emocje związane z traumatycznym wydarzeniem, są w dużej mierze przetwarzane w położonym w głębi mózgu skupisku komórek

zwanym ciałem migdałowatym.

– Czy zabrzmiało to banalnie, jeśli powiem, że podoba mi się, jak mówisz o nauce?

– Odrobinę – odparła Carrie, zupełnie niezakłopotana. – Tak czy inaczej, rekonsolidujemy te wspomnienia, przedstawiając pacjentom symulację VR, która dokładnie odtwarza owo złe wspomnienie, i zaraz potem wprowadzamy elektrodę do ciała migdałowatego. Teoretycznie przez jego pobudzenie mamy nadzieję wymazać wszelki strach związany z tym wspomnieniem, a może i samo wspomnienie.

– I to działa?

– Jak dotąd odnotowano cztery sukcesy, a ten, który badałam osobiście, można bez zbytej przesady nazwać całkowitym wyleczeniem.

– Kto kwalifikuje się do tego zabiegu?

– Program jest tylko dla weteranów, u których nie skutkowały żadne inne formy konwencjonalnej farmakoterapii i psychoterapii. Niektórzy z uczestników są bezdomni, ale wydaje mi się, że program zapewnia im utrzymanie. Myślę, że są zakwaterowani gdzieś na terenie VA. Niestety nie mogę podać ci więcej konkretów.

Spojrzała na niego, ale nie było powodów do obaw. Nie odrywał od niej oczu, ani razu nie sięgnął też po kawę. Miała wyrzuty sumienia, że go podpuszcza, ale zamierzała wynagrodzić go sensacyjnym materiałem, skłaniając doktora Finleya i ludzi z DARP-y, by pozwolili mu opisać to w artykule. *Potem*.

– Carrie, chcesz mi powiedzieć, że jesteście w stanie wyleczyć tych ludzi?

Wszyscy wiedzieli, czym jest stres pourazowy – w czasie pierwszej wojny światowej nazywany nerwicą frontową – przynajmniej na tyle, by współczuć tym weteranom, i choć problem był zapewne głębszy, niż ktokolwiek był skłonny przyznać, myśl o istnieniu ukierunkowanej, potencjalnie skutecznej terapii była niezwykle ekscytująca.

– Cóż, taki jest zamysł. Ale coś mi się w tym wszystkim nie podoba, Davidzie, i to dlatego tak naprawdę chciałam z tobą porozmawiać.

– A ja sądziłem, że to moja fascynująca osobowość skłoniła cię, żeby pójść ze mną na kawę – zażartował.

– Szczerze? To sprawił zakrwawiony nos.

– Ach, to.

– I mój problem – dodała Carrie.

– Co się dzieje?

– Operowałam dotychczas dwóch pacjentów. Zdawało mi się, że zabieg przebiegł dobrze, i tak samo uważał doktor Finley.

– Jak rozumiem, było inaczej – powiedział David.

Carrie opowiedziała mu o przypadkach Abingtona i Fascianiego, relacjonując przy okazji swą trudną rozmowę z Goodwin i Navarrem. To zmusiło ją do wyjaśnienia z grubsza niekonwencjonalnego charakteru jej zatrudnienia, pominęła jednak wszystko, co dotyczyło Leona Dixona i jej decyzji o porzuceniu rezydentury. Nie знаła Davida na tyle dobrze, by dzielić się tak bolesnym doświadczeniem. Po trzech dalszych randkach przy kawie, być może, ale z pewnością nie na pierwszej.

– Uporczywe echo? To brzmi jak koszmar – stwierdził David, kiedy opisała mu objawy palinakuzji.

– W literaturze odnotowano tylko garść przypadków – opowiadała Carrie. – Nie mam pojęcia, jaka może być przyczyna. W przypadkach, o których czytałam, niektórzy pacjenci mieli udar. U innych przypisywano to napadowi padaczkowemu albo krwotokowi w części mózgu odpowiedzialnej za przetwarzanie informacji słuchowych. Niektórzy mogli mieć nietypowe zapalenie mózgu albo nawet rzadką postać migreny. Rzecz w tym, że wątpię, by przeciętny neurolog lub neurochirurg miał szansę natknąć się na jeden taki przypadek, a co dopiero dwa z rzędu. Nie mogę więc opędzić się od myśli, że to ja się do tego przyczyniłam. Czy umieściłam elektrody jak należy? Nie wiem na pewno. Ale wprowadzałam je daleko od miejsca, gdzie mózg przetwarza bodźce słuchowe. Czy spowodowałam krwawienie? Czy to może być pierwsza oznaka infekcji mózgu? Oto pytania, z którymi się zmagam. Ale to jeszcze nie wszystko.

Kawa już wystygła. David przysunął swoje krzesło nieco bliżej.

– Obaj ci pacjenci zniknęli – ciągnęła Carrie. – Wypisali się na własne żądanie i nie mam pojęcia, jak ich odszukać.

Twarz Davida stężała nieco, dowodząc głębokiego zamyślenia. Współczucie i stalowa determinacja w jego oczach jeszcze bardziej uspokoiły Carrie. Czując, że zwierając mu się, nie popełniła błędu.

– Więc jak mogę ci pomóc? – zapytał David.

– Muszę znaleźć tych ludzi, Steve’a Abingtona i Erica Fascianiego. Nie wiem nawet, gdzie zacząć szukać.

David z pewną siebie miną rozparł się na krześle.

– Potrzebujesz pomocy w odszukaniu ludzi? Cóż, jestem odpowiednim człowiekiem do tej roboty. Domyślam się, że to, czy uzyskam materiał na temat tego programu DBS, zależy od zlokalizowania pacjentów?

Carrie uniosła ręce na znak, że taki właśnie był jej plan.

– Nawet nie wiesz, jak dobrze trafiłaś – powiedział. – Pracuję nad tym artykułem znacznie dłużej, niż życzyłyby sobie moja redaktorka. Znam schroniska i różne punkty usługowe, do których mogli pójść. A przez „punkty usługowe”

rozumiem noclegownie i meliny narkomanów. To bardzo miłe, że pozwalamy, by ludzie, którzy walczyli o naszą wolność, marnowali się... ale nie jesteśmy po to, żeby naprawiać system, prawda?

Carrie zjeżyła się nieco.

– Ja tak – odparła.

David w końcu upił łyk swego zimnego już cappuccino.

– Rozumiem twoją troskę o tych gości – powiedział. – Ja ranię ludziom tylko uczucia i reputację.

– Pióro jest potężniejsze niż miecz.

– Ale może nie tak potężne jak elektroda.

Uśmiech Carrie był szczery.

– Zawsze jesteś tak błyskotliwy? – zapytała.

– Tylko kiedy piję kawę w towarzystwie intelektualnego dynamy, któremu próbuję zaimponować.

– Chodzi ci tylko o artykuł – stwierdziła Carrie. – Znam takich jak ty.

– Chcę ci pomóc – odparł poważnym tonem David. – Mówisz, że nikt wcześniej nie zaobserwował tego stanu?

– Mówię, że chirurdzy wykonujący zabiegi DBS nie mają prawa odwiedzać pacjentów po operacji, zdaniem Ich Wysokości Doktorów Goodwin i Navarra. Poza salą operacyjną jesteśmy persona non grata.

– Ty jesteś – sprostował David. – Powiedziałaś, że Goodwin boczy się na ciebie. Wolałaby bardziej tradycyjnego pracownika, prawda? A ty zachowałaś swoje obawy co do palina-czegoś-tam w tajemnicy przed szefem, ponieważ myślisz, że sama mogłaś to spowodować.

– Palinakuzja – poprawiła go Carrie. – Coś w tym stylu. To nie jest tajemnica. To teoria. Potrzebuję więcej danych, zanim zacznę wysuwać nieuzasadnione twierdzenia, które mogą oznaczać koniec całego programu. Na tym polega dylemat i nie wykonam zabiegu DBS u kolejnego weterana, dopóki nie znajdziemy tych gości. Jeśli nie uda się ich znaleźć, przedstawię swoje obawy i odejdę z programu. W gruncie rzeczy wbiję ostatni gwóźdź do trumny swojej kariery.

– Odszukanie tej dwójki jest istotne. Rozumiem.

– I masz rację co do tego, że Goodwin uwzięła się na mnie. Ale dlaczego to jest takie istotne?

Zaczynał chwytać, o co chodzi; Carrie widziała to w jego oczach. W tym momencie uznała, że David Hoffman jest nadzwyczaj kompetentnym reporterem, co jedynie podniosło jego atrakcyjność.

– Może ktoś jeszcze widział te same objawy, ale nie domyślił się, co się dzieje. Jesteś bystra, podejrzewam, że bardziej spostrzegawcza niż większość lekarzy.

Carrie zarumieniła się lekko.

– Nie mam pojęcia – powiedziała, odwracając wzrok. – Ale też przyszło mi to do głowy.

– Kto wykonywał te zabiegi przed tobą? – zapytał David.

– Sam Rockwell. Miał wypadek samochodowy i wciąż leży w szpitalu, w śpiączce farmakologicznej.

David zastanowił się nad tym, co usłyszał.

– Ja na twoim miejscu zadzwoniłbym do tego szpitala – podsunął. – Jeśli doktor Rockwell kiedyś się obudzi, być może będzie mógł coś wyjaśnić. A tymczasem wyjmij z szafy swoje najwygodniejsze buty. Jutro idziemy na polowanie.

Rozdział 34

Po sześciu godzinach jeżdżenia po mieście i szukania miejsc do parkowania całym łupem Carrie i Davida były dwa pokaźne mandaty i zero tropów. Byli już w Motelu 6, gdzie według doktora Finleya mieszkali weterani. DARPA pokrywała rachunki, ale kierownik powiedział, że Abington i Fasciani nie wrócili do swoich pokoi przez cały tydzień. Carrie i David musieli szukać dalej.

Ich obecny przystanek, Pine Street Inn, mieścił się w wielopiętrowym budynku z czerwonej cegły, ukrytym na cichym odcinku Harrison Avenue w centrum Bostonu. Dwa słowa na plakacie obok głównego wejścia obwieszczały niezwykłą misję tej organizacji nonprofit: KONIEC BEZDOMNOŚCI.

Był to dzień w równym stopniu frustrujący, jak i pouczający. W BCH Carrie często leczyła miejską biedotę, ale schroniska stanowiły zupełnie inny świat. Mieściła się w nich zarówno nadzieja, jak i rozpacz. Mając do czynienia z biurokracją BCH, Carrie mogła jedynie wyobrazić sobie bitwy budżetowe, jakie musiały toczyć te placówki, by zapewnić mieszkańcom wyżywienie oraz dach nad głową. Obiecała sobie, że kiedy sprawy już się ułożą, poświęci w miarę możliwości swój czas i fundusze, by bardziej je wspomóc. Nie miała wątpliwości, że David przyłączy się do jej starań, jeśli go poprosi.

W ciągu tego dnia miała okazję widzieć kilka podupadłych, niechlujnych schronisk. Na ich tle wewnątrz Pine Street Inn było jak powiew świeżego powietrza. Budynek był czysty, a pokoje, które mogła widzieć z holu, wyglądały na przestronne, dobrze oświetlone i wypełnione ludźmi wszystkich ras, ze wszystkich środowisk.

Oboje z Davidem skierowali się wprost do recepcji. Carrie wyjęła z plastikowej torebki kolorowe wydruki zdjęć zaginionych pacjentów, pochodzące z ich wojskowych dokumentów tożsamości, które znajdowały się w archiwum VA. Zdjęcia były małe i w niewielkim stopniu przypominały udreńczonych mężczyzn, których operowała. Pokazała je siedzącej za kontuarem kobiecie o świeżej twarzy i skórze koloru kawy.

– Cześć – powiedziała. – Szukam tych dwóch ludzi. Pomyślałam, że może byli tu ostatnio.

Marszcząc czoło, recepcjonistka przyjrzała się uważnie obu zdjęciom. Ściągnęła wargi i kręcąc głową, oddała jej wydruki.

– Nie sądzę – odparła. – Ale tu u nas przewija się mnóstwo ludzi. Proponuję, żeby zaglądała pani co jakiś czas.

David wyciągnął ze swej płóciennej torby mały plik wydruków i podszedł bliżej.

– Czy mogłaby pani wziąć je i rozprowadzić wśród personelu? – zapytał.

– Ci goście nie są w żadnych kłopotach, prawda? – zapytała podejrzliwie recepcjonistka.

David z uśmiechem pokazał jej swoją legitymację prasową.

– Nie, bynajmniej – odparł. – Pracuję nad artykułem do gazety i przydałaby mi się ich pomoc. To wszystko.

Recepcjonistka przyjęła to wyjaśnienie bez zastrzeżeń. Być może sprawił to czarujący uśmiech Davida, a może jego strój: dopasowana marynarka, spodnie z kantem, koszula i niebieski wzorzysty krawat. Prowadzenie poszukiwań pod pretekstem zbierania materiałów do artykułu, a nie medycznych trosk Carrie, okazało się trafionym pomysłem. Zagadnięci, Fasciani i Abington mogliby nieufnie odnieść się do wszystkiego, co miało związek z opuszczeniem VA wbrew opinii lekarzy. Jednak gdziekolwiek Carrie i David poszli, spotykało ich rozczarowanie. Pine Street Inn było ostatnią pozycją na ich liście bostońskich schronisk.

W ponurym milczeniu wrócili wolnym krokiem do subaru Carrie. Lekarka zaczynała czuć już zmęczenie w nogach i usadowiwszy się za kierownicą, rozmasowała napięty mięsień czworogłowy prawego uda. Kolejną ofiarą jej problemów w VA były treningi triathlonowe. Miała wrażenie, że jej więzadła się skurczyły, a stawy są obolałe i sztywne. Na domiar złego wilgoć w powietrzu sprawiła, że w samochodzie zrobiło się nieprzyjemnie ciepło, tak więc Carrie opuściła szyby, nie odpalając silnika. Nie było sensu marnować paliwa, gdyż nie miała pojęcia, dokąd jeszcze się udadzą.

David starannie odłożył marynarkę na tylne siedzenie i sięgnął po podkładkę z klipsem, do której przypięte miał mapy i notatki. Zerkając mu przez ramię, Carrie przyglądała się, jak rysuje cienkopisem grubą kreskę w poprzek Pine Street Inn. Kartka była pełna takich linii, oznaczających dziesiątki miejsc, do których zajrzeli.

– Co teraz? – zapytała.

Zegar na desce rozdzielczej pokazywał, że dochodzi trzecia. Prowadzili poszukiwania od siedmiu godzin bez przerwy nawet na lunch.

– Możemy pojechać do Worcester albo do Fall River – stwierdził, wodząc oczyma po mapie.

Carrie miała właśnie zaproponować, żeby coś zjedli, kiedy odezwała się komórka Davida. Sygnałem był dźwięk dzwoneczków wietrznych, coś w stylu New Age i dalekie od tego, co jej zdaniem mógłby wybrać jako dzwonek.

David zauważył jej spojrzenie.

– Moja sąsiadka z dołu ma czteroletnią córkę. Ta melodyjka podobała jej się najbardziej – powiedział.

Carrie przyjęła to wyjaśnienie z uśmiechem. David zerknął na numer i wyraz jego twarzy się zmienił. Wyraźnie znał dzwoniącego i lubił go, ktokolwiek to był.

– O wilku mowa. – Przełączył rozmowę na tryb głośnomówiący. – Emma, światło mojego życia, powiedz mi, że masz coś.

– Cześć – odpowiedział kobiecie głos. – Słuchaj, jeśli wywalą mnie za to z roboty, musisz znaleźć mi pracę w gazecie. Zgoda?

– Zgoda. Jak tylko sam sobie jakąś znajdę.

Carrie nie miała pojęcia, kim jest Emma, ale ta kobieta, a konkretniej jej związek z Davidem, zaintrygowały ją. Być może to jego reakcja wzmogła jej ciekawość. Głos brzmiał młodo i atrakcyjnie. Ukłucie zazdrości zaskoczyło Carrie. Nie wiedziała kompletnie nic o Davidzie i Emmie ani o ich związku, ale to uczucie było niezaprzeczalne.

– No więc, co dla mnie masz? – zapytał David.

– Jesteś z tą miłą lekareczką, o której mi mówiłeś?

Twarz Davida oblała się purpurą.

– Hola, hola – powiedział. – Jestem w tej chwili z Carrie, a ty przypadkowo jesteś w trybie głośnomówiącym.

Emma roześmiała się. Carrie czuła się swobodnie wobec tej kobiety, jak gdyby mogły być przyjaciółkami. Uniosła brew i rzuciła Davidowi rozbawiony uśmiech.

– Cześć, Emma, jestem Carrie.

– Bardzo mi miło – odparła Emma. – I tak, mam parę użytecznych danych.

Poczerwieniałe policzki Davida odzyskały normalny kolor, gdy sięgał po leżące na siedzeniu obok pióro.

– Mów – powiedział.

– Matka Steve’a Abingtona mieszka w Bangor w stanie Maine. Niestety ma zastrzeżony numer telefonu, sprawdzałam. Ale mogę przesłać ci esemesem jej adres.

– Och, Emma, jesteś moją wybawczynią.

– Możesz dziękować Wydziałowi Komunikacji i szczęśliwej okoliczności, że znam hasła mojego szefa.

Carrie pomyślała o własnym przekręcie z kodem dostępu Navarra i musiała zrewidować opinię o owej nieznanej Emmie.

– Prześlij, co masz – odparł David. – Jesteś nieoceniona.

– Miło mi, że tak mówisz. Ale to było łatwe. Znałeś jej imię.

– Skąd znałeś imię matki Steve’a? – zapytała go Carrie.

– Jestem dziennikarzem – odparł ze wzruszeniem ramion. – Odkrywanie faktów to mój zawód.

– I jest w tym dobry – wtrąciła Emma. – Uważaj na niego, Carrie. Jeśli zaczniesz się nieodpowiednio zachowywać, dzwoń do mnie.

Carrie roześmiała się.

– Tak zrobię.

– Och, Gabby chce się przywitać – powiedziała Emma. – Nie rozłączaj się jeszcze.

Parę sekund później w telefonie rozległ się cichy, cienki głosik:

– Cześć, wujku Davidzie!

Cała twarz Davida rozbłysła jak supernowa. Serce Carrie wezbrało na widok jego reakcji na głos dziewczynki. W tym momencie uznała, że Emma jest siostrą Davida, i, co dziwne, przyniosło jej to ulgę.

– Jak się masz, skarbie? – powiedział David.

– Dobrze.

– Pomagasz mamusi?

– Tak.

– To ładnie. Zobaczymy się wkrótce.

– Pa.

Połączenie zostało przerwane.

– Wszystkie nasze rozmowy są takie – powiedział David.

– Czy Emma jest twoją siostrą? – zapytała Carrie.

– Moją gospodynią. To długa historia.

– A co to za miła lekareczka, o której mówiła twoja gospodyni?

– Co powiesz na to, żebyśmy odpuścili sobie Worcester i pojechali do matki Steve’a w Bangor? Ona może wiedzieć, dokąd poszedł. – Twarz Davida znów była czerwona jak burak.

– O której byśmy tam byli?

– Jeśli wyjedziemy zaraz, dotarlibyśmy około siódmej. Moglibyśmy wpaść do niej, przenocować w hotelu i wrócić tu rano – zaproponował.

Carrie powiedziała: „Jasne”, nim zdała sobie sprawę, że wymówiła to słowo.

Rozdział 35

Kucnąwszy z dłońmi opartymi na cienkiej macie pośrodku swego spartańsko umeblowanego salonu, Braxton Price zaparł się kolanami o dłonie i przyjął pozycję wrony, unosząc obie stopy nad ziemię. Zbliżał się do końca ożywczego dziewięćdziesięciminutowego treningu jogi.

Braxton miał sylwetkę wyczynowego sportowca, choć trudno było to dostrzec pod jego pielęgniarskim uniformem. Zanim został pielęgniarem, nosił inny mundur – mundur Zielonych Beretów w Armii Stanów Zjednoczonych. Po dwudziestu jeden nieprzerwanych miesiącach walk w Afganistanie dołączył do małego zespołu bojowego, którego zadaniem było szkolenie i uzbrajanie afgańskich bojowników chcących wystąpić przeciwko talibom.

To była dobra praca. Uczciwa praca. Krwawa praca.

Uczestniczył w dość luźno zorganizowanej działalności antypartyzanckiej propagowanej przez generała Davida Petraeusa, by pozyskać serca i umysły miejscowych. Jako specjalista do spraw broni odgrywał istotną rolę w dwunastoosobowej Grupie Alfa Zielonych Beretów. Zanim trafił na Bliski Wschód, odbył czterdziestotrzytygodniowy kurs w Szkole Specjalistów do spraw Broni, gdzie nauczono go dostosowywać się do każdej sytuacji i improwizować w polu. Mówił po pasztuńsku lepiej niż w dari, ale potrafił porozumieć się w obydwu językach.

Braxton polubił kontakty z tubylcami, ale było to niczym w porównaniu z euforią, jakiej doznawał jako członek grupy myśliwych-zabójców, rozwalających drzwi i ładujących kule w cel. Zabijanie było po prostu częścią tego fachu i robił to bez wyrzutów sumienia.

Jego służba w Afganistanie dobiegła wprawdzie końca, ale nie brakowało mu pracy. Jego nowa rola wymagała wielotygodniowego szkolenia, podczas którego nauczył się wszystkiego o rejestracji danych medycznych, mierzeniu parametrów życiowych, dożylnym podawaniu leków; same podstawy, w najlepszym razie. Trudno byłoby uznać go za dyplomowanego pielęgniarza, ale pewnego dnia, tak po prostu, otrzymał plaketkę z nazwiskiem „Lee Taggart” i został członkiem personelu VA. Żadnych pytań.

Mimo że właściwie nie zajmował się pielęgniarstwem, wiedział, że jest to dobra praca. Uczciwa praca. Krwawa praca.

Przeszedł na macie do pozycji deski. Po trzydziestu sekundach czuł, jak każde włókno mięśniowe zaczyna drgać. Zamknąwszy oczy, odtworzył w pamięci przedśmiertne krzyki Steve'a Abingtona.

Pieprzony Gantry, pomyślał.

Curtis Gantry był zbirem, skłonny do przemocy i pozbawionym profesjonalizmu, ale był też jego najlepszym przyjacielem, byłym członkiem Grupy Alfa i facetem, który ocalił mu życie więcej razy, niż potrafił zliczyć. Ale to do Braxtona należało przeprowadzenie tej części operacji tak, jak uważał za stosowne. Patrząc z perspektywy, powinien był kazać Gantry'emu wpakować Abingtonowi kulkę w łeb. Wrzaski nie martwiły go w najmniejszym stopniu, ale Abington był żołnierzem jak on i zasługiwał na szybką śmierć.

Braxton wiedział wszystko o długich cierpieniach. Niektóre z przesłuchań, jakie prowadził w Afganistanie, trwały tygodniami. Opis obowiązków zawodowych mówił o „pozyskiwaniu informacji”, nie o torturach, ale granica była w najlepszym razie mglista. Braxton nie przyznawał się nikomu do tego, jaką radość czerpał z tej pracy, sądząc, że w takim wypadku mógłby jej nie dostać.

Po półtorzej minuty trwania w pozycji deski Braxton wyglądał jak statua z brązu. Jego tułów był w ogniu, ale nie dało się dostrzec choćby najlżejszego drżenia rąk i nóg. Sprawność fizyczna zawsze była jego pasją. Mógłby zostać wysłany z powrotem na wojnę choćby jutro i radziłby sobie doskonale. W pewnym sensie był wciąż na wojnie, tocząc innego rodzaju walkę.

W drugiej minucie zadzwonił jeden z jego telefonów, ten ważny. Braxton zaklął; pozostały mu jeszcze dwie minuty do końca ćwiczenia. Ale tylko jeden człowiek mógł dzwonić pod ten numer i rozmowa musiała zostać odebrana.

Braxton zerwał się na nogi i przeszedł cichym krokiem po lśniącej drewnianej podłodze dwupokojowego mieszkania. Światło wlewało się przez rząd wykuszowych okien, które obramowywały wspaniałe widok na rzekę Charles. Nigdy nie mógłby pozwolić sobie na taki luksus z żołnierskiej pensji, ale jego obecni pracodawcy ochoczo płacili rachunki. W zamian za to on ochoczo odbierał ich telefony.

– Mów – powiedział.

– Dziewczyna.

– Tak myślałem.

Rozpoznał ten charakterystycznie zachrypnięty baryton. Nie widział powodu, żeby nie mówić swobodnie. Poza tym były to „niewidzialne” telefony, wykorzystujące generowane automatycznie numery identyfikacyjne IMEI, dzięki czemu rozmowy były bezpieczniejsze i niemal niemożliwe do wyśledzenia. System ostrzegawczy zaalarmowałby go, gdyby ktoś próbował podsłuchać rozmowę.

W takim wypadku wyłączyłby telefon i włączył go ponownie, resetując numer IMEI. Ponownie znikając w cieniach.

– Ona staje się problemem.

– Nie dziwi mnie to – odparł Braxton. – Jest uparta. Czy jest rozkaz, szefie?

Cisza. Braxton nie wyciągał żadnych wniosków. Czekał na następne polecenie, tak jak go wyszkolono.

– Czy Gantry’emu można ufać?

– Że jej nie skrzywdzi?

– Jeszcze nie możemy sobie na to pozwolić.

– Tak, myślę, że można mu ufać. – Braxton przypomniał sobie krzywy uśmiech Gantry’ego, gdy stał na krawędzi dołu z zapalniczką w dłoni, na chwilę przed całopaleniem Abingtona. – Można mu zaufać, oczywiście.

– Zadzwoń znowu, kiedy zdecydujemy, co ma zrobić.

– Doskonale – odparł Braxton. – A co z tym drugim?

– Wciąż jest nam potrzebny.

To też mu nie przeszkadzało. Płacono mu tak czy owak.

– Mam wyznaczoną zmianę. Ale nie zanoszę na żadne przesunięcia.

– Możemy o to zadbać. Jesteś chory aż do odwołania.

– Jestem chory, jasne – powiedział Braxton ze śmiechem.

– Dopilnuj tylko, żeby Gantry zrobił to, co chcemy.

– Wiesz, szefie, że możesz na mnie liczyć – odparł Braxton.

Zwracał się do niego „szefie”, bo każdy powyżej niego w łańcuchu pokarmowym był „szefem”. Nie był to przejaw szacunku.

– Bardzo dobrze. Będziemy w kontakcie.

Braxton rozłączył się i wrócił na matę. Znowu przyjął pozycję deski i jeszcze raz rozpoczął odliczanie.

Po trzydziestu sekundach zaczął powątpiewać, czy słusznie zrobił, ręką za Gantry’ego. Choć uważał go za przyjaciela, wiedział, że on *zrobi* coś Carrie Bryant, nim ją zabije, i wątpił, by miało to cokolwiek wspólnego z ogniem.

Rozdział 36

Rita Abington mieszkała przy ruchliwej ulicy w rozpadającym się parterowym domku w stylu ranczerskim, z zapadniętym dachem i łuszczącą się farbą na ganku. Podwórko stanowił zwykły kwadratowy plac, bardziej brązowy niż zielony, kompletnie nieurządzony, bez jakichkolwiek śladów pielęgnacji. Krzaki rosły, jak chciały, a kilka wyższych drzew zostało zapewne przygiętych przez śnieżyce i nigdy się nie wyprostowało.

Carrie ruszyła za Davidem wąską ścieżką przed domem. Zauważyła, że wszystkie zasłony są zaciągnięte. Jediną wskazówką, że ktoś może być w domu, był zaparkowany na wąskim podjeździe chevrolet cobalt, równie zdezelowany jak sam dom.

David wcisnął przycisk dzwonka, ale nic się nie stało. Żadnego dzwonienia. Żadnej melodyjki. Zapukał. Carrie usłyszała kroki w środku i chwilę później drzwi uchyliły się lekko, ukazując fragment twardej kobiecej twarzy.

– Nie chcę niczego kupić, ratować wielorybów ani pójść do nieba, więc myślę, że nie macie tutaj nic do roboty – usłyszeli.

David parsknął śmiechem.

Kobieta mówiła z wyraźnym północnowschodnim akcentem. Miała też chrapliwy głos i Carrie podejrzewała, że prześwietlenie płuc zdradziłoby, że wypala co najmniej paczkę papierosów dziennie.

– Czy Rita Abington to pani? – zapytał David.

– To zależy, czy szuka pan pieniędzy.

– Szukam pani syna, Steve’a.

Na te słowa drzwi otworzyły się całkowicie, ukazując małą chudą kobiecinkę, ubraną w białą bluzkę bez rękawów, która odsłaniała ramiona upstrzone archipelagami pieprzyków. Jej skóra była brązowa i pomarszczona, wydawało się jednak, że raczej z powodu ciężkiego życia niż nadmiaru słońca. Miała zapadnięte policzki i szyję tak cieką, że Carrie widziała każde ścięgno. Długie do ramion włosy Rity były cienkie jak cała reszta, barwą i połyskiem przypominające zawartość jej popielniczek.

– Widzieliście Steviego? – zapytała.

– Mieliśmy nadzieję, że pani go widziała – odezwała się Carrie.

Rita zrobiła krok na bok. Uznając to za formę zaproszenia, Carrie weszła do

środku. David ruszył za nią.

Salon stanowiło raptem kilka mebli z organizacji dobroczynnej rozstawionych na wytartym dywanie. Od unoszącej się w powietrzu zastałej woni dymu papierosowego Carrie zaparło dech, po kilku minutach jednak nie zwracała już na to uwagi. Na ścianach i stolikach było pełno zdjęć; najwyraźniej Steve nie był jedynym dzieckiem Rity.

Carrie i David czekali na krzasiastej sofie, gdy Rita poszła do kuchni po dzbanek mrożonej herbaty. Nalała trzy szklanki i usiadła w fotelu przykrytym patchworkową kapą. Zapaliła papierosa – marki Benson & Hedges – i zaciągnęła się. To był jej dom i nie widziała powodu, by pytać kogokolwiek o pozwolenie.

– Wybaczcie – powiedziała. – Nie wiem wielu gości. Jest tu cicho, odkąd umarł Winston.

– Czy Winston to był pani mąż? – zapytał David.

– Mój pies – odparła Rita. – Dostałam od tego pieska więcej miłości, niż kiedykolwiek dał mi mój były, pokój jego duszy.

Przy tych słowach wstała z fotela, z papierosem zwisającym w wyćwiczony sposób między dwoma długimi palcami, poszła do przedpokoju i zdjęła ze ściany jedno ze zdjęć. Podała oprawioną fotografię Carrie, drugą ręką rozpędzając dym.

– Jest słodki – powiedziała Carrie na widok maleńkiego psa o jedwabistej sierści i uszach przypominających puszyste anteny satelitarne. – Jakiej rasy był Winston?

– Nie wiem – odparła Rita, zaciągając się papierosem. – Był dobrym psem, to wystarczy.

Carrie pokazała zdjęcie Davidowi, który potwierdził uśmiechem jej opinię o Winstonie. Odwieszając fotografię na ścianę, zauważyła inne oprawione zdjęcie, długie i prostokątne, przedstawiające grupę żołnierzy, niektórych w koszulach, innych bez. Nie wszyscy z nich mieli brody, ale każdy miał broń.

– Czy to Steve? – zapytała, wskazując je palcem.

Rita podeszła, mrużąc oczy, żeby się przyjrzeć. Zdjęła prostokątne zdjęcie ze ściany.

– Wzrok już nie ten – powiedziała niemal przeproszającym tonem. Jej twarz rozjaśniła się. – To jest Stevie, tutaj – pokazała. – A skąd właściwie zna pani mojego Steviego?

– Jestem jego lekarką – odparła Carrie. – Leczyłam go, a on, cóż, po prostu się zmył.

Rita wróciła ze zdjęciem na fotel.

– On zawsze tak robi – skwitowała.

– Miała pani od niego jakieś wieści? – zapytała Carrie.

Rita parsknęła śmiechem.

– To dobre. Nie. Nie miałam – powiedziała. – Moi dwaj pozostali synowie też nie. Ben mieszka pod Bangor. Od czasu do czasu wpada w odwiedziny z wnukami. Ian, cóż, powiedzmy po prostu, że bardziej lubi wędkowanie niż ludzi.

Ciężkie życie, twardzi ludzie, pomyślała Carrie o klanie Abingtonów. Rita nie miała pojęcia o zabiegu DBS Steve’a ani o jego uczestnictwie w programie DARP-y, a Carrie nie zamierzała naruszać jego prywatności, zdradzając te szczegóły. Jej zdawkowa odpowiedź o leczeniu Abingtona zdawała się zaspokajać równie zdawkową ciekawość Rity. Carrie odniosła wrażenie, że wszystko, na czym Ricie naprawdę zależy, to usłyszeć jeszcze raz głos Steve’a.

– Czy ma pani jakieś pojęcie, dokąd on mógł pójść? – zapytała.

Rita utkwiała wzrok w podłodze.

– Nie widziałam go od lat. Nie umiem pani powiedzieć.

– Więc on nie utrzymywał żadnego kontaktu z rodziną?

– Nie – odparła Rita. – Wrócił z tej wojny złamany. Nie da się tego inaczej określić. Stevie był moim pieszczoszkiem. Światłem mojego życia. Był wzorem dla swoich braci. Ale kiedy wrócił, to był tylko cień tamtego chłopca. Nie dzieciak, którego wychowałam. Zaczął pić i brać narkotyki, jasne, ale nie chodzi tylko o to. On zostawił coś na tej pustyni.

– Co takiego? – zapytała Carrie.

Twarz Rity zasępiła się.

– Swoją duszę – powiedziała.

Carrie wstała, przeszła przez pokój i położyła dłoń na ramieniu Rity. Kobieta uniosła wzrok, ścisnęła jej rękę i mruganiem odpędziła kilka łez.

– Był dobrym chłopcem – powiedziała, patrząc na trzymane na kolanach zdjęcie. – Najśłodszym.

Carrie pochyliła się i wskazała na fotografii szczupłego, muskularnego mężczyznę, który otaczał ramieniem Steve’a.

– Kto to jest? – zapytała.

Smutny uśmiech jakiegoś wspomnienia pogłębił zmarszczki na twarzy Rity.

– To? To Karaluch – odparła. – Najlepszy kumpel Steviego. Nazwali go Karaluchem, bo nic nie było w stanie go zabić. Nic. A potem umarł na rękach Steviego. Powiem szczerze: myślę, że to wtedy wszystko zaczęło mu się walić.

Wzrok Carrie padł na innego mężczyznę na zdjęciu, wyższego niż większość, o szerokich barach i przystojnej twarzy. Miał kark futbolisty, ale bez asymetrii biegnących pod skórą kabli, którą zauważyła podczas badania. Promienny uśmiech Ramóna Hernándeza kłócił się z surową scenerią zdjęcia.

Jej umysł pracował jak szalony. Jak to możliwe, że dwaj ludzie, którzy mieli ze sobą kontakt w Afganistanie, trafili do tego samego programu DARP-y? Czy

Hernandez polecił Abingtona, czy też ich udział był zwykłym zbiegiem okoliczności?

– Czy Steve znał tego człowieka? – zapytała, wskazując Hernandeza.

Rita pokręciła głową.

– Jeśli znał, nie wspomniał mi o tym.

Gdy Carrie przyjrzała się zdjęciu jeszcze raz, zauważyła w tle pewną postać, wysoką i szczupłą, z nagim, muskularnym torsem i twarzą częściowo ukrytą w cieniu. Nie mogła rozróżnić rysów, ale mężczyzna przywiódł jej na myśl Lee Taggarta, pielęgniarza dyżurującego na sali pooperacyjnej w noc, kiedy zniknął Eric Fasciani.

Green Garden Inn leżał tuż przy autostradzie i był tym rodzajem przydrożnego motelu, jaki zawsze podczas długich rodzinnych podróży wybierał ojciec Carrie. Nie było w nim nic szczególnego: zielony siding z PCW, czarne okiennice i otoczenie, które w porównaniu z trawnikiem Rity wyglądało jak profesjonalne pole golfowe. Było już ciemno i Carrie miała ochotę zakończyć ten dzień długich, bezowocnych poszukiwań – włączyć jakiś kiepski program w telewizji i odpłynąć w niebyt. David przyniósł reklamówkę z dwiema szczoteczkami do zębów, spodniami od dresu i T-shirtami, które kupili w Wal-Marcie, oraz papierową torbę z chińskimi daniami na wynos.

Choć Carrie była głodna jak wilk, wskoczyła na kwadrans pod prysznic. Myślała o Ramónie Hernandezie. Powiedziała Davidowi, że widziała go na zdjęciu, a on uznał to za zbieg okoliczności. Gdyby miała pewność, że drugim mężczyzną był Lee Taggart, Davidowi nie udało by się jej przekonać.

Skończywszy prysznic, Carrie ubrała się w nowy dres. Jej zmierzwione włosy wisały w strąkach i szybki rzut oka w lustro potwierdził, że wygląda na wyczerpaną – tak też się czuła. Nie takie wrażenie chciała zrobić. Bynajmniej. Kiedy wynurzyła się z łazienki, David siorbał makaron z papierowego pudełka i pił heinekena z butelki, leżąc na jednym z dwóch podwójnych łóżek i oglądając ESPN.

– Twoja kolacja jest na stole – powiedział. – Możemy zmienić kanał, jeśli chcesz.

Carrie wzięła sobie miskę kurczaka z brokułami, chwyciła heinekena, którego David otworzył i wstawił do lodu, i wśliznęła się do pustego łóżka. Poczła się lepiej niż przez cały ten dzień.

– Chcesz, żebym przełączył?

Carrie spojrzała na telewizor i wzruszyła ramionami.

– Może być – powiedziała. – Często oglądam ESPN z Adamem, odkąd wprowadziłam się z powrotem do domu.

- Wiesz, miałem cię o to zapytać.
- O to, dlaczego, mając dwadzieścia dziewięć lat, mieszkam z rodzicami?
- Zapomniałaś o neurochirurgu.
- Naprawdę chcesz usłyszeć całą historię?

David spojrział na nią z ukosa.

- Jestem reporterem. Mogę napisać okrojona wersję, ale nigdy o nią nie proszę.
- Wyłączył telewizor.

Przez następne dwadzieścia minut Carrie relacjonowała mu ze szczegółami wszystko, co wydarzyło się w BCH, zaczynając od Beth Stillwell, a kończąc na swej rezygnacji. Nie rozumiała, dlaczego czuje się tak swobodnie, tak naturalnie, zwierając mu się, ale tak było. Kiedy już raz się otworzyła, nie było temu końca.

David siedział na łóżku naprzeciw niej, opuściwszy stopy na podłogę. Jego jedzenie stygło. Od czasu do czasu popijał piwo, poza tym jednak niemal nie odrywał od niej oczu, a ona nie miała nic przeciwko temu. Kiedy skończyła, wzruszyła lekko ramionami, gdyż nie miała nic więcej do powiedzenia.

David wypił ostatni łyk piwa.

– Nie musiałaś odchodzić – powiedział. – To Metcalf był odpowiedzialny. Ty byłaś tylko rezydentką.

– To była moja wina – odparła Carrie.

– Ale jesteś cholernie dobrym chirurgiem.

– Skąd możesz to wiedzieć? Nigdy nie operowałam twojego mózgu.

– Ale gdybym musiał zoperować sobie mózg, chciałbym, żebyś właśnie ty to zrobiła. Mam naprawdę nosa do takich spraw.

Carrie roześmiała się.

– Ale wiesz, talent to jeszcze nie wszystko. Ty byłeś dobry w swoim fachu i zobacz, jak skończyłeś.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że byłeś świetnym niezależnym dziennikarzem, jeżeli to jest właściwe określenie, nie stroniłeś od ryzyka, robiłeś więcej niż inni, zawsze przesuwałeś granice. I z tego powodu trafiłeś do niewoli, byłeś przetrzymywany jako zakładnik i nagle twoje nieszablonowe metody z atutu stały się ciężarem. Nasze historie nie są tak bardzo różne, jeśli się nad tym zastanowić.

David zamyślił się.

– Oboje z własnej winy straciliśmy pracę, którą kochaliśmy.

– A teraz tkwimy tu, w pokoju motelowym w środku Maine.

– Tak, prawda – przyznał.

Zapadła długa cisza. David wciągnął stopy z powrotem na łóżko i znów włączył telewizor, by wysłuchać relacji o tym, jak Pacers pokonali Celtics w wyczerpującej

dogrywce. Pasek u dołu ekranu był tylko ciągiem abstrakcyjnych liter i cyfr. Carrie nie mogła skupić wzroku. Jej myśli zaczęły błądzić, a ręce i nogi zdawały się wtapiać w łóżko. Powieki jej się zamykały, czy tego chciała czy nie. Otworzyły się gwałtownie, kiedy David odezwał się nagle.

– Goodwin – powiedział.

– Co takiego?

– Dlaczego ona nie chce, żebyś odwiedzała pacjentów po zabiegach?

Carrie potrząsnęła głową, żeby odpędzić senność.

– Nie wiem – odparła. – Takie ma zasady. Jest maniaczką kontroli, jak sądzę.

– A jeśli nie? – podsunął David.

– Co masz na myśli?

David znów przyjął poprzednią pozycję, ze stopami na podłodze i oczyma utkwionymi w Carrie.

– Przyszło mi do głowy, że może ta palino... wiesz.

– Palinakuzja – dokończyła Carrie.

– Tak, właśnie. Być może ona zdarza się tylko u niektórych pacjentów, nie u wszystkich? I to dlatego Goodwin nie chce, żebyście ty albo doktor Finley zajmowali się jej podopiecznymi. Nie chce, żebyście wiedzieli.

Carrie zastanowiła się nad tym.

– Ale pacjentów było mnóstwo, David. Do tej pory ktoś już by to odkrył.

– Niekoniecznie, jeśli to jest stan przejściowy – stwierdził. – Ona pilnuje, żeby nikt o tym nie wiedział. A jeśli ktoś coś zauważy, to zgłasza to jej albo Navarrowi i ta informacja nie trafia do ciebie.

– Ale dlaczego?

– Oto jest pytanie, prawda? – David wzruszył ramionami.

– Więc dlaczego Abington i Fasciani wypisali się na własną prośbę?

– Może coś było inaczej z nimi dwoma i musieli zniknąć. Może u nich te objawy nie chciały ustąpić.

– To wyjaśnij mi, jak ona skłoniła ich do odejścia.

– Mogła ich przekupić. A może sama ich wywiozła.

– Porwanie?

– Nie da się wykluczyć.

– Rany boskie, snujesz teorie spiskowe. Kto by pomyślał?

David uniósł ręce, najwyraźniej ochoczo przyjmując ten zarzut.

– Mówię tylko, że moim zdaniem jest jakiś powód, dla którego Goodwin chce uniemożliwić ci odwiedzanie tych pacjentów, tłumacząc to naruszaniem zasad.

– Potrzebny byłby motyw. Dlaczego Goodwin miałyby ukrywać potencjalny skutek uboczny, a potem celowo usuwać pacjentów nie tylko z programu, ale i ze

szpitala?

– Znam sposób, żeby się tego dowiedzieć – powiedział David.

– Jaki? Zapytać ją?

– Jako reporter musiałem dowiadywać się o ludziach rzeczy, których nie powiedzieliby mi prosto w twarz – odparł David niemal przeproszającym tonem. –

Więc przyjmijmy po prostu, że dysponuję pewnymi narzędziami, które mogą wspomóc nasze wysiłki.

– Rozwiń to, proszę.

– Jeśli chcesz znać prywatne rozmowy Goodwin, musisz ich słuchać.

– Chcesz założyć podsłuch w jej gabinecie?

– Pomyśl o wszystkim, co spotkało cię do tej pory. Zawsze miała z tym związek Goodwin. Ona coś kombinuje, Carrie. Pytanie brzmi: co?

– Pomyślę o tym.

– Wprowadź mnie do środka, a ja zainstaluję pluskwę. Oferta leży na stole.

– Doceniam to – odparła Carrie i mówiła to szczerze.

David wrócił do oglądania telewizji, a ona utkwiała wzrok w suficie. Nie myślała o podsłuchiowaniu Goodwin ani o możliwych motywach ukrywania pacjentów. Myślała o Davidzie. Po części, jak wiedziała, wynikało to z samotności. Choć nie żałowała tego, że praca zajmuje pierwsze miejsce wśród jej priorytetów życiowych, miała również swoje kobiece potrzeby. Nie była jednak skłonna działać pod wpływem impulsu – w każdym razie nie teraz. Na razie musiała skupić się na Abingtonie i Fascianim. Na ratowaniu swej kariery.

Czytanie w myślach, jak wiedziała, było jedynie salonową sztuczką; a mimo to przyłapała spojrzenie Davida i wyczuła, że chodzą mu po głowie podobne myśli. Wytrzymała przez chwilę jego spojrzenie.

– Cóż, jest późno i jestem dość zmęczona – powiedziała w końcu. – Zobaczymy się rano. Dziękuję, że jesteś ze mną, Davidzie. To wiele dla mnie znaczy.

Wyłączyła swą nocną lampkę i odwróciła się do niego plecami.

– Wiesz, pomógłbym ci, nawet gdyby nie chodziło o artykuł.

W ciemności Carrie uśmiechnęła się.

Rozdział 37

Carrie skorzystała z szatni VA, by przebrać się w strój do biegania. Jej buty, newtony rozmiar dziewięć w kolorze arbuza z jaskrawoniebieskimi detalami, wydawały się sztywne od nieużywania. Już wkrótce, jak przypuszczała, obolałe od nieużywania będą także jej nogi. Nie przyświecał jej żaden konkretny cel, chciała po prostu wyjść i przebiec się trochę. Całe ciało bolało ją po nocy przespanej na lichym materacu na dodatkę do wszystkich tych godzin za kółkiem i miała nadzieję, że solidny bieg pomoże jej się rozluźnić.

Wrócili z Davidem z Maine późnym rankiem i Carrie udała się prosto do VA na konsultację przedoperacyjną z Geraldem Wrightem.

Wright, sześćdziesięcioletni dziadek jedenastki wnuków i pilot myśliwski z wojny wietnamskiej, czekał na operację już od miesięcy. Jego zaawansowana choroba Parkinsona miała w głębokim poważaniu dwóch zaginionych weteranów i narastające obawy Carrie co do terapii DBS. Doktor Bryant zastanawiała się, czy nie odmówić wykonania zabiegu, ale martwiła się, że mogłoby to wzbudzić w Goodwin podejrzenia, skłonić ją do większej ostrożności w wypowiedziach za zamkniętymi drzwiami.

W trakcie jazdy na południe Carrie dała Davidowi zielone światło dla sprowadzenia wszelkiego sprzętu niezbędnego do prowadzenia podsłuchu. Ufała jego instynktom co do Goodwin, włącznie z przekonaniem, że operacja Wrighta przebiegnie gładko.

– To nie choroba Parkinsona jest problemem – stwierdził David. – Wykonano już zbyt wiele zabiegów DBS na pacjentach z tą dolegliwością. Do tej pory coś już by wyszło na jaw. To musi być związane z PTSD.

Dziwnie było znaleźć się znów w VA. Wszystko wydawało się tak normalne. Doktor Finley towarzyszył Carrie podczas konsultacji przedoperacyjnej i zdawał się być w wesołym nastroju. Natychmiast po spotkaniu z Wrightem Carrie zdała mu sprawę ze swych poszukiwań, ubolewając, że nie udało jej się działać nic więcej.

– Doceniam twoje starania – odparł Finley. – Ale jak już mówiłem, nie każdy, kto przeszedł ten zabieg, wraca na wizyty kontrolne. Mamy tu do czynienia z bardzo zdeintegrowanymi jednostkami.

Kiedy wspomniała mu, że widziała Ramóna Hernandeza na zdjęciu

z Abingtonem, nie wydawał się w najmniejszym stopniu przejęty tym odkryciem.

– Możliwe, że to właśnie tak Steve został zwerbowany. Mogę zapytać Ramóna albo Cala Trenta, ale rekrutacja do programu DARF-y zawiera element polecenia, więc istnienie powiązania między nimi dwoma nie jest aż tak zaskakujące.

Bomba, która okazała się niewypałem.

Jedyny skutek tej rozmowy był taki, że myśli jeszcze szybciej zaczęły kłębić jej się pod czaszką. Może to, co zaobserwowała u Abingtona i Fascianiego, było aberracją, a jej teoria o palinakuzji była zupełnie bezpodstawna? W końcu Fasciani nie powiedział wprost, że cierpi na tę dolegliwość. Podejrzewała ją na podstawie jego zachowania. Być może dopatrywała się u tych dwóch pacjentów objawów pasujących do łamigłówki, którą sama stworzyła.

Jej wątpliwości nie były wystarczające, by odwołać plan Davida z założeniem podsłuchu w gabinecie Goodwin. Była skłonna uznać, że powiązanie Ramóna z Abingtonem może być czysto przypadkowe, ale pojawiło się zbyt wiele innych niezwykłych okoliczności, by mogła je zlekceważyć. Tak czy inaczej, solidny bieg mógł nieco rozjaśnić w głowie coraz bardziej zagmatwaną sytuację.

Porozciągnawszy się lekko na parkingu, Carrie zaciągnęła sznurówki butów i ruszyła w tempie, jak oceniła, mili na dziesięć minut. Miejski pejzaż stanowił idealne tło. Sceneria była na tyle różnorodna, by bieg jej nie nudził, ale nie było aż tylu samochodów i pieszych, by stało się to niebezpieczne lub rozpraszające.

Skreśliła w prawo w Brynmar Street, uznając, że przyjemnie będzie przebiec przez Mine Falls Park. Najwyraźniej nie ona jedna wpadła na taki pomysł. Owszem, daleko temu było do linii startowej w Hopkinton w maratonowy poniedziałek, jednak mnóstwo biegaczy, rowerzystów i spacerowiczów korzystało z ostatnich promieni słońca w to przyjemnie chłodne popołudnie.

Jej umysł zaczął się uspokajać i przypomniawszy sobie, dlaczego pokochała bieganie. Po dwudziestu minutach jej płuca funkcjonowały znakomicie. Troska o zastawę mięśni nóg okazała się bezpodstawna. Teren był na ogół równy, ale kilka pagórków stanowiło wyzwanie dla jej oddychania i kondycji.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Parę sekund później dwoje ludzi, sprawnych i szczupłych, ubranych w wymyślne stroje sportowe, przemknęło obok niej z prawej strony. Carrie przyspieszyła, by dotrzymać im kroku, dopóki płuca nie zaczęły błagać ją, by odpuściła. Wróciła z powrotem do swego naturalnego kroku, znacząco zmniejszyła szybkość i roześmiała się ze swego zamiłowania do rywalizacji.

Zawsze chcesz być najlepsza. Zawsze przesuwasz granice.

Przypomniało jej to rozmowę z Davidem w pokoju motelowym o podobieństwie ich sytuacji. Niewiele brakowało, a uległaby impulsowi i poszła z nim do łóżka.

Prawdopodobnie nie żałowałyby tego. Nie wracali do tego konkretnego fragmentu nocnej rozmowy ani przy śniadaniu, ani podczas jazdy powrotnej, ale Carrie zastanawiała się, czy David myślał o tym samym.

Sama nie umiałaby powiedzieć, co zwróciło jej uwagę na biegacza z tyłu. Zerknęła przez ramię na muskularnego mężczyznę ubranego w niebieskie spodnie treningowe Nike i ciemną kurtkę do biegania. Baseballowa czapeczka Red Sox i okulary słoneczne przesłaniały większość jego głowy i twarzy. Biegła dalej, ale wciąż słyszała za sobą ciche uderzenia jego stóp o chodnik.

Ciekawa, czy mężczyzna zamierza ją wyprzedzić, obejrzała się po raz drugi. Nie zmniejszył dystansu ani o krok. Nie wydawało się też, żeby był zdyszany. Ten facet z nogami jak pnie drzew musiał mieć wyższy bieg, ale z jakiegoś powodu postanowił z niego nie korzystać. Najwyraźniej wolał biec za nią, w tej martwej przestrzeni, gdzie nie był prześladowcą, ale nie był też niewidzialny. Było mnóstwo miejsca dla wszystkich biegaczy i po stu metrach z takim ogonem stało się to irytujące. Postanowiła dodać trochę gazu i zgubić tego gościa.

Jej mięśnie zareagowały posłusznie i wkrótce biegła w szybkim tempie. Tętno skoczyło jej w górę, a płuca zdawały się ściśnięte, ale mogła utrzymać taką szybkość, przynajmniej przez pewien czas.

Mniej więcej minutę później zerknęła za siebie i zobaczyła tego samego mężczyznę biegnącego dokładnie w tej samej odległości od niej. Nie został w tyle, choćby o metr, co oznaczało, że przyspieszył do jej tempa. Nie wyglądało też na to, by oddychał z większym wysiłkiem. Wciąż utrzymywał dystans, który pozwalał mu być obecnością, lecz nie zagrożeniem.

Carrie przebiegła na drugą stronę drogi i jeszcze odrobinę podkręciła tempo. Prawdopodobnie biegła teraz milę poniżej dziewięciu minut, daleko poza swoją strefą komfortu. Bez względu na to, jaka była jej szybkość, w efekcie ucierpiał jej styl i nie lądowała już na śródstopiu, co pomagało uniknąć kontuzji. Kiepska technika obciążała stawy i sprawiała, że jej oddech stał się jeszcze cięższy. Parła jednak dalej, nie oglądając się za siebie, nie chcąc ulec ciekawości ani podsycać rosnącego niepokoju.

Wytrzymała w tym postanowieniu całe dziesięć kroków. Mijając wysoki dąb, wykręciła szyję, by spojrzeć przez lewe ramię, i z miejsca dostrzegła za sobą tego samego mężczyznę. Przebiegł wraz z nią na drugą stronę drogi i zwiększył szybkość, by dotrzymać jej kroku.

Jego ramiona pracowały bez wysiłku, a nogi sprawiały wrażenie, że mogłyby nieść go w nieskończoność. Ten bieg był dla niego igraszką, widziała to. Zachowywał się z kompletną nonszalancją. Dla postronnego obserwatora musiało to wyglądać jak trening w parze. Być może wykorzystywał ją jako ogranicznik

tempa albo dla motywacji. Ponieważ w pobliżu byli inni ludzie, Carrie nie panikowała zbyt. Jednak ta sytuacja coraz bardziej działała jej na nerwy.

Masz po prostu bujną wyobraźnię, powiedziała sobie. To wszystko.

Przebiegła jeszcze pięćdziesiąt metrów z mężczyzną w ciemnej baseballówce i okularach słonecznych za plecami, po czym postanowiła zawrócić. Zwolniła i zakręciła szerokim łukiem, a kilka minut później minęła pana Baseballówkę z lewej strony. Nie odwrócił głowy i biegł, utrzymując stały rytm, bez zmiany kierunku. Obejrząwszy się w tył, zobaczyła, że Baseballówka wciąż oddala się od niej – zwyczajny gość zajmujący się własnymi sprawami.

Roześmiała się ze swej paranoi i biegła dalej, patrząc wprost przed siebie. Pragnienie jeszcze jednego rzutu oka w tył było niemal nieznośne, ale nie zamierzała ulegać manii prześladowczej. To był niewinny incydent, uznała. Utrzymywała tempo wciąż powyżej swej normy, jednak pokusa, by zerknąć za siebie, nie opuszczała jej.

Obejrzyj się – tak tylko dla pewności – spójrz jeden... jedyny... raz...

Odwróciła głowę, a jej ciało skręciło się, kontynuując ten ruch. Odetchnęła z ulgą. Nie było za nią nikogo.

Jeszcze raz roześmiała się ze swych śmiesznych obaw. Łatwo nabawić się strachu. Pomyślała o Adamie, który żył z tym paralizującym uczuciem w niemal każdej sekundzie dnia. Podobnie jak Abington i Fasciani tkwił w bezlitosnych szponach lęku.

Dostrzegła przed sobą skrzyżowanie z przecinką biegnącą przez środek parku. Była to wąska dróżka o ziemnej nawierzchni, mniej wymagająca dla stawów, i Carrie skręciła na nią. Ścieżkę obrzeżały wysokie trawy i drzewa z pączkami liści. Carrie chłoneła jej malownicze piękno, ciesząc się każdym krzewem, chmurką i śpiewem ptaka.

Od tyłu do jej uszu dobiegł nowy dźwięk: cichy chrzęst ziemi. Ktoś biegł. Wysokie trawy stały się długimi, zielonymi smugami na obrzeżach jej pola widzenia.

To nic.

Pięć metrów zmieniło się w dziesięć, ale wciąż nie oglądała się za siebie. Piętnaście. Potem dwadzieścia. Chęć sprawdzenia stała się nieodparta. Carrie odwróciła się i spojrzała. Ścisnęło ją w dołku, a tętno skoczyło w górę. To on biegł za nią, w tej samej baseballówce i okularach słonecznych, utrzymując ten sam dystans co wcześniej. Nie miała pojęcia, jak się do niej podkradł, ale podejrzewała, że chciał, by go zauważyła.

Strach wrócił, a przypływ adrenaliny przyspieszył jej kroki. Serce waliło jej młotem w gardle. Patrzyła przed siebie, ale ścieżka była pusta, bez innych biegaczy

czy rowerzystów w zasięgu wzroku.

Przeszła do sprintu, dysząc ciężko. Oczy zaczęły jej łzawić, a przerażenie odebrało zdolność myślenia. Płonące płuca potrzebowały więcej powietrza. Otworzyła szerzej usta, ale nie za wiele to pomogło.

Gdy wytężyła słuch, słyszała stale odgłos biegnących stóp. Ogarnęła ją panika. Spojrzała w lewo, potem w prawo; czy wysokie trawy pozwoliłyby jej uciec, czy jedynie spowolniłyby ją? Postanowiła trzymać się ścieżki. Biec, ile tylko sił w nogach.

Jej jedyną szansą było dotrzeć do głównej alejki i znaleźć kogoś do pomocy. Zataczała się na boki, niezdolna utrzymać się na prostej. Nie odrywała oczu od ziemi, omijając korzenie i kamienie. Mimo olbrzymiego obciążenia dla nóg i płuc jakimś cudem zdobyła się na podkręcenie tempa. Jej ramiona pracowały jak szalone, dopasowując się do rytmu kroków.

Przed sobą zobaczyła otwartą przestrzeń, gdzie przecinka krzyżowała się z główną alejką. Tam będą ludzie i bezpieczeństwo.

Zaryzykowała kolejny rzut oka w tył. Ten człowiek wciąż tam był. Biegł szybko, ale, jak poprzednio, wydawało się, że wcale nie zmniejsza dystansu. Dlaczego? Bawił się z nią? Czy napawał się jej strachem?

Dostrzegła uśmiech na jego twarzy i błysk jakiegoś przedmiotu w jego dłoni – nóż, a może nawet pistolet. Wysokie trawy, w których upatrywała szansy na ucieczkę, idealnie nadawałyby się do ukrycia gwałtu lub morderstwa.

Ogarnęła ją świeża fala grozy. Chciała krzyczeć, ale jej zmaltretowane płuca potrzebowały każdej odrobiny powietrza, nie pozostawiając niczego dla głosu.

Ścieżka kończyła się może sto metrów przed nią. Wciąż mógł ją dopaść. Pędziła w ślepej panice. Jak mogła być tak głupia, by skrócić na tę dróżkę?

Do alejki było jakieś siedemdziesiąt pięć metrów.

Na moment straciła koncentrację. Chwilę potem jej kostka wykręciła się, a ona runęła jak długa. Wylądowała na twardej, ubitej ziemi i przejechała kawałek na kolanach. Siłą rozpędu podniosła się znów na nogi, niemal nie gubiąc kroku. Jej jedynym ratunkiem było biec dalej i postanowiła nie tracić cennych sekund, by sprawdzić, czy odległość między nią a mężczyzną się zmniejszyła. Oczywiście, że tak – to było nieuniknione. Kostka paliła ją i każdy kolejny krok sprawiał ból, jak gdyby biegła boso po odłamkach szkła.

Nie oglądaj się, nie oglądaj się! Po prostu biegnij!

Nie mogła się jednak powstrzymać. Obróciła głowę i zobaczyła go, półtora metra od siebie, uśmiechniętego od ucha do ucha. Z ust wyrwał jej się ni to krzyk, ni to przybierający na sile jęk. Jej skóra lśniła od potu, a myśli spowolniły z przerażenia. Przebierała nogami jak szalona, a jej ręce zakreślały opętane łuki.

Nogi miała jak z ołowiu. Płuca domagały się przystanku, ale Carrie zignorowała ból i ponaglała się do dalszego biegu.

Szybciej! Szybciej!

Zastanawiała się, czy to jego oddech tak rozgrzewa jej kark. Miała wrażenie, że palcami już chwyta ją za ubranie.

Jeszcze pięć kroków... jeszcze pięć.

Wybiegając chwiejnym krokiem na alejkę, Carrie wpadła wprost na uprawiającą jogging kobietę, która nie miała czasu na reakcję. Zderzenie nie było zbyt silne, jednak osłabiona kostka sprawiła, że Carrie upadła. Druga biegaczka stęknęła, a gdy tylko zorientowała się, co się stało, odwróciła się do niej.

– Wszystko w porządku? – zapytała, nie próbując nawet pomóc jej wstać.

Carrie, leżąc na brzuchu, nie widziała ścieżki, ale mimo to zdobyła się na ostrzeżenie.

– Za panią, za panią! – wrzasnęła. – On jest za panią!

Kobieta obejrzała się za siebie, kiedy Carrie gramoliła się na nogi. Chwilę później mężczyzna w baseballówce wynurzył się z przecinki z zatroskaną miną. Podszedł do Carrie, która dopiero teraz dostrzegła przypominającą zygzak błyskawicy bliznę na jego policzku i wytatuowaną koniczynkę z boku szyi.

– Miała pani paskudną wywrotkę – zauważył.

Carrie cofnęła się o parę kroków.

– Niech się pan trzyma z daleka – warknęła.

Mężczyzna nie wyglądał na zbyt urażonego.

– Dobra, chciałem tylko pomóc – powiedział ze wzruszeniem ramion i uśmiechem w stylu „co ja mogę”. Obrócił się na pięcie i ruszył z powrotem tą samą ścieżką.

– Czy chce pani, żebym wezwała policję? – zapytała biegaczka.

– Nie – odparła Carrie. – Wszystko w porządku. Ale dziękuję, że pani zapytała. Przepraszam, że na panią wpadłam.

Kobieta pomachała jej i odbiegła w swoją stronę.

Przenosząc ciężar ciała na zdrową kostkę, Carrie przyglądała się, jak mężczyzna w baseballówce oddala się biegiem. Wkrótce był już tylko punkcikiem na horyzoncie, a potem zniknął. Widać było jedynie wysokie trawy kołyszące się na łagodnym wietrze.

Rozdział 38

Gdy Carrie dotarła do domu, Adam ćwiczył rzuty do kosza. Zaparkowała samochód na podjeździe i podeszła do niego wolnym krokiem, próbując nie oszczędzać opuchniętej lewej kostki. Nie chcąc zaalarmować wszystkich, a zwłaszcza brata, postanowiła utrzymać incydent w parku w tajemnicy.

Adam złożył się do rzutu, wcelował czysto z odległości ponad czterech metrów, po czym złapał piłkę i zaczął kozłować, popisując się znakomitym dryblingiem. Przyjrzał się siostrze podejrziwym wzrokiem.

– Co ci się stało? – zapytał.

Carrie była zaskoczona. Zdawało jej się, że skutecznie ukrywa ból kostki. Zerknęła w dół, by się upewnić, że spodnie zasłaniają zadrapania po upadku.

– Nic. Dlaczego pytasz?

– Kulejesz – zauważył Adam.

Irene przekazała geny bystrej obserwacji nie tylko córce, ale i synowi.

– To drobiazg – próbowała bagatelizować Carrie.

Adam rzucił jej piłkę, wkładając w to podanie nieco siły. W sporcie zawsze szedł na całość. Podobnie jak siostra uwielbiał rywalizację, ale przenosił ją na zupełnie inny poziom. To między innymi ten aspekt jego osobowości skłonił go do wstąpienia do wojska.

Carrie spróbowała trafić do kosza, ale niezbyt pewnie trzymała się na nogach i piłka z brzękiem odbiła się od obręczy. Adam wyłapał ją, płynnym, tanecznym ruchem obrócił się i wykonał rzut z wyskoku, posyłając piłkę wysokim łukiem w sam środek kosza.

Całe ciało Adama funkcjonuje bez zarzutu, zauważyła Carrie. Był gibki, zwinny i szybki w ruchach. Niewiarygodne, jak zdrowy się wydawał, a przecież wiedziała, że prawda jest zupełnie inna.

– Wyglądasz na rozkojarzoną – stwierdził Adam, znowu kozłując piłkę. – Wszystko w porządku?

Ni stąd, ni zowąd postanowiła powiedzieć mu prawdę. To było przerażające doświadczenie. Któż lepiej nadawałby się do tego, by jej wysłuchać, niż brat, który tak dobrze wiedział, czym jest strach?

– Wiesz, miałam po prostu niesamowitą, koszmarną przygodę, kiedy biegałam w parku. To drobiazg.

Poważna mina Adama sugerowała, że jest innego zdania.

– Co się stało?

Carrie nie wzięła pod uwagę przesadnie opiekuńczych zapędów brata. Gniew malujący się na jego twarzy, gdy skończyła opowieść, był mocno niepokojący.

– Jesteś pewna, że on po prostu wykorzystywał cię jako wzorzec tempa? – zapytał Adam.

– Nie wiem. Tak sędzę – odparła bez większego przekonania. – Podszedł do mnie potem i wydawało się, że ma wyrzuty sumienia.

– No tak, jasne – mruknął Adam. – Nie ufaj nikomu i nie biegaj w pojedynkę, dobra? Mówiłem ci to już tysiąc razy. Ludzie robią sobie nawzajem straszne rzeczy, Carrie. Naprawdę straszne.

Carrie nie była pewna, czy jej brat mówi o biegaczu w parku, czy o sobie samym. Położyła mu ręce na ramionach.

– Posłuchaj. To był drobiazg – powiedziała. – Nic mi się nie stało. I następnym razem będę bardziej ostrożna.

Adam wykonał parę kozłów, by ustawić się na linii kosza, i spojrzał na nią takim wzrokiem, jakim ona przyglądała się pacjentom podczas konsultacji przedoperacyjnych. Widziała, że wypatruje oznak oszustwa. Nie odezwał się słowem, ale wydawało się, że wyczuł jej zdenerwowanie.

– To naprawdę nie było nic groźnego – zapewniła go.

W duchu zastanawiała się jednak nad zbieżnością w czasie. Incydent z biegaczem zdarzył się tuż po tym, jak postanowiła z Davidem założyć podsłuch u Goodwin, i w trakcie jej poszukiwań dwóch zaginionych weteranów.

Adam nie był przekonany.

– Pamiętaj, jestem twoim bratem – powiedział. – Zawsze będę nad tobą czuwał. Zawsze.

Żartobliwie szturchnął ją w ramię. Oddała mu jeszcze lżejszego kuksańca. W trakcie tej przepychanki drzwi garażu otworzyły się i Carrie, korzystając z chwilowej nieuwagi Adama, wyrwała mu piłkę z rąk. Wykonała zgrabny rzut z odległości czterech metrów, bez problemu trafiając w kosz.

Z garażu wynurzył się Howard Bryant. Niósł skrzynkę z narzędziami ogrodniczymi, ubrany odpowiednio do tej pracy. Odstawił narzędzia i podszedł do swoich pociech.

– Kto ma ochotę zagrać w trupa? – zapytał z promiennym uśmiechem. Podobnie jak ich matka chciał, by dzieci były samodzielne, ale błysk w jego oczach mówił, że niezależnie od okoliczności cieszy się każdą wspólnie spędzoną chwilą.

Adam przekazał piłkę ojcu z może nieco mniejszym szwungiem, niż kiedy rzucał ją Carrie. Howard zgrabnie złapał ją oburącz, pokozłował chwilę i wykonał

rzut z wysokości, który mógł się wydać kopią wcześniejszego wyczynu Adama. Trafił prosto w środek kosza.

Gra się rozpoczęła, kiedy słońce zniknęło za horyzontem, a śpiew ptaków wypełnił słodko pachnące powietrze radosnym gwarem. Partię otworzył Howard udanym rzutem z dwutaktu, po czym przekazał piłkę synowi, który z powodzeniem odtworzył jego akcję. Carrie, wciąż oszczędzająca lewą kostkę, podkozłowała niezdarnie pod kosz i trafiła piłką w obręcz.

– Carrie trochę się okulała – wyjaśnił Adam.

Dziewczyna udała oburzoną.

– Hola, nie jestem szkapą – zauważyła.

– Po prostu nie przesadzajmy z rzutami z ruchu, tato. Szkoda byłoby zbyt szybko ją uśmiercić.

Ojciec skrzywił się, ale prawdą było, że sam zachęcał Adama do większego luzu. Każdy żart z jego strony był drobnym zwycięstwem w tej niekończącej się wojnie. Z troską minę Howard zachował dla córki.

– Coś sobie zrobiłaś, kochanie? – zapytał.

Carrie zerknęła niespokojnie na brata, obawiając się, że może się wygadać o incydencie w parku. Jej tato również mógł nie uznać tego za niegroźne. Świat był pełen drapieżników, a ona nie miała ochoty słuchać wykładu na temat bezpieczeństwa. Adam rzucił jej spojrzenie, które mówiło, że może mu ufać.

– Nic mi nie jest – odparła. – Mam lekko skręconą kostkę. Przewróciłam się przy bieganiu. Jeszcze mogę z wami wygrać, chłopaki.

Zwycięzca był właściwie znany z góry. Prawdziwa rywalizacja toczyła się o drugie miejsce między Howardem a Carrie. Adam zdawał się rozkoszować spodziewanym triumfem i na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu, dopóki jego wzrok nie padł na widoczne w garażu niesprawne camaro. Podszedł zamaszystym krokiem do garażu, wcisnął przycisk zamykający drzwi, po czym ze zdeustowaną miną wrócił do gry.

– Jutro oddam tę kupę żelastwa na złom – oświadczył.

Gniewny grymas nie zniknął z jego twarzy, dopóki nie wpakował do kosza trzech wolnych rzutów z rzędu. Ani Carrie, ani Howard nie zareagowali. Słyszeli tę groźbę nie pierwszy raz.

Carrie przymierzyła się do kolejnego rzutu i chybiła. *T-R*. Nie chcąc zdobyć końcowych dwóch liter, uznała, że jej kostka wymaga lepszej podpory. Przeprosiła i weszła do domu, żeby zmienić buty.

W pierwszej chwili nie mogła znaleźć w szafie tenisówek, o które jej chodziło, ale w końcu zobaczyła je na lewo od swych czarnych butów do konnej jazdy. Zdziwiło ją to lekko; zwykle utrzymywała w szafie pedantyczny porządek, a te

tenisówki stały zawsze na prawo od innych butów, uszeregowanych według wielkości. Usiadła na łóżku i włożyła je, po czym wstała, by nakarmić Limbika.

Kiedy rybka zjadała swoją porcję płatków, Carrie otworzyła komodę, by przebrać się w inny T-shirt. Natychmiast się zorientowała, że ktoś grzebał w jej ubraniach. Koszulki były złożone w kostkę, ale nie dokładnie tak, jak sama składała. Prawie, ale nie do końca. Znać było inną rękę.

Zaniepokojona zeszytniała. Rozejrzała się po pokoju, szukając innych odstępstw od normy. Nietrudno było je dostrzec. Prześcieradło na łóżku nie było naciągnięte tak mocno, jak ona by to zrobiła, a stos papierów na biurku zdawał się leżeć o jakieś piętnaście centymetrów bliżej okna. Wszystko to były drobiazgi, ale Carrie zjadła zęby na wypatrywaniu takich drobnych szczegółów. Zauważyła wszystko. Ktoś był w jej pokoju. Nie tylko był, ale też szperał w jej rzeczach.

Próbując coś z tego zrozumieć, doszła do niepokojącego wniosku – Adam ją szpiegował. Któż inny mógłby to zrobić? Nie znajdowała innego logicznego wytłumaczenia. To prawda, był w marnym stanie psychicznym, ale nigdy jeszcze nie zrobił czegoś tak dziwnego, tak niezgodnego ze swym charakterem. Jej tętno przyspieszyło, kiedy schodziła po schodach, ale na najniższym stopniu zatrzymała się.

Oddychaj głęboko... oddychaj głęboko...

Fala gniewu opadła jak cofający się przyptyw. Istnieje rozwiązanie, powiedziała sobie. Musi po prostu porozmawiać z Adamem, wyjaśnić mu parę spraw.

Na dworze zastała ojca i brata grających w najlepsze. Zbliżyła się niepewnie, z rękami na biodrach.

Howard przestał kozłować.

– Co ci się stało? Jesteś blada – powiedział.

Serce Carrie załomotało gwałtownie. Na powrót ogarnął ją gniew.

– Czy ktoś był w moim pokoju? – Spojrzała wprost na Adama i jej opanowanie się ulotniło.

– O czym ty mówisz? – zapytał Howard.

– Ktoś szperał w moich rzeczach. W moich ubraniach, pod łóżkiem. Ktoś był w moim pokoju.

Oczy Adama zwęziły się, a jego twarz poczerwieniała jak gotowany homar.

– Dlaczego patrzysz na mnie? – zapytał.

– Po prostu pytam – warknęła Carrie. – Próbuję to wyjaśnić.

– Nie. Nie. Oczywiście, że nie. Nikt nie wchodził do twojego pokoju – powiedział Howard.

Adam zrobił krok naprzód.

– Oskarżasz mnie o coś? – W jego głosie brzmiała groźba. Jego oczy były jak

kałuże lawy bulgoczącej tuż pod powierzchnią i grożącej erupcją.

Carrie zmieniła podejście. Niewiele trzeba, by doprowadzić Adama do ostateczności.

– Próbuję jedynie wyjaśnić, czy ktoś wchodził do mojego pokoju.

Odpowiedź, oczywiście, brzmiała *tak*. Pytanie tylko, kto to był.

Adam nie dał się ugłaskać. Zarzucono mu występki i czuł się urażony.

– Może popadasz w paranoję – stwierdził. – Najpierw zdaje ci się, że jakiś facet ściga cię w parku, a teraz ktoś szpera w twoich rzeczach?

– Jaki facet? – zapytał Howard, odwracając się do Carrie.

– Nieważne, tato.

Adam pozwolił, by piłka potoczyła się w krzaki. Podszedł groźnie do siostry, z barkami pochylonymi naprzód, z rękami wyciągniętymi przed siebie i dłońmi zwróconymi w górę.

– Może to ten gość z parku był w twoim pokoju.

Może, pomyślała Carrie.

Ale wydawało się to niewiarygodne. Zbyt dziwaczne, by brać to pod uwagę. Dlaczego ktoś miałby wchodzić do jej pokoju? Czego mógł tam szukać?

– Byłeś tu cały dzień? – zapytała, jeszcze niegotowa dać za wygraną.

Spokojnie, Carrie... Spokojnie...

– Tak, od samego rana. Grzebiąc w twoich szpargałach.

– Adam, to niepotrzebne – powiedziała łagodniejszym tonem. – Po prostu próbuję zrozumieć, co się stało.

– Zrozum to – rzucił. Uniósł obie ręce z wyprostowanymi środkowymi palcami, po czym odwrócił się i oburzony pomaszerował przez podjazd.

Carrie czuła się podle, ale to było najbardziej logicznym wnioskiem. Kiedy rodzice krzatali się wokół swoich spraw, Adam mógł się swobodnie poruszać po całym domu.

Howard sprawiał wrażenie przybitego.

– Musisz być z nim ostrożna, Carrie – upomniał.

Teraz poczuła się jeszcze gorzej. Świadomość, że sprawiła choćby najmniejszy zawód ojcu, swemu bohaterowi, ścisnęła jej serce.

– Przepraszam, tato, ale ktoś był w moim pokoju.

– Cóż, oczywiście to nie była ani mama, ani ja i jestem skłonny wierzyć Adamowi. Żyjesz w wielkim stresie, Carrie.

– Sugerujesz, że wymyślam to sobie? – Carrie przybrała ostrzejszy ton. – Wiem, co widziałam, tato.

Howard nie chwycił przynęty i nie zamierzał dyskutować na ten temat.

– Po prostu nie drażnij brata – poprosił. – Oboje potrzebujecie się nawzajem.

A ja chcę mieć świadomość, że będziesz przy nim, gdyby nas zabrakło.

Carrie zrozumiała podtekst. Ponuro skinęła głową na myśl o śmierci rodziców. Miała nadzieję, że to kwestia odległej przyszłości, ale pewnego dnia ich nie będzie i ojciec miał rację: ona będzie ostatnią deską ratunku Adama.

– Możesz na mnie liczyć, tato – zapewniła. – Nigdy go nie zawiodę.

Howard pochylił się i delikatnie cmoknął córkę w policzek.

– To dobrze – odparł, po czym ruszył podjazdem, by szukać syna.

Rozdział 39

O piątej trzydzieści następnego ranka Carrie była z powrotem w VA, by wykonać zabieg DBS u Geralda Wrighta. Choroba Parkinsona wpełzła w życie emerytowanego podpułkownika piętnaście lat temu i podobnie jak u wszystkich jemu podobnych kandydatów do głębokiej stymulacji mózgu, leki nie przynosiły już rezultatów. Zespół operacyjny, obejmujący Carrie, doktora Finleya oraz anestezjologa, doktora Kauffmana, zebrał się, by przejrzeć skany MRI Wrighta z poprzedniego dnia oraz obrazy z porannej tomografii komputerowej i zdecydować, gdzie najlepiej umieścić elektrody.

Ku zaskoczeniu Carrie na zebraniu pojawił się doktor Navarro. Ledwo wyświetlono zdjęcia na monitorze, wszedł do sali konferencyjnej bez pukania, jak gdyby jego obecność tam była najzupełniej normalna. Już od drzwi rzucił jej chłodny uśmiech.

– Co ty tu robisz, Evan? – zapytała.

– Sandra chciała, żebym poprzyglądał się dzisiaj rano – odparł i na tym skończył, nie odczuwając potrzeby dalszych wyjaśnień.

Serce Carrie zaczęło walić jak młotem. Po wczorajszej przygodzie w parku poważnie rozważała możliwość, że zaginionieni weterani, spotkanie z biegaczem oraz bałagan w jej pokoju mają ze sobą jakiś związek. Nieoczekiwane zjawienie się Navarra wzmocniło to podejrzenie.

Navarro wyglądał sztywno w białym fartuchu, krawacie w czerwono-białe paski i ciemnych spodniach. Włosy miał przylizane gładko do tyłu, jak gdyby w hołdzie dla Eddiego Munstera, ze szpicem na czole i całą resztą. Carrie zjeżyła się na myśl o operowaniu w jego obecności. Zerknęła na Finleya – był również niezadowolony.

– Dlaczego doktor Goodwin miałaby sobie tego życzyć? – zapytała.

– Chirurgia to jej dział, Carrie – odparł chłodno Navarro. – Nie kwestionuję sposobu, w jaki ona nim kieruje. Po prostu wykonuję swoją pracę. – Mówił protekcyjnym tonem, jak gdyby dając jej do zrozumienia, że powinna postępować tak samo.

Finley zrobił krok naprzód.

– To jest zupełnie nie na miejscu, Evan. – Jego twarz przybrała odcień szkarłatu, jakiego Carrie jeszcze nigdy u niego nie widziała. – Nikt nie uzgadniał tego ze

mną.

Navarro wzruszył tylko ramionami.

– Będziesz chyba musiał pogadać o tym z Sandrą.

– I, do cholery, zrobię to – powiedział Finley. – Obaj wiemy, o co tu chodzi, no nie, Evan? I to jest kompletna głupota.

Lizusowska mina Navarra wzburzyła w Carrie krew.

– Cóż, Alistair, na ile wiem, zajmujesz się tutaj chirurgią. A to jest działka mojej szefowej. Tak więc mogę odpowiedzieć ci jedynie to samo, co przed chwilą mówiłem Carrie, czyli że jeśli nie życzyacie sobie mojej obecności, będziecie musieli obgadać to z Sandrą. Co do mnie, nie zamierzam jej dzisiaj drażnić... ani w ogóle nigdy.

Navarro wlepił paciorkowate oczka w Carrie. Zerknęła na Finleya, który wpatrywał się w chirurga wściekłym wzrokiem, aż w końcu zmiękł. Nie ma sensu tracić energii, mówiła jego mina. Odciągnął Carrie na bok.

– Podejrzewam, że to rewanż za kwestionowanie jej zgody na wypis tych dwóch weteranów – powiedział szeptem. – Znam jej styl. Daje ci do zrozumienia, że ma cię na oku. Nie przejmuj się tym i spróbuj, jeśli możesz, nie zwracać uwagi na Navarra. Rozmówię się potem z Sandrą i spróbuję załagodzić sprawę. Nikt nie chce pracować pod mikroskopem.

Carrie skinęła głową. Planowała własny rewanż na Goodwin i po zabiegu miała pomóc Davidowi wprowadzić ten plan w życie. W tej chwili jednak zamierzała poświęcić całą uwagę pacjentowi i ignorować Navarra, jak radził jej Finley.

Pytanie na teraz brzmiało, gdzie umieścić elektrody.

Maskowata twarz Wrighta, nieruchome powieki, pusty wzrok i niemal niesłyszalny głos ukrywały względnie nienaruszony intelekt, jednak Finley podjął decyzję z powodu poważnych problemów osobowościowych i behawioralnych pacjenta. Apatia i depresja na przykład. Czy były one bezpośrednim skutkiem choroby, czy zrozumiałą psychologiczną reakcją na postępującą utratę funkcji motorycznych?

Dolegliwości Wrighta były na tyle liczne, że Finley postanowił wprowadzić elektrodę stymulującą do przyśrodkowej części gałki bladej w prawej półkuli mózgu. Wydawało się, że to właśnie pozwoli zmniejszyć drżenie lewej ręki i poprawić ogólną sprawność ruchową pacjenta. Finley i Carrie rozważali inne lokalizacje, ale z powodu ryzyka powikłań psychiatrycznych gałka blada wydawała się najlepszym wyborem.

– On może być przypadkiem bilateralnym – powiedział Finley do Carrie, kiedy szła przygotować się do operacji. – Zobaczmy najpierw, jaki będzie efekt zabiegu po tej stronie. Jego funkcje poznawcze są prawie nienaruszone, ale martwi mnie

jego zachowanie i wyniki testów neuropsychologicznych.

Carrie wciąż się uczyła subtelności choroby Parkinsona i wariantów zabiegów DBS. Jak wszystko inne w medycynie, była to szybko ewoluująca dyscyplina, co oznaczało, że zarówno pacjent, jak i lekarz znajdowali się na stromo wznoszącym się odcinku krzywej uczenia. Choć uczestniczyła w tym programie dopiero od niedawna, Carrie zbeształa się w duchu za to, że nie poświęciła więcej czasu na zgłębianie choroby Parkinsona. Rozpraszało ją zbyt wiele spraw.

Na przykład zaginieni weterani.

Znajomy ostry zapach betadyny i piana aż do łokci sprowadziły jej myśli z powrotem do bieżącego problemu: emerytowanego podpułkownika Geralda Wrighta. Uśmiechnęła się lekko pod maską. Bez względu na to, co się działo, była wciąż chirurgiem do szpiku kości i potrafiła skupić całą swą uwagę na pracy i czekającym ją zadaniu.

To zabawne, jak w najbardziej nieoczekiwanych momentach uświadamiała sobie wewnętrzne przemiany, będące efektem jej wykształcenia. Nikt nigdy nie uczył jej czuć się jak kompetentna lekarka, szefowa zespołu. Ale tak właśnie się czuła, powtarzając procedurę mycia rąk po raz drugi, do połowy przedramion, a potem po raz trzeci, samych dłoni.

Weszła do sali operacyjnej, czując się tam mniej swobodnie niż zwykle.

Zabieg stawał się rutyną, co działało na jej korzyść: najpierw w znieczuleniu miejscowym zamocować czterema śrubami ramę stereotaktyczną, następnie spojrzeć na ultracienkie przekroje MRI, których obraz został przesłany do stacji neuronawigacyjnej na sali operacyjnej. Carrie wybrała optymalne współrzędne XYZ, minimalizujące ryzyko urazu mózgu lub krwotoku podczas przesuwania igły w stronę części przyśrodkowej gałki bladej Geralda Wrighta.

Pacjent na tym etapie zabiegu był przytomny, choć płytko zsedowany odpowiednią dawką propofolu. Dzięki temu Finley mógł bezpośrednio monitorować jego funkcje ruchowe, a także dokładnie śledzić położenie elektrod. Tworzyli teraz zespół: doktor Alistair Finley i doktor Carrie Bryant. Potrafili wykonać skomplikowany, czasochłonny zabieg niemal bez słów, jak gdyby czytali nawzajem w swoich myślach, mimo że pracowali razem nad zaledwie garstką przypadków.

Nawet obecność Navarra nie była bardziej uciążliwa niż rozlegające się w tle odgłosy maszynerii. Być może to dobór muzyki pomógł Carrie zignorować intruza. Gerald Wright był jak ona miłośnikiem jazzu i zażyczył sobie na swój wielki dzień na sali operacyjnej *Portrait in Jazz* Billa Evansa. Melodie przypomniały jej czas spędzony w BCH i przyjaciół, takich jak Valerie, z którymi nie miała już kontaktu. Nawet w erze Facebooka przyjaźnie zawiązane w pracy gasły szybko, kiedy ta

więz została zerwana. Ale teraz miała nowy krąg znajomych, nowy zespół, na który liczyła i który liczył na nią.

– Wszystko w porządku, Carrie?

Była tak skupiona, że Finley musiał powtórzyć pytanie.

– Tak, najzupełniej. Dlaczego?

– Zaraz zboczysz z kursu o mniej więcej trzy mikrometry. Chcesz odpocząć?

– Przepraszam – powiedziała. – Może minutkę i łyknę trochę wody.

Czarne oczy Navarra zdawały się uśmiechać.

Carrie nie była w najlepszej formie i Finley chyba to widział. W oczach czuła piasek, pozostałość po źle przespanej nocy pełnej koszmarnych snów o mężczyznach ścigających ją w ciemnościach. Adam przysnął na kanapie przed telewizorem i Carrie niechcący obudziła go, szykując się do pracy.

Wczorajsza kłótnia należała już do przeszłości. Uśmiechnął się do niej ciepło i życzył jej miłego dnia, nie przeczytawszy długiego listu z przeprosinami, który zostawiła na kuchennym stole. Złośliwe spojrzenie Navarra sprawiło, że była bardziej skłonna wierzyć bratu. Czy to Evan Navarro był w jej sypialni? Czy namówiła go do tego Goodwin? A jeśli tak, to dlaczego? Przeczucie mówiło jej, że podsłuch w gabinecie Goodwin przyniesie parę odpowiedzi.

Po krótkiej przerwie Carrie wróciła do pracy. Doktor Finley rejestrował wzorce wyładowań elektrycznych, kiedy zagłębiała elektrody w cel. Navarro nie został do końca pokazu. Najwyraźniej zrobił, co mu kazano, i odszedł do innych spraw. Wkrótce on albo jeden z jego rezydentów przejmie opiekę nad Geraldem Wrightem i Carrie prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy tego pacjenta. Nawet jeśli wszystko to miało logiczne wyjaśnienie, wątpiła, czy zdoła pracować dłużej w takich warunkach.

Od wywiercenia otworów trepanacyjnych do zamknięcia czaszki minęło siedem godzin i w tym czasie w barkach Carrie powstały gruzły wielkości orzechów włoskich.

– Wydawałaś się dziś trochę nieswoja – zauważył Finley, gdy znów znaleźli się w umywalni. – Na pewno wszystko jest w porządku?

– Navarro trochę wyprowadził mnie z równowagi – odparła.

– Cóż, zostaw to mnie. Zaraz pójdę porozmawiać z Sandrą. To się więcej nie powtórzy, zapewniam cię.

Carrie poszła do szatni, by wziąć prysznic i się przebrać. Potem wstąpiła do szpitalnego bufetu na swoją drugą kawę tego dnia. Stamtąd udała się do rejestracji, aby wyrobić tymczasowy identyfikator dla Davida Hoffmana. Uzgodnili, że będzie podawał się za studenta medycyny, który miał przyjść wieczorem do VA, by pomóc w jakichś badaniach. By utrzymać ich poczynania w jak największej

tajemnicy, David poprosił Carrie, by użyła fałszywego nazwiska, a ona wybrała „Michael Stephen” – pierwsze dwa imiona, jakie przyszły jej do głowy.

Przesłała Davidowi wybrany pseudonim esemesem i skierowała się do dyżurki, by zdrzemnąć się parę godzin na wąskim łóżku, zanim rozpoczną swoją straceńczą misję.

Nagle odezwał się telefon komórkowy w kieszeni jej fartucha. Sądziła, że to David, ale na wyświetlaczu zobaczyła nieznany numer.

– Doktor Carrie Bryant, słucham.

– Doktor Bryant, mówi doktor Abbey Smerling z Seacoast Memorial Hospital w Maine.

Carrie poczuła nagły przypływ energii.

– Tak, doktor Smerling. Czym mogę służyć?

– Dzwoniła pani w sprawie jednego z naszych pacjentów, doktora Sama Rockwella, i prosiła pani o informację, gdyby jego stan uległ zmianie.

Carrie przygotowała się psychicznie na to, co miała usłyszeć. Człowiek, który mógł znać odpowiedź na pytanie, co przydarzyło się Abingtonowi i Fascianiemu, prawdopodobnie właśnie zmarł.

– Tak, zgadza się – odparła.

– No więc mam dla pani dobrą wiadomość.

Właśnie na to liczyła. Mimo nowych przepisów o prywatności lekarze powszechnie dzielili się między sobą informacjami na temat pacjentów. Niektóre nawyki są szczególnie trudne do wykorzenia.

– Obrzęk mózgu zaczął ustępować, tak więc spłyciliśmy sedację, żeby sprawdzić, czy się obudzi – ciągnęła doktor Smerling.

– I?

– I uzyskaliśmy coś. Znacznie więcej, niż się spodziewaliśmy.

Rozdział 40

O dziewiętnastej David zjawił się w VA gotowy do dzieła. Z tego, co wiedział, Carrie była już w drodze do Maine. Zadzwoiła z ekscytującą wiadomością o Samie Rockwellu i zaproponowała, żeby przełożyli wieczorną akcję na inny dzień, ale nie widział takiej potrzeby. Jeśli tylko Carrie zrobiła, co do niej należało, mógł wykonać zadanie.

Przy wejściu omal nie zapomniał użyć pseudonimu „Michael Stephen”, ale przypomniał sobie w ostatniej sekundzie, zanim rozmowa z recepcjonistką stała się zdecydowanie niezręczna. Carrie zapewniała, że nikt nie będzie pytał go o dokumenty, i miała słuszną rację. Mimo to na wszelki wypadek wydrukował fałszywkę na bazie szablonu ściągniętego z Internetu i zalaminował ją, by wyglądała na autentyk. Okazało się to zbędnym środkiem ostrożności, ale on rzadko zdawał się na przypadek.

– Proszę, kochaniutki – powiedziała recepcjonistka o życzliwej twarzy, wręczając mu tymczasowy identyfikator.

Jedna przeszkoda pokonana.

Ruszył na trzecie piętro, kierując się zgrubnym planem narysowanym na podstawie krótkiego opisu układu szpitala, który przedstawiła mu Carrie. Przemierzając te tchnące instytucjonalizmem korytarze, czuł się przytłoczony myślą, że musiałby pracować w tak aseptycznym otoczeniu. Niezależni dziennikarze to wolne duchy i David uwielbiał niepewność związaną ze swym zawodem. Był otwarty na nowe możliwości i unikał wszystkiego, co mogłoby go zakotwiczyć – stałej pracy, hipoteki, samochodu, dóbr materialnych i, tak, nawet miłości. Często zastanawiał się, czy kłótnie między nim i Emmą były efektem niedobrych feromonów czy jego niespokojnego ducha. Mimo tej rezerwy coś mówiło mu, że jeden pocałunek Carrie Bryant mógłby wystarczyć, by na zawsze stłumić w nim żyłkę podróźniczą.

Pokój Carrie był trzeci od końca w długim korytarzu z ciągiem zwyczajnych, nieoznakowanych drewnianych drzwi. Tak jak się umówili, nie zamknęła go na klucz i David wszedł do środka.

Miał wrażenie, że Carrie pracuje w dziupli. Jego więzienna cela w Syrii była ociupinkę większa. Mieściło się tu tylko krzesło i metalowe biurko, które Carrie roztropnie chroniła przed zagraceniem. Małe kwadratowe okienko dawało wąski

widok na zapiaszczony plac budowy. Ogólnie miejsce to wydawało mu się przygnębiające. Znacznie bardziej wolał niebezpieczeństwa wojny.

Carrie zostawiła na haczyku na drzwiach kompletny strój chirurgiczny, który okazał się na niego w sam raz. Zanim zamknął drzwi, przekręcił blokadę na klamce i rozejrzał się po korytarzu, by się upewnić, że nikt nie idzie. Carrie miała rację, mówiąc, że o tej porze niemal nikogo już nie będzie, i na piętrze panowała muzealna cisza.

Z kieszeni spodni wyciągnął skórzane etui, w którym znajdował się napinacz i komplet wytrychów. Wypróbował swój arsenał na drzwiach Carrie. Otworzył je w niespełna minutę. Przez lata pracy w niebezpiecznych miejscach zdobył jedyny w swoim rodzaju zestaw podejrzanych umiejętności. Poza otwieraniem zamków, podrabianiem dokumentów i zakładaniem podsłuchów potrafił posługiwać się bronią, a także uruchomić bez kluczyka niektóre samochody.

Wróciwszy na główny korytarz, minął w drodze do gabinetu Goodwin kilka osób, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Skromne przebranie wystarczyło aż nadto.

Kierując się instrukcjami Carrie, skręcił w prawo, w pierwsze odgałęzienie korytarza, i zatrzymał się przed drzwiami z tabliczką głoszącą: DR MED. SANDRA L. GOODWIN, KIEROWNIK ODDZIAŁU NEUROCHIRURGII.

Przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał. Cisza. Przekręcił lekko gałkę. Zamknięte. *Dobrze*. Otworzył drzwi w czasie krótszym, niż zajęło mu manipulowanie zapadkami w zamku Carrie. Wszedł szybko, zamknął i zablokował za sobą drzwi, po czym zapalił światło.

Gabinet był dużo większy od pokoju Carrie, z ładniejszymi meblami oraz większym oknem, nosił jednak to samo instytucjonalne piętno. David wyłowił z kieszeni miniaturowy rejestrator dźwięku Sonit-21. Gadżet ten kosztował pięćset dolarów, co było wówczas dla niego fortuną, ale inwestycja zwróciła się dziesięciokrotnie w potajemnie uzyskanych informacjach. Aktywowane głosem prostokątne urządzenie było niewiele większe od zapalniczki BIC, ważyło zaledwie osiem gramów i mogło nagrać do stu dwudziestu godzin na jednym ładowaniu.

David rozejrzał się po gabinecie, szukając najlepszego miejsca na ukrycie rejestratora. Czarna obudowa Sonita wtapiała się dobrze w ziemię jednej z rachitycznych roślin Goodwin. Włączywszy tryb aktywacji głosem, zamaskował urządzenie cienką warstwą ziemi i usiadł na krześle.

– Próba, raz, dwa, trzy – powiedział normalnym głosem. – Próba. Próba.

Wydobył urządzenie, strzepnął z niego brud i wcisnął przycisk odtwarzania. Jego głos zabrzmiał donośnie i czysto. Na powrót umieścił rejestrator w doniczce i narzucił dość ziemi, by nie było go widać.

Był w połowie drogi do drzwi, kiedy usłyszał dobiegające z korytarza kroki. Cofnął się za biurko, czując, jak na czoło występują mu krople potu. Gałka w drzwiach gabinetu Goodwin obróciła się od zewnątrz.

David rozglądał się za jakąś kryjówką. Panele sufitowe dawały się zdjąć, ale szanse na to, że wespnie się tam, zanim drzwi się otworzą, były bliskie zera. Zabrzęczały klucze. Krew odpłynęła mu z twarzy. Musiał działać szybko, racjonalnie. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to ukryć się pod biurkiem.

Odsunął nieco krzesło, by wcisnąć się w niewielką przestrzeń pod blatem. Metalowy front biurka częściowo ukrywał go przed wzrokiem wchodzących, ale kilkunastocentymetrowy odstęp między nogami a metalowymi ściankami pozostawiał go tragicznie bez osłony. Wystarczyłoby spojrzeć w dół, by dostrzec go zwiniętego w ciasny kłębek na podłodze.

Chcąc unieść ciało nad ziemię, David przycisnął plecy do boku biurka i oparł stopy o przeciwległą ściankę. Następnie napiął tułów, wygiął w łuk biodra i oderwał się od podłogi. Natychmiast odczuł potężne obciążenie mięśni brzucha. Wystarczyło kilka sekund, by zaczęły się kurcze. Jego brzuch dygotał jak ziemia podczas trzęsienia.

Wciągnął powietrze i starał się odprężyć. Słyszał, jak klucz wsuwa się do zamka, a potem cichy odgłos przekręcanej gałki. Obawiając się, że jego pośladki mogą nieco obwisać, podciągnął je wyżej. Ból mięśni się wzmógł. Usłyszał kroki dwóch osób, a następnie męski głos.

– Zabiorę tylko dokumenty dla Sandry i idziemy stąd.

Kobięcy głos odpowiedział:

– Może powinniśmy zostać trochę dłużej.

David czuł w uszach bicie własnego serca. Każdy mięsień tułowia miał napięty, a stawy obolałe od nieznośnego obciążenia. Przestrzeń pod biurkiem była nieprzyjemnie ciasna, ale bezgłośnie uniósł biodra jeszcze odrobinę. Zamknąwszy oczy, oddychał przez nos i zaczął liczyć w myślach.

Raz... dwa... trzy...

– Mam – odezwał się mężczyzna.

– Ja też, Evan – powiedziała kobieta.

David usłyszał, jak z ust Evana wymyka się jęk rozkoszy. To musiał być Evan Navarro, pacholek Goodwin, o którym mówiła mu Carrie.

– Rezydenci nie powinni spoufalać się ze swoim szefem – powiedział lekko chropawym głosem Evan.

– Czy ściskanie i ocieranie się to spoufalanie? – zapytała kobieta.

David zacisnął powieki, walcząc z narastającym zmęczeniem. Pot lał się z niego i kapał na podłogę. Evan znów jęknął i David usłyszał odgłosy szybkich

pocałunków. Jego umysł zaczynał dawać za wygraną.

Odpuść sobie... po prostu opadnij na podłogę...

Czuł, że się ześlizguje, a rozpaczliwa pokusa odprężenia się przybrała na sile. Jego ciało dygotało gwałtownie, grożąc mu upadkiem.

Szesnaście... siedemnaście... osiemnaście...

– Może powinniśmy darować sobie dzisiaj kolację – powiedział Evan.

– Wiem, co chcę na deser – zagruchała kobieta.

Znów dało się słyszeć pocałunki. Po policzkach Davida spływały łzy bólu. Obie nogi paliły go jednakowo i miał wrażenie, że w brzuch wbijają mu się ostre igły. Z całej siły zaciskał powieki i wciąż liczył.

Trzydzieści pięć... trzydzieści sześć... trzydzieści siedem...

Obawiał się, że zemdleje. Musiał się poddać. Nie da rady wytrzymać tego dłużej. Całe jego ciało krzyczało w udręce.

Odgłos pocałunków urwał się raptownie.

– Przenieśmy to w jakieś wygodniejsze miejsce – zaproponował Evan.

Proszę... proszę...

Spowiła go pochłaniająca wszystko czerń. Plecy mu się osuwały. Nogi odmawiały posłuszeństwa. Całe ciało było zlane potem. Tarcie przestało istnieć. Zsunął się trochę w dół.

– A może zrobimy to tutaj? – zasugerowała kobieta.

Uderzenie serca. David znów osunął się odrobinę. Jego nogi zmieniły się w galaretę.

– Jeśli chcesz robić to w gabinecie, chodźmy do mojego – zdecydował Evan. –

Będę widział w głowie Sandrę, a to nie podziała jak afrodyzjak.

David znów trochę opadł. Kręgosłup wygiął mu się w łuk i gdyby ktoś spojrział na podłogę, nie miałby kłopotu z dostrzeżeniem go. Jego dolna część pleców i biodra były wyraźnie widoczne.

– Chodźmy po prostu do twojego mieszkania – zaproponowała kobieta. – Łóżko będzie o wiele wygodniejsze niż biurko.

David usłyszał odgłos jak trzask pioruna, kiedy ktoś uderzył w blat biurka. Od wibracji omal nie runął na podłogę, a jego ciało osunęło się jeszcze niżej. Trzymał wzrok utkwiony w górze. Przygryzienie języka pomogło mu odzyskać skupienie.

Trzymaj się.

Jego mięśnie chwycił skurcz. Lada chwila miał upaść.

Dam radę... jeszcze kilka sekund...

– W pełni się z tobą zgadzam – powiedział Evan.

W głębi umysłu, poprzez mgłę bólu, David usłyszał kroki i odgłos otwieranych drzwi. Światło w gabinecie zgasło, kiedy jego ciało dało za wygraną. Zwalił się na

podłogę w tej samej chwili, gdy drzwi gabinetu zamknęły się z trzaskiem.

Rozdział 41

Seacoast Memorial Hospital znajdował się na południe od Bangor, nad pięknym jeziorem Elkhorn. Według nawigacyjnej aplikacji Carrie było to cztery i pół godziny jazdy z Bostonu, w większości prosto jak strzelił autostradą I-95N. Jednostajność trasy wprowadzała ją w trans, a nadająca klasycznego rocka stacja, którą znalazła, w niewielkim stopniu podtrzymywała jej czujność. Opuściła okno i wchłonęła ożywczy podmuch świeżego powietrza. Do zachodu słońca pozostała jeszcze godzina, może dwie, i w oddali Carrie dostrzegła helikopter zataczający leniwe kręgi na niebie muśniętym odcieniami różu i żółci. Uznała, że to śmigłowiec serwisu informacyjnego, ale ruch na tym odcinku drogi był niewielki, więc chłopcy będą musieli polecieć gdzie indziej, by znaleźć jakiś korek.

Pod wpływem impulsu w Brunswicku zjechała z autostrady na prowadzącą na północ nitkę Route 1. Była to trasa tylko o jakieś dwadzieścia minut dłuższa, ale prowadziła wspaniałą, malowniczą drogą wzdłuż wybrzeża.

Kilka kilometrów za zjazdem jej telefon zadzwonił, aż drgnęła zaskoczona. Spojrzała na numer, sądząc, że to może być David z nowinami, ale na wyświetlaczu zobaczyła: „Dr Abbey Smerling”.

– Witam, doktor Smerling – powiedziała, majstrując przy ustawieniach telefonu, by uaktywnić Bluetooth i przełączyć rozmowę na tryb głośnomówiący.

– Witam, Carrie. Prosiła pani, by informować panią na bieżąco o stanie Sama Rockwella.

Nie było żadnych grzecznościowych wstępów. Abbey Smerling, jak większość znanych jej lekarzy, skąpiła czasu na rozmowy telefoniczne tak samo jak na posiłki. Carrie znów przygotowała się psychicznie na rozczarowujące wieści.

– Właśnie wykonaliśmy ocenę w skali Glasgow i uzyskaliśmy szóstkę.

Carrie z wrażenia otworzyła usta. *Szóstka!* Ledwo mogła uwierzyć własnym uszom. To było o dwa punkty więcej, niż kiedy ostatnio rozmawiała ze Smerling.

Skala Glasgow stanowiła dla neurologów narzędzie oceny stanu przytomności pacjenta. Pomiar rozmaitych funkcji, takich jak otwieranie oczu, kontakt słowny i reakcje ruchowe, pozwalał na określenie z dużą dokładnością rokowania pacjenta. Osiem i więcej punktów oznaczało sporą szansę na wyzdrowienie, podczas gdy wynik pomiędzy trzy a pięć przewidywał zgon. Szóstka była wielką niewiadomą – ani powodem do optymizmu, ani do rozpacz. Idealnie pośrodku.

Według tego, co mówiła doktor Smerling, Sam Rockwell doznał rozległego wylewu krwi, która przedostała się do przestrzeni podpajęczynówkowej i płynu mózgowo-rdzeniowego. Co więcej, krwotok się powiększył, po części za sprawą podawanych mu leków przeciwzakrzepowych. Narastający obrzęk wywołany gromadzeniem się płynów wokół miejsca wylewu powodował dalszy ucisk na struktury mózgu, dodatkowo pogarszając stan neurologiczny pacjenta.

Przebudzenie się Rockwella ze śpiączki i uzyskanie przez niego sześciu punktów w skali Glasgow było mniej więcej tak prawdopodobne jak zaproszenie Carrie przez Goodwin na babski weekend.

– A skąd ten wynik? – zapytała Carrie.

– Kontakt słowny był nieco lepszy niż poprzednio, ale jego mowa jest wciąż niezrozumiała. Tutaj dostał dwa punkty. Otworzył oczy w reakcji na ból i pozostaje wciąż w tej samej pozycji odmóżdzeniowej co wcześniej.

Na podstawie tej jednej informacji Carrie wyobraziła sobie Rockwella na łóżku szpitalnym, leżącego z całkowicie wyprostowanymi rękami i nogami, palcami stóp zwróconymi w dół, a głową i szyją wygiętymi w tył. Ta nieprawidłowa pozycja jest oznaką ciężkiego uszkodzenia mózgu i oznacza dwa punkty na powszechnie używanej skali. Ruch gałek ocznych był nowością i dodał mu jeden punkt w niespełna dzień. Był to zachęcający postęp.

Choć nie było właściwie żadnego powodu, by Carrie pędziła do Maine, wyniki Rockwella nie były na tyle niskie, żeby zniechęcić ją do tej podróży. Jak przyznała doktor Smerling, jego stan mógł się poprawić w każdej chwili i być może punktacja za kontakt słowny wzrosnie do czterech. Rozmowa w takim wypadku mogła być chaotyczna, ale być może zdołałby odpowiedzieć jej na parę prostych pytań.

Czy kiedykolwiek zaobserwował pan palinakuzję u weteranów?

Czy zauważył pan jakieś efekty uboczne zabiegów DBS?

Czy zdarzyło się kiedykolwiek, by któryś z pana pacjentów zniknął?

Dopóki istniała nadzieja na dalszą poprawę stanu Rockwella, Carrie mogła zostać tam dzień lub dwa, zanim czekał ją następny zabieg.

– Dziękuję za te nowiny – powiedziała. – Będę za parę godzin.

Rozłączyła się i docisnęła nieco pedał gazu. Wysoko na niebie zauważyła helikopter, unoszący się jak ważka, gdy przelatywał kilkakrotnie ponad autostradą kilka kilometrów dalej. *Tu też nie znajdziesz zbytniego ruchu*, pomyślała.

Dwadzieścia minut później zrobiła sobie postój na przydrożnej stacji benzynowej, oazie na bezludnym odcinku drogi. Napełniła bak i porozciągała się trochę. W przyległej restauracji zjadła sałatkę z kurczaka i pół godziny później była znów w swym subaru, podziwiając wspaniałe zachód słońca.

W oddali przed sobą zauważyła stojącego na skraju drogi czerwonego forda F-

150. Sprawdziła ruch z przeciwka, chcąc ominąć pojazd szerokim łukiem. Dzieliło ją od niego niespełna pięć metrów, kiedy silnik forda ożył, jego tylne światła rozbłysły i pikap wtoczył się na drogę przed nią.

Carrie krzyknęła i zahamowała ostro, nie szczędząc opon, które zostawiły na jezdni długie czarne smugi. Jechała czterdziestką i tylko o włos uniknęła kolizji z jego tylnym zderzakiem. Wdusiła z całej siły klakson, by dać kierowcy jasno do zrozumienia, co myśli o tym manewrze. F-150 popędził przed siebie, a Carrie rozluźniła palce kurczowo zaciśnięte na kierownicy. Ręce drżały jej lekko pod wpływem adrenaliny.

– Co za dupek – mruknęła pod nosem.

Światła stopu F-150 zapaliły się, jak gdyby kierowca usłyszał ją i chciał zaostrzyć konfrontację. Carrie wcisnęła hamulec, aby utrzymać dystans, ale furgonetka zwolniła do żółtego tempa i odstęp między nimi zmniejszył się w mgnieniu oka. Zaciskając szczęki aż do bólu, Carrie przyhamowała jeszcze bardziej, jednak pikap stał niemal w miejscu; zanim się zorientowała, ich zderzaki prawie się zetknęły.

Znowu wcisnęła klakson, ale tym razem nie tak mocno. Sygnał miał skłonić kierowcę do zwiększenia szybkości, nie zademonstrować jej gniew. Zauważyła, że wóz ma numer rejestracyjny z Maine. Prawdopodobnie jakieś miejscowe dzieciaki niepałające sympatią do przyjezdnych, którzy ośmielają się na nie trąbić.

Ford nabrał szybkości i Carrie również, jednak z niewyjaśnionych powodów kierowca znowu zahamował. Gdy przyspieszył kolejny raz, Carrie utrzymała dystans, który zamierzała wykorzystać, by wyprzedzić go z lewej. Nie chciała bawić się w tę podłą grę przez resztę drogi.

Zerknęła w lusterko, zmieniła pas i dodała gazu, żeby minąć forda. Wszystkie cztery cylindry silnika subaru pracowały na najwyższych obrotach, aby zwiększyć prędkość. Wyprzedzając furgonetkę, Carrie spojrzała w prawo, ale kierowca był tylko cieniem. Jechała dalej. Nagle ciśnienie krwi podskoczyło jej, kiedy zobaczyła w lusterku wstecznym, że furgonetka przyspiesza. Pikap błyskał światłami i trąbił. Przez głowę przeszła jej mroząca krew w żyłach myśl.

Agresja drogowa.

Przyspieszyła, ale potężniejszy pikap bez trudu dotrzymywał tempa. Klakson furgonetki ryczał, a reflektory migwały. Carrie opuściła okno i pomachała ręką, zachęcając kierowcę do wyprzedzenia. Furgonetka zwiększyła prędkość, ale nie zmieniła pasa. Kierowca zbliżył się tak bardzo do jej subaru, że zderzaki niemal się zetknęły. Tętno Carrie przyspieszyło bardziej niż jadący za nią wóz. Cofnęła rękę. Jeśli kierowca nie zamierzał wyprzedzić, może będzie musiała zjechać na pobocze i przepuścić go.

Nagle zdjął ją lęk. Co będzie, jeśli ona się zatrzyma, a on zrobi to samo? W zasięgu wzroku nie było innych samochodów. Spojrzała na telefon komórkowy: brak sygnału. Poczwała się bezbronna jak dziecko.

Wyciągnęła rękę przez okno i znów pomachała nagle. Tym razem furgonetka odbiła w lewo na pas przeciwnego kierunku, potem w prawo, potem znów w lewo, jadąc wężykiem wzdłuż drogi. Zanim Carrie się zorientowała, o co chodzi, pikap zmienił pas i ponownie przyspieszył. Carrie wcisnęła gaz, ale F-150 z łatwością dotrzymywał tempa. Jechali obok siebie, ale tylko ford ryzykował zderzenie czołowe. Carrie odważyła się zerknąć w lewo i dostrzegła w kabinie barczystego kierowcę. Jego twarz była pustym cieniem albo tak jej się wydawało. Przemknęło jej przez myśl, że włożył czarną maskę. Nie miała sposobności przyjrzeć się dokładniej.

Ogarnęła ją panika. Na ostrym zakręcie wcisnęła gaz do dechy i jej samochód wystrzelił naprzód jak rakietka. Opony ślizgały się, ale nie straciły kontaktu z jezdnią. Ford został na lewym pasie i utrzymywał tempo, wolno zbliżając się do jej wozu. Żeby go zgubić, będzie musiała zjechać z drogi. Przed nią był długi, prosty odcinek szosy, bez żadnego ruchu z przeciwka. Ponownie wcisnęła klakson, trąbiąc długo i głośno, po czym celowo zdjęła nogę z gazu w nadziei, że ford zdecyduje się ją wyprzedzić. Kierowca pikapa w jakiś sposób przewidział jej plan i również zwolnił.

Furgonetka trzymała się wciąż równolegle do wozu Carrie, przysuwając się jeszcze bardziej. Odległość między nimi była nie większa niż grubość włosa. Carrie usłyszała nagły, potężny trzask, gdy ford oderwał jej boczne lusterko. Zaraz potem rozległ się przeszywający zgrzyt metalu o metal.

Instynktownie odbiła w prawo, kiedy pikap znów zmienił pas. Ledwo zdążyła wyrównać tor, furgonetka wróciła. Tym razem uderzyła mocno w bok jej samochodu. Carrie wrzasnęła i ostro skręciła kierownicę w prawo. Jej jedyną myślą było uciec przed niebezpieczeństwem. Nie zastanawiała się nad konsekwencjami wykonania tak gwałtownego i nagłego manewru. Siła skrętu była większa niż tarcie między oponami a jezdnią. Gdy poślizg raz się zaczął, nic nie było już w stanie go zatrzymać.

Carrie krzyknęła, kiedy jej subaru z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę zjechało z szosy, zmierzając w stronę gęstej kępy drzew. Widziała tylko rozmazaną zielen. Słyszała chrzęst łamanych gałęzi i odgłos zgniatanego metalu i szkła. Rozległ się potężny łoskot i głośniejszy niż grzmot trzask pękającego drewna. Jej głowa odskoczyła w tył, gdy samochód zatrzymał się gwałtownie. Potem nastąpił huk, gdy wystrzeliła poduszka powietrzna. Stało się to tak szybko, że Carrie nie zorientowała się nawet, co się dzieje; miała tylko

wrażenie, jak gdyby ktoś uderzył ją z całej siły w twarz. Kredowy pył dostał się do jej oczu i nosa, gdy dławiała się gryzącym odorem.

Przez chwilę nie widziała nic poza bielą poduszki. Potem jednak przyszedł ból i biel ustąpiła czerni.

Rozdział 42

Braxton Price i Curtis Gantry, korzystając z policyjnego skanera w pikapie, nasłuchiwali, co się działo po wypadku Carrie. Na miejsce zdarzenia zjechały się dwa wozy strażackie, dwa radiowozy policyjne i karetka pogotowia. Kobieta za kierownicą subaru była przytomna i zgłosiła, że czerwony ford F-150 z tablicami rejestracyjnymi z Maine zepchnął ją z drogi.

W liście gończym nie podano numeru rejestracyjnego, co znaczyło, że Carrie albo go nie widziała, albo nie zdołała sobie przypomnieć. Tak czy inaczej, Braxton nie obawiał się zatrzymania przez policję. Jechali niebieskim chevroletem pikapem Gantry'ego z tablicami rejestracyjnymi z Massachusetts. Braxton porzucił forda na umówionej wcześniej bocznej drodze odchodzącej od Route 1, około szesnastu kilometrów od miejsca wypadku. Gantry odebrał go stamtąd, zgodnie z planem, i razem ruszyli na północ. Cała operacja została opracowana naprędce, gdy tylko dostali cynk, że Carrie zmierza do Maine.

Braxton poleciał helikopterem na północ, załatwił samochód, po czym ulokował się za subaru Carrie z pomocą helikoptera i Gantry'ego, który siedział jej na ogonie przez całą drogę z Massachusetts. Zamierzał przechwycić ją koło Bangor, po zjeździe z autostrady, ale Carrie zdecydowała się na malowniczy objazd, więc razem z Gantrym zorganizowali inne miejsce spotkania. Pomogło im to, że Carrie zatrzymała się, by coś przekąsić. Dzięki temu Braxton mógł wysforować się naprzód i czekać na nią, podczas gdy Gantry pojechał jeszcze dalej. Przesiadka z jednej furgonetki do drugiej odbyła się błyskawicznie.

Gantry zachowywał się jak chłopiec w skateparku – cały w uśmiechach i napompowany adrenaliną. Uwielbiał misje, wszelkie misje, a zwłaszcza te udane.

– No więc nie zabiła się – powiedział. – Czy to oznacza, że dostaniemy premię?

– Nie, to oznacza, że nie spieprzyliśmy sprawy – odparł Braxton.

– Jaki był najgorszy możliwy wynik?

– Mamy trwale wyeliminować Rockwella. Nie chcemy, żeby jednego i tego samego dnia kipnęło dwóch lekarzy z tego samego szpitala, którzy przypadkowo pracowali nad tym samym programem. To nie jest tego rodzaju zbieg okoliczności, jaki mieliby ochotę wyjaśniać nasi pracodawcy. To, co zrobiliśmy, nie było optymalne, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Poza tym ona jest wciąż uważana za cenny nabytek dla programu... przynajmniej taka jest opinia z góry. Uznałem, że

skoro Rockwell nie zginął, kiedy strąciliśmy go z urwiska, Carrie powinna przeżyć małą przygodę w drzewach. Może mieliśmy tu fuksa, ale udało się.

Gantry milczał. Wydawał się pogrążony w zadumie, choć Braxton wiedział, że myśli jego kumpla rzadko zbaczają daleko od broni, seksu i pieniędzy.

– Dobrze, że mieliśmy tego ptaszka na niebie – odezwał się Gantry. – Był taki moment, że ją zgubiłem.

– Tam, gdzie teraz jedziemy, nie będzie helikopterów. Ani żadnego wsparcia. Jak nas złapią, kasujemy się. Kapujesz?

Z kieszeni dżinsowej kurtki Gantry wydobył białą pigułkę wielkości tic taca i wrzucił ją do ust.

– Hej, nie wygłupiaj się z tym! – warknął Braxton.

Gantry zasłonił zęby i ścisnął kapsułkę z cyjankiem między wargami. Rzucił przyjacielowi bezzębny uśmiech.

– Śliczny jesteś, Braxton. Lubisz mnie?

– Wyjmij to z ust, zanim to rozgryziesz i umrzesz.

Gantry wypluł pigułkę na dłoń i schował ją z powrotem do kieszeni kurtki.

– Komu dałeś pieniądze? – zapytał.

– Nie twój pieprzony interes.

– Domyślam się, że Jessemu.

– Domyślaj się, czego chcesz.

– Jak długo go nie widziałeś?

Braxton zastanowił się chwilę.

– Może pięć lat. Może więcej.

– Więc ile ma teraz, piętnaście?

– Coś koło tego.

Gantry wydał długi, cichy gwizd.

– Wyobraź sobie, że jesteś taki młody i dostajesz... ile tego jest... pół miliona dolców? Tak po prostu? Kurwa, gdybym ja miał w tym wieku taką kasę, zaćpałbym się do nieprzytomności tak, że śpiączka Rockwella to pestka.

– On nie dostanie tej kasy, bo my nie damy się przyłapać.

– Może ja nie połknę pigułki – stwierdził Gantry.

– Komu dałeś pieniądze?

– Mamie.

– Więc jak nas złapią, będziesz tak czy owak martwy, ale twoja mama nie wygra losu na loterii i tylko ktoś inny niż ty urządzi jej pogrzeb. Słuchaj, Gantry, ta biedna kobieta miała już dość ciężko, wychowując takiego żalostnego dupka jak ty. Daj jej spokój ducha, na jaki zasługuje, chłopie.

Gantry skinął głową. Dostrzegł logikę w rozumowaniu Braxtona. Zawsze ją

dostrzegał.

– A skoro już o tym mowa, Carrie ma fajną dupę – rzucił.

– Nie widzę związku – stwierdził Braxton.

– Nieważne. Mówię tylko, że śledziłem ją, kiedy biegała w Mines Falls, i muszę przyznać, że ma kapitalne podwozie.

– To w taki sposób prowadzisz obserwację?

– Hej, stary, robię, co do mnie należy. Sprawdziłem też jej pokój. Nic tam nie ma, ale spędziłem miłą chwilę, leżąc na jej łóżku i snując brudne myśli.

– Nikt cię nie widział? – zapytał Braxton.

– Nie, stary. Jej brat to truteń. Gapił się w telewizor i nie słyszał, jak wchodzę. Myślę, że przydałyby mu się druty, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

Braxton lekceważąco pokręcił głową, włączył radio i w końcu znalazł lokalną stację NPR.

Gantry wytrzymał całe osiem minut, zanim znudziło go słuchanie o problemach życia w Libii, i przełączył na rozgłośnię z muzyką pop.

– To twoje pieprzone NPR. Nie rozumiem, jak możesz słuchać tego gówna. Jesteśmy jak dziwna para, chłopie – prychnął.

Braxton rzucił mu zirytowane spojrzenie.

– Widziałeś kiedykolwiek ten serial? Bo sztuki nie czytałeś na pewno. Masz w ogóle pojęcie, o czym mówisz?

Ku jego zaskoczeniu Gantry odpowiedział szerokim, niedbałym uśmiechem i bezbłędnie zanucił melodię otwierającą odcinki serialu z udziałem Tony’ego Randalla i Jacka Klugmana.

– W Internecie jest wszystko, gamoniu – powiedział, po czym znów zaczął nucić.

Pędzili w zapadającym zmierzchu, zmierzając do Seacoast Memorial Hospital, a Gantry mruzczał motyw przewodni z *Dziwnej pary*, jak gdyby był to jego ulubiony serial wszech czasów.

Gantry zajechał na szpitalny parking nieco po dziewiątej. Piętrowy, w większości ceglany budynek sprawiał wrażenie, jakby przechodził poważny remont. Gantry jeździł wkoło, dopóki nie znalazł miejsca parkingowego na uboczu, przy podjeździe dla dostawców. Wyłączył silnik, dopiero kiedy się upewnił, że w pobliżu nie ma żadnych kamer monitorujących, które mogłyby ich zarejestrować.

Tymczasem Braxton, manewrując w ciasnej kabinie pikapa, ściągnął luźny dres i T-shirt, spod których ukazał się zielony ochroniarski uniform. Miał przy sobie służbową plakietkę z Seacoast Memorial ze swoim zdjęciem, ale nazwiskiem Lee Taggart. Zarówno uniform, jak i plakietkę załatwiono mu na wszelki wypadek już

wcześniej, gdy tylko stało się jasne, że Rockwell będzie przez pewien czas pacjentem tego szpitala. W cieniu rusztowań skontrolował swój sprzęt: strzykawkę i fiolkę przezrzystego płynu.

– Wyjdę za dziesięć minut – powiedział, napełniając strzykawkę płynem do ostatniej kreski.

Gantry puścił oko i posłał mu całusa.

– Uważaj na siebie, mój drogi. Będę o tobie myślał.

Braxton zignorował go i ruszył w stronę głównego wejścia. W środku, nie zatrzymując się, mignął ochroniarzowi przed nosem identyfikatorem. Żadnych problemów. Jego plakietka otwierała wszystkie drzwi – współczesny cud, będący zasługą nadzwyczaj kompetentnych speców od komputerów, którzy pracowali dla jego szefów. Gruba forsa mogła zapewnić nie tylko obserwację z powietrza.

Przemierzał korytarze, dopóki nie natrafił na wózek sprzątaczkowy, z miotłą, zestawem środków czyszczących i dwudziestogalonowym plastikowym workiem na śmieci, wciśnięty w nierzucający się w oczy zakamarek. Potoczył wózek na oddział opieki długoterminowej na pierwszym piętrze. Rozproszone fluorescencyjne światło, intensywna woń środków odkażających, popiskiwanie rozmaitych maszyn i nieprzyjemnie zastałe powietrze przypominały mu VA. Wszystkie szpitale były w zasadzie takie same i tacy sami byli też ludzie, którzy do nich trafiali: polepszało im się, pogarszało albo wyciągali nogi.

Braxton wszedł po kolei do kilku pokoi, opróżniając kubły ze śmieciami i wycierając meble. Dwie dyżurne pielęgniarki nie zwróciły na niego najmniejszej uwagi. Był porządkowym, jednym z niewidzialnych ludzi, którzy pracowali za kulisami, by utrzymać to miejsce w czystości na tyle, żeby mogło służyć jako lecznica.

– Dobry wieczór – odezwał się do tęgiej pielęgniarki siedzącej za biurkiem zastawionym monitorami.

Inne miejsce, ten sam bajzel.

– Wieczór – odpowiedziała pielęgniarka. Rzuciła mu przelotne spojrzenie, po czym znów utkwiała wzrok w swoich monitorach.

Braxton wtoczył wózek do pokoju Sama Rockwella. Jak na gościa, który od tak dawna leżał w śpiączce, Rockwell wyglądał całkiem nieźle. Siniaki i skaleczenia w większości się wygoiły i sprawiały wrażenie, jak gdyby spokojnie spał.

Z wielką wprawą Braxton wykonał dożylny zastrzyk sukcynylocholiny, regulując szybkość wprowadzania leku tak, by przyspieszyć zwiótczenie mięśni. Pod skórą, niewidoczne dla oka, mięśnie Rockwella zaczęły drgać i się kurczyć. Niemal natychmiast jego serce przyspieszyło pracę, by zwiększyć dostawę tlenu do mózgu. Jednak powszechnie stosowany przez anestezjologów lek zwiótczający,

którego zdobycie nie nastąpiło Braxtonowi żadnych trudności, miał już wkrótce je zatrzymać.

Pacjent z tak ciężkimi obrażeniami jak Rockwell nie zostanie poddany sekcji zwłok, powiedziano mu, ryzyko wykrycia produktu rozpadu kwasu bursztynowego było więc niewielkie.

Braxton policzył do trzydziestu, zanim wytoczył swój wózek z pokoju Rockwella i podszedł do stanowiska pielęgniarek.

– Nie jestem lekarzem – powiedział – ale wydaje mi się, że tamten gość ma poważne trudności z oddychaniem.

Jak gdyby na dany sygnał rozległ się alarm. Pielęgniarka jak oparzona zerwała się z krzesła i ruszyła do akcji. Braxton usłyszał nadawany przez głośniki komunikat. Chwilę później tłum lekarzy i pielęgniarek gnał do pokoju Rockwella jak galopujące konie wyścigowe.

Braxton znów stał się niewidzialny. Nonszalancko toczył korytarzem wózek do sprzątnięcia, pogwizdując motyw przewodni z *Dziwnej pary*.

Rozdział 43

– To tylko tak źle wygląda – powiedziała Carrie.

Czubkami palców, najdelikatniej jak umiał, David dotknął wielkiego siniaka, który pokrywał znaczną część jej prawego policzka. Jego twarz wyrażała współczucie i szczerą troskę.

Siedzieli w zatłoczonym Starbucksie przy ruchliwym pasażu handlowym niedaleko VA. Za niespełną godzinę Carrie miała obejrzeć pokaz programu wirtualnej rzeczywistości, który wyträcił z równowagi Stevena Abingtona. David miał w szpitalu własne plany.

Carrie zdjęła okulary przeciwsłoneczne, by zaprezentować mu swoje obrażenia w całej okazałości, ale jasne światło słońca boleśnie uderzyło ją w oczy i czym prędzej włożyła z powrotem ciemne szkła. Lekarz pogotowia, który zajął się nią w Maine, uprzedzał, że nadwrażliwość na światło może się utrzymywać przez kilka tygodni. Kiedy pokazała mu zdjęcie zgniecionego subaru, dodał: „Niech się pani cieszy, że to pani największy problem”.

Carrie spędziła kilka dni po wypadku, odpoczywając w domu, ale ciało wciąż bolało ją na wszelkie możliwe sposoby – sztywne stawy, rwący ból w kolanach i nadgarstkach, napięte mięśnie, łupanie w skroniach. Dotyk Davida sprawił przynajmniej, że na chwilę zapomniała o dyskomforcie.

– Szkoda, że nie zadzwoniłaś do mnie z Maine – powiedział David. – Przyjechałbym po ciebie.

Prawdą było, że Carrie zastanawiała się, czy tego nie zrobić, w końcu jednak postanowiła zawiadomić brata, częściowo z próżności. Nawet teraz, kilka dni od wypadku, lewe oko miała wciąż opuchnięte, rozcięta warga nie zagoiła się do końca, a nos, chociaż nie był złamany, wyglądał jak tkwiąca pośrodku twarzy gałka od drzwi. Większość tych szkód była efektem zadziałania poduszki powietrznej, ale gdyby nie to, wiedziała, że jej obrażenia mogły być śmiertelne.

Co do Adama, jej brat okazał się dla niej olbrzymim oparciem. Zaserwował jej cały repertuar zwykłych braterskich docinków. „Wyglądasz seksownie”, powiedział, i „Może nawet wyszło ci to na dobre”. Ale to było później, podczas jazdy do domu. Najpierw zamknął ją w długim uścisku, a pierwsze słowa brzmiały: „Tak się cieszę, że nic ci się nie stało”. Udawało jej się powstrzymać łzy, dopóki nie pocałował jej posiniaczonego czoła i nie powiedział, jak bardzo ją kocha.

Bezcenne bmw Howarda było nietykalne, tak więc Adam odwiózł ją do domu matczynym volvo.

– Gdyby to durne camaro było na chodzie, mógłbym podwieźć cię z klasą – powiedział.

– Cieszę się, że w ogóle przyjechałeś – zapewniła Carrie.

– Wszystko dla mojej ulubionej siostry.

– Hm... jestem twoją jedyną siostrą.

– Tak się tylko mówi, nieważne – odparł Adam.

Przez całą drogę podjeżdżał jak najbliżej do każdego czerwonego pikapa, tak by Carrie mogła dobrze przyjrzeć się kierowcy. Była niemal szczęśliwa, że żaden z nich nie był gościem, który zepchnął ją z szosy, gdyż jej brat miał morderczy błysk w oczach.

Subaru nadawało się tylko na złom, tak więc Carrie pożyczyła sobie volvo matki, by dostać się do VA. Tego dnia czekała ją demonstracja rzeczywistości wirtualnej, o którą prosiła doktora Finleya. Ustalenia w tej sprawie zostały dokonane z Calem Trentem przed wypadkiem i Finley zasugerował, żeby przełożyli pokaz na inny termin, Carrie jednak przekonała go, że nie ma takiej potrzeby. Wszystkie zabiegi DBS zostały wstrzymane do czasu, kiedy stan zdrowia pozwoli jej na powrót do pracy, i czuła się bezużyteczna, siedząc beczynnie w domu. Ogromnie zależało jej na tej prezentacji. Jej podejrzenia kwitły w najlepsze i chciała jak najszybciej dowiedzieć się więcej na temat programu DARP-y. Uważała zaś, że najśluszniej będzie zacząć od tego etapu całej procedury, w którym następowała rekonsolidacja traumatycznych wspomnień.

Sprawdziła godzinę, by się upewnić, że się nie spóźni.

David widział, jak szykuje się do odejścia, i rzucił jej zatroskane spojrzenie.

– Jesteś pewna, że nie powinnaś leżeć teraz w łóżku? – zapytał.

Carrie zbyła tę sugestię.

– Czuję się dobrze. Naprawdę.

Wyczytał coś w jej oczach.

– Uważasz, że to nie była agresja drogowa, prawda? – zapytał.

– Od zniknięcia Abingtona i Fascianiego wiele się wydarzyło. To dość niezwykły zbieg okoliczności, nie sądzisz?

– Ale powiedziałaś, że Rockwell zmarł z powodu zatrzymania akcji serca – zauważył David.

Telefon ze smutną nowiną zastał ją w szpitalu, kiedy czekała na Adama. Choć nigdy nie poznała Sama Rockwella osobiście, jej emocje oscylowały między oszołomieniem a głębokim smutkiem. Intensywność własnych uczuć zaskoczyła ją, ale rozumiała jej źródło. Łączyło ją z Rockwellem coś, co wykraczało poza salę

operacyjną w VA. Coś, co, jak sądziła, miała lada chwila odkryć.

– Miał mnóstwo obrażeń i to, że jego serce przestało bić, nie było dla nikogo szokiem. Normalnie zgodziłabym się z tym... ale znów, ta zbieżność w czasie budzi we mnie podejrzenia. Ja zostaję zepchnięta z drogi, a on umiera. Pomyśl o tym.

– A co z sekcją zwłok?

– Nie będzie sekcji. Tak mówi doktor Smerling. Rodzina sobie tego nie życzy, a ja nie mogę zacząć rozgłaszać teorii spiskowych. Najlepszym sposobem, żeby odkryć, co tak naprawdę przydarzyło się Samowi, jest przyjrzenie się Goodwin.

– Naprawdę myślisz, że ona ma związek z Rockwellem? – zapytał David.

– Nie myślę – odparła Carrie. – Wiem.

– Jesteś pewna, że nie będzie jej u siebie?

– Sprawdziłam jej grafik. Jest na całodziennym zebraniu. Na pewno dasz radę wejść do gabinetu?

David wyciągnął z kieszeni zestaw wytrychów i pokazał go jej z uśmiechem.

– Oczywiście – powiedział. – Mam klucz.

Carrie miała na sobie biały fartuch i z tego tylko powodu, idąc korytarzami VA, przyciągała mnóstwo ciekawskich spojrzeń. Widzieć ranną osobę w szpitalu to jedno, ale jeśli ta osoba przypadkiem jest też lekarzem, to już zupełnie inna sprawa. Niepokoiło to ludzi tak samo, jak zaniepokoiłby ich niewidomy pilot.

Doktor Finley, który rozmawiał z Carrie tylko przez telefon i nie widział jej obrażeń, skrzywił się na jej widok.

– Rany boskie – powiedział, wstając z krzesła. Uściskał ją gorąco, dając wyraz olbrzymiej uldze.

– To wygląda gorzej, niż jest – zapewniła go Carrie, powtarzając to, co powiedziała Davidowi. Mówiła to kłamstwo każdemu.

– Cóż, mam tylko nadzieję, że złapią tego, kto ci to zrobił.

Carrie podziękowała mu, a on usiadł z powrotem i spojrzał na list na biurku, napisany na jego prywatnym papierze listowym.

– Już od godziny zastanawiam się, co mam powiedzieć żonie Sama – westchnął.

– Jestem po prostu zdruzgotany. Nic, co piszę, nie wyraża tego, co naprawdę czuję. Dałem się ponieść nadziei, kiedy wyszedł ze śpiączki, a teraz... – Zsunął okulary i potarł zaczerwienione oczy. Carrie odniosła wrażenie, że płakał. – Teraz zostały mi tylko wspomnienia.

– Tak mi przykro z powodu twojej straty. Żałuję, że nie było mi dane go poznać.

– Od początku razem przecieraliśmy tu szlaki – powiedział Finley. – Ten program wiele zawdzięcza Samowi. Ja mu wiele zawdzięczam.

– Z tego, co o nim słyszałam, był wspaniałym człowiekiem – rzekła ze współczuciem Carrie, po czym umilkła. – Posłuchaj, Alistair. Jest coś, o czym chciałabym z tobą pomówić.

Finley zauważył jej zdenerwowanie.

– Wyglądasz na roztrzęsioną, Carrie. Usiądź, proszę. Dam znać Calowi, że przyjdziemy parę minut później.

Niepokój buzował w niej niczym odkorkowany szampan, kiedy Finley pisał esemesa do Trenta. W końcu odłożył smartfona i utkwiał w niej wzrok.

– Słucham cię – powiedział.

Chociaż Carrie zaplanowała sobie wcześniej, co powie, wyznanie okazało się bardziej doniosłe i trudniejsze, niż się spodziewała.

– Mój wypadek zdarzył się w Maine – zaczęła.

– Tak, mówiłaś, że wybierasz się tam, tropiąc Abingtona.

– I tak, i nie – powiedziała Carrie. – Jechałam do szpitala, żeby zobaczyć się z Samem.

Finley wydawał się zdezorientowany.

– Z Samem? Na Boga, dlaczego?

– Chciałam zapytać go, czy kiedykolwiek zaobserwował palinakuzję u pacjenta po zabiegu DBS. Zwłaszcza u któregoś z pacjentów z PTSD – odparła Carrie.

Finley wyglądał na zbitego z tropu. Carrie niemal widziała, jak obraca w myślach słowo „palinakuzja”, jak gdyby słyszał je już wcześniej, ale nie mógł umieścić go w żadnym kontekście. Kiedy w końcu mu się to udało, na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

– Palinakuzję? Na miłość boską, dlaczego przyszło ci to do głowy?

Carrie opowiedziała mu o swej wizycie u Abingtona, a później u Fascianiego, przypominając, że obaj ci pacjenci zniknęli. Zwierzyła mu się także ze swych wątpliwości, czy to nie ona sama spowodowała te złudzenia słuchowe, a na dokładkę zaburzenia w ocenie sytuacji, których przejawem była decyzja obu pacjentów o opuszczeniu szpitala na własne żądanie.

– I pomyślałaś, że to może być twoja wina? – powiedział doktor Finley tonem, który zwalniał Carrie z wszelkiej odpowiedzialności.

– Przyznaję, że kiedy zatrudniłeś mnie tutaj, moja pewność siebie była zachwiana. A kiedy u nich obu wystąpiła palinakuzja, cóż... naturalnie zaczęłam powątpiewać w swoją technikę.

– Szczerze mówiąc, Carrie – odparł spokojnie Finley – sądzę, że doszukujesz się objawów, których po prostu nie ma. Palinakuzja? Leczyłem tu dziesiątki weteranów i nie spotkałem się z ani jednym takim przypadkiem. Byłaś też przy badaniu Ramóna Hernandeza. Zauważyłaś w nim coś dziwnego?

– Nie – przyznała Carrie. – Nic.

Konsternacja Finleya nie mijała.

– Nie widziałem takiego przypadku w całej swojej karierze, a była to długa kariera. Ale widziałem twoją pracę i jest bez zarzutu. Niemożliwe, żebyś spowodowała tego rodzaju objawy u tych ludzi. To wykluczone.

– A co z powiązaniem między Ramónem Hernandezem i Steve'em Abingtonem? – Carrie nadal miała wątpliwości. – Oni się znali. Mówiłam ci o zdjęciu w domu Rity Abington.

Finley odniósł się do tego obojętnie.

– Wspomniałem o tym Calowi, a on zrobił małe śledztwo. Steve został zgłoszony do programu DARP-y innymi kanałami, więc ich znajomość jest zwykłym zbiegiem okoliczności, to wszystko. Ale możesz porozmawiać na ten temat z Calem, jeśli masz ochotę.

Carrie zgodziła się. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie podzielić się z nim swoim przekonaniem, że na tej samej fotografii był również Lee Taggart, pielęgniarz z VA. Uznała jednak, że nie ma dość podstaw, by wysunąć takie twierdzenie.

Finley pochylił się naprzód i ojcowskim gestem położył dłoń na jej dłoni. W tym momencie straciła resztki pewności i poczuła się głupio, zwierając mu się, zanim zdobyła dowody na poparcie swych twierdzeń.

Gdybym tylko znalazła tych ludzi...

– A dlaczego Abington i Fasciani wyszli na własne żądanie? – zapytała.

Finley zbył to wzruszeniem ramion.

– Carrie, ci ludzie od początku byli nie zrównoważeni. A my pogłębiały ten problem, pobudzając ich rzeczywistością wirtualną.

Carrie dostrzegała logikę tego argumentu, ale nie była jeszcze całkiem gotowa dać za wygraną.

– A to, że mnie zepchnięto z drogi, a Sam umarł tego samego dnia? Nie widzisz tu żadnego powiązania?

Finley odchylił się na oparcie krzesła i spojrzał na nią z zaskoczeniem i niesmakiem. Jego mina mówiła jasno, że uważa jej insynuacje za absurdalne.

– Sama stwierdziłaś, że to była agresja drogowa. Szczerze mówiąc, Carrie, bardziej niż cokolwiek innego niepokoi mnie to, że mam w zespole zwolenniczkę teorii spiskowych. Widzę, że kreślisz wiele linii między wydarzeniami, które nie mają żadnego logicznego związku.

Carrie uznała, że pora czym prędzej się wycofać. Jej teoria wyraźnie wytrąciła Finleya z równowagi. Z niedowierzaniem kręcił głową. Skłonność do snucia teorii spiskowych miała kilka psychologicznych wyjaśnień, takich jak zaburzenia lękowe,

paranoja czy inna psychoza. Żadna z tych etykietek nie przyniosłaby nic dobrego jej ani jej karierze.

Choć Carrie nie zamierzała zaprzestać poszukiwań brakującego ogniwa, które powiązałoby w jakiś logiczny sposób te dziwne wypadki, będzie musiała poczekać na odpowiedzi. Inne pytania również będą musiały poczekać. Czy biegacz w parku był rzeczywiście tak niewinny, jak twierdził? Czy to ktoś inny, nie Adam, buszował w jej pokoju? Być może Finley miał rację i to również były wydarzenia bez żadnego związku, ale nie była jeszcze gotowa ustąpić. Z pewnością nagrania Goodwin ujawnią coś – coś, co przekona jej szefa, że jej teorie nie są wcale bezpodstawne.

Doktor Finley odzyskał panowanie nad sobą i wstał.

– No dobrze. Czy możemy na razie odsunąć to na bok i skupić się na tym, żebyś poczuła się lepiej i żebyśmy mogli wrócić do pracy? – zapytał. – Chcę, żebyśmy skończyli to, co zacząłem z Samem. Jesteśmy na skraju czegoś ważnego, Carrie, i wolałbym poświęcić naszą energię pacjentom, którzy chcą naszej pomocy, a nie tym, którzy sobie poszli.

– Jasne – odparła Carrie. – Już sama rozmowa przyniosła mi ulgę.

– To świetnie – powiedział Finley i klasnął w dłonie. – Więc teraz pošlemy cię na wojnę.

Rozdział 44

Gdy doktor Finley otworzył pchnięciem drzwi sali konferencyjnej, Carrie ścisnęło w żołądku. Co zobaczy po drugiej stronie lustra? Czy pomoże jej to lepiej zrozumieć Adama, da wgląd w jego świat nieustannego strachu? Trudno jej było wyobrazić sobie, jak przerażająca, jak realistyczna, jak sugestywna musi być symulacja, która wywołała tak gwałtowną i niepoczytalną reakcję Abingtona.

Wydało jej się ironią losu, że zanim włączyła się w ten program leczenia PTSD, nie miała żadnych naprawdę niepokojących wspomnień. Nic istotnego, na czym można by oprzeć symulację. Teraz mogłaby wybierać z całej masy przeżyć.

Na długim stole w pozbawionej okien sali konferencyjnej zobaczyła laptopa i jakieś futurystyczne urządzenie – skrzyżowanie gogli narciarskich z panoramicznymi okularami przeciwsłonecznymi. Połączone było z laptopem przez port USB. Calvin Trent, ubrany w niebieski garnitur, który leżał jak ulał na jego szerokich ramionach, wstał na ich powitanie. Towarzyszył mu łysy mężczyzna, którego Carrie widziała na konferencji.

Trent wyciągnął dłoń do Carrie. Jego szare oczy nabrały ciepła.

– Miło znów panią widzieć – powiedział. Dopiero wtedy zwrócił uwagę na jej twarz. – Na Boga, co się pani stało?

– Wypadek samochodowy – odparła.

Trent skrzywił się na znak solidarności.

– Cóż, dopilnujemy, żeby w pani symulacji nie było żadnych rozbitych samochodów. Domyślam się, że po takim przeżyciu ma pani już lekki zespół stresu pourazowego. Nie chciałbym pogorszyć sytuacji.

Carrie roześmiała się lekko.

– Bierzmy się do roboty – rzekła.

Trent odwrócił się do swego towarzysza.

– To jest Bob Richardson – przedstawił go. – Pomaga w naszej działalności. Bob, to doktor Alistair Finley i doktor Carrie Bryant z VA.

Carrie przyglądała się, jak Finley najwyraźniej po raz pierwszy wymienia z Richardsonem uścisk dłoni, co potwierdziło jej wcześniejsze przypuszczenie, że nie przedstawiono go podczas konferencji po prostu dlatego, że ci dwaj jeszcze się nie znali.

To nasunęło jej pewne pytanie.

- Jak wielu ludzi jest zaangażowanych w ten program?
- Powiedziałbym, licząc wszystkich techników, personel medyczny i tak dalej, że jest nas około setki – odparł Trent.
- Około setki – powtórzyła Carrie. – Gdzie są wszyscy?
- W różnych miejscach – wyjaśnił. – Nie mamy jeszcze oficjalnej bazy operacyjnej. Choć może trudno w to uwierzyć, rząd zawsze stara się zaoszczędzić trochę grosza, więc aby zminimalizować koszty, wykorzystujemy w miarę możliwości przestrzeń roboczą naszych ekspertów i konsultantów.
- Wyjaśniałem Carrie, że program nie sprowadza się wyłącznie do neurologii i neurochirurgii – wtrącił Finley.
- Trent potwierdził skinieniem głowy.
- To prawda. Angażujemy psychologów, fizjologów, techników od symulacji i specjalistów z różnych innych dziedzin. Są nawet plany budowy noclegowni lub tymczasowych mieszkań, ale na razie uczestniczący w programie weterani, którzy nie mają stałego miejsca zamieszkania, muszą się zadowolić motelem Six, który jest znacznie przyjemniejszy niż ulice, gdzie żyła większość z nich. Mamy umowy z firmami transportowymi, które wożą uczestników naszego programu na wszelkie spotkania.
- Trzeba przyznać, że decentralizacja stwarza pewne wyzwania operacyjne – dodał Richardson.
- Nie wyobrażam sobie wożenia Abingtona gdziekolwiek bez uzbrojonego strażnika – stwierdziła Carrie. Wspomnienie jego napaści ożyło w jej pamięci.
- Słyszałem, że miała pani koszmarną przygodę – powiedział autentycznie przeprasającym tonem Richardson.
- Owszem.
- Celowo przeprowadzamy symulację tu, na terenie VA, by zminimalizować czas podróży – wyjaśnił Trent. – Po implantacji systemu DBS większość weteranów jest znacznie spokojniejsza, zapewniam panią. Ale przykro mi z powodu tego, co się pani przydarzyło.
- Zapewne wie pan, że on opuścił szpital – powiedziała Carrie. – Fasciani również. Obaj zniknęli.
- Trent się skrzywił.
- Tak, wiem o tym. Szukamy ich obu. Wielu uczestników programu ma problemy z alkoholem i narkotykami, co może prowadzić do nieobliczalnych zachowań.
- Wyszli na własne żądanie – dodała Carrie. – Pozwoliliśmy im na to.
- Trent spojrział na doktora Finleya.
- Tak, Alistair powiedział mi o tym. Umówiliśmy się już na spotkanie z doktor

Goodwin, żeby dopracować procedury. Nie chcemy, żeby to się stało normą. Jesteśmy zbyt blisko końca trzeciej fazy.

– A jaka będzie następna faza? – zapytała Carrie.

– Pełne wdrożenie tej metody. Przetestowanej, uwierzytelnionej i usankcjonowanej przez FDA. To będzie przełom – odparł Trent.

Bob Richardson manipulował przy laptopie, po czym wygasił ekran.

– Możemy zaczynać, kiedy tylko będziecie gotowi, Cal – powiedział. Jego głos brzmiał sucho i twardo. Był to głos kogoś przyzwyczajonego do komenderowania tłumem.

Richardson nie robił na Carrie wrażenia szeregowego pracownika. Kim naprawdę był ten facet?

– Jest pani gotowa, Carrie? – zapytał Trent.

Carrie poczuła ściskanie w dołku, które poprzedzało każdą przejazdówką kolejką górską.

– Jasne – odparła.

– Użyjemy symulacji jednego z uczestników naszego programu – wyjaśnił Richardson. – Ale ze względu na ochronę prywatności nie mogę pani powiedzieć którego.

Carrie uśmiechnęła się uprzejmie.

– Oczywiście. Rozumiem.

Usiadła przy stole konferencyjnym, pomiędzy Richardsonem z prawej i Trentem z lewej, naprzeciw Finleya. Gogle były leciutkie i pasowały na jej głowę niemal bez regulacji. Słuchawki trafiły same we właściwe miejsce. Przez soczewki widziała tylko czerń.

– Jest pani gotowa? – Głos Trenta był nieco stłumiony, ale wystarczająco wyraźny, by Carrie mogła dać mu znak uniesionym kciukiem.

Czerń ustąpiła światłu i jej oczom ukazał się pustynny krajobraz. Cyfrowo wygenerowana samotna postać stała na moście przerzuconym nad zasypaną piaskiem drogą. W tle widać było coś, co wyglądało na palmy, oraz parę rzadko rozsianych kęp roślinności. Przed mostem stały dwa ciężko uzbrojone i opancerzone humvee, za pojazdami zaś klęczało dwóch żołnierzy, każdy z karabinem automatycznym w dłoniach.

Choć światła i cienie zwiększały realizm trójwymiarowej grafiki, sama scena wyglądała jak wyjęta żywcem z jakiejś gry wideo. Adam nie był już w stanie grać w *Call of Duty*, ale Carrie widziała, jak strzelał do wrogów, wystarczająco wiele razy, by przypomniawszy jej się prostsza wersja tej gry.

Odgłos silników humvee zadudnił jej w ucho i obraz zaczął się poruszać. Klęczący żołnierze wstali, a następnie pojazdy wolno ruszyły naprzód. Carrie

pokręciła głową na boki, ale jej pole widzenia nie uległo zmianie. Przypominało to raczej oglądanie komputerowej animacji niż wszechogarniające doświadczenie, jakiego się spodziewała.

Humvee wtoczyły się pod most, podczas gdy dwaj żołnierze zamykali tyły. Postać na moście poruszyła się i Carrie zauważyła, że używa czegoś, co uznała za telefon komórkowy. Animacja dość dobrze oddawała łuki i krzywizny ludzkiego ciała, jednak nie do końca.

W słuchawkach Carrie usłyszała huk eksplozji, a zaraz potem teren przed pierwszym humvee zmienił się w rumowisko. Pogruchotany pojazd uniósł się kilka stóp ponad wirtualną ziemię, po czym wylądował twardo na czterech oponach. Grafika odtworzyła pracę amortyzatorów, gdy koła podskoczyły kilka razy, nim w końcu znieruchomiały. W niebo wzbił się obłok pyłu i piachu, ale wciąż był to pył i piach z gry wideo. Choć cała sekwencja była zaskakująca, Carrie nie uznała jej za szczególnie przerażającą czy hiperrealistyczną.

Piesi strzelcy odpowiedzieli ogniem, celując do człowieka na moście, a z rozbitego humvee wyczołgało się trzech poparzonych i zakrwawionych żołnierzy. Tu grafika była dobrze wykonana i Carrie widziała, że dwaj z nich stracili kończyny: jeden rękę, a drugi nogę. Trzeci żołnierz krwawił obficie z rany na głowie.

Nastąpiła druga eksplozja, która pochłonięła jednego z pieszych żołnierzy. Kiedy wirtualny pył opadł, piasek pod ciałem żołnierza był zabarwiony na czerwono, a on sam nie miał kończyn. Pozostały przy życiu żołnierz strzelił do człowieka na moście, tym razem trafiając go gdzieś – w tułów, w głowę, Carrie nie mogła tego stwierdzić. Martwy powstaniec runął bezwładnie z mostu i z głuchym odgłosem upadł na pustynny piach.

Obraz znów stał się czarny i Carrie zdjęła gogle.

Richardson przyjrzał się jej badawczo, jakby sprawdzał, czy nie trzeba będzie uspokajać jej lekami jak Abingtona.

– Mam nadzieję, że nie było to dla pani zbyt traumatyczne – powiedział.

Carrie wyjęła z uszu słuchawki i przez kilka sekund wpatrywała się we własne kolana. Kiedy uniosła wzrok, na jej twarzy znać było napięcie i sprawiała wrażenie lekko wytrąconej z równowagi.

– Gdyby odtworzył pan mój wypadek samochodowy, byłabym teraz we łzach – powiedziała. – Mogę jedynie wyobrazić sobie, co przeżywają żołnierze, oglądając odgrywany na ekranie swój najgorszy koszmar.

Rozejrzała się dookoła i nabrała pewności, że wszyscy uwierzyli w jej kłamstwo. Na podstawie gwałtownej reakcji Abingtona spodziewała się po tej symulacji znacznie więcej.

– Rekonsolidacja traumatycznego wspomnienia jest niezbędnym, choć nieprzyjemnym etapem procedury – odezwał się Finley. – Gdy wspomnienie jest świeże w pamięci, możemy użyć stymulacji elektrycznej, by usunąć powiazaną z tym wydarzeniem emocję. Ramón Hernandez może teraz oglądać swoją symulację VR, jak gdyby był to film tygodnia, podczas gdy dawniej wyzwoiłaby w nim napad agresji.

Carrie przypuszczała, że gdyby Adam obejrzał podobną rekonstrukcję swego traumatycznego doświadczenia z Afganistanu, być może podskoczyłoby mu nieco ciśnienie, ale na tym koniec. Jej zdaniem nie było to po prostu dość wiarygodne, by wywołać tak silną reakcję emocjonalną. Przypomniała sobie szalony wzrok Abingtona tuż przed napaścią, a także tajemnicze słowa, które wypowiedział.

„Nie powinienem być tutaj... nie powinienem...”.

Co Trent naprawdę zrobił mu przed operacją?

Do tego czasu David prawdopodobnie odzyskał już rejestrator dźwięku. Carrie nie mogła się doczekać, kiedy się z nim spotka, by przekazać mu to, czego dowiedziała się podczas demonstracji, i posłuchać prywatnych rozmów Goodwin. Miała mocne przeczucie, że ujawnią one coś istotnego.

– Zdumiewające. Jestem naprawdę pod wrażeniem – powiedziała. – Cal i Bob, chcę wam podziękować, że poświęciliście czas, by zorganizować dla mnie ten pokaz. To było ogromnie pouczające.

– Bardzo nam miło – odparł Trent. – Uważamy panią za niezbędnego członka zespołu, Carrie. Mówię w imieniu nie tylko swoim, ale też Boba i całej organizacji DARPA, że cieszymy się, iż mamy panią na pokładzie. I nie chciałbym wydać się gruboskórny, ale mam też nadzieję, że da pani radę operować mimo obrażeń. Alistair, gdyby go zapytać, powiedziałby, że jest pani jednym z najlepszych chirurgów, z jakimi pracował. Wszyscy jesteśmy zdruzgotani tym, co przydarzyło się Samowi, ale skoro już musimy znaleźć mu zamiennika, cieszymy się, że to pani przejęła stery.

Carrie uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

– Jestem szczęśliwa, że mogę w tym uczestniczyć – zapewniła. – I dziękuję za miłe słowa. Naprawdę to doceniam.

Wyciągnęła telefon i udała, że pisze esemesa. W rzeczywistości ukradkiem zrobiła zdjęcie Bobowi Richardsonowi. Miała nadzieję, że wspólnie z Davidem zdołają rozgryźć, kim naprawdę jest ten człowiek.

Rozdział 45

Mała dziewczynka z mysimi ogonkami, którą nazywano Gabby, obdarzyła Carrie uroczym szczerbatym uśmiechem i objęła ją za kolana tylko dlatego, że nie mogła sięgnąć wyżej. Ten niespodziewany uścisk ujął Carrie za serce. To słodziutkie stworzonko nie zwracało najmniejszej uwagi na jej obrażenia. Dla niewinnych oczu dziewczynki Carrie była po prostu przyjaciółką „wujka Davida”, jak go nazywała, niczym więcej. Nie było żadnej oceny, żadnego udawania, nic poza całkowitą akceptacją.

Serce Carrie stopniało do reszty, kiedy Gabby odwróciła się do Davida i spojrzała na niego z czcią w swych wielkich oczach.

– Pobawimy się? – zapytała.

– Później, kochanie – odparł. – Teraz muszę porozmawiać o dorosłych sprawach.

Emma i Gabby zjawiły się w mieszkaniu Davida jakąś minutę po Carrie. W pierwszej chwili lekarka poczuła zazdrość, gdy zobaczyła, jak piękna jest Emma, jak zgrabnie wygląda w dzinsach biodrówkach i ślicznej turkusowej koszulce, ale to szybko minęło. Nie dało się zaprzeczyć, że Emma i David są sobie bliscy, jednak odniosła wrażenie, że tym, co ich łączy, nie jest romantyczna miłość. Nie mogła pojąć, czego zdaniem Davida brakuje Emmie albo jemu zdaniem Emmy, ale nie zamierzała tego kwestionować. Wiedziała, co sama czuje do Davida, i podejrzewała, że z nim sprawa ma się podobnie. Coś wykluwało się między nimi. Widziała to po sposobie, w jaki na nią patrzył, i wyczuwała po tym, jak pod jego spojrzeniem mrowi ją skóra.

David wziął od niej komórkę i przesłał Emmie zrobione przez nią zdjęcie.

Emma zerknęła na wyświetlacz swojego telefonu i pokazała fotkę Davidowi i Carrie dla potwierdzenia.

– To ten facet?

Na zdjęciu widać było także częściowo Cala Trenta, ale środek kadru zajmował Bob Richardson.

– Tak jest – odparł David. – Jak skuteczne jest oprogramowanie do rozpoznawania twarzy w Wydziale Komunikacji?

– Bardzo skuteczne – powiedziała Emma. – Mamy obowiązek wykonać rozpoznawanie „jeden do wielu”, zanim wydamy prawo jazdy, zezwolenie lub

dowód tożsamości.

– Co to jest rozpoznawanie „jeden do wielu”? – zapytała Carrie.

– Chodzi o porównanie zdjęcia petenta ze wszystkimi innymi klientami w bazie danych Wydziału Komunikacji – wyjaśniła Emma. – Dostajemy komunikat, jeśli zostanie wykryta potencjalna zgodność między klientami o różnych nazwiskach. Sprawdzamy takie przypadki, żeby ustalić, czy są to po prostu podobnie wyglądające osoby, czy może ta sama osoba pod różnymi nazwiskami.

– Podoba mi się to – stwierdził David.

– Mnie też – przyznała Carrie. – Ale co, jeśli on nie ma prawa jazdy wystawionego w Massachusetts?

Emma wzruszyła ramionami.

– Wprowadziliśmy nowy program wymiany danych, dający organom ścigania większy dostęp do naszych baz. Pomagałam przy jego wdrażaniu, tak więc znam ludzi, którzy mogą poszukać dla mnie tego gościa, jeśli nie znajdę go w tutejszej bazie. Dajcie mi na to kilka dni – powiedziała.

– Dzięki – odparł David. – Będę bardzo wdzięczny.

Emma zabrała Gabby z kącika z zabawkami i obie opuściły mieszkanie Davida przy donośnych protestach, które dało się słyszeć, gdy schodziły po schodach.

– Ona jest taka słodziutka – powiedziała Carrie.

– Jest cudowna – przytaknął David. – Jej ojciec nie wie, co traci.

Carrie przypuszczała, że David byłby wspaniałym ojcem, cierpliwym, życzliwym i kompetentnym. Myśl ta uczyniła go jeszcze atrakcyjniejszym w jej oczach. Jego przytulne mieszkanie przypominało nieco jej dawne lokum w Brookline. Było jasne, przestronne i skąpo umeblowane. Miała ochotę obejrzeć dokładniej liczne fotografie wiszące na jednej ze ścian, ale to będzie musiało poczekać. Mieli do omówienia ważne sprawy.

– Zanim przesłuchamy nagranie, opowiedz mi o VR – poprosił David.

Carrie zrelacjonowała mu dokładnie swe doświadczenie z sali konferencyjnej oddziału neurologii. David wydawał się zakłopotany tym, co usłyszał.

– Nie było żadnego śledzenia ruchu? – zapytał, kiedy skończyła.

– Nie, to przypominało raczej oglądanie filmu. Widok się nie zmieniał, kiedy poruszałam głową.

– To jest DARPA – stwierdził z niedowierzaniem w głosie. – Można by sądzić, że będą mieli najbardziej wyrefinowaną z dostępnych technologii. Pełny hiperrealizm.

– Mnie też się tak wydawało. Coś mi się w tym wszystkim nie podoba.

– Posłuchajmy tych nagrań – powiedział David.

Postawił na porysowanym stoliku dwa przenośne głośniki i podłączył kabel.

W trakcie tych czynności z sypialni wyszedł cichym krokiem rudy pręgowany kot, z wdziękiem wskoczył na sofę i zaczął ugniatać łapkami poduszkę.

– To jest Bosra – przedstawił go David. – To jego ulubione miejsce. Właściwie moje też. Często tu drzemimy.

W parę sekund kot zwinął się w ciasny kłębek, tak że żadna część jego ciała nie wystawała poza smugę światła, która wpadała przez wysokie okno wykuszowe. Zamruczał z lubością, kiedy Carrie podrapała go za uszami.

– Jak długo go masz? – zapytała.

– Ją – poprawił David. – Około roku. To znajda.

Carrie wyobraziła sobie Davida i Bosrę wylegających się razem na tejże kanapie i uznała, że byłoby tu dość miejsca dla trojga.

Jak gdyby czytając w jej myślach, David usiadł obok niej po drugiej stronie, tak by nie przeszkadzać Bosrze. Wcisnął przycisk odtwarzania na rejestratorze dźwięku i rozległ się szum zakłóceń, przerywany po chwili dzwonkiem telefonu.

– Jest aktywowany głosem – wyjaśnił. – Tak więc możemy usłyszeć mnóstwo dzwonek, zanim trafi się jakaś faktyczna rozmowa. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli słuchać, jak twój kolega Evan uprawia seks.

Carrie wiedziała wszystko o sekskapadach Evana w gabinecie Goodwin, a także o przeczącym prawu grawitacji wyczynie Davida pod biurkiem. Dało jej to wyobrażenie o środkach, do jakich się posuwał, by zdobyć materiał do artykułu, i pozwoliło zrozumieć, w jaki sposób skończył jako jeniec syryjskich sił opozycyjnych.

Telefon zadzwonił raz jeszcze. Ktoś odebrał po drugim dzwonku i Carrie rozpoznała kobiecy głos – Goodwin. Choć słyszała jedynie połowę dialogu, zorientowała się, że dzwonił akwizytor urządzeń monitorujących ciśnienie śródczaszkowe. Goodwin sprawiała wrażenie kompletnie niezainteresowanej. Zakończyła rozmowę zwięzłym pożegnaniem: „Oddzwonię do pana w wolnej chwili”.

W ciągu kilku dni nagrało się wiele różnych rozmów, a Carrie i David wysłuchali każdej, nie dowiadując się niczego szczególnie interesującego o Sandrze Goodwin. Gawędziła dość miło z Evanem, zawsze na temat VA. Nie było w tym nic odkrywczego. Udzielała jakiemuś rezydentowi życzliwej rady, której Carrie nie spodziewałaby się nigdy po tej lodowatej damie. Dwa razy rozmawiała przez telefon z matką i Carrie odniosła wrażenie, że gdyby zadzwonił akwizytor, zostałyby milej potraktowany.

Dopiero w nagraniach z trzeciego dnia Carrie usłyszała nowy, starszy głos, który rozpoznała: Cal Trent. Uświadomiła sobie, że w głosie szefowej słychać zdenerwowanie.

– Cześć, Cal – powiedziała Goodwin. – Usiądź.

Według datownika na rejestratorze rozmowa odbyła się dwa dni po wypadku Carrie.

– Dzięki, Sandra. Jak się masz?

– Świetnie. Chcesz coś do picia?

– Nie, nie trzeba. Co się dzieje? Skąd ten pośpiech?

– Niepokoję się – odparła Goodwin. – Myślę, że musimy spuścić z tonu. Może nawet całkiem zwinąć interes.

Śmiech Cala wyraził jego całkowitą pogardę dla tego pomysłu.

– To dobre – powiedział. – A jakie masz następne plany, Sandra?

– Proszę, Cal.

– Kolejka jest pełna. Idziemy do przodu. Taki jest plan.

Carrie zerknęła do notatnika Davida, gdzie zapisał słowo „kolejka”, stawiając po nim znak zapytania.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – stwierdziła w nagraniu Goodwin.

– A jak rada to przyjmie, kiedy wystąpimy o fundusze dla twojego projektu ruchomych protez? – zapytał Trent. – Jak wiele z milionów, które przekazaliśmy VA, zostało już wydane? To nie jest coś, z czego twoi szefowie łatwo zrezygnują. Padnie wiele pytań. Wiele palców będzie wskazywać na ciebie. A wtedy, jak podejrzewam, ty skierujesz je na mnie. Do tego zaś nie możemy dopuścić, prawda? Nie próbuję być tutaj subtelny czy wstydlivy, Sandy. Myślę, że rozumiesz, o co mi chodzi. Mam dla ciebie kolejkę pacjentów i wyślę ci ich. Ty wykonasz te zabiegi DBS. To twoje zadanie. I pozwolisz, że ja zajmę się resztą.

Cisza.

– Zgoda? – zapytał.

– Zgoda – odparła łagodniejszym tonem Goodwin.

Carrie i David usłyszeli hałas w tle, kiedy Trent wstał z krzesła, otworzył drzwi gabinetu, po czym je zamknął. Nagranie uchwyciło ciężki oddech Goodwin oraz inne dźwięki: otwieranie szuflady biurka, skrzypienie krzesła i stukot klawiatury, gdy wściekłymi uderzeniami pisała jakąś wiadomość.

David wyłączył rejestrator i odwrócił się twarzą do Carrie.

– Co to są te ruchome protezy? – Zerknął w swoje notatki. – Jak rozumiem, chodzi o jakieś niestandardowe rozwiązanie.

W oczach miał ogień. Bosra podniósł łepkę, ziewnął, przeciągnął się i zeskoczywszy z sofy, oddalił się cichym krokiem. Najwyraźniej energia w pokoju stała się dla kota nieznośna.

– On na pewno mówił o programie RE-NET, protezach sterowanych myślą –

odparła Carrie. – Przez lata wysłuchałam na różnych konferencjach neurochirurgicznych kilku odczytów na ten temat. Na jednym z nich pokazano film przedstawiający człowieka używającego selektywnego interfejsu neuronowego do podniesienia kubka z kawą.

– Interfejsu neuronowego? – powtórzył David. – To coś w rodzaju połączenia nerwu z komputerem?

– Tak jakby – potwierdziła Carrie. – Nerwy w amputowanej kończynie wciąż przewodzą impulsy. Tyle tylko że te sygnały nie trafiają donikąd. Dzięki komputerom, robotyce i masie zaawansowanej technologii proteza może nauczyć się je rozpoznawać i reagować jak funkcjonująca kończyna. Protezy sterowane przez interfejs neuronowy to szczytowe osiągnięcie techniki.

– A VA w tej chwili nie dysponuje niczym takim?

Pokręciła głową.

– Ja w każdym razie o tym nie wiem, ale pamiętaj, że jestem tylko technikiem. – Ostatnie słowo wypowiedziała z przesadną pogardą.

– Czy to możliwe, że Trent ściąga pacjentów do zabiegów DBS spoza systemu?

– Tak właśnie to dla mnie zabrzmiało – przyznała. – Pacjenci, którzy trafiają do VA, przechodzą bardzo zbiurokratyzowane procedury. Jeśli ktoś omija ten system, musi mieć po temu istotne powody.

– Może Goodwin chciała zminimalizować twoją rolę w VA, żeby uniemożliwić ci odkrycie tych przekrętów?

Carrie zastanowiła się nad jego słowami.

– Może poprzedni chirurg od DBS zanadto zbliżył się do tego odkrycia – powiedziała.

Tym razem to David się zamyślił.

– W co ty się wpakowałaś, Carrie? – zapytał.

– Nie wiem – powiedziała. – Naprawdę nie wiem.

Odsłuchali całe godziny Sandry zachowującej się jak Sandra i nie znaleźli w tych nagraniach już niczego interesującego – niczego obciążającego, niczego, co wyjaśniłoby jej konszachty z Calem.

David założył ręce za głowę, przeciągnął się i spojrzał w sufit.

– Anneke będzie na mnie niezłe wkurzona – powiedział.

– Tak? Dlaczego? – zapytała Carrie.

– Bo mam przeczucie, że napisanie tego artykułu zabierze mi cholernie dużo czasu.

Rozdział 46

Następnego ranka Carrie wróciła do VA, nie wiedząc sama, jaki powinien być jej następny krok. Miała nadzieję, że plan Davida przyniesie jakieś wyjaśnienia, a tymczasem otworzył on tylko więcej na pozór niepowiązanych ze sobą tropów. Co wspólnego miało zniknięcie Abingtona i Fascianiego z ambicjami Goodwin dotyczącymi protez sterowanych myślą? W jaki sposób Abington został włączony do programu DBS? Jak wielu weteranów poddano zabiegowi? Gdzie oni wszyscy mieszkają?

Były to pytania, które dalece wykraczały poza jej kompetencje. Jej rola w VA polegała na wierceniu dziur w czaszkach i wprowadzaniu drutów, nic więcej. Sandra Goodwin odsunęła ją od pooperacyjnej opieki nad pacjentami z bardzo konkretnego powodu. Ale co było tym powodem? I kim właściwie był Bob Richardson? Mogłaby przysiąc, że nie jest on zwykłą płotką w świecie Cala Trenta. Tak więc doktor Finley wydawał się również zepchnięty na margines. W programie Trenta uczestniczyły tajemnicze postacie odgrywające istotne role i ujawniane tylko o tyle, o ile było to konieczne.

W godzinach pomiędzy wysłuchaniem nagrania a powrotem do szpitala Carrie przeprowadziła małe śledztwo na temat Cala Trenta i wysłała Davidowi e-mail z dość wyczerpującym dossier. Trzeba przyznać, że nie dokopała się do żadnych rewelacji. Trent uzyskał stopień inżyniera mechanika na Uniwersytecie Miami, po czym zrobił magisterium na Uniwersytecie Northwestern. Był współpracownikiem firmy konsultingowej McKinsey & Company, a nim zatrudnił się w DARF-ie, pracował dla BEA Systems. Był żonaty od osiemnastu lat, miał dwoje dzieci i mieszkał w Bethesdzie. Sprawiał wrażenie porządnego gościa, aczkolwiek łapownictwo i korupcja plamiły najszlachetniejsze zawody.

Carrie i David uzgodnili, że nie odtworzą tego nagrania nikomu – ani doktorowi Finleyowi, ani tym bardziej policji. Nie wpadli na trop żadnego przestępstwa, mieli tylko masę niepopartych niczym podejrzeń. Co do Finleya, gdyby się dowiedział, że Carrie potajemnie nagrywała Sandrę Goodwin, zwolniłby ją w mgnieniu oka i wszelkie nadzieje na uzyskanie wyjaśnień ległyby w gruzach. Dopóki pracowała w VA, mogła śledzić Goodwin i Trenta z ukrycia.

Do czasu, nim Carrie znów będzie mogła operować, wszystkie zabiegi DBS zostały wstrzymane i oczekującym pacjentom trzeba było wyznaczyć inne terminy.

Doktor Finley postanowił wykorzystać ten przestój na przeprowadzenie badań neurologicznych pacjentów VA, zarówno tych po DBS, jak i pozostałych, oraz nadgonienie zaległej papierkowej roboty. Carrie nie mogła całymi dniami siedzieć beczynnie w domu, tak więc przychodziła do VA, by nadrobić zaległości w lekturze czasopism – w każdym razie tak powiedziała Finleyowi. W rzeczywistości była tam, żeby patrzeć i słuchać.

Kiedy Finley zaprosił ją, by towarzyszyła mu przy badaniu kolejnego weterana z programu DBS, skwapliwie skorzystała z tej szansy. Była to powtórka Ramóna Hernandeza. Weteran nazywał się Terry Bushman – wysportowany trzydziestolatek o krótko ostrzyżonych blond włosach, którego ramiona pokrywały tatuaże i blizny. Carrie zadała mu te same pytania co wcześniej Hernandezowi. Odpowiedzi były bardzo podobne. Żadnych złudzeń słuchowych, żadnych problemów z układem DBS, i choć twierdził, że wciąż odczuwa objawy stresu pourazowego, nie były one nawet w części tak uporczywe jak dawniej.

Pod koniec badania Carrie poprosiła go, by opowiedział, jak trafił do programu.

– Mieszkałem w ośrodku resocjalizacji – odparł Bushman. Miał młodzieńczy głos, przywodzący na myśl kalifornijskiego surfera. – Kiedyś pojawili się tam ci goście z DARP-y, zrobili mi masę testów psychologicznych i nim się obejrzałem, znalazłem się w innym ośrodku resocjalizacyjnym, pod Bostonem, z kablami w głowie. To wszystko.

Carrie była ciekawa, czy to Ramón zwerbował Bushmana albo czy kiedykolwiek spotkał on Abingtona lub Fascianiego. Odpowiedź na obydwa pytania brzmiała „nie”. Udało jej się jednak dowiedzieć co nieco o jego przeszłości i wyglądało na to, że w przeciwieństwie do Abingtona ma on niezły kontakt z rodziną. Była gotowa przyznać, że zabrnęła w ślepią uliczkę. Ale wciąż coś tu nie grało. Dlaczego dwaj weterani sprawiali wrażenie zupełnie normalnych, a dwaj inni przejawiali dziwne zaburzenia neurologiczne?

Po badaniu Carrie dołączyła do doktora Finleya w stołówce. Zbliżała się pora obiadowa, a Bushman był jego ostatnim pacjentem tego dnia.

Jak zwykle doktor tryskał entuzjazmem.

– Myślę, że jeszcze tydzień i dojdiesz do siebie na tyle, by wrócić na salę operacyjną – powiedział. – Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Terry’ego Bushmana, cierpiał na ciężki zespół stresu pourazowego z nawracającymi wspomnieniami traumatycznego wydarzenia, bał się tłumów, ponieważ kojarzył je z traumą, i zażywał mnóstwo samodzielnie zaordynowanych leków. A teraz spójrz na niego.

– To imponujące – przyznała Carrie.

– Mamy cztery przypadki takie jak Terry Bushman i Ramón Hernandez. Cztery.

Kiedy dojdziemy do dziesięciu, myślę, że będziemy mogli odtrąbić sukces.

– A co z pozostałymi? – zapytała Carrie.

Finley spochmurniał.

– Nie każdemu się poprawia, Carrie. Nie każdy lek, nie każda terapia czyni cuda. Ale ci czterej ukazują potencjał. Musimy zachowywać optymizm.

– Miałbyś coś przeciwko, żebym przejrzała dokumenty tych pacjentów?

Wydatne brwi Finleya uniosły się.

– Hmm, chyba nie. Nie, skądże. Mogę wiedzieć po co?

– Nazwijmy to ciekawością zawodową. Po prostu chcę wiedzieć więcej o tych ludziach.

Finley pokiwał głową.

– Tak, oczywiście – powiedział. – Pozbieram je i będziesz mogła obejrzeć je rano.

Te dokumenty, jak sądziła, pokażą jej, czy inni weterani również opuścili salę pooperacyjną w szczególnych okolicznościach, tak jak Abington i Fasciani.

– Dzięki, bardzo się cieszę – odparła.

Finley wstał.

– Pora wracać do domu – powiedział. – Ty powinnaś zrobić to samo. Martwię się, czy nie za bardzo się forsujesz.

Carrie podziękowała mu za troskliwość i wróciła do swojego pokoju po rzeczy. Była tam raptem kilka minut, kiedy ktoś zapukał. Serce niemal zamarło jej na widok Sandry Goodwin czającej się w otwartych drzwiach, jak gdyby obserwowała ją od jakiegoś czasu.

Nie czekając na zaproszenie, Goodwin z lodowatym uśmiechem na twarzy weszła do ciasnego pokoju Carrie. Włosy miała upięte wysoko w ciasny kok, a ostre światło jarzeniówek podkreślało kanciaste rysy jej twarzy. Bystre oczy świdrowały Carrie w sposób, który zmroził jej krew w żyłach.

– Carrie, cieszę się, że panią złapałam – powiedziała słodkim jak miód głosem. – Ma pani chwilkę?

– Właśnie zbieram się do wyjścia – odparła Carrie.

– To nie zajmie dużo czasu – stwierdziła chłodno Goodwin.

– Jasne – powiedziała Carrie. – Czym mogę służyć?

– Myślę, że kiepsko zaczęłyśmy znajomość – odparła Goodwin. – A chciałabym, żebyśmy były w przyjaznych stosunkach.

Bo wiesz, że mam cię na oku.

– Sandro, naprawdę nie rozumiem, o czym pani mówi. Od czasu naszej małej pogawędki wyraźnie rozdzielałam swoją pracę od obowiązków Evana. Jeśli chce mi pani okazać zawodową uprzejmość, to proszę mi wyjaśnić, dlaczego pozwoliła

pani Abingtonowi i Fascianiemu opuścić szpital na własną prośbę. – W ostatniej chwili Carrie powstrzymała się, by nie zagadnąć jej o protezy sterowane myślą, co mogłoby mieć katastrofalne skutki, gdyby Goodwin zorientowała się, że ją podsłuchiowano.

– Mówiłam doktorowi Finleyowi, że nie miałam większego wyboru. Obaj bardzo mocno nalegali.

– Widziałam Fascianiego po operacji. Był pod tak silnym wpływem diazepamu, że nie wyobrażam sobie, jak mógł to zrobić.

Twarz Goodwin przybrała wyraz, który przyprowadził Carrie o dreszcz.

– Widziała go pani? – powtórzyła. – Zechciałaby to pani wyjaśnić?

Carrie poczuła ucisk w klatce piersiowej. Goodwin zapędziła ją w pułapkę. *Cholera!*

– Tak, poszłam na górę zobaczyć go po operacji – przyznała. – Szczerze mówiąc, uważam pani zasady za niedorzeczne.

– Może pani myśleć o nich, co się pani podoba – odparła ostrym tonem Goodwin. – To moje reguły i jestem zaskoczona i mocno rozczarowana, że postanowiła pani zignorować wytyczne.

– Cóż, przepraszam – powiedziała dość nieszczerze Carrie. – Proszę jednak spojrzeć na to z mojego punktu widzenia.

– Nie została pani oficjalnie przyjęta do zespołu, i choćby tylko z tego powodu nie ma pani prawa kontaktować się z pacjentami poza salą operacyjną. Sądziłam, że to jest jasne.

Goodwin oparła się o ścianę i pozwoliła, by jej biały fartuch rozchylił się, ukazując noszony pod spodem strój operacyjny, jak gdyby Carrie potrzebowała przypomnienia, że obie są chirurgami.

– Niemożliwe, żeby Eric zażądał wypisu – powiedziała Carrie. – Był zbyt odurzony lekami.

– A jednak to zrobił – odparowała Goodwin. – Zostałam wezwana na oddział i podpisałam dokumenty, kiedy przedstawił swoją prośbę. Próbowałam odwieść go od tego. Przykro mi, że nie nagrałam tych rozmów, żeby mogła mi pani uwierzyć. – Rzuciła jej obłudny uśmiech.

Carrie wstrzymała oddech, sparaliżowana, spodziewając się, że lada moment zostanie oskarżona o szpiegowanie.

– Co mam pani powiedzieć, Sandro? Nie podoba mi się sposób, w jaki podchodzi pani do tej sprawy. Wykonałam inwazyjny zabieg u dwóch pacjentów, którzy wypisali się na własne żądanie, a potem znikli. Coś tu jest nie tak.

Goodwin zrobiła krok w głąb pokoju i rzuciła jej spojrzenie obliczone na wzbudzenie lęku.

– Powiem pani, co jest nie tak – powiedziała. – Za dwa dni mam prezentację na zebraniu z tutejszym szefostwem. Muszę przejrzeć każdy zabieg chirurgiczny z ubiegłego roku i odnotować każde powikłanie. To zabierze mi całe godziny. Jeśli tak bardzo chce pani być częścią tego zespołu, uważam, że to pani powinna się tym zająć.

– Ja? – Carrie nie mogła ukryć niedowierzania.

– Szkoda byłoby informować VA o nagminnym łamaniu przez panią moich reguł. Mogłabym w pięć minut doprowadzić do zawieszenia pani w obowiązkach i do zwolnienia w ciągu jednego dnia. Wyleci pani stąd szybciej, niż trwa wypełnienie formularza wypisu ze szpitala.

Carrie spojrzała na nią z niesmakiem.

– To szantaż – powiedziała.

– Nie, droga pani, to się nazywa być graczem zespołowym. Niech pani tu zaczeka. Przyniosę dokumentację. Nie ma pani dostępu do systemu komputerowego, więc przykro mi, ale wersja papierowa będzie musiała wystarczyć. I niestety nie wolno pani wynieść jej poza teren szpitala. Ale to nic nie szkodzi. Jest pani przyzwyczajona do pracy po nocach, prawda?

Iskry w oczach Goodwin zgasły wraz z jej fałszywym uśmiechem.

Rozdział 47

„Wykończona” nie oddawało w pełni zmęczenia, jakie Carrie czuła w całym ciele. Stosy raportów medycznych zajmowały większą część jej biurka. Praca była potwornie nużąca i straszliwie czasochłonna. Wiele teczek, które przeglądała, miało kilka centymetrów grubości i nie było sposobu wyszukać powikłań według słów kluczowych. Carrie musiała skrupulatnie przejrzeć każdy opis aż po ostatnią kropkę. Mogłaby wypiąć się na całą sprawę, odwalić robotę po łebkach, ale to nie leżało w jej naturze. Jeśli miała coś zrobić, nawet najbardziej niewdzięczną pracę, zamierzała wykonać to jak należy.

Po prostu taka już była.

Powikłania, które odnotowywała w pokaźnych rozmiarów tabeli, były pospolitego typu i nie wskazywały na niekompetencję, a w każdym razie nie dało się tego odczytać z danych. VA nie dysponował może najnowocześniejszym sprzętem jak White Memorial, ale zdawał się być placówką o wysokim standardzie, zatrudniającą pierwszorzędnych chirurgów. Choć Carrie uważała Navarra za dupka, a Goodwin za sekutnicę, oboje wypełniali swoje obowiązki znakomicie, niekiedy wręcz modelowo.

Wyczerpująca rezydentura przygotowała Carrie do ciężkiej pracy, mogłaby więc prawdopodobnie wytrzymać jeszcze godzinę, nim zmęczenie wzięłoby nad nią górę. Na szczęście nie było to konieczne. Zamknęła ostatnią kartonową teczkę i wysłała do Goodwin zwięzłe sformułowany e-mail z dołączonym arkuszem kalkulacyjnym z Excela. To, co odkryła, odpowiadało przyjętym w branży normom. Najniższy wskaźnik powikłań miała radiochirurgia stereotaktyczna, pospolicie nazywana metodą „noża gamma”. Dla kontrastu operacjom przezklinowym, stosunkowo bezpiecznym zabiegom, towarzyszyła statystycznie istotna liczba problemów. Inne powikłania operacyjne, na jakie natrafiła Carrie, obejmowały pełen zestaw, od krwiałków i zakażeń po wyciek płynu mózgowo-rdzeniowego. Była też pewna liczba powikłań ogólnych, takich jak zakrzepica żył głębokich, oraz kilka przypadków zatorowości płucnej, arytmii serca, zaburzeń gospodarki elektrolitowej i stężenia glukozy we krwi, jednak ogólnie rzecz biorąc, pod względem powikłań operacyjnych VA zdawał się mieścić najzupełniej w granicach normy.

Carrie potarła oczy i pociągnęła długi łyk dietetycznej coli, która utrzymywała

ją na chodzie przez tyle godzin. Choć Goodwin udało się wygrać bitwę, nikt nie powiedział, że to do niej będzie należało zwycięstwo w wojnie. Carrie zamierzała wydobyć na światło dzienne jej konszachty z Trentem. Było to tylko kwestią czasu.

Wyłączyła komputer, sięgnęła po torebkę i zgasiła światło. Jej nadwątlona determinacja odzyskała moc, gdy zamykała na klucz drzwi swego pokoju. Jednak uczucie to nie trwało długo. Kończyny ciążyły jej ze zmęczenia, a perspektywa długiej jazdy do domu zdawała się zniechęcająca, może wręcz niebezpieczna. Badania dowodziły, że niewyspanie ma na kierowcę wpływ podobny do alkoholu, a jej oczy już się zamykały. Dyżurka kusiła ją i Carrie uległa. Cztery albo pięć godzin snu i będzie mogła znów usiąść za biurkiem i przejrzeć dokumentację, którą doktor Finley obiecał przynieść jej rano.

Ruszyła w stronę dyżurki szpitalnymi korytarzami, na których panowała martwa, niesamowita wręcz cisza. Dotarła do klatki schodowej, nie napotkawszy ani jednej osoby, co było niezwykle o każdej porze dnia czy nocy. Światło odbite od białej winylowej podłogi kłuło ją w oczy jak igły. W błyskawicznym tempie weszła na trzecie piętro. Narastający strach przyprawiał ją o dreszcz, który przyspieszył jej kroki. Może sprawił to biegacz w parku, a może kraksa, ale spokój działał jej na nerwy.

Wszystkie trzy dyżurki były puste i Carrie wybrała tę na samym końcu korytarza. Zamknęła za sobą drzwi i sprawdziła godzinę na analogowym zegarze wiszącym na betonowej ścianie.

Trzecia nad ranem.

Co za koszmarne dzień.

Carrie padła na cienki, twarde materac i usłyszała trzeszczenie we wszystkich zeszywniałych, obolałych stawach. Na szczęście miała na sobie strój operacyjny, który był równie dobry jak piżama, może nawet lepszy.

Przez chwilę czuła się straszliwie samotna i żałowała, że nie ma tu z nią Davida. Jednak uczucie to zbladło, gdy tylko zamknęła oczy. Nawet uraza i złość na Goodwin nie zdołały powstrzymać jej przed zapadnięciem w sen. Wyczerpanie wzięło górę i myśli o Davidzie i Goodwin odpłynęły w głąb jej świadomości. Jej ciało stopiło się z łóżkiem, nogi i ręce stały się ciężkie, a oddech płytki.

Minutowa wskazówka zegara odmierzała tykaniem sekundy jak hipnotyczny metronom. Potem ten dźwięk zniknął. Wszystkie dźwięki zniknęły.

Przyszędł sen.

W końcu sen, nareszcie sen.

Aż nagle coś ją obudziło.

Jej powieki zatrzepotały i uniosły się. Nie miała pojęcia, jak długo spała. Kilka minut? Kilka godzin? Ciemność była nieprzenikniona, nie pozwalając jej dojrzeć

zegara na ścianie. Ciało miała rozdygotane od tak gwałtownego przebudzenia. Jej oczy wkrótce przystosują się do ciemności, ale w tej chwili nie potrafiła rozróżnić żadnych kształtów. Mogłaby równie dobrze mieć zawiązane oczy. Jednak jej uszy funkcjonowały znakomicie i wychwyciły delikatny dźwięk, ciche metaliczne stuknięcie. To właśnie ten odgłos musiał ją obudzić. Nasłuchiwała, ale teraz słyszała jedynie własne serce walące o żebra.

Dźwięk pojawił się znowu, tym razem wyraźny i rozpoznawalny. Był to odgłos delikatnie przekręcanej gałki u drzwi. Ciche szarpanie gałką brzmiało jak dudnienie w jej uszach, a stuknięcia obracającego się cylindra grzmiały jak huk fal rozbijających się o brzeg. Miała właśnie zawołać, że pokój jest zajęty, kiedy przysła jej do głowy przerażająca myśl. Zamknęła drzwi na klucz! Gałka nie powinna była w ogóle się poruszyć, a jednak się obracała. David pokazał jej, jak łatwo rozprawić się z tymi staroświeckimi zamkami za pomocą wytrycha i napinacza. To nie był po prostu rezydent szukający miejsca na drzemkę. Ktoś chciał się dostać konkretnie do jej pokoju.

Serce uwięzło jej w gardle, trzepocząc jak skrzydła kolibra. Przerazenie pokryło jej skórę lepkiem potem. Znowu usłyszała ten dźwięk, przeciągłe skrzypienie jak odgłos napinanej sprężyny. Jej umysł pracował jak szalony. Ten korytarz był pusty. Mogła wołać o pomoc, ale ktokolwiek był za tymi drzwiami, dopadłby ją w mgnieniu oka. Jeśli miał nóż lub pistolet, było już po niej.

Drzwi uchyliły się lekko. Carrie wstrzymała oddech i jakimś cudem zdołała pozostać w zupełnym bezruchu. Oczy miała otwarte, ale tylko jako szparki. Chciała wyglądać na śpiącą – odpowiednik udawania trupa.

Światło z korytarza obrysowało sylwetkę wchodzącego do pokoju olbrzyma. Miał co najmniej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i był solidnie zbudowany. Oddech Carrie stał się urywany i mimo wszelkich starań nie była w stanie go spowolnić. Intruz musiał sądzić, że ona twardo śpi, nieświadoma niczego. Ze strachu zrobiło jej się gorąco.

To się nie może dziać naprawdę... to jest sen... koszmarne sen... Obudź się, Carrie! Obudź się!

Ale to nie był sen i potrzebowała całej siły woli, by nie krzyczeć.

Mężczyzna przymknął za sobą drzwi, pozostawiając małą szparkę, tak by do środka sączyła się odrobina światła. Żeby zaatakować, musiał widzieć. Światła było dość, by Carrie mogła obserwować, jak się zbliża. Oddychając przez nos, miała wrażenie, że nie da rady zaczerpnąć dość powietrza. Gdyby zaczęła dyszeć, zorientowałby się, że nie śpi.

Mężczyzna zrobił kolejny cichy krok w jej stronę. Carrie wbiła palce w posłanie, jak gdyby zwisała z urwiska. Dostrzegła w jego rękach poduszkę,

przypuszczalnie zabraną z sąsiedniej dyżurki. Nie przyszedł tu, żeby spać. Była pewna, że ten człowiek wszedł do jej pokoju z zamiarem uduszenia jej.

W chwili olśnienia pojęła całą odrażającą prostotę tego planu. Żadnej krwi. Żadnych krzyków. Żadnego głośnego dźwięku. Zamierzano sprzątnąć ją we względnie czysty sposób; jej zwłoki można było wynieść z budynku w koszu na pranie.

Napastnik zachowywał się zupełnie spokojnie. Carrie czuła, jak panika ją paraliżuje. Modliła się, by udało jej się przewyciężyć ten bezwład. Nadejdzie taki moment, przelotna okazja, kiedy zaskoczenie będzie jej jedyną przewagą.

Dotarł do brzegu łóżka i spojrzał na nią z góry. Przyglądał się, jak śpi. Słyszała jego cichy oddech i czuła przytłaczającą obecność. Zastygła w bezruchu jak trup. Kątem oka obserwowała, jak mężczyzna unosi poduszkę.

Czekaj, Carrie... czekaj... jeszcze nie...

Wyczekiwanie stało się męką. Carrie wstrzymała oddech i próbowała powstrzymać mięśnie twarzy przed drganiem.

Mężczyzna nie spieszył się. Była przecież pogrążona we śnie. Manewrował poduszką nad jej twarzą niczym strzelec bombowy kierujący celownik na leżący w dole budynek.

W ostatniej możliwej sekundzie zadała gwałtowny cios, który trafił prosto w bezbronne jądra intruza. Usłyszała zbolący jęk, który wydobył się z jego trzewi. Mężczyzna opadł na kolana, obezwładniony.

Nie tracąc czasu, Carrie zerwała się z łóżka i rzuciła do drzwi.

Rozdział 48

Za plecami Carrie usłyszała krzyk mężczyzny: „Ty dziwko!”, poczuła, jak jego silna dłoń chwyta ją za kostkę. Wolną nogą wierzgnęła na oślep w tył i uderzyła w coś twardego – w jego twarz, może w pierś, może co innego.

Cios był na tyle silny, że wytrącił go z równowagi. Mężczyzna zawył, bardziej z gniewu niż z bólu. Poluznił chwyt i Carrie uwolniła kostkę z jego uścisku. Najdrobniejsze wahanie mogło oznaczać śmierć. Rzuciła się do drzwi długim susem. Wypadła na pusty korytarz z przeciągłym jękiem.

– Ratunku! – krzyknęła, zrywając się do gorączkowego sprintu. – Proszę! Niech mi ktoś pomoże!

VA o tej porze przypominał grobowiec, a dyżurki celowo zlokalizowano na uboczu, by zapewnić jak największy spokój. Oddział kardiologiczny, jak pamiętała, znajdował się na tym samym piętrze, w drugim końcu korytarza, ale nim zdołałaby tam dotrzeć, napastnik zdążyłby ją dogonić.

Przed nią, w odległości może dziesięciu metrów, było wejście na klatkę schodową. Jej uwagę przyciągnął znajdujący się na ścianie obok drzwi czerwony alarm przeciwpożarowy. Aby przeżyć, musiała się dostać na jedno z niższych pięter. Zwolniła, by nie uderzyć z całym impetem w drzwi. Stopy ślizgały się jej na winylowej podłodze jak na lodzie. Lewą ręką otworzyła szarpnięciem drzwi na klatkę schodową, jednocześnie prawą włączając alarm. Lampa stroboskopowa zamontowana nad wejściem na schody zaczęła błyskać, a przerywane wycie sygnału dźwiękowego brzmiało jak flota ciężarówek tkwiących w korku.

Pokonawszy zaledwie dwa schodki, Carrie zeskoczyła z pozostałych stopni. Siłą rozpędu rzuciła ją na betonową ścianę dolnego podestu. Odbiła się od niej, ale zdołała utrzymać się na nogach. Przeszywający alarm zagłuszył większość jej krzyków.

W górze mężczyzna pojawił się w drzwiach jak wcielony koszmar. Wykonał taki sam skok jak ona, w tym samym momencie, kiedy ona pokonała następny bieg schodów. Odbił się jak piłeczka pingpongowa od betonowej ściany, ale szybko odzyskał równowagę i wkrótce wznowił pościg.

Carrie wiedziała, że policja jest w pobliżu. Ochronę VA tworzyli dobrze uzbrojeni funkcjonariusze z pełnią policyjnych uprawnień do egzekwowania wszystkich federalnych praw. Przynajmniej jeden z nich powinien pełnić wartę

przy głównym wejściu – przy odrobinie szczęścia mogło być ich więcej. Odgłos stóp Carrie rozbrzmiewał echem w klatce schodowej, gdy przemierzała podest, pędząc ku następnemu biegowi schodów. Za jej plecami koszarne, wściekłe chrząknięcia mężczyzny stawały się coraz głośniejsze i bliższe. Przyspieszył tempo.

Potykając się, pokonała następny bieg schodów i użyła nadgarstków, by zamortyzować siłę zderzenia z nieustępliwą cementową ścianą. Zostało jeszcze jedno piętro.

– Na pomoc! – wrzasnęła tak głośno, jak pozwalały jej płuca. Nie miała pojęcia, czy ktokolwiek ją słyszał.

Gdzieś w górze rozległ się trzask wystrzału, a potem odgłos odpryskującego betonu, gdy kula uderzyła w ścianę. Carrie z gracją kota wykonała kolejny skok w dal. Dotarła na dolny podest, akurat kiedy kolejny strzał huknął i uderzył w ścianę koło jej głowy. Pocisk posłał na wszystkie strony okruchy betonu. Carrie rzuciła się na poziomą dźwignię i napierając całym ciałem, otworzyła drzwi.

Wypadła na korytarz parteru. Alarm przeciwpożarowy wył głośno i wszędzie błyskały lampy stroboskopowe. Aby uzyskać pomoc, musiała przebiec długi pusty korytarz, gdzie byłaby łatwym celem nawet dla kiepskiego strzelca. Jej wzrok padł na stojący pod ścianą składany wózek inwalidzki.

Nie tracąc czasu, chwyciła wózek i przywarła do ściany. Sekundę później zwalisty potwór wypadł przez drzwi z bronią w ręce.

Szybkim ruchem Carrie pchnęła wózek przed siebie, kompletnie zaskakując napastnika. Mężczyzna, uderzony w łydki, runął jak długi ponad wózkiem, z rękami wyciągniętymi dla zamortyzowania upadku. Wylądował twardo, wypuszczając pistolet z dłoni. Broń przejechała ślizgiem wzdłuż korytarza, zatrzymując się jakieś trzy metry od Carrie. Ona sama biegła już w tym kierunku, ale jej prześladowca również. Jego sprawność fizyczna była wprost niewiarygodna, gdyż podniósł się na nogi w mgnieniu oka.

Spojrzała na pistolet. Wydawało się to sprzeczne z intuicją, ale próba sięgnięcia po niego oznaczałaby dla niej śmierć. Facet był szybki jak puma i dopadłby ją, ledwo zdążyłaby go dotknąć. Ale było inne rozwiązanie: nie dopuścić, żeby broń trafiła w jego ręce. Nie zwalniając kroku, mocno kopnęła pistolet prawą nogą, a on przejechał niczym krążek hokejowy kilkanaście metrów.

– Ratunku! – wrzasnęła na całe gardło.

– Dziwka! – Szorstki głos mężczyzny wbijał jej się w plecy jak szpony.

Dała pistoletowi kolejnego solidnego kopniaka. Była już w połowie korytarza i modliła się, by pomoc była blisko. Dostrzegła przed sobą jakiś ruch. Skupiwszy wzrok, zobaczyła ochroniarza z wyciągniętą bronią. Pędził w jej stronę, a tuż za

nim biegło dwóch roślących sanitariuszy. Utrzymywała tempo, ale coś mówiło jej, że mężczyzna za nią zwolnił. Zerknęła przez ramię i zobaczyła, jak odwraca się, by uciec w przeciwną stronę. Jednak z tamtego końca korytarza wyłoniło się kolejnych trzech ochroniarzy. VA nie miał może najnowocześniejszego sprzętu medycznego, ale ograniczenia budżetowe nie dotyczyły ochrony. Szpital był obiektem wojskowym i jako taki był solidnie strzeżony.

– Stać! – krzyknął jeden z mężczyzn. – Ręce do góry!

Carrie wpadła w ramiona sanitariusza. Wkrótce była bezpiecznie ukryta za murem ludzi. Mężczyzna, który ją ścigał, znalazł się jak w pułapce między dwiema grupami ochroniarzy, którzy szybko się do niego zbliżali.

Ich ostre głosy, słyszalne ponad ogłuszającym alarmem przeciwpożarowym, rozkazywały mu położyć się na ziemi. Miał na sobie szpitalny strój sanitariusza, który opinał jego sylwetkę futbolisty, ale Carrie nigdy wcześniej nie widziała go w VA. A jednak widziała go, czyż nie? Zarys szczęki, być może to było najbardziej znajome. Jego twarz była przystojna i, jak przystało na twardziela, pokryta kilkudniowym zarostem. W jego szarych, wilczych oczach pojawił się diabelski błysk, kiedy wolno unosił ręce. Carrie śledziła czujnie każdy jego ruch. Podnosząc dłonie nad głowę, zatrzymał się na moment, by ugryźć się w nadgarstek. Osobliwy uśmiech na jego twarzy był przeznaczony specjalnie dla niej.

Policjanci zbliżali się ostrożnie. Ponownie rozkazali mu położyć się twarzą w dół na podłodze. Usłuchał. Carrie stała na uboczu i z bezpiecznej odległości obserwowała surrealistyczny bieg wydarzeń. Druga fala ochroniarzy wkroczyła do akcji i błyskawicznie skrepowała ręce mężczyzny stalowymi kajdankami. Uniósł lekko głowę nad podłogę, wbijając w Carrie złowrogie spojrzenie. Jego pełne nienawiści oczy skrywały jakiś sekret; czuła to wyraźnie.

Ochroniarze tłoczyli się, rozmawiając ze sobą i mówiąc do aresztowanego. I wtedy mężczyzna chrząknął, nie raz, ale kilkakrotnie, jakby coś utknęło mu w gardle. Zaczął się zwijać i toczyć pianę z ust. Jego nogi drgały spazmatycznie. Wił się jak robak nabity na haczyk. Carrie miała wrażenie, że wie, co się stało. Kiedy przytknął nadgarstek do ust, połknął coś – być może cyjanek sodu, bardziej zabójczą z dwóch soli cyjanowodoru.

Ochroniarze uświadomili sobie, że aresztant ma problem, i przewrócili go na plecy.

– Lekarza! – krzyknął jeden z funkcjonariuszy.

Carrie rzuciła się na pomoc. Instynkt ratowniczy kazał jej zapomnieć o tym, co ten potwór jej zrobił i co zamierzał zrobić. Była lekarzem, ale to był beznadziejny przypadek. Silnie toksyczny związek chemiczny uniemożliwia organizmowi wykorzystanie tlenu i mózg umiera w ciągu paru minut od połknięcia kapsułki.

Potrzeba było czterech mężczyzn, by podnieść wijącego się w konwulsjach aresztowanego z podłogi i ułożyć na noszach.

Mężczyzna toczył pianę z ust, charczał i krztusił się, aż w końcu znieruchomiał i ucichł. Carrie wiedziała, że wyzionął ducha, ale będą próbowali go reanimować. Odrutkami przeciwko cyjankom były podawane dożylnie hydroksykobalamina i tiosiarczan sodu.

W tej chwili wykazywał wszelkie oznaki śmierci klinicznej i Carrie biegła obok noszy, uciskając mu klatkę piersiową w okolicy mostka. To właśnie wtedy zauważyła na jego szyi jakiś znak. Przyjrzała się dokładniej.

Była to wytatuowana koniczynka.

Rozdział 49

Wkrótce miał się zjawić detektyw Kowalski z bostońskiej policji. Carrie próbowała uspokoić zszargane nerwy, ale tkwiła wciąż w szponach lodowatego przerażenia. Choć od napaści minęło już sześć godzin, czuła potężną dłoń mężczyzny zaciśniętą na swojej kostce. Ochroniarze z VA załatwili jej transport, była bowiem zbyt roztrzęsiona, by usiąść za kierownicą, a także zorganizowali spotkanie z bostońską policją.

David przyjechał do domu Bryantów wynajętym samochodem i poszedł z Carrie do jej pokoju na prywatną rozmowę. Policja będzie zainteresowana, dlaczego ktoś próbował ją zabić, chciała więc, by pomógł jej ułożyć odpowiedź. Przez chwilę żadne z nich nie mogło wydusić słowa. Carrie drżała na całym ciele jak w ataku febry. Była wyczerpana fizycznie i psychicznie i dopiero nowiny Davida zdołały wydobyć ją z mgły lęku.

– Wiem, kim jest Bob Richardson – oświadczył. – Emma uzyskała w końcu dostęp do bazy danych, z której Wydział Komunikacji korzysta wspólnie z organami ścigania, i znalazła twarz o stuprocentowej zgodności.

Bob Richardson, według biografii, którą David ściągnął z firmowej strony internetowej, był wiceprezesem CerebroMed, firmy biofarmaceutycznej z Wirginii, zajmującej się głównie opracowywaniem leków wpływających na funkcje mózgowe.

– Dlaczego, u licha, taki ktoś miałby robić mi prezentację rzeczywistości wirtualnej?

– Czy to, czym się zajmujesz, wiąże się z testowaniem jakichś leków? – zapytał David.

Carrie poczuła, jak jej zmysły się wyostają. Zajęcie czymś myśli pomogło jej się uspokoić.

– Nie – odparła. – Chyba że Goodwin i Trent robią coś, o czym doktor Finley i ja nie mamy pojęcia.

– A wiemy już, że tak jest.

– Ale co? – zapytała Carrie.

– Być może Goodwin pozwala Trentowi eksperymentować na tych pacjentach z jakiegoś rodzaju lekiem, może związanym z PTSD, może nie, a w zamian otrzymuje pieniądze na swoje zaawansowane prace neurologiczne?

Carrie zastanowiła się nad tym.

– Miałam wrażenie, że sama rzeczywistość wirtualna to za mało – powiedziała.
– Ale lek? To faktycznie mogłoby wyjaśnić palinakuzję, jakieś działania niepożądane.

– Właśnie, efekt uboczny – podchwycił David. – Który Goodwin zataiła, usuwając tych pacjentów z oddziału.

Carrie skinęła głową.

– Chciała, żeby zniknęli. Oni wcale nie mieli zaburzonej świadomości. Ona *zmusiła* ich do wyjścia na własne żądanie.

– Nie każdy pacjent wykazuje ten efekt uboczny – ciągnął David. – To było zawsze jedno z naszych założeń roboczych. Ty po prostu przypadkiem badałaś dwóch, u których wystąpił.

– To tłumaczyłoby, dlaczego Goodwin nie życzy sobie, żebym odwiedzała swoich pacjentów po operacji. Nie chce, bym odkryła to niepożądane działanie i zaalarmowała kogoś. To wtrąciłoby cały program w chaos. Weterani zostaliby poddani masie testów i być może lek zostałby wykryty. Gra skończona.

David zastanowił się.

– Widziałaś jednak parę skutecznych wyleczeń, prawda?

– Jak dotąd poznałam Ramóna Hernandeza i Terry’ego Bushmana. Ale doktor Finley wspomniał jeszcze o dwóch.

– Może te skutki uboczne są w niektórych przypadkach przejściowe, więc potrzeba jedynie czasu, żeby ustąpiły.

– Niewykluczone – przyznała Carrie.

– Możesz uzyskać dostęp do kart medycznych weteranów, którzy byli leczeni głęboką stymulacją mózgu?

– Prosiłam Finleya, żeby pozwolił mi do nich zajrzeć, nim zostałam zaatakowana – odparła Carrie. – Czemu pytasz?

– Ciekawi mnie, czy jacyś inni weterani opuścili salę pooperacyjną tak jak Abington i Fasciani. A skoro mowa o twoim szefie, co z nim?

Carrie wyglądała, jak gdyby nie wierzyła własnym uszom.

– Kto? Alistair? Nie – stwierdziła.

Alistair był jej powiernikiem, mentorem, człowiekiem, który dał jej karierze nowe życie... ale mogła wykluczyć jego udział także z innych powodów.

– On nawet nie znał Richardsona – powiedziała – a miał mnóstwo okazji, żeby mi go przedstawić. Myślę, że nieźle znam się na ludziach, i Alistair jest w pełni oddany pacjentom, temu programowi. Nie miał nic przeciwko temu, żebym poszła szukać Abingtona i Fascianiego. Zachęcał mnie do tego. Problemem jest Goodwin... która, nawiasem mówiąc, podpisała te formularze wypisu. To ona jest

ostatnim ogniwem w łańcuchu. Alistair bronił mnie przed nią od pierwszego dnia. Jest pewien powód, dla którego uwzięła się na mnie od samego początku. Nie chciała mnie w zespole i oświadczyła mi to bez ogródek.

David wyglądał na zaintrygowanego.

– Goodwin kieruje personelem chirurgicznym, zgadza się?

– Tak jest – odparła Carrie.

– A co z Rockwellem?

– Ja zostałam zatrudniona na specjalnych zasadach przez Finleya, ale Sam Rockwell był w zespole Goodwin od początku i był w pełni akredytowanym neurochirurgiem w VA – wyjaśniła Carrie.

– Więc Goodwin nie chciała, żebyś tam pracowała.

– To kolejny powód, dla którego sędzę, że wszystko sprowadza się do niej.

– Dała ci tę niepotrzebną robotę, wiedząc, że to zatrzyma cię w szpitalu do późna – zauważył David.

Carrie zbladła.

– Myślisz, że to Goodwin nasłała na mnie zabójcę?

– Niewykluczone. I być może zrobiła to samo Rockwellowi.

– Co masz na myśli?

– Że może Finley nie wiedział, co kombinuje Goodwin, ale Rockwell tak.

Carrie zastanowiła się.

– Rockwell wiedział – powiedziała cichym głosem. – Musiał wiedzieć. Być może chciał się wycofać albo zamierzał wszcząć alarm czy coś takiego. Dlatego próbowali go zabić.

– I był prawie jak martwy – dodał David. – Przynajmniej do czasu.

Carrie poczuła w gardle palący, kwaśny posmak.

– Goodwin musiała wiedzieć, że jadę go odwiedzić – powiedziała.

– Możliwe, że lekarz Rockwella zadzwonił do niej, żeby poinformować ją o zmianie jego stanu. To był w końcu jej pracownik, więc prawdopodobnie łączyły ich jakieś bliższe stosunki. Tamten lekarz mógł wspomnieć, że wybierasz się do nich.

– A Goodwin przekazała to Trentowi – dopowiedziała Carrie. – Więc co powiemy policji? – Przestała krążyć po pokoju i usiadła obok niego na skraju łóżka.

– Nie mamy zbyt wielu dowodów – stwierdził David. – Mamy nagranie, które tak naprawdę nie potwierdza niczego, o czym teraz rozmawialiśmy. To są same domysły, nie świadectwa. Jeśli pójdziemy na policję z tym, co mamy, cała operacja może zostać wstrzymana. Dowody zostaną zniszczone albo jeszcze gorzej, zaginionych weteranów uciszą... jak Rockwella.

Carrie odchyliła się w tył i oparła o ścianę, żeby się nie przewrócić. Zmęczenie przeniknęło ją do kości, kompletnie pozbawiając sił. Lęk wpełzł w jej wnętrzności. Zaciśnęła dłoń na ustach, żeby stłumić szloch.

– W co ja się wpakowałam? – szepnęła bliska załamania.

David ujął ją za rękę. Patrzył jej w oczy, dopóki kłębiący się w niej strach nie uspokoił się jak bezwietrzne morze. W tym momencie słyszała jedynie odgłos własnego walącego jak szalone serca. Dziwnie hipnotyzowały ją plamki złota, które obrzeżały tęczęwki Davida.

Dopiero teraz zauważyła bliźnię na jego policzku i zastanowiło ją, czy dorobił się jej w Syrii, czy w jakimś innym niebezpiecznym miejscu, które nazywał swoim biurem. Przez chwilę jego dotyk pochłaniał ją bez reszty, blokując wszelkie inne doznania.

– Cokolwiek zdecydujesz – powiedział, wciąż trzymając jej dłoń – będę z tobą aż do końca.

Z dołu dobiegł ich głos jej matki:

– Kochanie, przyszedł detektyw Kowalski.

Detektyw Kowalski upił łyk herbaty z kubka, który podał mu Howard Bryant. Po powitaniu i prezentacji nadszedł czas, żeby przejść do rzeczy.

Wszyscy: Carrie, Irene, Howard, Adam i David, zgromadzili się wokół kuchennego stołu. Adam trzymał się na uboczu, oparty o ścianę, nie starając się nawet ukryć gniewnej miny. Jego złość wydawała się zarezerwowana dla Davida z powodów, których Carrie nie potrafiła zrozumieć.

Wszyscy byli ubrani swobodnie, ale spotkanie miało oficjalny nastrój. Trzeba przyznać, że detektyw Kowalski, schludny mężczyzna po pięćdziesiątce, o szpakowatych, ostrzyżonych na jeża włosach, zadartym nosie i życzliwych brązowych oczach, nie spieszył się z rozpoczęciem. Jego cierpliwość pomogła Carrie się odprężyć, choć ręka drżała jej, ilekroć podnosiła do ust kubek z herbatą. Dotyk Davida ukoił jej nerwy, ale groza niedawnych przejść wciąż trzymała ją w swojej władzy. Irene stała za córką, z rękami opartymi opiekuńczo na jej ramionach.

– Więc widziała pani tego człowieka już wcześniej? Tak mi powiedziano – Kowalski mówił z wyraźnym południowobostońskim akcentem.

Skupienie przychodziło jej z trudem, ale spojrzała na kolorowe zdjęcie martwego mężczyzny, które położył przed nią detektyw. Na fotografii nie było widać miejsca po wewnętrznej stronie nadgarstka, gdzie miał przyklejoną taśmą kapsułkę z cyjankiem.

– Tak, w parku – powiedziała. – Sądziłam, że mnie goni. Chyba naprawdę tak

było. – Zerknęła na Adama, który wyglądał na wstrząśniętego.

– Jakiś powód? – zapytał Kowalski. – Wie pani, pierwszy raz w życiu spotykam się z prześladowcą, który nosiłby przy sobie kapsułkę z cyjankiem.

– Czy można je zamówić przez Internet? – zapytał Howard.

Kowalski zastanowił się nad tym pytaniem.

– Tak, myślę, że tak – odparł. – Pamiętam, że pewien facet zażył pigułkę w sądzie, gdy został uznany za winnego podpalenia. Nie chciał pójść do więzienia, jak sądzę. Może nasz człowiek też miał plan na wypadek wpadki.

– Może – odezwała się Irene.

Carrie i David wymienili spojrzenia. To była chwila prawdy – czy powinni podzielić się tymi skąpymi informacjami, które mieli? Utkwiła znów wzrok w pośmiertnym zdjęciu mężczyzny z wytatuowaną koniczynką i poczuła, jak świdruje ją pięć par oczu.

– Nie znaleźliśmy przy nim żadnego dokumentu tożsamości – powiedział Kowalski. – Z broni usunięto numery seryjne. Analiza DNA zabierze trochę czasu, tak samo jak ekspertyza odontologiczna. Na razie to jest John Doe. Nie wiem, dlaczego ten facet panią tropił, gdzie, nie licząc parku, mogły się skrzyżować wasze drogi, ale to już coś. Czy to był pani pacjent, ktoś, kogo spotkała pani w VA, w innym miejscu pracy, na uczelni, na jakiejś imprezie? Nie znam pani. Proszę mi powiedzieć. – Pociągnął długi, niespieszny łyk i spojrzał na nią znad kubka.

Carrie zerknęła ukradkiem na Davida i podniosła zdjęcie. Przyglądała mu się w milczeniu przez pół minuty, po czym odłożyła je z powrotem na stół.

– Nie wiem, dlaczego on mnie zaatakował – powiedziała wreszcie.

Rozdział 50

Wszyscy stłoczyli się w ciasnym holu domu Bryantów, by się pożegnać z detektywem.

W drzwiach Kowalski przystanął i jeszcze raz spojrzął na Carrie.

– Ma pani moją wizytówkę – powiedział. – Gdyby coś się zmieniło, proszę dać mi znać.

– Oczywiście – odparła Carrie. – I dziękuję panu za wszystko, co pan zrobił.

– Żałuję, że nie mogłem zrobić więcej. Naprawdę współczuję pani z powodu tego incydentu. Zapewniam, że dołożymy wszelkich starań, by odkryć, kim był ten człowiek i czego chciał.

Carrie poczuła wyrzuty sumienia, świadoma, że będzie to zmarnowany trud. Przekonana była, że gdy tylko policja zacznie węszyć wokół DARP-y, cała operacja zostanie wstrzymana, dowody usunięte i wszystko, przez co przeszła do tej pory, okaże się daremne. Ze względu na Steve'a Abingtona i Erica Fascianiego powinna przedstawić detektywowi niezbite dowody obciążające Goodwin, Richardsona i Trenta. Być może on odnalazłby zaginionych weteranów lub wykazał, że Goodwin i Trent zmówili się, żeby zabić Sama Rockwella czy też ją.

Zaplanowała już w głowie następne kroki. Teraz potrzebowała chwili sam na sam z Davidem, by dopracować te plany. Po odejściu Kowalskiego rodzice wrócili do kuchni posprzątać naczynia, ona zaś wyszła na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza. David ruszył za nią.

Dogonił ją, gdy dochodziła do podjazdu. Znow wzię ją za rękę i przyciągnął blisko do siebie.

– Podjęłaś słuszną decyzję – powiedział.

– Jaką decyzję?

Oboje obrócili się gwałtownie na dźwięk głosu Adama. Miał nachmurzoną minę, którą Carrie zauważyła w kuchni, jak gdyby coś mocno wytrąciło go z równowagi. Skrzyżował ręce na piersiach i piorunował ich wzrokiem, ale nie podchodził bliżej.

– Jaką decyzję? – powtórzył.

– Nieważne, Adam – rzekła uspokajająco Carrie. – Rozmawiamy po prostu z Davidem. To prywatna sprawa.

Tym razem jednak brat podszedł do nich.

– Posłuchaj, co ci powiem – zwrócił się wprost do Davida. Przez jego twarz przemknął cień, złowieszczy grymas, który mocno zaniepokoił Carrie. – Myślę, że odkąd wy dwoje chodzicie ze sobą, mojej siostrze przydarzyło się wiele złego.

David zrobił krok w jego stronę. Pozostał spokojny i opanowany. Wyraźnie nie szukał zaczepki. Oczywiście z punktu widzenia Adama wyglądało to inaczej. Wzrokiem wyzywał Davida, by zadał pierwszy cios.

– Nie, Adamie – odparł stanowczo David. – To nie ma nic wspólnego ze mną.

– Czyżby? Ja jestem innego zdania. Ktoś za nią biegł, ktoś włamał się do jej sypialni, ktoś zepchnął ją z drogi, a teraz ktoś próbował ją zabić. To wszystko zdarzyło się kiedy? Kiedy, David?

Carrie wysunęła się naprzód. Wiedziała, jak bliski wybuchu jest brat.

– Adam, to nie jest wina Davida – wtrąciła.

Adam przysunął się do Davida tak blisko, że niemal stykali się nosami. David, trzeba mu oddać, nie cofnął się. Carrie miała jednak wrażenie, że jest zdenerwowany, i nie bez powodu.

– Podejźmy do tego rozsądnie – mitygował.

– No właśnie – rzucił mu Adam w twarz. – To jest moja siostra i kocham ją, i zrobiłbym wszystko, żeby ją chronić. *Wszystko*. Tak więc myślę, że rozsądnie będzie trzymać się od niej z daleka. Robisz coś niebezpiecznego i jeśli cokolwiek przytrafi się mojej siostrze, będziesz miał kłopoty. Rozumiesz?

Nie odsunął się nawet o włos. Pod jego spojrzeniem Carrie wstrzymała oddech.

– Masz zamiar znów mnie uderzyć? – zapytał spokojnie David.

Do tego czasu Howard i Irene zorientowali się, że coś jest nie tak, i wyszli, żeby sprawdzić, o co chodzi.

Irene ruszyła pędem ścieżką.

– Co się dzieje? – zapytała.

Zdawało się, że czar prysł. W samą porę, pomyślała Carrie.

Adam odwrócił się.

– Nic, mamó – odparł. Jeszcze raz spojrzął Davidowi w oczy. – David idzie do domu i po prostu wyszedłem się z nim pożegnać.

Braxton Price stał na brzegu rzeki Charles, przyglądając się żaglówkom kreślącym wdzięczne linie na falującej wodzie. Lada moment miał przyjść telefon z wytycznymi. Tak albo tak, pomyślał. Wiedział, jaki kurs chce obrać. Gantry był bratem i przyjacielem i Carrie Bryant musiała umrzeć.

Jakim cudem lekarce udało się załatwić Gantry'ego, świetnie wyszkolonego, twardego żołnierza, było dla niego zagadką, ale jego przyjaciel nie żył, i tyle. Plan zakładał, że zlikwidują Carrie wczesnym rankiem na parkingu, po cichu – na

pewno nie w szpitalu, gdzie było więcej ochroniarzy. Gantry najwyraźniej improwizował i ona w jakiś sposób go przechytrzyła.

Szkoda.

Prędzej czy później musiało do czegoś takiego dojść i Price nieraz ostrzegał pracodawców przed ryzykiem dalszego działania po wyłączeniu Rockwella. Ale trep to tylko trep, widział więc, że gajerki nie zamierzają przyjmować tego rodzaju strategicznych wskazówek od podrzędnego robociarza. *Nieważne.* Dobrze chociaż, że grupa z DARP-y, która uruchomiła ten program, słuchała go w najważniejszych sprawach.

Jego motywy nie miały w sobie nic z patriotyzmu. Chodziło tylko o pieniądze i wzdragał się przed korzystaniem z usług zbieraniny najemników, których lojalność stała pod znakiem zapytania. Zatrudnianie ludzi z jego dawnego oddziału, takich jak Gantry, dawało mu pewność, że nawet w najcięższej sytuacji jego zespół nie zawiedzie. Każdy z nich był sprawdzony jako jednostka i choć Afganistan niszczył mięśnie i kości, zadzierzgnięte tam więzi były trwałe. Price nie walczył za swój kraj; walczył wyłącznie za swoich braci. Kiedy Gantry zażył tę pigułkę, mówiąc w przenośni, skoczył na granat, by ratować swych towarzyszy. Więc Price go pomści. Kwestią nie było czy, ale *kiedy.*

Powietrze było nieruchome i ciepłe, jak zwykle o tej porze roku. Price miał ochotę zdjąć kurtkę, ale ukrywała kable, które miały szyfrować spodziewaną rozmowę. A także jego ulubiony pistolet, berettę 92FS z piętnastonabojowym magazynkiem i znakomitą celnością na dalekim dystansie.

Telefon zadzwonił o czwartej trzydzięci. Price miał w uchu słuchawkę, ale to było teraz powszechne, tak więc nikt nie zwrócił uwagi na to, że gada sam do siebie na brzegu rzeki Charles. Sięgnął do kieszeni kurtki i wcisnął przycisk odbioru, nie spoglądając nawet na wyświetlacz.

– Mów – powiedział.

– Nic z tego – odezwał się męski głos w jego uchu.

– Dobra.

– Jest teraz zbyt silny nadzór. Usunie się ją inaczej.

– Zwijamy interes?

– Nie.

– Niedobrze. Powinniśmy tak zrobić.

– To nie moja sprawa – odparł mężczyzna.

Price uśmiechnął się mimo woli.

– Jasne. Wszyscy jesteśmy tu tylko pionkami.

Rozdział 51

Carrie obudziło uporczywe pukanie do drzwi sypialni. Przeraziła się, sądząc, że jest znów w dyżurce, do której dobija się potencjalny napastnik.

– Carrie, nie śpisz? – zapytał Adam. – Możemy porozmawiać?

Potrząsnęła głową, żeby odgonić resztki snu.

– Tak, wejź – powiedziała głosem ochrypłym od snu.

Adam wyglądał na zrozpaczonego.

Ubrana w te same ciuchy, które miała na sobie podczas rozmowy z detektywem Kowalskim, Carrie usiadła na łóżku i okręciwszy się, opuściła stopy na podłogę. Przyjrzała się bratu z troską.

– Co się dzieje?

Wiedziała, oczywiście, co się dzieje. Adam tracił panowanie nad sobą. Było to wyraźnie widoczne po tym, jak potraktował Davida. Ich starcie wytrąciło ją z równowagi. David przyjął to wszystko spokojnie, ale Carrie miała nadzieję, że jej brat przeprosi go w taki czy inny sposób. Być może właśnie odczuł skruchę.

Adam przyglądał się długo Limbikowi, po czym opadł na krzesło przy jej biurku. Siedział zgarbiony, ze spuszczoną głową. Carrie czekała, aż się odezwie.

– O co chodzi, Adam? – zapytała w końcu.

– O Davida – odparł cicho.

– Mam jego numer. Na pewno chętnie wysłucha twoich przeprosin.

– Nie dlatego przyszedłem z tobą porozmawiać. – Miał poważną minę. Jego udręczone oczy obwiedzione były ciemnymi kręgami.

Carrie poczuła ciężar jego spojrzenia.

– Więc po co? – zapytała.

– Przed domem, kiedy stałem z nim twarzą w twarz, miałem myśli, które mnie przeraziły.

– Myśli?

Nogi mu podrygiwały w górę i w dół. Najwyraźniej to go nie uspokajało, bo wziął długopis z jej biurka i zaczął obracać go między palcami jak miniaturową buławę tamburmajora. Nauczył się tej sztuczki w szkole średniej i próbował wyjaśnić siostrze, jak się to robi, ale ona nigdy nie mogła załapać.

– Chciałem go zabić – wykrztusił.

Carrie zapało dech.

– Adam, co ty mówisz?

Długopis wypadł mu z ręki. Nie odrywał od niej wzroku i pod jego chłodnym spojrzeniem przeszły jej ciarki po plecach.

Oczy mu poczerwieniały. Wyglądał, jakby lada chwila miał się rozplakać.

– Mówię, że nie chciałem po prostu zrobić mu krzywdy. Chciałem go zabić. –

Jego ściszony głos był niemal hipnotyzujący. – Musiałem użyć całej siły woli, żeby nie chwycić go za głowę i nie złamać mu karku. I mogłem to zrobić. Nie wiem, jakim cudem się powstrzymałem. Gdyby ciebie tam nie było, chyba bym to zrobił.

Carrie była wstrząśnięta. Poczula nagle strach, odrazę, smutek, beznadziejność. Koktajl emocji, z którym nie potrafiła się uporać.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo potrzebuję twojej pomocy.

Carrie natychmiast się uspokoiła. Dostrzegła w wyznaniu Adama poczucie winy i strach, które zdawały się go pochłaniać. Sięgnęła po jego dłoń, ale cofnęła rękę i wstał z krzesła.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytała, również wstając. – Możemy porozmawiać z rodzicami. Może poszukać nowego terapeuty.

– Nie potrzebuję terapeuty – wycedził. – Potrzebuję drutów.

Carrie zbladła.

– Co powiedziałaś?

– Słyszałaś – odparł. – Chcę mieć te druty w mózgu. Zamieszać cały ten syf, żeby przestały chodzić mi po głowie takie myśli.

Carrie opadła na łóżko.

– Nie mogę tego zrobić.

– Co znaczy, że nie możesz? Kierujesz tym.

– Nie, nie. Jestem tylko chirurgiem. – O ironio, sama wchodziła w rolę, którą usiłowała narzucić jej Goodwin. Jednak była to jedyna wymówka, jaka przyszła jej do głowy.

– Ale chyba masz coś do powiedzenia, prawda? To ty wykonujesz te zabiegi. Możesz wkręcić mnie tam i wyleczyć.

– To nie jest takie proste – powiedziała.

– Dlaczego?

– Bo to może nie zadziałać. – Carrie skuliła się w duchu, wiedząc, że jej argumentacja ledwo trzyma się kupy.

– Słyszałem, jak przy obiedzie opowiadałaś mamie i tacie o tym Ramónie. I jak się nazywał ten drugi? Bushman czy jakoś tak. U nich to zadziałało. Mówiłaś, że działa też u dwóch innych.

– Ale oni są wyjątkiem, nie regułą.

– No i co? Jaka jest najgorsza rzecz, która może mi się przytrafić? – zapytał Adam. – Przejdę jakąś operację, która nic nie zmieni. Potem dalej będę chodzącą bombą zegarową, tyle że już z prawdziwymi drutami w głowie.

Carrie wyobraziła sobie brata leżącego w szpitalnym łóżku, z obandażowaną głową, mamroczącego w kółko jak Steve Abington: „wodź wzrokiem za światłem... wodź wzrokiem za światłem...”.

– Nie, chodzi o coś innego. Nie jestem do końca pewna, czy to jest bezpieczne.

Adam wyglądał, jakby tracił cierpliwość.

– Robiłaś już tę operację?

– Tak.

– I...?

– I dwóch moich pacjentów zniknęło.

– Z powodu operacji?

– Nie – odparła Carrie, ale poprawiła się. – Nie mam pojęcia. Wciąż staram się to wyjaśnić.

Nie wiedziała, jak wiele może mu powiedzieć. Tak, zabieg DBS mógł wywołać działania niepożądane, ale to wydawało się niemal drugorzędne w porównaniu z tym, co kombinowali Sandra Goodwin i Cal Trent. Do tego wciąż nie wiedziała, jak w to równanie wpisuje się Bob Richardson z CerebroMed. Dopóki nie znajdzie odpowiedzi na choć część tych pytań, nigdy nie zaproponuje Adama jako kandydata do zabiegu. Nigdy.

– Jest jakiś powód, dla którego śledzono mnie i dwa razy omal nie zabito – wyjaśniła.

W oczach Adama zalśniły gniewne błyski.

– Tak. I myślę, że tym powodem jest David. Kto wie, z kim on zadarł? Wierz mi, widziałem tych frontowych reporterów w akcji. Potrafią być jak szakale. Może dokopał się do jakichś niewłaściwych informacji na temat niewłaściwych ludzi i teraz, odkąd kręci z tobą, ty też jesteś na celowniku.

– Nie wydaje mi się – odparła Carrie.

Adam opadł na kolana i mocno ścisnął ją za rękę.

– Proszę – powiedział. – Ja muszę wyzdrowieć. – Z trudem łapał oddech. Emocje odbierały mu głos, a w jego oczach płonęła desperacja.

– Dopóki nie wiem, że to jest całkowicie bezpieczne, po prostu nie mogę tego zrobić. Przykro mi.

– Mam gdzieś wszelkie kretyńskie efekty uboczne! – wrzasnął Adam. Jego wściekłość zaskoczyła Carrie i przeraziła ją. – W tej chwili zgodziłbym się na każdy. – Zerwał się na nogi i zaczął krążyć po pokoju. – Boję się, że kiedy

następnym razem poczuję się tak jak teraz przy Davidzie, nie zdołam się powstrzymać.

– Przepraszam, braciszku. Ale po prostu nie mogę. I nie chcę też, żebyś robił sobie nadzieje na ten zabieg. Musimy skupić się na psychoterapii. Właśnie tego ci trzeba.

Adam ponuro pokiwał głową, kilka razy z rzędu. Bez słowa wyszedł z jej pokoju, ale drzwi zostawił otwarte. Spodziewała się, że je zatrzaśnie.

Głośno wypuściła powietrze i przez chwilę starała się zebrać myśli. Z jednej strony, chciała wierzyć, że operacja nie zaszkodziłaby Adamowi. Że byłoby z nim tak jak z Ramónem lub Terryem Bushmanem czy resztą szczęśliwej czwórki, której DBS umożliwiła powrót do normalnego życia. Z drugiej strony, obawiała się, że brat zniknie bez śladu, tak jak Abington i Fasciani. Dopóki nie wyjaśni tej sprawy, nie ma mowy o zabiegu.

Kilka minut później usłyszała głośny trzask, a po nim brzęk tłuczonego szkła. Zbiegła po schodach i dotarła do holu w tej samej chwili co zaniepokojeni rodzice.

Bez słowa weszła za nimi do salonu. Adam stał na kanapie, by móc dosięgnąć fotografii na ścianie. Na jego twarzy malowała się złość, mroczny wyraz, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. W ręce trzymał potężny młot, pochodzący, jak się zorientowała, z jego skrzynki z narzędziami. Roztrzaskał już jedno zdjęcie, a teraz zamachnął się na drugie, przedstawiające ich oboje w strojach narciarskich, zrobione w Sunday River w stanie Maine. Młot trafił dokładnie w środek i szkło rozprysnęło się na tysiące ostrych odłamków.

Nie wybierał zdjęć przypadkowo. Na każdym z nich widnieli on i Carrie. Zamachnął się znowu, tym razem tłukąc szybkę zdjęcia ich dwójki jako nastolatków z Big Benem w tle. Obuch młotka zrobił wielką dziurę tam, gdzie była głowa Carrie.

– Adam! – krzyknęła Irene. – Co ty robisz? – Opadła na podłogę, zakrywając dłońmi usta, co jednak nie uciszyło jej szlochów.

Howard Bryant odciągnął Carrie. Adam był zaślepiony wściekłością; kto wie, jak by zareagował, gdyby podeszła bliżej?

Adam jeszcze raz cofnął rękę, celując młotkiem w kolejną fotografię, ale zatrzymał się i spojrzał rozdrażniony na matkę.

– Po prostu odpłacam mojej siostrze pięknym za nadobne – odparł. Machnął młotkiem i pokój ponownie wypełnił brzęk tłuczonego szkła.

Rozdział 52

Następnego ranka Carrie siedziała znów za kierownicą matczynego volvo, odbywając rutynową już jazdę z Hopkinton do VA. Adam po swym przerażającym wybuchu wypadł z domu jak burza i tyle go widziano. Carrie nie miała pojęcia, dokąd poszedł. Chwilami obawiała się, że nigdy nie wróci do domu, to znów drżała na myśl, że wróci. Zrozpaczeni rodzice wyszli z domu przed nią, by kontynuować poszukiwania syna.

Howard i Irene martwili się nie tylko o Adama. Uważali, że Carrie nie powinna tak szybko wracać do pracy, ona jednak była uparta. Przecież człowiek, którego policja uznała za emocjonalnie nieźrównoważonego, dobrze uzbrojonego prześladowcę, już nie żył.

Choć jej argumenty brzmiały przekonująco, rzeczywistość dalece odbiegała od jej zapewnień. Jazda do VA upłynęła w napięciu, gdyż Carrie była wciąż w stanie najwyższego pogotowia. Dopóki Goodwin i Trent nie zostaną zwolnieni, pozostawała celem, a DARPA z pewnością miała cały arsenał morderczych środków, których mogła użyć przeciwko niej. Dopóki jednak była między ludźmi, na ulicy albo na korytarzach VA, czuła się względnie bezpiecznie.

Bez względu na to, czy zdawało się to rozsądne czy nie, nie zamierzała skulić się ze strachu, zaszyć w kryjówce ani wynająć uzbrojonego strażnika, żeby pilnował jej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Musiała żyć normalnym życiem, do diabła z lękiem.

A przede wszystkim: miała swoją misję.

Jej poczta głosowa i skrzynka mailowa zalane były wiadomościami od zatroskanych przyjaciół i byłych kolegów, z których wielu usłyszało o jej przygodzie w lokalnych wiadomościach. Dzwonił doktor Finley, ale skierowała to połączenie do poczty głosowej. Podobnie jak jej matka nakłaniał ją, żeby została tego dnia w domu. Odezwała się także jej dawna koleżanka z BCH, Valerie, która zadzwoniła, jadąc rano do pracy. Ich rozmowa była krótka, ale troska Val wzruszyła Carrie. Niegdysiejsze kumpelki umówiły się, że w najbliższych tygodniach wybiorą się razem na drinka i obiad.

- Nie masz zupełnie pojęcia, kim był ten człowiek? – zapytała Val.
- Policja wciąż szuka. Powinni wkrótce go zidentyfikować.
- Cóż, cieszę się, że nic ci się nie stało. I chcę, żebyś wiedziała, Carrie, że

wszystkim tu bardzo cię brakuje. Naprawdę.

Oczy Carrie zaszyły łzami, ale się nie rozpląkała. Nie chciała jeszcze bardziej niepokoić przyjaciółki.

– Radzę sobie dobrze – stwierdziła. – Naprawdę.

Val nie byłaby sobą, gdyby nie zadała pytania:

– Masz z kim porozmawiać?

– Chodzi ci o jakiegoś terapeutę? – zapytała Carrie.

– No, niezupełnie.

– Ach, to.

– Uwierz mi, że to by ci pomogło.

Carrie roześmiała się.

– Tak, mam z kim porozmawiać.

– Fajnie. Opowiedz mi o nim.

– Kto powiedział, że to on?

– Niech będzie kobieta – odparła drwiąco Val. – Mnie to bez różnicy. Ale jestem pewna, że nie rozmawiamy tu o pluszowym zwierzątku, kochanie. Opowiesz mi wszystko dokładnie, kiedy się zobaczymy. I dbaj o siebie, Carrie. Poważnie.

– Obiecuję.

Gdy rozłączyła się z Val, samochód przed nią, bez żadnego sygnału, raptownie zmienił pas. Carrie musiała ostro wdepnąć hamulec, by uniknąć kolizji. Wcisnęła klakson i wymamrotała pod nosem stek przekleństw, które wprawilyby w osłupienie jej matkę.

Manewr tamtego kierowcy nie był niczym niezwykłym w godzinach szczytu i Carrie była zaskoczona własnym wybuchem. To z powodu stresu, uznała, i w tym momencie wybaczyła Adamowi wszystko. Jego gniew, zwrócony przeciwko niej i Davidowi, wynikał z ciągłego napięcia. Poznawszy na własnej skórze, czym jest skrajny stres, mogła lepiej zrozumieć zmienność nastrojów brata. Zadzwoiła do rodziców, by się dowiedzieć, jak idą poszukiwania, i usłyszała, że nie udało im się odnaleźć Adama. Zamierzali szukać go dalej, kiedy wrócą z pracy. Carrie wątpiła, czy im się powiedzie. Coś w ostatniej tyradzie Adama kazało jej sądzić, że już nigdy nie zobaczy swego brata.

Zachowując wzmożoną czujność, lawirowała wśród porannych korków. W pewnym momencie, spoglądając w lusterko wsteczne, zauważyła o kilka samochodów za sobą czerwone camaro, takie samo jak Adama. Oczywiście to było niemożliwe. Gdyby Adamowi udało się odpalić ten wóz, widzieliby po jego stronie garażu istne święto lasu. Z ciekawości próbowała dojrzeć kierowcę, jednak samochód był za daleko, by mogła cokolwiek wypatrzeć.

Sfrustrowana tempem jazdy skręciła na najbliższym zjeździe, nie na tym co zwykle. Niewiele później camaro znów pojawiło się w jej wstecznym lusterku. Opadły ją złe przeczucia, tak jak w parku, kiedy wystraszył ją jej niedoszły morderca. Przecznicę dalej camaro skręciło jednak w boczną ulicę; zniknęło, tak po prostu.

Niepokojące uczucia – strach i paranoja, przeczucie, że lada chwila stanie się coś strasznego, zgroza, która dyszała jej w kark – nie opuszczały jej przez całą drogę do VA i podążyły za nią do budynku.

Carrie przygotowała się psychicznie na falę zainteresowania, która nie nadeszła. Nawet w ruchliwym holu głównym nikt nie zwrócił na nią uwagi. W pewnym sensie owa cisza była brutalnym przypomnieniem jej niskiego statusu w szpitalu. Chociaż jej twarz pokazywano w telewizji, tutaj prawie nikt jej nie znał. Przynależała do szarej strefy między etatowym pracownikiem a najemną siłą roboczą. Przy głównym wejściu mignęła ochroniarzowi przed nosem swym identyfikatorem i weszła bez fanfar.

Witaj znów w dżungli; miło, że przyszłaś.

Poranna krzątania wydawała się najzupełniej zwyczajna, co paradoksalnie czyniło ją odrobinę niesamowitą. Nie licząc wzmożonej obecności policji VA, Carrie nie widziała żadnych taśm zabezpieczających, żadnych zagrodzonych stref. Dowody, jak powiedział detektyw Kowalski, zostały zebrane, udokumentowane i sfotografowane w minionych godzinach. Życie w VA, wedle wszelkich pozorów, wróciło do normy.

Plan Carrie na ten dzień był prosty. Nie mając w grafiku żadnego zabiegu, zamierzała przejrzeć karty pacjentów doktora Finleya i zacząć gromadzić dowody. Instynktom Davida można było ufać. Czy inni weterani zniknęli tak jak Abington i Fasciani? Jeśli Goodwin chciała ukryć skutek uboczny w rodzaju palinakuzji, pierwszym krokiem byłoby usunięcie tych pacjentów z oddziału neurologii, gdzie rezydenci byli wyczuleni na oznaki zaburzeń poznawczych.

Carrie zjawiała się w gabinecie doktora Finleya z dwoma kubkami kawy, ale kiedy otworzyła zamknięte drzwi, zastała w środku trzy osoby. Na niewygodnych metalowych krzesłach przed biurkiem Finleya siedzieli Sandra Goodwin i Evan Navarro.

Jej oczy zwęziły się, kiedy utkwiała wzrok w Goodwin. Z trudem powstrzymała się, by nie krzyknąć: *Czy próbowałaś mnie zabić?* Taki wybuch mógł dać jej satysfakcję, wiedziała jednak, że nie przyniósłby żadnej korzyści. Liczyło się jedynie zdobycie dowodu na nieuczciwe poczynania tej kobiety. To wymagało taktu, nie brutalnej siły.

Goodwin i Navarro sprawiali wrażenie poirytowanych jej wtargnięciem; nie okazali jej najmniejszego śladu współczucia. Na twarzy Finleya za to odmalowała się głęboka troska, co sprawiło, że Carrie poczuła w gardle grudę wielkości orzecha włoskiego. Bynajmniej nie krył olbrzymiej ulgi.

Carrie podała mu kawę, którą dla niego kupiła.

– Wiem, że to nie jest Starbucks, ale to najlepsze, co tu mamy.

– Niesamowite, że w ogóle byłeś w stanie o mnie pomyśleć – odparł Finley. Przyjął napój z uśmiechem wdzięczności. Stał wciąż po stronie swojej pracownicy.

– Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłam. – Carrie spojrzała na Goodwin i Navarra.

– Tak się składa, że rozmawialiśmy właśnie o pani. – Ton głosu Goodwin ochłodził temperaturę w pokoju o kilka stopni.

– Och...?

– Omawialiśmy program DBS – dodał Navarro.

Carrie poczuła się niemile zdumiona tym brakiem empatii.

– Cóż, na wypadek gdybyście z Sandrą byli ciekawi, mam się świetnie – powiedziała. – Dziękuję za życzliwe zainteresowanie.

– Cieszę się bardzo – zareplikowała Goodwin bez cienia radości w głosie. – Ale moim głównym zmartwieniem, jak właśnie wyjaśniałam Alistairowi, jest kontynuacja zabiegów DBS w świetle pani incydentu.

– Zakładam, że przez „incydent” rozumie pani próbę zamordowania mnie. – Carrie poczuła, jak oblewa ją fala gorąca. Potrzebowała całej siły woli, by nie naskoczyć na Goodwin jak Adam na Davida.

– Jestem zdania, że z powodu urazu, jakiego pani doznała, jest pani zagrożeniem dla pacjentów i dla programu.

– O ile mi wiadomo, nie zostałam zastrzelona na śmierć – odparowała Carrie. Widziała, do czego zmierza ta rozmowa, i ani trochę jej się to nie podobało.

– Wprawdzie nie odniosła pani fizycznych obrażeń – Goodwin nie spuszczała z tonu – ale pani stan psychiczny jest w najlepszym razie wątpliwy. Evan zapoznał się z zabiegami DBS i myślę, że chętnie przejmie pani obowiązki, dopóki specjalista od zdrowia psychicznego nie dopuści panią do operowania.

– Evan? – Carrie nie zdołała ukryć niedowierzania. – To dlatego przyszedł na salę operacyjną? Żeby się przyjrzeć, jak pracuję? Niezły podstęp, Sandro. Dobrze odegrany.

– Nie podobają mi się twoje insynuacje, Carrie – odezwał się Navarro.

– Nie podoba mi się, że odbierasz mi pracę – warknęła w odpowiedzi Carrie.

– To tylko tymczasowe rozwiązanie – wtrącił Finley pojednawczym tonem.

Carrie zmarszczyła brwi.

– Nie jesteś chyba po ich stronie, prawda, Alistair?

– Nie – odparł Finley. – Nie jestem. Ale problem tkwi w czymś innym.

Sandra uśmiechnęła się lodowato.

– Powiedziałam Alistairowi, że jeśli Evan pani nie zastąpi, pójdę do zarządu z oficjalną skargą na panią za dezorganizowanie pracy oddziału przez wtrącanie się do opieki nad pacjentami. Biorąc pod uwagę wszystkie kontrole, jakim poddawane jest ostatnio VA, na pewno może pani sobie wyobrazić, jakie niezadowolenie to wywoła.

– Oni zmuszą mnie, żebym cię zwolnił, Carrie – dodał pokonanym głosem Finley.

– A Evan przejmie pani obowiązki tak czy inaczej. Więc naprawdę, Carrie, nie ma pani wyboru w tej sprawie.

– Kiedy jest następna operacja? – zapytała Carrie.

– Pojutrze – odparł Navarro.

Carrie rzuciła Finleyowi przerażone spojrzenie.

– Czy to pacjent z PTSD? – zapytała.

– Tak – potwierdził Navarro. – Ale nie martw się. Jestem gotowy i wszystko pójdzie jak z płatka.

Finley odchrząknął i Carrie zorientowała się, że jest zakłopotany.

– Carrie, doktor Goodwin życzy sobie, żebyś została w domu, dopóki stan zdrowia nie pozwoli ci znów operować.

– Widziałam, jak lubi pani wtrącać się do moich procedur. Nie zamierzam dawać pani kolejnej okazji i ryzykować, że będzie pani wpychać się tam, gdzie nikt nie potrzebuje pani usług.

– Alistair, nie mogę uwierzyć, że na to pozwalasz – oburzyła się Carrie. – Navarro nie ma pojęcia o DBS.

– Spójrz na to w ten sposób, Carrie – odparł Finley. – Nie mam wyboru. Tak to już jest w VA. To jest wojsko i wszyscy, ze mną włącznie, muszą słuchać rozkazów. Navarro ma oficjalny tytuł doktora medycyny i z punktu widzenia VA oznacza to, że może robić wszystko, od operacji na otwartym sercu po odebranie porodu, jeśli VA tego zażąda.

– Stanowczo protestuję – oświadczyła Carrie. – Jak możesz czuć się komfortowo przy kimś, kto może okazać się zupełnie niekompetentny?

– O ile sobie przypominam, Carrie – wtrącił Navarro – ty też nie miałaś żadnego doświadczenia, kiedy tu trafiłaś.

– Jeśli teraz zrobisz sobie wolne, mogę włączyć cię z powrotem do zespołu – wyjaśnił Finley. – Na stałe, jeżeli zechcesz. Jeśli nie, Sandra zwróci się do zarządu, a wtedy twój status tutaj nie będzie już zależał ode mnie.

Carrie bezwładnie opuściła ręce.

– Jaki mam wybór? – zapytała.

Goodwin wstała.

– Żadnego – skwitowała.

Rozdział 53

Carrie z wściekłą miną oparła się o ścianę przed gabinetem Finleya. Ręce spłótła ciasno na piersi i czekała, aż Goodwin i Navarro pójdą. Przy wyjściu Navarro rzucił jej z ukosa lizusowskie spojrzenie, od którego ponownie krew się w niej zagotowała. Ale jej prawdziwy gniew był zarezerwowany dla Goodwin, która nie raczyła spojrzeć jej w oczy.

Jesteś zaskoczona, że wciąż żyję? – chciała wykrzyknąć Carrie.

Goodwin nie mogła być jednak zupełnie nieusatysfakcjonowana. Zagrała dwukrotnie tą samą kartą, ale tym razem z lepszym skutkiem.

Gdy tylko ta dwójka znalazła się poza zasięgiem wzroku, Carrie wparowała z powrotem do gabinetu szefa.

– Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłeś Goodwin zrobić mi coś takiego – warknęła, zamykając za sobą drzwi.

Finley, siedzący za biurkiem, wyglądał na kompletnie przytłoczonego. Westchnął głośno i przeczesał palcami zmierzwioną czuprynę.

– Możemy chwilowo ustąpić i przegrupować się później albo Goodwin na dobre położy kres twojej karierze – wyjaśniał. – Zszarga ci reputację tak, że nikt nie przyjmie cię na rezydenturę, a wątpię, czy trafisz na sytuację taką jak ta w jakimś innym szpitalu. Pomyśl o tym, co jest najlepsze dla twojej kariery tutaj, Carrie. Zrób sobie wolne. Niech kurz opadnie i miejmy nadzieję, że zwycięży rozsądek. Musimy chronić program za wszelką cenę.

Choć przykro jej było to słyszeć, Carrie nie była zbyt zaskoczona jego postawą. Z jego punktu widzenia wszelkie zagrożenie dla programu musiało zostać zneutralizowane. Dołożył starań, by zatrudnić ją w dość niekonwencjonalny sposób, aby uniknąć znaczących opóźnień po wypadku Rockwella. Był gotów zrobić wszystko, co konieczne, by utrzymać ciągłość zabiegów.

– A skoro mowa o programie, czy wiedziałeś, że Bob Richardson pracuje dla CerebroMed?

Czoło Finleya zmarszczyło się. Sprawiał wrażenie nieco skonsternowanego.

– Nie miałem okazji poznać Richardсона przed twoją prezentacją. Ale nie jestem aż tak bardzo zaskoczony.

– Nie? Dlaczego?

– DARPA korzysta z ich usług.

– DARPA zawarła kontrakt z CerebroMed? – zdziwiła się Carrie. – Zajmujemy się głęboką stymulacją mózgu, Alistair, nie lekami neurologicznymi.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – odparł Finley. – Cal Trent powiedział mi, że CerebroMed opracowuje oprogramowanie do badania i odtwarzania traumatycznych wydarzeń. DARPA współpracuje z nimi, ale to wszystko, co wiem. To część programu VR, tak więc właściwie wykracza poza mój zakres kompetencji. A swoją drogą, skąd o tym wiesz?

Carrie zbyła to pytanie wzruszeniem ramion. Nie było sensu dyskutować. Zorientowała się, że straciła głównego sojusznika. Ten program był największą miłością Finleya i znaczył dla niego więcej niż prawda o Goodwin. Było to najzupełniej jasne. Dopóki nie będzie mogła przedstawić mu niezbitych dowodów, on zawsze znajdzie logiczne wytłumaczenie każdego z jej podejrzeń.

– No cóż, mogę chociaż przejrzeć raporty, o które prosiłam? – zapytała.

– Tak, oczywiście.

Finley wręczył jej wielki stos papierów.

Przewertowała je pobieżnie.

– To są raporty neurologiczne – zauważyła.

– Tak.

– Ja szukam konkretnie powikłań pooperacyjnych.

Finley skrzywił się lekko.

– Obawiam się, że to wymagałoby zgody doktor Goodwin.

Carrie uśmiechnęła się tylko i przycisnęła raporty Finleya do piersi.

– Skoro tak, to nie ma sprawy – powiedziała. – Zadowolę się tym, co mam.

Carrie wróciła do swojego pokoju. Położyła dokumenty na biurku. Z torebki wydobyła identyfikator i hasło Evana Navarra. Miała je zapisane na tym samym świstku, co numer telefonu centrali VA, który zanotowała w noc, kiedy zniknął Eric Fasciani. Jej może i nie było wolno przeglądać danych medycznych pacjentów po zabiegach DBS, którzy trafili na salę pooperacyjną, ale Navarro miał do tego prawo.

Elektroniczny system rejestracji danych medycznych, Veterans Health Information Systems and Technology Architecture, w skrócie nazywany VistA, oferował różnorodne specjalistyczne aplikacje, w tym komputerowe karty pacjentów. System ten, jeden z największych w Stanach Zjednoczonych, zawierał dokumentację medyczną przeszło ośmiu milionów weteranów, a także dane osobowe setek tysięcy pielęgniarzy, lekarzy i chirurgów. Carrie interesowało jedynie kilku pacjentów, szczególnie weteranów, takich jak Abington i Fasciani, którzy przeszli zabieg DBS w ramach walki z objawami zespołu stresu pourazowego.

Uruchomiła program VistA i wprowadziła w oknie logowania identyfikator Navarra. Rozgryzienie systemu zajęło jej niemal pół godziny, ale ostatecznie połąpała się w jego obsłudze. Był odmienny niż ten, jakiego używano w BCH, jednak wystarczająco intuicyjny, by udało jej się odszukać nazwisko Steve'a Abingtona. Parę kliknięć później dotarła do historii choroby, rozpisanej szczegółowo w Komputerowej Karcie Pacjenta dostępnej w graficznym interfejsie użytkownika pod skrótem KKP.

Arytmia Steve'a Abingtona była odnotowana jako „nieaktywna”, ale Carrie mogła zobaczyć datę rozpoczęcia, ostatnią aktualizację i lokalizację tego incydentu – salę pooperacyjną oddziału neurologii. Aplikacja nie mówiła nic na temat przeniesienia Abingtona na OIOM, przypuszczalnie dlatego, że Navarro nie miał uprawnień dostępu do tej części dokumentacji. Był neurochirurgiem i wyglądało na to, że mury, jakie Goodwin wzniosła między swoim oddziałem a resztą VA, obejmowały również to oprogramowanie. Nieważne. Na karcie Abingtona Carrie odnalazła szpitalny kod zabiegu DBS i użyła go do wyszukania wszystkich pacjentów, którzy przeszli tę operację w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy.

Pojawiła się lista. Niektóre nazwiska były znajome: Steve Abington, Eric Fasciani, Don McCall, Ramón Hernandez, Gerald Wright i Terry Bushman. Inne Carrie widziała po raz pierwszy. Na podstawie tego, czy byli w pełni znieczuleni podczas zabiegu czy nie, bez trudu odróżniła pacjentów leczonych z powodu zaburzeń ruchowych od tych z PTSD.

Na kartce papieru narysowała dwukolumnową tabelkę i wypełniła ją informacjami z karty Abingtona. Zignorowała szczegóły, takie jak terminy kolejnych wizyt, ostatnie wyniki badań laboratoryjnych, robocze uwagi czy przyjmowane leki, skupiając się wyłącznie na istotnych dolegliwościach, które mogły spowodować przeniesienie pacjenta na inny oddział.

Zaczęła od pacjentów, których знаła, i parę minut później miała listę czterech nazwisk, w tym jedno z medycznym powikłaniem po zabiegu DBS.

Nazwisko pacjenta	Lista problemów
Abington, Steve	Częstoskurcz komorowy
Hernandez, Ramón	Nic
Fasciani, Eric	Nic
Bushman, Terry	Nic

Następnym pacjentem, którego dane przejrziała, był Jim Caldwell. Według dokumentacji operował go Sam Rockwell. Siedem godzin po zabiegu spadło mu stężenie glukozy we krwi. Carrie nie mogła sprawdzić w systemie VistA, czy Jim pozostał na oddziale neurologii, mogła jednak dodać do swej rosnącej tabelki kolejny wiersz.

Nazwisko pacjenta	Lista problemów
Caldwell, Jim	Hipoglikemia

Proces ten trwał kilka godzin. Carrie przeglądała dane każdego weterana, który trafił do VA za pośrednictwem programu DARP-y, by wyleczyć się z PTSD. Ogółem dwadzieścia nazwisk.

Na tym etapie miała oczy jak papier ścierny. Ale jej umysł pracował na najwyższych obrotach, a całe ciało pulsowało intensywną energią jak jeszcze nigdy dotąd. Wpatrywała się w listę z całkowitym niedowierzaniem. Spośród wszystkich dwudziestu pacjentów piętnastu miało powikłania, z czego jedenaście nie było typowymi komplikacjami dla takiego zabiegu.

Sporządziła drugą tabelkę, w której zebrała swoje odkrycia.

Powikłanie	Liczba przypadków
Arytmia	4
Hipoglikemia	3
Hipotensja	4
Silne nudności	2
Zaburzenia widzenia, nieokreślone	2
Brak powikłań	5

Ograniczone uprawnienia dostępu Navarra nie pozwoliły jej sprawdzić, co stało się z każdym z pacjentów po wystąpieniu powikłań, przypuszczała jednak, że wielu z nich zostało przeniesionych na OIOM albo na inny oddział intensywnego nadzoru w obrębie szpitala. Nie była pewna, jakie jest ryzyko powikłań pooperacyjnych dla zabiegów DBS, ale wiedziała, że nie wynosi ono 75 procent.

To do Goodwin należało zwrócić uwagę doktora Finleya na te astronomiczne

liczby – czego, rzecz jasna, nie zrobiłaby, gdyby jej zamiarem było ich ukrycie. Przy tak głęboko wpojonej zasadzie „psychologii”, usuwając pacjentów z oddziału, sprawiała, że ci ludzie właściwie znikali.

Carrie próbowała odgadnąć przyczyny tych powikłań. Potas z pewnością mógł wywołać arytmie, a insulina oczywiście powodowała spadek stężenia glukozy we krwi. Za nagły spadek ciśnienia krwi mogły odpowiadać beta-blokery, ale Carrie знаła kilka leków, które powodowały hipotensję.

U pięciu pacjentów zabieg nie spowodował, jak się zdawało, żadnych skutków ubocznych, ale w tej liczbie był Eric Fasciani, który jakimś cudem przezwyciężył wpływ diazepamu, by wypisać się na własne żądanie. Dwóch z pozostałych czterech weteranów, Ramóna Hernandeza i Terry’ego Bushmana, Carrie znała. Pozostali dwaj musieli być wspomnianymi przez Finleya pacjentami o wynikach podobnych do Bushmana i Hernandeza.

Carrie wróciła myślami do nocy, kiedy zniknął Fasciani, i przypomniała sobie, że na oddziale dyżurował wtedy tylko jeden pielęgniarz – ten sam człowiek, którego, jak sądziła, rozpoznała na zdjęciu w domu Rity Abington. Jeśli pielęgniarz Taggart uczestniczył w spisku, Fasciani mógł zostać usunięty z oddziału bez konieczności wywoływania jakichś powikłań medycznych.

Wyciągnęła telefon, żeby zadzwonić do Davida, usiłując stłumić wściekły gniew krążący jej w żyłach.

David odebrał po drugim dzwonku.

– Masz wciąż ten tymczasowy identyfikator na Michaela Stephena? – zapytała.

– I witam cię, moja droga – odezwał się promiennym głosem David. – Martwiłem się o ciebie cały dzień. Jak się miewasz?

– Nie mam czasu na pogawędkę. Muszę wiedzieć, czy wciąż masz tę plakietkę.

– Mam ją. Dlaczego?

– Bo ja jestem teraz persona non grata na oddziale neurologicznym i w ogóle w VA, ale ty nie.

– I co, wytłumacz mi, proszę, miałbym robić na oddziale neurologicznym?

– Pomożesz mi odkryć, co się stanie po zabiegu z pierwszym pacjentem DBS Evana Navarra.

Rozdział 54

Tymczasowy identyfikator Davida był ważny przez miesiąc, dziennikarz więc wszedł do VA bez najmniejszych kłopotów. Miał na sobie swoje łatwe do włożenia i zdjęcia przebranie – strój chirurgiczny i płócienne tenisówki – i najzwyczajniej w świecie wtopił się w tutejszy personel.

Do tej pory, jak zgadywał, Carrie powinna już siedzieć w samochodzie na parkingu za szpitalem, obserwując tył budynku. Wrócił myślami do ich spotkania sprzed zaledwie paru godzin w Java du Jour. Choć minął raptem jeden dzień, odkąd widział ją ostatnio, podczas wizyty popsutej przez tę niemiłą konfrontację z Adamem, miał wrażenie, że były to tygodnie. Pochłaniał ją wzrokiem i mimo jej zdenerwowania i ponurej miny był szczęśliwy, że znów jest w jej towarzystwie.

Zamówili cappuccino i omówili plan; tak jak poprzednio ich napoje zdążyły wystygnąć. Carrie straciła wprawdzie dostęp do sali operacyjnej, ale wciąż mogła zajrzeć do grafiku zabiegów. Znalazła tam nazwisko pierwszego pacjenta Navarra: Garrett McGhee.

David zaproponował podejście obserwacyjne. Carrie uznała je za sensowne, nie wiedziała bowiem, co się dzieje z pacjentami, gdy opuszczają salę pooperacyjną oddziału neurologii. Czy trafiają w ogóle na jakiś inny oddział?

– Myślę, że zostali przeniesieni – powiedziała. – Doktor Finley pokazał mi wpisy z OIOM-u w dokumentacji Abingtona.

– Ale to było po tym, jak poszłaś go tam szukać. – David nie był przekonany.

– No i?

– Może on wcale tam nie dotarł.

– Jeśli się nad tym zastanowić, kiedy tam byłam, pielęgniarka na OIOM-ie nie mogła go odszukać, ale sądziłam, że chodzi o jakiś problem z systemem rejestrującym. Czy powinniśmy zainstalować kamery monitorujące w pokoju McGhee?

David pokręcił głową.

– Byłyby łatwe do wykrycia. Uważam, że powinniśmy wyjaśnić, co się dzieje, *jeśli* faktycznie coś się dzieje, zobaczyć to na własne oczy, a potem wymyślimy, jak zdobyć dowód, którego potrzebujemy.

Carrie objęła się mocno rękoma, jak gdyby zdjął ją nagły dreszcz.

– To są mordercy, David. Jestem chora ze strachu. Nie wiem, czy dam radę to

zrobić.

– Boję się tak samo jak ty – odparł. – I wycofam się, ale tylko jeśli tego chcesz. Jej mina mówiła jasno, że to nie wchodzi w grę.

– Nigdy w życiu nie chciałam bardziej się mylić co do czegokolwiek – powiedziała.

– Statystyki nie kłamią – stwierdził David. – Zgodnie z tym, co odkryłaś, mamy siedemdziesiąt pięć procent szans na udowodnienie, że masz rację.

Wędrował korytarzami VA, starając się sprawiać wrażenie, że nie jest tu obcy. Często zaglądał do bufetu i do toalety, żeby zabić czas do przyjścia następnej zmiany. Jednocześnie pozostawał w ciągłym kontakcie z Carrie za pośrednictwem radiotelefonów Motoroli, które kupił w Wal-Marcie za sześćdziesiąt dolców.

Teraz, pół godziny przed rozpoczęciem akcji, Carrie zaprzętała jego myśli nie mniej niż sama misja. Wśliznął się do pustego, cichego pomieszczenia i przyłożył krótkofalówkę do ust.

– Kontrola naziemna do majora Toma. Słyszysz mnie, majorze Tom?

Rozległy się trzaski, a po nich głos Carrie:

– To wcale nie jest śmieszne.

– Wydawało mi się zabawne – powiedział.

– Co się dzieje? Gdzie jesteś?

– Wkrótce przychodzi nowa zmiana. Przygotowuję się do zajęcia pozycji. Chciałem po prostu usłyszeć twój głos, zanim pójde.

– Bądź ostrożny, Davidzie – upomniała go Carrie. – Nie wiem, co może się zdarzyć.

– Ostrożność to moje drugie imię – odparł.

– Mówiłeś mi chyba, że Charles.

Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

– Rany, masz pamięć jak kasa pancerna.

Wyobraził sobie jej uśmiech i sprawiło mu to radość.

– Po prostu uważaj – powtórzyła. – Daj mi znać, kiedy będziesz na stanowisku.

Za kwadrans trzecia David skierował się w stronę sali pooperacyjnej oddziału neurologii. Według informacji Carrie na sali leżało już kilku pacjentów po innych zabiegach, ale Garretta McGhee należało się spodziewać nie wcześniej niż za parę godzin. W tej chwili Navarro wciąż wykonywał pracę, która kiedyś należała do Carrie, a doktor Finley był na sali operacyjnej wraz z nim, kierując każdym jego ruchem.

Kiedy przybył, dwuskrzydłowe drzwi sali były zamknięte, ale nie chciał korzystać z interkomu. Wyciągnął smartfona i udawał, że rozmawia, czekając, aż pojawi się następna zmiana. Powstanie wtedy niewielkie zamieszanie, które

pozwole mu niepostrzeżenie wśliznąć się do środka.

Pięć minut przed trzecią nowa ekipa wyszła całą grupą z windy, rozmawiając głośno. Drzwi otworzyły się od środka i David wszedł w ślad za resztą. Ruszył śmiało korytarzem. Miał wprawę w stwarzaniu pozorów, że jest najzupełniej legalnie w miejscach, gdzie nie powinno go być, i rozglądając się ukradkiem, nie odniósł wrażenia, by ktokolwiek zwrócił na niego szczególną uwagę.

Szybko odnalazł boks z nazwiskiem McGhee zapisanym na białej tablicy – rezerwacja, jakiej nikt by sobie nie życzył. Wewnątrz znajdowało się regulowane szpitalne łóżko oraz masa sprzętu medycznego, którego nie potrafił nawet nazwać. Szklane ścianki nie dawały mu żadnej osłony, na szczęście jednak boks nie był bezpośrednio widoczny ze stanowiska pielęgniarek.

Na wszelki wypadek zasunął cienką zasłonkę, by zyskać nieco prywatności, i wśliznął się do szafy na ubrania, ustawionej pod ścianą naprzeciw łóżka. Zamknął drzwi i pogrążył się w ciemnościach. Wąska szpara w drzwiach szafy zapewniała jedynie odrobinę światła.

Miejsca było tak mało, że ledwo mógł się poruszyć, i już teraz drżał na myśl o długich godzinach, które tu spędzi, czekając, aż przywiozą Garretta McGhee. Po mniej więcej pięciu minutach zaczęły drętwieć mu nogi, wyjął więc radiotelefon z kieszeni spodni, przywarł plecami do jednej z bocznych ścianek i usiadł na podłodze szafy. By skurczyć się jeszcze bardziej, objął rękami kolana, którymi dotykał niemal brody, ale przynajmniej mógł utrzymać tę pozycję przez jakiś czas, medytując, jeśli zajdzie taka potrzeba. Przysunął krótkofalówkę do ust i wywołał Carrie.

– Jestem w szafie na sali pooperacyjnej – powiedział. Na czas jej odpowiedzi zmniejszył głośność.

– Okej, ja jestem na zewnątrz i obserwuję tylne wejście. Będę czekać na sygnał od ciebie.

– Przyjąłem. Bez odbioru, czy co tam powinno się powiedzieć.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, podczas której David marzył o tym, by móc jeszcze raz usłyszeć głos Carrie. Moment później radio znów zatrzeszczało.

– Dziękuję, David. Naprawdę. Dziękuję ci za wszystko.

– Przyjąłem, bez odbioru – odparł.

I tyle mu wystarczyło.

Nuda.

Ściany kryjówki Davida wykonane były z cienkiej płyty wiórowej, tak więc spędzał czas, przysłuchując się rozmowom pielęgniarek albo licząc piski maszyny, która w danym momencie była najgłośniejsza. Aseptyczny szpitalny zapach, ta

mdląca woń czystości, zaczynał go drażnić, w dodatku w ciasnym wnętrzu zrobiło się nieznośnie duszno, a szpara w drzwiach zapewniała tylko niewielki dopływ świeżego powietrza. Kontaktował się z Carrie dobre kilkanaście razy, ale teraz musiał być cicho, ponieważ McGhee mógł zostać przywieziony lada chwila.

Bateria jego telefonu wyczerpywała się, jednak na podstawie pory ostatniej rozmowy z Carrie zgadywał, że dochodzi siódma. Cztery godziny zwinięty jak precel w szafie – chyba zaczynało mu to już wchodzić w nawyk. Cały był obolały, a rwanie w kolanach z nieprzyjemnego stało się mocno dokuczliwe. Mógł przynajmniej wyciągnąć ręce nad głowę, a to zmniejszało nieco ból. Zastanawiał się, kiedy – czy – McGhee w końcu tu dotrze.

Minuty mijały niemiłosiernie wolno. Upłynęła być może kolejna godzina. A jeśli wystąpiły jakieś powikłania? Jeśli McGhee zmarł podczas zabiegu? Navarro mógł być nie tylko krętaczem, ale i kiepskim chirurgiem. W którejś z długiego ciągu jednakowych chwil David poczuł narastające parcie na pęcherz.

– No pięknie – mruknął.

Wytrzymam, pomyślał najpierw.

Lepiej, żeby McGhee dotarł tu szybko, było następną rzeczą, jaka przemknęła mu przez głowę.

Minęła minuta, potem druga, i David nie mógł myśleć o niczym poza siusianiem. Kiedy parcie stało się w końcu zbyt silne, otworzył drzwi szafy i wytarabanił się na zewnątrz niczym Blaszący Drwal przed naoliwieniem. Zasłonka dość dobrze ukrywała go przed spojrzzeniami, kiedy załatwiał się do kaczki sanitarnej. Przemienne uczucie ulgi objęło również jego ręce i nogi, i z najwyższą niechęcią myślał o powrocie do ciasnej szafy. Nagle jednak usłyszał pisk kółek toczącego się wózka.

Pospiesznie wgramolił się do szafy i zamknął drzwi na parę sekund przed tym, jak wózek wjechał do pokoju. Kaczka ledwo mieściła mu się pod nogami, ale nie mógł pozwolić, by pielęgniarki znalazły ją na pół wypełnioną jego moczem. Słyszał krzątanie i rozmowy podczas przenoszenia pacjenta, którym, jak przypuszczał, był McGhee, z wózka na łóżko. Dwie pielęgniarki niespiesznie sprawdziły jego parametry życiowe i podłączyły kroplówkę.

Teraz zaczęło się wyczekiwanie i z każdą mijającą minutą, z każdą bolesną godziną David był coraz bardziej znużony. Jeśli nic się nie stanie – a statystycznie istniała dwudziestopięcioprocentowa możliwość, że tak właśnie będzie – znajdzie sposób, żeby wymknąć się z boksu, wrócić do Carrie i ogłosić fiasko misji. Umysł miał przytępiony od beczynności i czekania.

Pielęgniarki wchodziły i wychodziły. Żartowały między sobą, dało się jednak wyczuć ich ogromną kompetencję i głęboką troskę o pacjentów. David nie

zamierzał oceniać ich pielęgniarских umiejętności. Czekał na powikłanie.

Musiała być jedenasta w nocy, ponieważ przybyła kolejna zmiana. Usłyszał, jak rozmawiają na temat leków, zabiegów i tak dalej. Jakaś lekarka zajrzała do boksu i przebadła pacjenta, ale trwało to krótko.

Trzydzieści minut po rozpoczęciu nocnej zmiany – tak w każdym razie to oceniał – David usłyszał, jak ktoś wchodzi do pokoju. Było to dziwne, ponieważ nowa pielęgniarka dyżurna dopiero co zajrzała do McGhee. Mięśnie karku miał tak napięte, że obawiał się, iż mogą trzasnąć, mimo to jednak obrócił głowę, by wyrzecz przez szparę w drzwiach szafy. Dostrzegł jakiś kształt, sylwetkę ciemnoskórego mężczyzny nachylającego się nad łóżkiem pacjenta.

– Jak się dziś czujemy, Garrett? – zapytał pielęgniarz, zerkając do notatnika.

David przyglądał się, jak pielęgniarz wyciąga coś z kieszeni swego uniformu. Zmrużywszy oczy, rozpoznał strzykawkę. Pielęgniarz wprowadził igłę do wenflonu. Przez kilka minut nic się nie działo, aż w końcu mężczyzna powiedział:

– Otwórz oczy, Garrett. Dałem ci lek, po którym powinieneś być mniej przymulony... dobrze... naprawdę dobrze. Słyszysz mój głos?

McGhee jęknął, po czym wymamrotał niemal karykaturalnie wolno:

– Tak, tak, przestań to mówić. Przestań.

– O, świetnie – powiedział pielęgniarz. – Dam ci trochę czegoś innego.

– Trochę czegoś innego... czegoś innego... czegoś innego... – powtarzał McGhee jakby w otępieniu, ale wymawiał słowa wyraźnie, w pełni zrozumiale.

David pomyślał natychmiast o złudzeniu słuchowym, palinakuzji, które tak trafnie opisała Carrie. McGhee zachowywał się dokładnie według jej opisu. Wciąż zerkając przez szparę w szafie, David przyglądał się, jak pielęgniarz wstrzykuje do wenflonu McGhee inny płyn, a chwilę później wyjmuje smartfona i dzwoni do kogoś.

– Za dwadzieścia minut przy tylnym wejściu – powiedział. – Trzymaj furgonetkę na chodzie. To pójdzie szybko.

David był w euforii. W końcu zdobyli dowód, że Carrie miała rację. Działo się tutaj coś bardzo niedobrego, nawet jeśli nie miał pojęcia, co właściwie spowodowało złudzenia słuchowe ani dokąd ten pielęgniarz zabiera McGhee, ani jaki los czeka go, kiedy tam dotrze, ani czemu to wszystko służy. Carrie obserwowała w tej chwili tylne wejście i musiał ją ostrzec, że może się znaleźć w kłopotach.

Rozdział 55

Godziny bezczynności sprawiły, że trudno było ignorować stale obecny strach. Dały też Carrie mnóstwo czasu na rozmyślanie o Adamie. Nikt nie miał o nim żadnych wieści od czasu, kiedy wściekły wybiegł z domu. Rodzice naturalnie wciąż się martwili i zamierzali nawet odwołać swe plany na wieczór, żeby czekać na jego powrót, ale Carrie nakłoniła ich do wyjścia. Jeśli Adam zamierza wrócić, zrobi to, kiedy poczuje się gotowy, powiedziała.

Gdyby nawet Adam zjawił się w domu, nie miałyby o tym pojęcia, bo wyszła zaraz po rodzicach. Telefon trzymała w torebce i nie włączała radia w obawie, że może przegapić coś istotnego, jeśli cokolwiek odwróci jej uwagę. Ale nie działo się zupełnie nic, mogła więc do woli się zamartwiać i roztrząsać wątpliwe aspekty tej misji. Czy u McGhee naprawdę zostanie wywołane jakieś powikłanie? Trafi na inny oddział czy zniknie ze szpitala? Czy sprowadzą go z powrotem? A jeśli tak, to kiedy?

Sam plan był trochę „dziadowski”, jak powiedziała Davidowi, co kłóciło się z jej etosem porządku i planowania. Z drugiej strony jednak, już dawno porzuciła swoją strefę komfortu i dowiodła sobie niejedną raz, do jak wielu rzeczy potrafi się przystosować.

Z braku lepszego zajęcia po raz enty przebiegła w myślach różne warianty planu. David miał pójść tropem McGhee, kiedy pacjent opuści oddział – jeśli wystąpi u niego jakiś problem medyczny, który będzie wymagał przenosin. Gdyby McGhee opuścił szpital, jej zadaniem było zgarnąć Davida swoim samochodem, jeżeli manewr ten nie spowodowałby, że straci z oczu pacjenta. Dlatego też David miał w pogotowiu na parkingu dla gości samochód z wypożyczalni. Gdyby się rozdzielili, mogli poinformować się nawzajem o swej lokalizacji za pośrednictwem radiotelefonów, których zasięg wynosił pięćdziesiąt pięć kilometrów.

Taki był plan.

Dziadowski.

Minęły godziny, odkąd David kontaktował się z nią ostatnio, i w tym czasie jej obawy narosły – jeszcze nie do poziomu paniki, ale prawie. Wiedziała, że McGhee jest na sali pooperacyjnej już od paru godzin, jednak jak długo potrwa, zanim ktoś spróbuje usunąć go z oddziału, trudno było zgadnąć.

Trzaski w radiotelefonie przyprawiły ją o przyspieszone bicie serca. Poczowała

przyplływ podniecenia, podobny temu, jaki daje pierwsze szarpnięcie za luźną żyłkę wędki.

– Carrie, jesteś tam? – odezwał się przyciszonym głosem David.

– Jestem. Jak wygląda sytuacja?

– Jakiś pielęgniarz właśnie wyszedł z boksu McGhee. Mam wrażenie, że wstrzyknął mu coś do kroplówki. Mówił o furgonetce, która ma podjechać do tylnego wejścia za jakieś dwadzieścia minut. Kapujesz?

Carrie rozejrzała się dookoła, ponieważ właśnie tu zaparkowała.

– Zrozumiałam. Gdzie teraz jesteś? – zapytała.

– Hmm, w szafie w boksie McGhee.

– David, musisz stamtąd zwiewać.

– Taki właśnie mam plan. Spotkamy się przy tylnym wejściu i zobaczymy, czy ta furgonetka się pojawi.

W tle Carrie usłyszała głośnie piski. Natychmiast zrozumiała, że jedno z urządzeń monitorujących stan McGhee właśnie zwariowało. Rozległ się kolejny alarm, tym razem znacznie głośniejszy.

– Och, nie, David – powiedziała do radia. – Uciekaj stamtąd. Uciekaj natychmiast!

W ciągu paru sekund przy łóżku w ciasnym boksie McGhee zjawiły się dwie pielęgniarki. Przez szparę w drzwiach szafy David przyglądał się, jak pracują jako zespół.

McGhee mamrotał pod nosem:

– Kręci mi się w głowie... w głowie... w głowie...

Po mniej więcej minucie milczenia jedna z pielęgniarek powiedziała:

– Ciśnienie krwi osiemdziesiąt pięć na czterdzieści, tętno sto dwadzieścia na minutę, oddech: szesnaście.

– Jest jakiś lepki – zauważyła druga pielęgniarka. – Ma dreszcze, poty... czy on jest diabetykiem?

– W karcie nie ma o tym mowy.

– Sprawdź mu mimo to stężenie glukozy.

Poza polem widzenia Davida odezwał się nowy głos. Był to ten sam człowiek, który wcześniej wstrzyknął coś McGhee.

– Co się dzieje? – zapytał pielęgniarz. – Byłem właśnie na końcu korytarza, kiedy usłyszałem alarm.

– Cześć, Taggart. Wydaje mi się, że nasz kolega ma hipoglikemię.

– Och – było całą odpowiedzią Taggarta.

– Mogę podać domięśniowo dwa miligramy glukagonu – powiedziała jedna

z pielęgniarek – i zobaczyć, jaki będzie skutek. Chciałabym, żeby jak najszybciej obejrzał go lekarz.

David czuł, że sam również ma zawroty głowy i poty, na szczęście mógł dość dobrze śledzić trwające zabiegi. Wkrótce po podaniu McGhee glukagonu w boksie pojawiła się kobieta, ciemnoskóra, szczupła, filigranowa, która przedstawiła się jako doktor Nisha Kapur.

– Pięćdziesiąt mililitrów pięćdziesięcioprocentowej glukozy na cito – zarządziła.
– Najpierw podamy mu leki, a potem sprawdzimy wyniki badań.

– Glukoza na glukometrze nieoznaczalna – oznajmiła pielęgniarka. – Posłałam próbkę krwi do laboratorium.

Doktor Kapur sprawdzała właśnie stan pacjenta, kiedy David poczuł, że lewa noga zaczyna mu cierpnąć. Długotrwały ucisk odciął łączność między nerwami nogi a mózgiem, wytwarzając całą gamę doznań, w tym ciepło, odrętwienie i bardzo nieprzyjemne mrowienie.

– Jak się pan czuje, panie McGhee? – zapytała Kapur głośno, niemal krzyżąc.

– Jak się czuję... jak się czuję... jak się czuję... Przestań mnie pytać!

David słyszał, jak mężczyzna rzuca się na łóżku. McGhee był prawdopodobnie silnie pobudzony i wymagał skrępowania.

– Majaczy po zabiegu DBS – odezwała się jedna z pielęgniarek.

Do boksu wszedł ktoś jeszcze.

– Co się dzieje?

– Och, doktor Goodwin – odezwała się Kapur. – Nie wiedziałam, że pani tu jest.

– Cóż, pomagam Evanowi, bo to on wykonywał dzisiaj zabieg DBS.

Kapur przedstawiła Goodwin sytuację.

– Jak pani myśli, chyba powinniśmy przenieść go na OIOM?

– Mogę się tym zająć – wtrącił pielęgniarz Taggart. – To żaden problem.

– Wspaniale. Dzięki. Zejdę na dół, żeby uprzedzić ich, że on jest w drodze – powiedziała Goodwin, wychodząc pośpiesznie z boks.

Podczas tej wymiany zdań noga Davida zdrętwiała do reszty. Wrażenie wbijających się w skórę szpilek było torturą, jakiej nigdy dotąd nie zaznał. Próbował na wszelkie sposoby rozprostować nogę, ale mrowienie jedynie się wzmogło.

Przyglądał się, jak pielęgniarki odłączają monitory, i wkrótce Taggart wytoczył Garretta McGhee z pokoju. Dwie pielęgniarki, które zostały na miejscu, zajęły się porządkowaniem boks, który był teraz uboższy o jedno łóżko. Masując nogę, David próbował złagodzić swe męki, ale nadaremno. Ulgę mogło przynieść mu tylko pełne rozprostowanie kończyny i każda sekunda, w której pielęgniarki kręciły się po pustym boksie, była katorgą. Gawędziły beztrosko, krzątając się bez

najmniejszego pośpiechu.

Minęła minuta... potem dwie...

Musiał zmienić pozycję. Napiął pośladki i uniósł nogę o kilkanaście centymetrów w górę. Ulga była niewielka, ale dobre i to. Uniósł nogę jeszcze trochę wyżej, jednak tym razem poruszył mimo woli również prawą, zawadzając przy tym o wypełnioną moczem kaczkę. Plastikowy pojemnik przewrócił się z cichym odgłosem, który być może przeszedłby niezauważony, ale wieczko otworzyło się i płyn się wylał. David przyglądał się ze zgrozą, jak jego mocz spływa strużką pod drzwiami szafy i spada kaskadą na podłogę jak wodospad. Nie mógł ruszyć się choćby o włos, żeby zatamować strumień, nie ryzykując, że popchnie na oścież drzwi szafy.

Nie miało to zresztą znaczenia. Rzeka moczu przyciągnęła uwagę jednej z pielęgniarek. Drzwi szafy otworzyły się gwałtownie i David uśmiechnął się z zażenowaniem do zaskoczonej kobiety, która wydała ogłuszający wrzask.

Nie tracił czasu. Wyskoczył z szafy jak diabełek z pudełka zerwany ze sprężyny. Jego prawa noga wylądowała jak należy, ale lewa, zdrętwiała, ugięła się pod nim, dotknięta przejściowym, jak miał nadzieję, paralizem. Niewiele brakowało, a upadłby na podłogę. Pielęgniarka najbliższej niego zatoczyła się w tył i wrzasnęła ponownie, z szokiem wypisanym na twarzy. Obie kobiety zastygły w bezruchu, co pozwoliło mu wyskoczyć z boksu. Mrowienie mówiło mu, że powoli wraca mu czucie w stopie. Nim dotarł do klatki schodowej, była już w pełni sprawna.

Za plecami słyszał straszliwy tumult i zgiełk, ale jedno zdanie wybiło się ponad wszystko inne.

– Pobiegnij na schody! Wezwać ochronę!

Zbiegł piętro niżej i wyszedł pierwszym wyjściem, na jakie trafił, prowadzącym na korytarz bezpośrednio pod salą pooperacyjną oddziału neurologii. Szarpnął najbliższe drzwi, ale były zamknięte na klucz. Zaczynał mu się kończyć czas. Przyłożył radio do ust.

– Posłuchaj, Carrie, koniec akcji! Zostałem nakryty. Słyszysz mnie? Odpowiedz!

– David, co się dzieje?

Nie mógł odpowiedzieć, ponieważ słyszeć już było tupot pędzących w jego stronę licznych stóp. Jednym z następstw groźnej przygody Carrie było wzmożenie środków bezpieczeństwa, nie był więc zaskoczony szybkością i sprawnością reakcji.

Wrócił na schody, jedyną drogę ucieczki. Drzwi klatki schodowej zatrzasnęły się za nim z hukiem. Ledwo dysząc ze strachu, krzyknął do radia:

– Zostałem nakryty i wezwali ochronę!

Jego głos rozległ się echem na klatce schodowej. Z dołu usłyszał:

– Ty, na schodach! Zejdź z rękami do góry!

Nikt nie zamierzał czekać, aż spełni polecenie. Głośne kroki zmierzały mu naprzeciw.

Ucieczka zapowiadała się karkołomnie, ale David nie był jeszcze gotów dać za wygraną. Opuścił klatkę schodową i wrócił na korytarz, z którego przed chwilą się cofnął. Tym razem w jego stronę biegło dwóch umundurowanych ochroniarzy. Z braku innych możliwości rzucił się z powrotem ku schodom, gdzie w zasięgu wzroku pojawił się właśnie kolejny.

– Ręce do góry! Ręce do góry! – usłyszał.

Mężczyzna zatrzymał się pięć stopni od niego i wyciągnął z kabury coś, co wyglądało na pistolet. David unosił właśnie radio do ust, kiedy ochroniarz wykonał drobny ruch ręką. David rozpoznał teraz paralizator, z którego wyleciał kanciasty nabój.

– Carrie, koniec misji! Kooonieee...

Ostry jak nóż ból rozdarł jego ciało w momencie, gdy elektrody wbiły się w jego prawe udo. Uczucie to nie przypominało niczego, co kiedykolwiek doświadczył. Skóra paliła go, jak gdyby płonął od środka. Być może z ust wyrwał mu się krzyk. Sam nie był tego pewny. Jego ciało dygotało tak gwałtownie, że miał wrażenie, iż lada chwila się rozpadnie.

W drgawkach runął na beton, wylądował twardo na plecach. Utkwił wzrok w radiu, które wypadło mu z ręki. Sięgnął po nie, ale poczuł nowe ukłucie. Przeszyła go kolejna błyskawica prądu. Zęby szczękały mu gwałtownie, a ręce chwyciły kurcze.

Radio, jego kontakt z Carrie, było w zasięgu ręki, ale odległe o lata świetlne.

Rozdział 56

Carrie trzymała radiotelefon przy uchu, próbując skontaktować się z Davidem, kiedy do tylnego wejścia VA podjechała furgonetka. Był to biały samochód dostawczy bez okien, w rodzaju tych, które przyprowadzały ją o dreszcze, ilekroć mijala je na drodze. Odłożyła krótkofalówkę na fotel obok i zastygła w bezruchu. Trzydzieści minut po północy. Reflektory częściowo oświetliły parking na tyłach, ale nie jej volvo, zaparkowane dokładnie naprzeciw furgonetki, może trzydzieści metrów od niej. Furgonetka stała na jałowym biegu przez minutę lub dwie. Nic się nie działo. Po prostu czekała.

Mimo że skrywał ją cień, Carrie osunęła się niżej w fotelu, wyglądając sponad deski rozdzielczej. Dostrzegła koło furgonetki jakiś ruch. Tylne drzwi szpitala otworzyły się i wyszedł z nich Lee Taggart, ubrany w codzienny strój i pchający przed sobą wózek inwalidzki. Na wózku siedział bezwładnie jakiś człowiek przykryty szarym kocem, z czapeczką baseballową na głowie, która zwieszała mu się na pierś. Sprawiał wrażenie otępiałego, prawdopodobnie był silnie odurzony lekami.

To musiał być Garrett McGhee.

Tylne drzwi furgonetki otwarły się z impetem i ze środka wynurzyła się potężna postać. Carrie rozpoznała go natychmiast. Był to Ramón Hernandez.

Podejrzewała Taggarta, ale Hernandez? Co on tu robił?

Konsternacja sparaliżowała jej umysł. Elementy układanki leżały na stole, a ona mimo to nie umiała złożyć ich w całość.

Hernandez zeskoczył na ziemię i zaczekał, aż Taggart dotrze do niego. Wspólnymi siłami bez trudu dźwignęli wózek na tył furgonetki. W oczach Carrie, w oczach każdego wyglądało to jak odbiór pacjenta ze szpitala, nie porwanie. Parę sekund później furgonetka wrzuciła wsteczny bieg i skierowała się w stronę wyjazdu z parkingu, uwożąc ze sobą McGhee.

Carrie zaczęła, aż samochód oddali się nieco, nim uruchomiła silnik volvo. Brakowało jej tchu, ale nie determinacji. Po wyjeździe z parkingu furgonetka skręciła w lewo, a ona ruszyła za nią. Zerknęła na krótkofalówkę na fotelu obok. Nie było sposobu, żeby skontaktować się teraz z Davidem. Do tej pory był już prawdopodobnie w kajdankach.

Choć czuła się podle z jego powodu, miała kogo wezwać na pomoc. Nie

spuszczając z oczu furgonetki, wydobyła z torebki telefon. W tym momencie furgonetka skręciła nagle w lewo i Carrie zatrzymała się gwałtownie na poboczu, zbita z tropu.

Ten manewr zdawał się nie mieć żadnego sensu. Furgonetka skierowała się na drogę dojazdową na od dawna opuszczony plac budowy przy Gmachu B. To był ślepy zaułek, nie ulica przelotowa. Nie było przy niej nic poza zabitym deskami ceglany budynkiem.

Rozterka trwała tylko kilka sekund. Musiała jechać za nimi.

Wyłączyła przednie światła swego samochodu i skręciła w ślad za furgonetką. W ciemnościach trudno było cokolwiek dostrzec, ale udało jej się nie zjechać z wyboistej drogi do rowu. Przed nią majaczyła masywna bryła czteropiętrowego budynku. Otaczało go rozpadające się ogrodzenie z siatki – w najlepszym razie symboliczna bariera. Budynek wznosił się na zachwaszczonej działce usianej pustymi zardzewiałymi beczkami. Na tyłach, za ogrodzeniem, widać było zwartą kępę rachitycznych drzew i gęste krzaki.

W połowie drogi Carrie zdjęła nogę z gazu i zjechała na pobocze. Widziała przed sobą furgonetkę, a to oznaczało, że ludzie w środku mogli zobaczyć ją.

Furgonetka podjechała do ogrodzenia i Taggart wysiadł. Rozchylił siatkę w miejscu, gdzie nie było żadnej bramy, i zabezpieczył giętki płat dwiema linami do bungee, tworząc prowizoryczny przejazd wystarczająco szeroki, by przepuścić samochód. Musieli przeciąć siatkę, tak że z daleka ogrodzenie wyglądało na nienaruszone.

Hernandez podprowadził furgonetkę pod sam budynek, ale nie wyłączył silnika. Taggart został z McGhee, podczas gdy Hernandez wrzucił wsteczny bieg i wycofał się z powrotem przez otwór w siatce. Carrie wpadła w panikę, sądząc, że za chwilę przejedzie obok niej, on jednak zjechał z drogi na coś, co wyglądało na ścieżkę wyciętą w zaroślach za placem budowy.

Furgonetka zniknęła.

Chwilę później Hernandez wyłonił się z gąszczy drzew i krzaków. Przeszedł znów przez ogrodzenie i odwiązał liny utrzymujące płat siatki. Dogonił Taggarta, który czekał na niego przy tylnym wejściu do opuszczonego gmachu. Taggart otworzył drzwi i wkrótce wszyscy trzej mężczyźni zniknęli w środku.

Carrie opuściła szybę, by zwalczyć nagłą falę mdłości. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że jest kompletnie zlane potem. Obserwowała budynek. Po kilku minutach nabrała pewności, że nikt z niego nie wyjdzie. Po co Hernandez ukrywałby furgonetkę, gdyby zamierzał wkrótce odjechać? *Plan*, pomyślała. *Zdobądź dowody*. Może było tam jakieś okno, cokolwiek, co pozwoliłoby jej zrobić zdjęcie bez wchodzenia do środka.

W jej głowie odezwał się głos rozsądku. Była bezbronna, sama i niewykształcona, podczas gdy Hernandez był dobrze umięśnionym, zaprawionym w boju weteranem. Żadna rywalizacja.

– Rozegraj to inteligentnie, Carrie – powiedziała głośno.

Nagle przypomniała sobie, że miała zadzwonić. Sięgnęła po smartfon i wybrała numer z listy kontaktów. Usłyszała cztery dzwonki, nim połączenie zostało w końcu odebrane.

Doktor Finley miał zaspany głos.

– Halo, słucham – odezwał się.

– Alistair, tu Carrie. Jest pilna sprawa. Potrzebuję twojej pomocy – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Carrie, co u licha? Co się dzieje?

– Policja VA zaarrestowała przed chwilą mojego przyjaciela, Davida Hoffmana. Musisz powiedzieć im, że on nie jest groźny. Jest ze mną.

– Zaarrestowała? Dlaczego? I co masz na myśli, mówiąc, że jest z tobą? Co ty robisz?

– Nie mam czasu wyjaśniać, ale w VA dzieje się coś strasznego. Sandra Goodwin i Cal Trent porywają pacjentów po zabiegach DBS.

– Co? – Finley wydawał się już w pełni przebudzony i bardzo zaniepokojony.

– Oni eksperymentują na ludziach, Alistair – ciągnęła Carrie. – To nie DBS im pomaga. To jakiś lek, który dostają, jestem tego pewna, coś z CerebroMed, ale on nie zawsze działa. Ma skutki uboczne, takie jak palinakuzja, może coś jeszcze. A Ramón Hernandez bierze w tym udział, tak samo jak pielęgniarz z VA, Lee Taggart. Właśnie obserwowałam ich, jak wywożą Garretta McGhee z sali pooperacyjnej.

– Carrie, zdajesz sobie sprawę, że to brzmi jak szaleństwo.

– To jest prawda, bez względu na to, czy mi wierzysz czy nie. Proszę, pomóż mojemu przyjacielowi Davidowi i skontaktuj się z policją.

– Gdzie jesteś?

– Na placu budowy przy Gmachu B. To tutaj przywieźli McGhee.

– Dobrze już, dobrze. Uciekaj stamtąd. Uciekaj natychmiast. Wezwę policję i zaraz do ciebie oddzwonię.

Carrie rozłączyła się. Wiedziała, co nakazuje rozsądek: uciekać. Oczywiście, że tak właśnie powinna postąpić.

Jednak wtedy tknęła ją pewna myśl. *A jeśli furgonetka odjedzie z McGhee, zanim zjawi się policja?* Znikną kolejne dowody. Powinna chociaż spisać numer rejestracyjny. To mogłoby okazać się dla policji kluczową informacją.

Wyrzucała sobie w duchu, że nie sfilmowała, jak mężczyźni ładują McGhee do

furgonetki. Tak wiele wydarzyło się w tak krótkim czasie, że nie myślała jasno. Mogła przynajmniej, zanim stąd zwieje, sfotografować tablicę rejestracyjną. Dla Abingtona, dla Fascianiego, dla wszystkich weteranów skrzywdzonych przez Goodwin i Trenta – była im to winna.

Odpaliła silnik, ale nie włączała świateł, kiedy ruszyła naprzód. Gdyby została zauważona, mogła wrzucić wsteczny bieg i szybko uciec. Trzydzieści metrów od ogrodzenia z siatki zjechała na pobocze. Wysiadła, zostawiając silnik na chodzie.

Jej kroki zachrzęściły na ubitej ziemi, a łuna świateł miasta jarzyła się w oddali niczym sztuczny świt. Krew tętniła jej w uszach, nie zagłuszając jednak brzęczenia milionów owadów, które roiły się w zaroślach, gdzie ukryta była furgonetka.

Nerwy miała napięte jak postronki. Po lewej stronie zobaczyła ścieżkę, na którą Hernandez skierował furgonetkę. Zagłębiła się w las ciągnący się wzdłuż drogi dojazdowej i parę kroków później dotarła do wozu. Ręce drżały jej gwałtownie, zdołała jednak zrobić kilka zdjęć tablicy z rejestracją ze stanu Massachusetts.

Sama furgonetka nie miała żadnych cech szczególnych, ot, parę rys, kilka wgnieceń. Nie zwlekając dłużej, Carrie ruszyła ścieżką z powrotem do swego pozostawionego na jałowym biegu samochodu. Cała wyprawa zajęła jej najwyżej kilka minut. Opadła na fotel kierowcy i odetchnęła z ulgą.

Kładła właśnie dłonie na kierownicy, kiedy nagle poczuła za sobą czyjąś obecność. Jej wzrok powędrował ku lusterku wstecznemu i zobaczyła wszystko: krótko ścięte włosy, mocno zarysowaną szczękę, szerokie barki. Niemal natychmiast rozpoznała sylwetkę Terry'ego Bushmana, drugiego weterana, którego badała.

– Nigdy nie odwracaj się tyłem do żołnierza piechoty morskiej – powiedział Bushman. – Jesteśmy podstępnyimi sukinsynami.

Krzyknęła i próbowała wydostać się z wozu, ale Bushman wyciągnął swe potężne ramię ponad fotelem i opuszczył je na jej szyję. Lewą ręką docisnął prawy nadgarstek, tworząc z prawego ramienia dźwignię, która naparła na bok jej szyi. Ucisk skierowany był bezpośrednio na dwie tętnice szyjne, na szczęście nie na krtań czy gardło.

Jedna sekunda.

Carrie szarpała się, usiłując się uwolnić.

Dwie sekundy.

Próbowała krzyczeć.

Trzy sekundy.

Świat wokół niej zniknął.

Rozdział 57

Pierwszą rzeczą, jaka dotarła do Carrie, był zapach: wilgotny i stęchły, przywodzący na myśl cuchnące bagno. Była w nim też nuta moczu oraz obrzydliwy odór niemytych ciał, od którego zbierało jej się na wymioty. Bolała ją szyja po bokach, ale nie gardło. Przypominające grypę osłabienie nie pozwalało jej zebrać myśli. Zastanawiała się, czy podano jej jakiś narkotyk. Prawdopodobnie tak. Co się stało?

Gdy świadomość jej się wyostrzyła, usłyszała jęki i coś, co brzmiało jak mamrotanie. Głosy dochodziły z obu stron i należały do różnych osób. Wydawały osobliwe stęknięcia i charkoty. Zaniepokojone. Przerazone. Udawało jej się rozróżnić niektóre słowa.

– Padnij! Padnij!

Głos, który to mówił, był ostry, ale stłumiony, a słowa brzmiały bełkotliwie, jak u człowieka majaczącego przez sen.

Inny głos wołał:

– Jesteśmy ostrzeliwani z północy. Co się dzieje? Co się dzieje?

Więcej głosów łączyło się w jeden ciągły gwar, najbardziej przypominający brzęczenie owadów w chaszczach za budynkiem – tyle że to byli ludzie, kilka osób, i wszystkie mamrotały jednocześnie.

– Dostałem! Dostałem!

– Mów, mów, mów do mnie.

– Oskar Mike! Oskar Mike!

– Ruszaj! Ruszaj!

– Droga wolna!

– Ostrzał idzie z wiatrem.

Trwało to i trwało, bez ustanku, aż w końcu chór głosów zlał się w jeden monotony dźwięk, który Carrie zdołała zignorować. Otworzyła oczy i skupiła wzrok na czymś, co wydawało się materacem w paski. Śmierdziało też tak samo ohydnie jak całe to miejsce.

Z wielkim trudem, podpierając się rękami, zdołała dźwignąć się na kolana. Półprzytomnie uniosła głowę i zamrugła szybko. Wzrok miała chyba jeszcze zmacony, gdyż to, co widziała, zdawało jej się bez sensu. Miała wrażenie, że znajduje się w czymś w rodzaju klatki. Na konstrukcji ze spawanych

galwanizowanych rur rozpięta była siatka z grubego drutu, tworząca ścianki i sufit. Pojedyncze drzwi, obramowane galwanizowanymi rurami i pokryte siatką, zabezpieczały ciężki łańcuch i solidna kłódka.

Po prawej stronie Carrie zobaczyła rząd kolejnych trzech klatek. W każdej z nich znajdował się chudy i brudny mężczyzna. Wszyscy trzej prezentowali różne stadia zarostu, jak gdyby miernik długości ich pobytu w tym miejscu. Jeden miał kilkudniową szczecinę, drugi pełną brodę, a trzeci wyglądał jak talib. Mężczyzna w klatce najbliżej niej leżał na brudnym materacu, podczas gdy pozostali dwaj krążyli po swoich celach jak zwierzęta w zoo. Wszyscy mieli zapadnięte, puste oczy i nieobecne spojrzenie. Ci, którzy chodzili, ruszali się jak zombi. Mieli na sobie niebieskie szpitalne wdzianka, brudne, obszarpane i złachmanione. W ramieniu każdego z nich tkwił wenflon, zabezpieczony plastrem i podłączony do kroplówki zawieszanej na metalowym stojaku na kółkach. Wszyscy trzej mamrotali do siebie i wydawali się zupełnie nieświadomi obecności kobiety.

W każdej klatce znajdowało się niebieskie wiadro. Carrie przyglądała się, jak jeden z mężczyzn oddaje mocz. Dookoła wałały się butelki po wodzie, a tace z resztkami jedzenia przyciągały chmary brzęczących much. Cementowa podłoga koloru rdzy była wilgotna, pełna kałuż i miejscami popękana. Carrie zauważyła na zewnątrz klatek kilka zwiniętych gumowych węży – pryszniców, jak uznała – oraz równomiernie rozmieszczone kratki ściekowe do odprowadzania nadmiaru wody.

– Hej, czemu stoisz? Padnij, cholera, dostaniesz kulkę!

Carrie obróciła głowę w kierunku głosu. Na lewo od niej były kolejne trzy klatki, ale tylko dwie miały lokatorów. W najdalszej, jak jej się zdawało, zamknięty był Garrett McGhee. Jednak na widok człowieka w najbliższej klatce, tego, który kazał jej paść na ziemię, opadła jej szczeka. To był Eric Fasciani! Wyglądał jak szkielet, z obłędem w oczach, udręczony na wszelkie możliwe sposoby.

Jak pozostali, miał na sobie brudny strój szpitalny. Jego chude ramiona pokrywały strupy; podejrzane zadrapania widać było także na jego szyi. Twarz miał zarośniętą tak samo, jak wszyscy jego towarzysze niedoli. Nikt ich nie golił. Nikt o nich nie dbał. Szczury laboratoryjne były traktowane lepiej niż oni, przynajmniej przez pewien czas.

– Eric, co ty tu robisz? Co to za miejsce?

Carrie mówiła stłumionym szeptem, obawiając się, że ktoś przyjdzie po nią.

– Co tu robisz... co tu robisz... przestań to powtarzać... tu jest pełno talibów. Musimy przebić się do wyjścia.

– Eric, proszę, porozmawiaj ze mną. Powiedz mi, co tu się dzieje.

– On cię nie słyszy, Carrie Bryant. To, co mówisz, do niego nie dociera. W każdym razie nie tak, jak ci się wydaje.

Na dźwięk tego głosu Carrie zapało dech. Serce jej się ścisnęło, a wszelkie nadzieje rozwiały się jak dym. Przez kilka ciągnących się w nieskończoność chwil nie była zdolna do ruchu, sparaliżowana strachem. Poczowała gorycz i gniew. Zacisnąwszy zęby, odwróciła się i utkwiała przerażone spojrzenie w mówiącym.

Był to Alistair Finley.

Rozdział 58

– Co ty, do diabła, robisz? – wrzasnęła Carrie do Finleya. – Wypuść mnie! Wypuść mnie stąd!

Ubrany jak zwykle w sportową koszulę i spodnie khaki, doktor Finley swoim wyglądem sprawiał, że stan pozostałych mężczyzn wydawał się jeszcze bardziej żaloszny. Podszedł do niej ze szczerym współczuciem w oczach. Niemal z bólem, jak gdyby wiedział, jaki czeka ją los, i głęboko tego żałował. Zbliżył się do jej klatki i zacisnął palce na siatce.

Fasciani w dalszym ciągu krzyczał, mamrotał i mówił coś niezrozumiale, ale Carrie nie interesowała się już nim. Skupiła się całkowicie na Finleyu i trzech mężczyznach, którzy weszli wraz z nim do ciemnej piwnicy: Terryem Bushmanie, Ramónie Hernandezie i Lee Taggartie, który niósł coś w rodzaju długiego drąga z dwoma spiczastymi zębami na końcu. Kilku więźniów spostrzegło elektrycznego pastucha w jego ręce i skuliło się w głębi klatek, jak gdyby nauczono ich reagować w taki właśnie sposób.

Carrie przyskoczyła do siatki, ale Finley cofnął gwałtownie ręce, nim zdążyła je chwycić. Z całą siłą, na jaką było ją stać, potrząsnęła siatką, lecz jedynym skutkiem był grzechot. Klatki były przyśrubowane do cementowych ścian i nie drgnęłyby bez względu na to, jak mocno by je szarpała. Żaden z obecnych, ani ci w klatkach, ani ci na zewnątrz, nie zareagował na jej wybuch.

– Uspokój się, Carrie – powiedział Finley. – Nikt nie usłyszy twoich wrzasków. Wściekanie się nic ci nie da, a ja mam do ciebie parę pytań. Ważnych pytań. Jeśli będziesz krzyczeć albo nie będziesz współpracować, Braxton zaaplikuje ci bolesny wstrząs tym elektrycznym pastuchem.

– Braxton? – zdziwiła się Carrie.

Finley spostrzegł jej konsternację.

– Ach, prawda, pielęgniarz Lee Taggart w rzeczywistości nazywa się Braxton Price i jest tak samo dobrze wyszkolony jak pozostali dwaj dżentelmeni, jeżeli nie lepiej. Więc będziesz teraz musiała współpracować, Carrie. To dla ciebie ważne.

Carrie skupiła myśli, chcąc rozłożyć na części pierwsze swój strach i zgrozę.

– Co to za miejsce? Co się tu dzieje?

Finley, trzymając się z daleka od klatki, zdjął okulary i przetarł oczy.

– To, Carrie – odparł, wskazując gestem klatki z ludźmi – jest nasz sposób na

leczenie PTSD.

Carrie nie mogła słuchać, jak Finley wymawia jej imię. Wydawało jej się to kolejną zdradą jej zaufania. Pokręciła z niedowierzaniem głową. Wsłuchiwała się w słowa, które wypowiadali mężczyźni w tych klatkach – jak gdyby odgrywali scenki – i teraz dopiero dotarło do niej, że wydają się uwięzieni w wirtualnej rzeczywistości, symulacji wojny i rzezi, gdzie strzelanina nigdy nie cichnie.

– Co im zrobiłeś?

Tylko spokojnie, upomniała się w duchu. Nie trać panowania nad sobą, bo ci ludzie cię skrzywdzą.

– Pomagam im – odparł Finley. – No, może nie tyle im, co innym takim jak oni. Ci ludzie są pionierami, Carrie. Dadzą nam wgląd w tajemny świat dotkniętego traumą mózgu. Są bohaterami.

Carrie zaczęła powoli pojmować, na czym polegał program Finleya. Przeszedł ją zimny dreszcz.

– Oni wszyscy są bezdomni, prawda? – szepnęła. – Jak Steve, jak Eric, to weterani, którzy mieszkali na ulicy, ludzie, których nikt nie zauważał i za którymi nikt nie tęsknił.

– Spełniają wymagane kryteria.

– A wy?! – W jej oczach zapłonęła wściekłość, kiedy utkwiała spojrzenie w Hernandezie i Bushmanie. – Byliście tacy jak oni, również żyliście na ulicy. Jak możecie pozwalać, żeby ich tak traktowano?

– Tak naprawdę – wtrącił Finley – Ramón i Terry wcale nie byli tacy jak oni. Obaj są byłymi członkami oddziału Braxtona. I pomogli przy... och, nazwijmy to *werbowaniem* weteranów do naszego programu. Byłem pod wielkim wrażeniem, kiedy odkryłaś, że Ramón miał powiązania ze Steve'em Abingtonem poprzedzające nasze prace tutaj. Jesteś bardzo bystra.

Carrie znów zacisnęła palce na siatce.

– Ale wyleczyłeś ich obu – powiedziała.

– Nie – odparł Finley. – Wykonałem u nich zabieg DBS, to wszystko. Oni nigdy nie cierpieli na PTSD. A ich implanty nie wytwarzają żadnych impulsów elektrycznych. Mówiąc wprost, ich rolą jest mydlenie oczu władzom federalnym, by zapewnić nam dalsze fundusze. Rozumiesz, Cal Trent musiał zaprezentować jakiś postęp swoim zwierzchnikom z DARP-y, a niestety weterani, tacy jak Steve Abington, nie nadawali się do tego. Przynajmniej dotąd.

– A to co? – zapytała Carrie, wskazując kroplówkę Erica. – Co jest w tych kroplówkach?

W co ty się wpakowałaś?

Arogancja doktora Finleya, wyraz triumfu i samozadowolenia na jego twarzy

wzbudziły w niej głęboką pogardę.

– Tak naprawdę sama już to odgadłaś, Carrie – odpowiedział Finley. – Tyle że nie poskładałaś do końca fragmentów układanki.

– CerebroMed – szepnęła Carrie. – Bob Richardson.

– Richardson i CerebroMed – powtórzył Finley. – Ale nie wszystko tu jest dziełem Boba, bynajmniej. To ja opracowałem podłoże chemicznych właściwości deleritum i zwróciłem na nie uwagę Richardsona.

– Deleritum? – zdziwiła się Carrie.

– Od łacińskiego słowa oznaczającego „wymazywać”.

Próżność Finleya i rozpierająca go duma kazały mu mówić, ujawniając sekrety, które Carrie pragnęła poznać, ale lękała się słyszeć.

– Co to jest deleritum? – wymówiła to słowo z odrazą.

– To lek, Carrie, który rekonsoliduje złe wspomnienia powodujące objawy PTSD – wyjaśnił rzeczowo Finley. – Jest mocno zmodyfikowaną formą MDMA, które znasz lepiej jako rekreacyjny narkotyk ekstazy. Nasze laboratorium mieści się tutaj, ale założę się, że nie miałaś o tym pojęcia. Nie ma żadnych cuchnących wyziewów i potrzebnych jest niewiele wysoce podejrzanych chemikaliów. Richardson jest naszym dostawcą, a wartość tej usługi jest nie do przecenienia. CerebroMed szukał czegoś takiego od lat. Richardson zarobi na tym odkryciu mnóstwo forsy, ale chodzi nie tylko o pieniądze.

Carrie zdawała sobie sprawę, że składniki ekstazy mają dowiedziony tłumiący wpływ na ciało migdałowate, co mogłoby pozwolić ludziom na ponowny kontakt z negatywnymi doświadczeniami bez większych konsekwencji.

– Kluczem do wszystkiego jest uporczywość wspomnień – ciągnął Finley. – Potrzebowaliśmy sposobu na wyzwolenie wspomnienia, tak by utrzymywało się w ciele migdałowatym, gdzie moglibyśmy następnie użyć DBS do zneutralizowania emocji. Problemem było uzyskanie pożądanej perseweracji wspomnień.

Oczy Carrie rozszerzyły się z przerażenia.

– Wirtualna rzeczywistość nie sprawdziła się, prawda? Potrzebowaliście do tego leków – powiedziała.

– Potrzebowaliśmy leków i sposobu na ich testowanie. Zwierzętom niezbyt dobrze wychodzi informowanie nas o swych uczuciach. Być może trudno byłoby ci uwierzyć, że jesteśmy tu bliscy przełomu, ale to prawda. Jeszcze kilka prób i uzyskamy wynik naprawdę godny uwagi.

– Ale te leki nie działają – zauważyła. – Ci ludzie są straceni.

– Cóż, w pewnym sensie tak. To jest ciągły rozwój, rozumiesz.

Myśli Carrie krystalizowały się i wszystkie niezależne wątki, o których

wspominał Finley, zaczęły splatać się ze sobą w sposób, jakiego nie byłaby sobie zdolna wyobrazić. Słowem, które błyskało jej w głowie niczym neon na Broadwayu, było „perseweracja”. Oznacza ono, że myśl lub działanie powtarzają się długo po ustaniu bodźca, który wywołał reakcję. U niektórych z tych ludzi deleritum sprawiło, że wojna wciąż żyła w ich głowach. Ich trauma trwała nieustająco, ale u części z nich perseweracja ta uzewnętrzniała się w formie palinakuzji.

Finley przyglądał się jej z uwagą.

– Więc teraz rozumiesz, prawda?

Poczuła się ciężko chora, słaba na całym ciele.

– Czy wyleczyłeś kogokolwiek? – zapytała.

Sprawił wrażenie nieco skruszonego.

– Są przebłyski prawdziwej przytomności, tak, a ich długość bywa różna... czasem są to tygodnie... ale ostatecznie dochodzi do ponownego pogorszenia. U niektórych pacjentów jedynym efektem ubocznym jest palinakuzja, bez utrzymujących się objawów PTSD, ale to zdarzyło się tylko kilka razy. Oczywiście to właśnie te przypadki najbardziej nas ekscytują.

Carrie była zdezorientowana.

– Steve Abington... on rozmawiał ze mną. Zanim mnie zaatakował, mówił coś o swoim przyjacielu Karaluchu. Czy on był jednym z tych ludzi? Czy on wciąż żyje?

– Nie, niestety nie. Środki uspokajające, które daliśmy mu przed zabiegiem, mocno stłumiły skutki deleritum, ale gdy tylko te leki przestały działać, był kompletnie zagubiony. Tak samo jak ten tutaj, twój przyjaciel Eric.

Carrie omiotła wzrokiem rząd klatek. Wyglądało na to, że żaden z ich lokatorów nie ma kontaktu z rzeczywistością.

– Ale powiedziałaś, że u niektórych jedynym skutkiem ubocznym jest palinakuzja. Gdzie oni są?

– Nie ma ich już.

– *Nie ma ich?* Coś ty zrobił, Alistair... po prostu sprzątnąłeś ich?

– Mogli mieć kłopoty ze słuchem – odparł Finley – ale ich aparat mowy funkcjonował znakomicie.

– Jesteś potworem – syknęła Carrie. – Wy wszyscy. Potwory!

Hernandez postąpił groźnie w stronę jej klatki. Cofnęła się gwałtownie, zapominając o dzielącej ich siatce.

– Ci goście już i tak byli spisani na straty – stwierdził Hernandez. – Czemu nie mielibyśmy zrobić dobrego użytku z ich ciał i umysłów?

– A co ty masz z tego układu? – zapytała gorzko Carrie.

– Ja? – Hernandez przytknął palec do piersi. – Pomagam rozwiązać jeden z największych problemów sił zbrojnych i zbijam na tym fortunę. Czegóż więcej można by chcieć?

– Czy to o to ci chodzi, Alistair? – zapytała Carrie. – O pieniądze?

– Nie. – Finley pokręcił głową. – Chodzi o rezultaty. Pomyśl o tym, co taki lek jak deleritum może zrobić dla świata. Trauma wojny, gwałtu, molestowania w dzieciństwie, tragicznych wypadków, śmierci i żałoby, wszystko to może zostać zneutralizowane. Mogę przynieść światu szczęście. Prawdziwy spokój ducha. Ile to jest warte, Carrie? Myślę, że jest warte poświęcenia tych ludzi.

– Ja myślę, że chcesz pominąć odpowiednie kanały, zamiast opracować lek według wytycznych FDA. Myślę, że chcesz zyskać chwałę, i to natychmiast.

Finley zbył tę przyganę wzruszeniem ramion.

– Jest w tym, co mówisz, nieco prawdy – przyznał. – Chciałbym jeszcze za życia doczekać się uznania i szacunku, na jakie zasługuję. Któż nie chciałby przejść do historii jako człowiek, który odkrył tajemnice umysłu?

– A Sandra Goodwin zostanie szefową najnowocześniejszej kliniki neurochirurgicznej. Domyślam się, że ona też ma jakieś korzyści z tego układu – drążyła Carrie.

– Każdym z nas coś w życiu kieruje – stwierdził Finley.

Carrie trzęsa się cała na ciele i w duchu. Czy to z powodu pychy, czy próżności Finleyowi zależało na tym, żeby zrozumiała jego motywacje, żeby w miarę możliwości zaakceptowała je.

– Sam Rockwell wiedział, co robisz, prawda?

Oczy Finleya przybrały nieobecny, niemal zbolący wyraz.

– Sam był moim drogim przyjacielem. I wspierał nas od początku. Dostrzegał szczytny cel.

– Przez „nas” rozumiesz Navarra i Goodwin.

Finley prychnął drwiąco.

– Sandrę tak, ale Evana nie. Ten chłopak to pchła, którą szczerze pogardzam, podobnie jak Sandra. Ale jest dobrym żołnierzem i robi to, co ona mu każe. W przeciwieństwie do ciebie.

Carrie znów poczuła mdłości. *Psychologia*. Sandra Goodwin stworzyła kulturę pracy, która idealnie sprzyjała znikaniu pacjentów.

– Kiedy ci weterani opuszczają oddział, stają się problemem innych – powiedziała niemal sama do siebie. – Navarro nigdy nie zadał sobie trudu, by spojrzeć na liczbę powikłań po zabiegach DBS. Dla niego było to po prostu o jedno zmartwienie mniej. Więc z jakiego powodu zabiłeś Sama? Nie chciał grać dalej?

– Można tak to określić – przyznał Finley. – Ale wierz mi, nie chciałem go

skrzywdzić. Tak samo jak nie chcę skrzywdzić ciebie. Sam nie pozostawił mi wyboru. Nie jestem człowiekiem bez serca, Carrie. Mogliśmy go zabić, kiedy okazało się, że przeżył wypadek. – Przy tym słowie nakreślił cudzysłów w powietrzu. – Powiedziałem jednak Braxtonowi, żeby zostawił go w spokoju. W stanie, w jakim się znajdował, rodzina miała przynajmniej isierkę nadziei na jego wyzdrowienie, a nie stanowił dla mnie żadnego zagrożenia.

– Dopóki się nie obudził.

Jego twarz zasępiła się lekko.

– Gdybyś się nie wybrała, żeby się z nim zobaczyć, moglibyśmy rozegrać to inaczej. A tak zmusiłaś nas do improwizowania. Dlaczego nie mogłaś po prostu robić, co do ciebie należało, i implantować tych elektrod, pozwalając nam zająć się resztą?

– Bo taka już jestem.

– I tu, niestety, popełniłem błąd. A teraz muszę wiedzieć: oprócz Davida Hoffmana komu jeszcze powiedziałaś?

Carrie poczuła, jak zimny strach przenika ją aż do kości.

– Nie, nie, nie David. On o niczym nie wie.

Finley spojrzał na nią z rozdrażnieniem.

– Nie rób ze mnie głupca – warknął. – Komu jeszcze powiedziałaś?

Milczała.

– Zagrożona jest cała twoja rodzina. Bądź szczerą. Komu jeszcze powiedziałaś?

– Pierdol się. – Pochyliła się, chwyciła stojące obok niej puste niebieskie wiadro i rzuciła nim z całej siły o siatkę. Wiadro odbiło się i omal uderzyło ją w twarz, zanim upadło z łoskotem na podłogę.

Finley odwrócił się do Braxtona.

– Chodź ze mną do laboratorium. Chcę porozmawiać z tobą na osobności, zanim pójdziemy zająć się panem Hoffmanem.

Braxton pokazał Carrie strzykawkę.

– Oto, czym załatwiłem Sama Rockwella po tym, jak zepchnąłem cię z drogi – powiedział z zimnym błyskiem w oczach. – Chyba powinienem był jednak skasować cię tamtego dnia – dodał z żalem.

Finley już miał wyjść, ale zatrzymał się i jeszcze raz zwrócił do Carrie.

– Przykro mi, że do tego doszło – rzekł. – Naprawdę sądziłem, że dzięki tobie będziemy mogli kontynuować naszą pracę. Znalezienie wysokiej klasy neurochirurga tak szybko po wyeliminowaniu Sama po prostu nie wchodziło w grę. Byłem pewien, że trzeba będzie na jakiś czas zwinąć interes. Ale potem ty się pojawiłaś. To zakrawało na cud, naprawdę. W samą porę. A biorąc pod uwagę twoją... przeszłość, cóż, zakładałem, że będziesz przestrzegać reguł i po prostu

wykonywać swoją pracę. Wprowadzać elektrody i na tym koniec. Po co wtrącałaś się do nie swoich spraw? Spodziewałem się, że będziesz idealnym żołnierzem, Carrie. Sandra miała rację. Naprawdę byłaś od początku tykającą bombą zegarową.

Braxton ruszył za doktorem do wyjścia.

– Co chcecie mi zrobić? – krzyknęła Carrie.

Finley odwrócił się do Braxtona.

– On był twoim przyjacielem.

Braxton spojrział przez ramię na Carrie, po czym zwrócił się do Bushmana:

– Strzelanie do nieuzbrojonej kobiety zamkniętej w klatce naprawdę nie jest w moim stylu. Bushman, kropnij tę dziwkę.

Bushman z błyskiem w oku wyjął pistolet z kabury na kostce.

– Jak sobie życzysz – odparł.

Braxton i Finley zniknęli za drzwiami. Mamrotanie weteranów znów wypełniło uszy Carrie.

Bushman i Hernandez naradzali się przez chwilę poza zasięgiem jej słuchu. Kiedy Bushman podszedł do klatki, miał w oczach jad. Potem złagodniał. Przez moment Carrie sądziła, że zamierza ją wypuścić.

– To nie będzie bolało, obiecuję – powiedział niemal przepraszającym tonem.

Carrie opadła na kolana. Łzy strumieniami płynęły jej po twarzy.

– Jakies ostatnie słowa? – zapytał Hernandez.

Zaczęła drżeć. Strach, przerażająca świadomość, że są to ostatnie sekundy jej życia, sparaliżowały ją. Nie było żadnego ratunku. Śmierć przyszła po nią.

Ta myśl dodała jej sił. Wciągnęła powietrze i z ogromnym wysiłkiem utkwiała wzrok w Bushmanie. Nie zamierzała umrzeć z zamkniętymi oczami. Będzie patrzeć w twarz swego zabójcy. To była ostatnia odrobina człowieczeństwa, jaka jej została.

Wyciągnięte ramię Bushmana było jak ze stali. Pistolet w jego dłoni nawet nie drgnął.

– Masz coś do powiedzenia? – powtórzył.

– Odpieprz się od mojej siostry.

Carrie usłyszała z prawej strony potężny huk, któremu towarzyszył jaskrawy błysk światła. W tej samej chwili głowa Terry'ego Bushmana zniknęła w eksplozji krwi, mózgu i kości.

Rozdział 59

Carrie dostrzegła jedynie rozmazaną sylwetkę Adama, który wpadł do pomieszczenia ze strzelbą wymierzoną w Ramóna Hernandeza. Bushman zwałił się na podłogę, z twarzą nierozpoznawalną już pod makabryczną szkarłatną maską. Pistolet wypadł z jego martwej dłoni i przejechał ślizgiem w pobliże klatki Fascianiego, daleko poza zasięgiem Carrie. Lufa broni Adama rozbłysła kilkakrotnie, ale Hernandez z zaskakującą szybkością rzucił się na ziemię, jednocześnie wyciągając pistolet z kabury.

– Uważaj, Adam! – wrzasnęła Carrie.

W tym samym momencie z pistoletu Hernandeza wydobyły się jasne błyski, skierowane w stronę Adama.

Uwięzieni w klatkach weterani zareagowali na nagły tumult, jak gdyby uczestniczyli w akcji. Niektórzy ukryli się, inni zaś stanęli do walki, strzelając z nieistniejącej broni do niewidocznych celów.

Nie zatrzymując się ani na moment, Adam biegł zygzakiem, by uniknąć gradu kul. Stłumione wystrzały z broni Hernandeza niosły się echem w pustym pomieszczeniu. W poczuciu kompletnej bezradności Carrie chwyciła drucianą siatkę swojej celi i szarpała ją nadaremnie, obserwując scenę rozgrywającą się jak gdyby w zwolnionym tempie.

Adam, zwinny i zręczny, skręcał raz w lewo, raz w prawo w ostrych zwrotach, które wyraźnie zmniejszyły odstęp między nim a Hernandezem. Szukając osłony, schronił się za jednym z wielu grubych betonowych filarów i otworzył ogień do Hernandeza, który natychmiast odpowiedział salwą. Jasne błyski kłuły Carrie w oczy, zobaczyła jednak, że kilka pocisków Hernandeza uderzyło w betonowy słup, który krył jej brata. Kilka innych trafiło w ziemię u jego stóp.

Ogień Hernandeza ustał na chwilę. Adam, korzystając z okazji, wychylił się i oddał kilka strzałów. Do pasa przytroczony miał pistolet, najwyraźniej jednak wolał precyzję swej strzelby.

Spośród mniej więcej sześciu kul, które wystrzelił, jedna trafiła w zamierzony cel. Z przebitego ramienia Hernandeza wytrysnął gejzer krwi. Weteran wrzasnął dziko. Zaciskając dłoń na ranie, ukrył się za pobliską stertą zdezelowanych pralek. Na razie przynajmniej znalazł się poza linią strzału.

Adam strzelił jeszcze kilka razy, ale pociski nie mogły się przebić przez potężną

stalową barykadę Hernandeza. Ku przerażeniu Carrie wyciągnął z pochwy na kostce ogromny nóż bojowy i wymknął się zza osłony filaru. Trzymając strzelbę jedną ręką, oddał kilka strzałów, by zatrzymać Hernandeza w kryjówce. Bezgłośnie odłożył strzelbę na ziemię. Uniósł palec do ust, nakazując siostrze ciszę.

Ukradkiem, szybkimi krokami, zbliżył się do fortyfikacji z pralek. Hernandez być może przeładowywał broń albo zbierał siły podczas krótkiej chwili spokoju, dzięki czemu Adam dotarł do barykady bez przygód. Nagłym zrywem rzucił się naprzód i wspiał na metalową górę ze zręcznością i gracją kozicy.

Hernandez, wyczuwając niebezpieczeństwo, wyszedł z kryjówki i uniósł broń do strzału. W tym momencie Adam dotarł na szczyt sterty i skoczył wprost na niego z rozłożonymi rękami i nogami, z nożem zaciśniętym w dłoni niczym morderczy szpon.

Dwaj mężczyźni, spleceni w śmiertelnym uścisku, zniknęli za hałdą złomu, która ukryła ich przed wzrokiem Carrie. Gdy w końcu wyłonili się zza niej, Adam unosił nóż nad głową Hernandeza, napierając ze wszystkich sił. Hernandez, z grymasem na twarzy, blokował nóż prawą ręką, lewą zaciskając jednocześnie na gardle Adama. Obaj przepychali się i obracali w morderczym balecie.

Twarz Adama zaczęła zmieniać barwę, od niepokojącej czerwieni do przerażającej siności, a jego ramię osłabło. Hernandez zdołał wygiąć nadgarstek na tyle, by zwrócić ostrze w stronę Adama. Naciskając z olbrzymią siłą, ugiął jego rękę, powoli zbliżając nóż do jego serca.

Adam stękał i prychał, próbując się bronić.

Ostrze przesuwano się coraz bliżej.

– Nie! – krzyknęła Carrie.

Ale nic nie mogło już zatrzymać tego ruchu. Hernandez zatopił nóż w piersi jej brata, wbijając go po rękojeść. Adam otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zataczając się w tył, prawą ręką wyszarpnął pistolet z kabury. Wykonał szybki ruch nadgarstkiem i wystrzelił, trafiając przeciwnika w brzuch. Strzelił jeszcze raz, tym razem w serce, i Hernandez zwiotczał, a oczy wyszły mu z orbit. Upadli jeden na drugiego i Adam oddał jeszcze dwa strzały, w okolice żołądka. Te kule wyszły przez plecy Hernandeza. Jego ciało podskoczyło dwukrotnie, jak porażone prądem.

Adam zepchnął z siebie trupa i wyciągnął z jego kieszeni kółko z pękiem kluczy. Z wielkim wysiłkiem dźwignął się na nogi, z nożem wciąż sterczącym mu z piersi. Carrie z twarzą zalaną łzami przyglądała się, jak chwiejnym krokiem idzie w stronę jej klatki. Krew tryskała mu z gardła, znacząc podłogę jasnoczerwonymi kropkami. Przesuwał klucze w palcach, ale opadł na kolana, zanim zdołał włożyć któryś do zamka.

Carrie osunęła się na podłogę razem z nim i wyciągnęła ręce przez siatkę, by utrzymać go w pionie. Przełożyła je o kilka oczek w górę, by pogłodzić jego zakrwawioną twarz. Kołysał się z boku na bok, wysuwając się z jej uścisku, jakby miotały nim fale.

– Adam, Adam, co ty tu robisz? Och, Adamie...

– Śledziłem... cię. Jechałem... za tobą.

Jego ochryply głos, rżenie w jego piersi rozdzierały jej serce.

Przypomniała sobie camaro, które widziała we wstecznym lusterku. Nie przywiązywała do tego większej wagi, ale to faktycznie był samochód jej brata.

– Widziałam cię – powiedziała.

Adam rzucił jej swój charakterystyczny uśmiech, ale tym razem odsłonił w nim zęby zabarwione krwawą czerwienią.

– Ty śledziłaś ich – powiedział z trudem. – A ja ciebie. Chroniłem cię... w końcu uruchomiłem ten cholerny wóz. Nie mówiłem ci... nie mówiłem nikomu, nie chciałem, żebyś mnie wypatrzyła. Chyba i tak ci się to udało...

Z pewnością miał wiele okazji, by przyjść i odjechać bez niczyjej wiedzy. Być może rodzice zauważyli, że jego samochód zniknął, ale skoro miała wyłączony telefon, nie mieli jak jej tego przekazać.

Jego oczy stały się szkliste.

– Nie – jęknęła Carrie, ściskając go mocniej. – Nie umieraj mi tutaj. Ani mi się waż.

– Kocham cię, siostrzyczko – powiedział. Z olbrzymim wysiłkiem popchnął kółko z kluczami w stronę jej klatki. – Uciekaj. Uciekaj stąd.

– Nie, nigdzie nie odejdę.

Adam zerknął na nóż sterczący mu z piersi.

– Ale ja tak – powiedział. – Ja tak.

Po tych słowach jego ciało zwiotczało. Oczy, które Carrie widziała, pełne zarówno śmiechu, jak i wściekłości, stały się szklane i puste. Jego wycieńczona twarz przybrała niemal pogodny wyraz.

Carrie zaszlochała i przywarła do siatki, by wziąć brata w ramiona. Wciąż trzymała go w objęciach, kiedy Braxton Price i doktor Finley wrócili do pralni i ujrzeli straszliwą jatkę. Price wyciągnął pistolet i wycelował w Carrie, która ani na chwilę nie puściła brata. Oparła głowę o siatkę, w duchu łącząc się z Adamem. Zamknęła oczy, czekając na śmierć.

– Za mało mi płacą – stwierdził Price.

Rozległ się wystrzał, potem drugi.

Carrie uniosła wzrok akurat w chwili, gdy kula przebiła czaszkę Price'a. Mężczyzna runął bezwładnie na ziemię jak marionetka zerwana ze sznurków.

Usłyszała trzeci wystrzał; ten trafił Finleya w szyję. Zaciskając dłoń na ranie, lekarz obrócił się, zataczając szaleńcze kręgi, z wyrazem przerażenia na twarzy, a krew bluzgała mu między palcami, tryskając na wszystkie strony. Zwalił się na podłogę obok martwego ciała Price'a, gdzie wił się w konwulsjach i dławił krwią, która teraz wypełniała mu gardło, aż w końcu drgawki ustały i znieruchomiał.

Carrie, niczego nie rozumiejąc, odwróciła głowę w stronę, skąd padły strzały. Zobaczyła Erica Fascianiego w postawie strzeleckiej, z kroplówką w ramieniu, trzymającego w prawej dłoni dymiący pistolet Bushmana.

Fasciani spojrzał na Carrie.

– Sierżancie! Sierżancie! Mam tu dwa potwierdzone trafienia, powtarzam, dwa potwierdzone trafienia – powiedział.

Epilog

Tylko w niektórych kwaterach Cmentarza Narodowego w Arlington możliwe jest stawianie prywatnych nagrobków. Prosty grób Adama godnie wpisywał się w wojskową scenerię. Inskrypcja była rzeczowa: nazwisko, ranga, daty urodzenia i śmierci oraz krótkie zdanie, na które trzeba było uzyskać specjalną zgodę: *Pamiętajmy tych, których rany nigdy się nie goją.*

Wiosenne dni rzadko bywają tak piękne jak to dwudziestostopniowe kwietniowe cud; w ciepłym wietrzyku woń świeżo rozkwitłych kwiatów wiśni wydawała się jeszcze słodsza. O tej południowej porze cmentarz był niemal pusty, jeśli nie liczyć Howarda i Irene Bryantów, którzy szli pod rękę do zaparkowanego w pobliżu wynajętego samochodu, oraz Davida i Carrie, którzy z poważnymi minami, trzymając się za ręce, zostali jeszcze chwilę przy grobie Adama.

Carrie ścisnęła w dłoni swój numer startowy z niedawnego Maratonu Bostońskiego. Położyła go na trawie przed grobem i przycisnęła kamieniem, który ze sobą przyniosła. Gdy wstawiała, oczy miała pełne łez i dla pokrzepienia ścisnęła dłoń Davida.

– Nie spisałam się imponująco, braciszku – powiedziała głosem łamiącym się ze wzruszenia. – Ale ukończyłam bieg. Nie mogę uwierzyć, że mieszkaliśmy w Hopkinton tyle lat i nigdy nie wzięliśmy udziału w tym wyścigu. Cóż, zrobiłam to dla ciebie. Dla Steve’a, dla Erica, dla wszystkich weteranów. Zebrałam też prawie dwa tysiące dolarów dla programu Home Base Red Soxów, co chyba jest całkiem niezłą sumą. To pomoże innym weteranom cierpiącym na PTSD, więc mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

Słowa uwięzły jej w gardle. Próbowwała zaczerpnąć tchu, ale wyrwał jej się szloch. Minęła dłuższa chwila, nim odzyskała mowę. Gdy znów się odezwała, jej głos był cichy i drżący.

– Tęsknię za tobą każdego dnia i tak bardzo cię Kocham – powiedziała przez wzbierające łzy. – A oto te wspaniałe wieści, które, jak wspomnieli rodzice, mam ci do przekazania. Sandra Goodwin otrzymała dziś w końcu wyrok skazujący. To właśnie dlatego przyjechaliśmy. Chciałam być tutaj, kiedy to się stanie, żeby móc powiedzieć ci o tym osobiście. Proces trwał cały rok – ciągnęła. – Czy możesz uwierzyć, że minął już rok? Cóż, ta kobieta spędzi resztę życia w więzieniu za to, co zrobiła. Cal Trent i Bob Richardson... ich procesy są wciąż w toku, ale oni

dostaną to samo, nie martw się o to.

Wyciągnęła z torebki chusteczkę higieniczną i otarła łzy. Przypomniała jej się jeszcze jedna sprawa, którą miała przekazać bratu.

– Znaleźli miejsce pochówku.

Pogrzebani. Spaleni.

Carrie znała wszystkie makabryczne szczegóły zabójstw, zaprzyjaźniła się bowiem z nowym sekretarzem Departamentu Spraw Weteranów. Ofiar, jak sądzono, było jedenaście, choć mogło być ich więcej. Zwłoki spopielono. Poprzedni sekretarz, skompromitowany, ustąpił ze stanowiska, podobnie jak dyrektor medyczny bostońskiego VA, choć twierdził, że nie miał nic wspólnego z programem doktora Finleya i nie wiedział, że pieniądze DARF-y finansują fabrykę śmierci.

– Nie mam w zasadzie nowych wieści na temat stanu Erica i innych – powiedziała Carrie. – Wciąż mają poważne zaburzenia neurologiczne. Ale jak na ironię Finley mógł tak naprawdę być na dobrym tropie. Przejrzeliśmy jego dokumentację medyczną i coś w tym jest. Wykorzystanie głębokiej stymulacji mózgu do leczenia PTSD nie jest jednak zupełną fantazją.

Wzruszenie znów wzięło górę i potrzebowała chwili, żeby dojść do siebie. David mocniej uściśnął jej dłoń, ale ciężki smutek przytłaczał ją jak głaz.

– Wiem, że to brzmi okropnie, ale chciałabym, żeby śmierć twoja i pozostałych nie była daremna. I myślę, że pod tym względem mam do przekazania dobrą wiadomość. Zostałam przyjęta na rezydenturę w Cleveland Clinic. Zaczynam od września i oni chcą, żebym kontynuowała pracę nad leczeniem PTSD i innych urazów przy użyciu głębokiej stymulacji mózgu. Długo się nad tym zastanawiałam i postanowiłam podjąć to wyzwanie. Musi istnieć rozwiązanie tego problemu, sposób na przeprowadzenie tej kuracji tak, żeby była bezpieczna i skuteczna. To zajmie lata i będzie wymagało mnóstwa ciężkiej pracy, ale któregoś dnia cały ten trud się opłaci, wiem to. To, co robili ci ludzie, było straszne, aż brak na to słów, ale uważam, że winni są lekarze, nie sam lek.

Oparła głowę na ramieniu Davida, kiedy dmuchnął silny wiatr. Odgarnęła włosy z twarzy i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Czy ten wiatr to sygnał od ciebie, Adamie? Chciałabym w to wierzyć. Mam nadzieję, że pochwalasz to, co robię. A poza tym myślę o tobie codziennie. Mama i tato też. Wszyscy bardzo cię kochamy.

Mocno zacisnęła powieki, ale łzy i tak się potoczyły. W końcu oboje z Davidem podeszli do Howarda i Irene i objęli ich.

– Spotkamy się później na obiedzie? – zapytała Irene, osuszając oczy chusteczką.

– Jasne – odparła Carrie. – Podajcie mi tylko esemesem, gdzie i kiedy.

Howard pocałował ją w czoło i przytulił mocno.

– Bardzo cię Kocham, dziecinko – powiedział drżącym głosem. – Jestem dumny, że mogę nazywać cię moją córką.

Carrie uściskała ojca mocno jak zawsze. Potem Howard i Irene wsiedli do swego sedana, Carrie zaś usiadła za kierownicą ogniście czerwonego Camaro Adama, a David zajął miejsce pasażera obok niej. Samochód odbył długą drogę z Hopkinton do Waszyngtonu bez najmniejszych problemów technicznych. Najwyraźniej Adam potrzebował inspiracji, by doprowadzić go do stanu używalności, a troska o bezpieczeństwo siostry dostarczyła mu jej aż nadto.

Carrie uruchomiła silnik i ruszyła, gdy odezwał się telefon komórkowy Davida.

– Słucham – odebrał połączenie.

Nastąpiła długa seria pauz, pomiędzy którymi mówił rzeczy w rodzaju „mhm, o rany, tak, jasne, naturalnie, to brzmi świetnie, oczywiście”.

Zakończył rozmowę i milczał.

Carrie spojrzała na niego.

– I?

– I co? – zapytał.

– Kto dzwonił?

– Anneke z „Lowell Observera”.

– W jakiej sprawie?

– Pulitzera – odparł David. – Dostałem go.

Carrie parsknęła śmiechem.

– I w taki sposób to świętujesz?

– Nie ma tu właściwie czego świętować i chodzi o artykuł, którego wolałbym nie napisać.

– David, to fantastyczna wiadomość. Jestem z ciebie taka dumna. Naprawdę.

Trzymając jedną rękę na kierownicy, drugą uścisnęła jego dłoń.

– To jeszcze nie wszystko – dodał David. – Wygląda na to, że „New York Times” ma dla mnie zlecenie. Chcą mnie wysłać na parę miesięcy do Sierra Leone.

– O rany, to brzmi groźnie.

– Jestem reporterem, Carrie. Jeżdżę tam, gdzie jest ciekawy materiał.

Cofnęła dłoń i skupiła się na drodze.

– Co? – zapytał David.

– Wkrótce przenoszę się do Cleveland – odparła. – Nie rozmawialiśmy tak naprawdę o naszych planach, a teraz ty wyjeżdżasz.

David uśmiechnął się i z czułością pogładził ją po policzku.

– Jestem reporterem – powtórzył. – Jeżdżę tam, gdzie jest ciekawy materiał.

A ty jesteś materiałem, który chcę zgłębiać przez resztę życia.

Carrie ujęła jego dłoń i tym razem pocałowała ją. Wcisnęła mocniej gaz i camaro wystrzeliło do przodu jak rakieta. Przez chwilę miała wrażenie, że Adam siedzi za nią, z dłonią opartą na jej ramieniu, z szerokim uśmiechem na twarzy, z tym swoim błyskiem w oczach.

I jechała przed siebie.

Jechała.

Słowo od Daniela Palmera

Drodzy Czytelnicy

Co roku we wrześniu, przekazawszy swą najnowszą powieść do St Martin's Press, mój ojciec natychmiast zaczynał snuć plany. Jaką opowieść zaprezentować czytelnikom następnym razem? Jesień 2013 roku nie była wyjątkiem. Tato wiedział, że chce w swym dwudziestym thrillerze powrócić do szpitalnej scenerii, która była znakiem rozpoznawczym jego wcześniejszych dzieł. Bohaterką miała być młoda rezydentka, która spotyka zdesperowanego pacjenta powtarzającego w kółko „Nie powinienem być tutaj”. Lekarka zaczyna wierzyć pacjentowi, prowadzi śledztwo, i wkrótce zagłębia się w labirynt zbrodni i korupcji.

Następna książka taty była już na warsztacie. A potem, w październiku 2013 roku, ojciec zmarł nagle.

Nie wiem, jak długo tato kontynuowałby pisanie. Nie zamierzał przestać. Miał notesy i segregatory wypełnione pomysłami. W każdej powieści starał się dać z siebie wszystko, ponieważ bardzo szanował swoich czytelników. Kiedy rozeszła się wieść o jego śmierci, moja skrzynka kontaktowa zapełniła się mailami od fanów z całego świata.

Choć był autorem poczytnych powieści wydawanych w przeszło trzydziestu językach, pisanie często wiązało się dla taty z samotnością. Oznaczało puste stronicie, odosobnienie i gonienie terminów. Jednak w roku 2009 coś się dla niego zmieniło. Był to rok, w którym podpisałem swoją pierwszą umowę wydawniczą.

Pracowałem w domu, zajmując się konsultingiem i pisarstwem. Tato również był w swoim pokoju, jakieś sto kilometrów na południe. Włączałem aplikację iChat na cały dzień, tak że ilekroć miał ochotę na małą pogawędkę, mógł zadzwonić do mnie przez Internet i byłem do jego dyspozycji. Sam albo z jego wnukami, albo z jego synową do spółki. Gadaliśmy o fabułach, dopóki palce nie zaczynały nas świerzbic, by znów zacząć bębnić w klawiaturę. Podczas tych długich rozmów uczyłem się od ojca sztuki pisania. To ich wspomnienie dało mi pewność, że zdołam poradzić sobie z ambitną koncepcją *Traumy*.

Praca nad tą książką okazała się niezwykle i wzruszającą podróżą. Kiedy nadszedł e-mail od ulubionej redaktorki ojca, Jennifer Enderlin, z informacją o akceptacji manuskryptu, powiedziałem na głos: „Zrobiliśmy to, Tato”.

Nie mogę zastąpić swojego ojca; nikt nie jest w stanie go zastąpić. Mogę jednak kontynuować zaczęte przez niego dzieło, a jest to przyjemność i zaszczyt, które uczą mnie pokory i napełniają niezmierną wdzięcznością.

Z wyrazami przyjaźni
Daniel Palmer

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Epilog

Słowo od Daniela Palmera

Tytuł oryginału: *Trauma*

Copyright © 2015 by Daniel Palmer
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Małgorzata Chwałek
Redaktor merytoryczny: lek. med. Anna Karczewska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce © Stepan Kapl / Shutterstock

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Trauma*, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-840-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**